

ZAJMĘ SIE TOBĄ

„Zawrotny roller-coaster”
Lisa Gardner

„Dotyka do żywego”
The Sun

MARY KUBICA

Mary Kubica

Zajmę się tobą

*Tłumaczenie:
Barbara Górecka*

Dla tych, których straciłam

HEIDI

Po raz pierwszy widzę ją na peronie dworca Fullerton. Dostrzegam, że trzyma niemowlę na rękach. Staje mocniej na nogach, gdy z piekielnym hałasem przejeżdża bez zatrzymania ekspres czerwonej linii do Linden. Jest 8 kwietnia, niecałe dziesięć stopni i pada. Deszcz leje się z nieba tu, tam, wszędzie, w dodatku wieje porywisty wiatr. Fatalny dzień dla fryzury.

Dziewczyna ma na sobie rozprute przy kolanie džinsy i cienką nylonową kurtkę khaki. Nie ma kaptura ani parasola. Chowa brodę w kołnierzu i patrzy prosto przed siebie, nie zważając na ulewny deszcz. Stojący obok ludzie kryją się pod parasolami, nikt nie proponuje jej ochrony. Niemowlę jest ciche, schowane pod kurtką matki jak kangurzątko w torbie. Spod kurtki wystaje róg brudnawego różowego kocyka z polaru, przypuszczam więc, że maluch, śpiący smacznie pomimo panującego zgiełku i zimna – właśnie z łoskotem przejeżdża pociąg linii L, a podmuch wiatru przenika mnie do kości – jest dziewczynką.

Przy stopach matki obutych w wysokie, całkiem przemoczone sznurowane glany, stoi stara, skórzana i bardzo zniszczona walizka.

Dziewczyna pewnie ma nie więcej niż szesnaście lat.

Jest bardzo chuda. Niedożywiona, myślę, ale niekoniecznie, może tylko zwyczajnie chuda. Ubranie na niej wisi. Dżinsy wydają się workowate, kurtka o kilka rozmiarów za duża.

Na tablicy wyświetla się komunikat o nadjeżdżającym pociągu i wagony linii brązowej powoli wtaczają się na stację. Poranny tłum pasażerów tłoczy się w drzwiach do wagonów, w których jest sucho i ciepło, ale dziewczyna się nie porusza. Ociągam się przez moment, czując, że powinnam coś zrobić, zareagować, ale po chwili wsiadam razem z resztą obojętnych ludzi i zajmuję miejsce przy oknie, obserwując, jak drzwi zamykają się z sykiem i pociąg odjeżdża,

zostawiając dziewczynę z dzieckiem w deszczu na peronie.

Myśli o niej towarzyszą mi przez cały dzień.

Jadę do dzielnicy Loop, czyli Pętli, do stacji Adams/Wabash, i wraz z tłumem wychodzę na peron, a potem schodami w dół na zalaną deszczem ulicę, gdzie w powietrzu unosi się kwaśny odór z rynsztoków i krążą stada gołębi. Mijam przepełnione śmietniki, koczujących bezdomnych i tysiące mieszkańców miasta przemierzających się w ulewie od punktu A do punktu B.

Wolny czas między naradami o wtórnym analfabetyzmie dorosłych oraz przygotowywaniem do testów i korepetycjami dla Hindusa z Bombaju, spędzam na rozmyślaniu o dziewczynie z dzieckiem, która na peronie przeczekuje kolejne pociągi. Obmyślam rozmaite historie. Niemowlę cierpi na kolkę i często się budzi, a wibracje wywoływane przez nadjeżdżające pociągi utrzymują je w stanie uśpienia. Parasolkę dziewczyny - wyobrażam ją sobie dokładnie, jest jaskrawoczerwona, ze złotymi margerytkami na brzegu - silny podmuch wiatru wywrócił na drugą stronę, to częsta sytuacja przy takiej pogodzie. Druty się połamały. Parasolka, niemowlę, walizka - za dużo jak na dwie ręce. Nie mogła przecież zostawić dziecka samego w domu. A walizka? Co takiego się w niej mieściło, że okazało się ważniejsze niż parasol w ulewny dzień? Może dziewczyna czekała na peronie od rana do wieczora? Może nie zamierzała nigdzie jechać, tylko czekała na czyjś przyjazd? Możliwe także, że wsiadła do pociągu czerwonej linii w chwilę po tym, jak pociąg linii brązowej zniknął w tunelu.

Kiedy wracam wieczorem do domu, nie ma jej na peronie. Nie mówię o niej Chrisowi, bo przecież wiem, co powie:

- A kogo to obchodzi?

Siadam z Zoe przy kuchennym stole i pomagam jej odrobić pracę domową z matematyki. Córnka twierdzi, że nienawidzi matmy, co wcale mnie nie zaskakuje. Ostatnio Zoe nie cierpi niemal wszystkiego. Ma dwanaście lat. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że mój okres „nienawidzenia wszystkiego” przypadł znacznie później, byłam chyba wtedy szesnastolatką. Obecnie jednak wszystko uległo gwałtownemu przyspieszeniu. Poszłam do przedszkola, żeby się bawić i poznać literki,

Zoe poszła nauczyć się czytać, a przy okazji osiągnęła biegłość w dziedzinie nowych technologii, o której ja mogę tylko pomarzyć. Chłopcy i dziewczyny wcześniej dojrzewają, w niektórych przypadkach nawet o dwa lata wcześniej niż moje pokolenie. Siedmioletnie czy ośmioletnie dziewczynki mają piersi, dziesięciolatki posiadają telefony komórkowe.

Chris zjada kolację, po czym jak zwykle znika w gabinecie, żeby popracować nad usypiającymi arkuszami kalkulacyjnymi, i siedzi tam jeszcze długo po tym, jak ja i Zoe położymy się spać.

Następnego dnia ona znowu tu jest. Ta dziewczyna. I znowu leje deszcz. Dopiero drugi tydzień kwietnia, a meteorolodzy już zapowiadają rekordowe opady. Ponoć jest to najbardziej mokry kwiecień w dziejach. Służby lotniska O'Hare podały wczoraj, że spadło tam w ciągu jednego dnia sto trzydzieści milimetrów deszczu. Woda zaczyna się wlewać do piwnic, zbiera się w niżej położonych partiach ulic i placów. Wiele lotów odwołano bądź są opóźnione. Przypominam sobie przysłowie o deszczach w kwietniu i kwiatach w maju i otulam się szczelnie kremową nieprzemakalną wiatrówką. Na nogi wkładam wysokie kalosze.

Dziewczyna ma na sobie te same rozprute džinsy, nylonową kurtkę khaki i sznurowane glany. Obok niej stoi ta sama zniszczona skórzana walizka. Drży z chłodu, a niemowlę wierci się i popłakuje. Dziewczyna podrzuca je lekko w górę i w dół, w górę i w dół, a z jej ust udaje mi się wyczytać:

- Ciii...

Stojące obok mnie kobiety kryją się pod wielkimi kopulastymi parasolkami i popijają gorącą kawę z papierowych kubków. Słyszę, jak mówią:

- Nie powinna wychodzić z małym dzieckiem. W taki dzień jak dzisiaj?

Komentują drwiąco:

- Chyba upadła na głowę. Dziecko nie ma nawet czapeczki!

Ekspres czerwonej linii przejeżdża z łoskotem, a po nim powoli wtacza się i zatrzymuje pociąg linii brązowej. Pasażerowie wsiadają do wagonów, przesuając się w równym tempie jak przedmioty na taśmie

produkcyjnej.

Znowu się ociągamy, pragnę jakoś zadziałać, ale nie chcę okazać się wścibska ani obrazić dziewczyny. Między chęcią niesienia pomocy a brakiem szacunku przebiega cienka linia, której nie chcę przekroczyć. Istnieją tysiące powodów, dla których dziewczyna może stać na peronie w deszczu, z walizką i dzieckiem na rękę, powodów całkiem innych niż ten, który nie daje mi spokoju od wczoraj. Że jest bezdomna.

Pracuję z osobami dotkniętymi ubóstwem, głównie z imigrantami. Statystyki dotyczące analfabetyzmu w Chicago są niewesołe. Około jedna trzecia dorosłych to praktycznie analfabeci, którzy nie potrafią samodzielnie wypełnić podania o pracę. Nie umieją przeczytać nazw ulic ani rozpoznać nazwy przystanku wzdłuż linii L, na którym powinni wysiąść. Nie ma mowy o pomaganiu dzieciom w odrabianiu pracy domowej.

Twarze ubóstwa są raczej ponure. To starsze kobiety skulone na ławkach w miejskich parkach, pchające cały swój dobytek w wózkach zakupowych i grzebiące w śmietnikach w poszukiwaniu jedzenia; mężczyźni siedzący lub leżący pod wieżowcami w zimne styczniowe dni, pogrążeni w głębokim śnie, z kartonowymi tabliczkami opartymi o nieruchome ciała:

Proszę o pomoc.

Jestem głodny.

Bóg zapłać.

Ofiary biedy żyją w ruderach, w niebezpiecznych dzielnicach, często nie dojadają, nierzadko głodują. Mają ograniczony albo żaden dostęp do opieki medycznej, nie otrzymują koniecznych szczepień, ich dzieci uczęszczają do marnych, niedoinwestowanych szkół, sprawiają kłopoty wychowawcze, są świadkami albo same stosują przemoc. Grozi im większe ryzyko inicjacji seksualnej w bardzo młodym wieku i w ten sposób cykl się powtarza. Nastoletnie matki rodzą chuchrowate dzieci, które z braku dostępu do opieki medycznej nie otrzymują szczepień ochronnych i chorują. Zazwyczaj są niedożywione.

W Chicago ubóstwo dotyka zwłaszcza czarnych i Latynosów, co oczywiście nie znaczy, że biała dziewczyna nie może być biedna.

Wszystkie te myśli przemykają mi przez głowę w ułamku sekundy, kiedy zastanawiam się, co począć. Pomóc dziewczynie. Wsiąść do pociągu. Pomóc dziewczynie. Wsiąść do pociągu. Pomóc dziewczynie.

Ale wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, dziewczyna wsiada do wagonu. Wślizguje się do środka na moment przed tym, jak rozlega się automatyczny komunikat - „bim, bom, drzwi się zamykają” - więc wskakuję za nią, zastanawiając się, dokąd jedziemy, ona, jej dziecko i ja.

Wagon jest zatłoczony. Jakiś mężczyzna grzecznie ustępuje miejsca dziewczynie, która bez słowa przyjmuje jego gest i przysiadła na twardej metalowej ławce obok urzędnika w długim czarnym prochowcu, który obrzuca niemowlę takim spojrzeniem, jakby było ludzikiem z Marsa. Pasażerowie zaczynają się zajmować tym, czym się zwykle zajmują w drodze do pracy - rozmawiają przez komórki, korzystają z laptopów i innych gadżetów elektronicznych, czytają książki, gazety, poranne raporty, sączą kawę lub gapią się przez okna na sylwety wieżowców, posępni w tym deszczowym dniu. Dziewczyna ostrożnie wyjmie dziecko z kangurzej torby. Odwija różowy kocyk i okazuje się, że jakimś cudem niemowlę jest suche. Szarpiąc, pociąg zmierza do dworca Armitage, mijając po drodze budynki z cegły i niskie czynszówki tak blisko ludzkich mieszkań, że wyobrażam sobie, jak drżą po przejeździe linii L; przez cały dzień i długo w nocy co parę minut milknie telewizor, brzęczą talerze i szkło w serwantce. Wyjeżdżamy z Lincoln Park i kierujemy się w stronę Starego Miasta, a w tym czasie niemowlę się uspokaja. Ku wyraźnej uldze pasażerów zawodzenie przechodzi w ciche pojękiwanie.

Z powodu tłoku stoję nieco dalej od dziewczyny, niżbym chciała. Balansując na szeroko rozstawionych nogach, zerkam co jakiś czas w jej stronę. Widzę gładką skórę bobasa barwy kości słoniowej, miejscami zaczerwienioną od płaczu, zapadnięte policzki matki, biały kombinezonik, rozpaczliwe, głodne ssanie smoczka, pusty wzrok.

- Śliczne dziecko - mówi przechodząca obok kobieta.

Dziewczyna zmusza się do uśmiechu. Nie przychodzi jej to w sposób naturalny. Wyobrażam ją sobie obok Zoe i nabieram pewności, że jest starsza. Ma wyraz beznadziei w oczach, to raz, brakuje jej dziecięcej bezbronności, to dwa. Poza tym ma dziecko (udało mi się przekonać

samą siebie, że Zoe nadal wierzy, iż dzieci przynoszą bociany), choć przy siedzącym obok mężczyźnie wydaje się małą chudziną. Ma asymetryczną fryzurę: z jednej strony włosy krótko ostrzyżone, z drugiej długie do ramienia. Są szarobure jak żółknąca z czasem fotografia w sepia. Niektóre pasma są ufarbowane na czerwono. Dziewczyna ma mocny makijaż na powiekach, trochę rozmazany od deszczu, długie strąki grzywki skrywają oczy.

Pociąg zwalnia i wtacza się na Loop, z chrzęstem pokonując zakręty i zwrotnice. Szykując się do wyjścia, widzę, jak dziecko znów zostaje zawinięte w kocyk i schowane pod kurtkę z nylonu. Dziewczyna wysiada przede mną, na State/Van Buren, i patrzę za nią, starając się nie stracić jej z oczu w tłumie pasażerów, którzy o tej porze dnia szczelnie wypełniają ulice.

Nie udaje mi się to jednak i po chwili dziewczyna znika.

CHRIS

- Jak minął dzień? - pyta Heidi, kiedy stoję w progu.

Witają mnie ostry zapach kuminu, dochodzący z salonu ryk telewizora, w którym właśnie lecą wiadomości, i głośna muzyka z pokoju Zoe. Słyszę głos spikera, który podaje, że na Środkowym Zachodzie spodziewane są rekordowe opady deszczu. Przy drzwiach wisi i stoi kolekcja przemoczonych rzeczy: płaszcze, parasole i buty. Dodaję swoje eksponaty i jak pies otrząsam mokre włosy. Wchodzę do kuchni i cmokam Heidi w policzek, zresztą raczej z nawyku niż szczególnego uczucia.

Heidi przebrała się już we flanelową pizamę w czerwoną kratę, jej naturalnej barwy kasztanowe i falujące włosy nieco przykłapły od deszczu. Wyjęła soczewki i zastąpiła je okularami.

- Zoe! - krzyczy. - Kolacja gotowa.

Nasza córka nie ma szans jej usłyszeć za zamkniętymi drzwiami do pokoju, skąd dochodzi ogłuszający ryk boysbandu.

- Co jest na kolację? - pytam.

- Chili. Zoe!

Uwielbiam chili, ale ostatnio Heidi przyrządza je na sposób wegetariański, ładując do tej potrawy nie tylko czarną i czerwoną fasolę oraz ciecierzycę (oczywiście z dużą ilością kuminu), lecz także coś, co nazywa „wegetariańską kostką mięsną”, czyli sojową, mającą zastąpić wołowinę. Wyjmuje miski z szafki i zaczyna nakładać chili. Heidi nie jest wegetarianką, odkąd jednak przed dwoma tygodniami Zoe zaczęła marudzić na temat tłuszczu w mięsie, podjęła męską decyzję o czasowym gotowaniu bez użycia mięsa. Mieliśmy już wegetariański pasztet, spaghetti z wegetariańskimi klopsikami i wegetariańskie kotlety. I ani krzty mięsa.

- Zawołam ją. - Ruszam wąskim korytarzem naszego mieszkania. Stukam w pulsujące od ryku muzyki drzwi i otrzymawszy pozwolenie,

wtykam głowę do środka, informując Zoe o kolacji. Kiwa, że zrozumiała. Leży na łóżku z żółtym notesem na kolanach, tym, na który nakleiła na okładce wycięte z czasopism zdjęcia młodzieżowych idoli. Zatrzaskuje go, kiedy wchodzę, i maca dokoła w poszukiwaniu plansz do nauki biologii, które leżą smętnie porzucone.

Nie napomykam, że nakruszyła na łóżko. W drodze do małżeńskiej sypialni potykam się o kota i poluzowuję węzeł krawata.

Po chwili siedzimy przy kuchennym stole, a Heidi znów pyta mnie, jak minął dzień.

- Dobrze - mówię. - A tobie?

- Nienawidzę fasoli - oznajmia Zoe. Nabiera pełną łyżkę chili i powoli wrzuca je z powrotem do miski. Telewizor w salonie został wyciszony, mimo to nasz wzrok co i rusz mknie w tamtą stronę, a my staramy się odczytać treść wieczornych wiadomości z ruchu warg spikera. Zoe kuli się na krześle, odmawiając jedzenia. Jest klonem Heidi, poczynając od okrągłej twarzy, po falujące włosy i piwne oczy, podobieństwo matki i córki jest wręcz doskonałe, aż po identyczne wygięcie pełnych warg i piegi rozsiane na zadartym nosku.

- Co robiłeś? - pyta Heidi, ja zaś krzywię się wewnętrznie, nie chcąc na nowo przeżywać dnia i wiedząc, że jej opowieści o poszukujących azylu uciekinierach z Sudanu i dorosłych analfabetach są dołujące. Najchętniej czytałbym dalej wiadomości z ruchu warg w całkowitym milczeniu.

Mimo to opowiadam o telefonie nadgorliwego klienta, sporządzeniu umowy kupna i idiotycznie wczesnej konferencji telefonicznej z klientem z Hongkongu. O trzeciej w nocy. Wymknąłem się na palcach z sypialni, którą dzielę z Heidi, i wśliznąłem do gabinetu, a kiedy skończyłem rozmawiać, wziąłem prysznic i wyszedłem do pracy, zanim Heidi lub Zoe zdążyły się ocknąć.

- Rano wyjeżdżam do San Francisco - przypominam.

- Pamiętam. - Kiwa głową. - Na długo?

- Na dwa dni.

Potem pytam, jak jej minął dzień, i Heidi opowiada mi o młodym człowieku, który pół roku temu przyjechał z Indii do Stanów. Mieszkał

w slumsach Bombaju.

- Konkretnie w Dharavi - mówi. - To jeden z największych slumsów na świecie. Zarabiał tam niecałe dwa amerykańskie dolary dziennie.

Opowiada o toaletach, których jest mało i daleko trzeba do nich chodzić, dlatego mieszkańcy załatwiają się do rzeki. Heidi pomaga temu Hindusowi w gramatyce, nazywa go Aakar. Nauka nie przychodzi mu łatwo.

- Angielski jest bardzo trudny - powiada Heidi.

Odpowiadam, że wiem.

Moja żona ma nader współczujące serce. Była to cecha absolutnie urocza, kiedy jej się oświadczałem, ale teraz, po czternastu latach małżeństwa, na słowa „imigrant” i „uchodźca” reaguję skrywaną irytacją, głównie dlatego, że mam pewność, iż Heidi bardziej przejmuje się ich losem niż moim.

- A jak tam twój dzień, Zoe? - pyta Heidi.

- Beznadziejnie - burczy córka, jeszcze bardziej kuląc się na krześle i patrząc na chili takim wzrokiem, jakby miała przed sobą psie łajno.

Śmieję się w duchu. Przynajmniej jedno z nas jest szczerze. Chciałbym skorygować poprzednią wypowiedź. Mój dzień też był do bani.

- Dlaczego beznadziejnie? - draży Heidi zatroskanym głosem, przyglądając się Zoe. - I czemu nie jesz chili? Czy jest za gorące?

- Już mówiłam. Nie cierpię fasoli.

Pięć lat temu Heidi przypomniałaby jej o głodującym dzieciach w Burundi, Sierra Leone i Indiach. Obecnie jednak nakłonienie Zoe do zjedzenia czegokolwiek to wyczyn. Albo nie cierpi wszystkiego, albo jest to napakowane tłuszczem, jak mięso. To dlatego męczymy się z kostką sojową.

Ze stojącej przy drzwiach wejściowych aktówki rozlega się dźwięk komórki. Heidi i Zoe patrzą na mnie, ciekawe, czy odważę się umknąć w trakcie kolacji do biura, trzeciej sypialni, którą przerobiliśmy, gdy stało się jasne, że nie będziemy mieli więcej dzieci. Kiedy siedzimy tam razem, wciąż jeszcze zdarza mi się przyłapywać wzrok Heidi błędzący po ciemnobrązowych biurowych meblach - biurku i regałach, i moim ulubionym skórzanym fotelu - gdy wyobraża sobie zupełnie inny wystrój,

kołyskę i stolik do przebierania, i śmieszne zwierzątka skaczące po ścianach.

Heidi zawsze chciała mieć dużą rodzinę. Niestety, sprawy potoczyły się inaczej.

Rzadko się zdarza, aby krótka kolacja upłynęła bez denerwującego brzęczenia mojej komórki. W zależności od nastroju – mojego lub, co ważniejsze, Heidi – odbieram albo nie. Akurat dzisiaj wkładam do ust pełną łyżkę chili, na co Heidi uśmiecha się miło, a ja uznaję to za podziękowanie. Ma cudowny uśmiech, naprawdę słodki. Rodzi się gdzieś w środku niej, nie chodzi jedynie o wygięcie kącików ślicznych warg. Kiedy Heidi się uśmiecha, przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie na balu dobroczynnym. Była wtedy ubrana w obcisłą czerwoną sukienkę bez ramiączek, w kolorze szminki na ustach. Przypominała dzieło sztuki. Ba, arcydzieło! Studiowała w college'u i była wolontariuszką w organizacji non profit, którą obecnie kieruje. Działo się to w czasach, kiedy zarwanie nocy wydawało się bułką z masłem, a cztery godziny snu wystarczały w zupełności. Trzydziestka oznaczała starość, a czterdziestka? Nawet się nad tym nie zastanawiałem.

Heidi uważa, że za dużo pracuję. Biedaczek, siedemdziesięciogodzinne tygodnie pracy to norma. Bywają dni, kiedy wracam do domu o drugiej nad ranem, i wieczory, gdy wprawdzie jestem już w domu, ale zamknięty w biurze aż do wschodu słońca. Moja komórka dzwoni o każdej porze dnia i nocy, jak u lekarza pierwszego kontaktu, a nie człowieka, który ma do czynienia z fuzjami i kupowaniem firm. Ale Heidi pracuje w agencji non profit, więc tylko jedno z nas zarabia na opłacenie czynszu za mieszkanie własnościowe w Lincoln Park, wysokie chesne w prywatnej szkole Zoe i oszczędzanie na opłatę za college.

Gdy telefon przestaje dzwonić, Heidi odwraca się do Zoe. Chce dowiedzieć się więcej na temat jej dnia.

Okazuje się, że pani Peters, nauczycielka geografii w siódmej klasie, nie przyszła na lekcję, a zastępczyni była totalnie... Zoe gryzie się w język i szuka bardziej odpowiedniego przymiotnika niż ten, którego używają jej niegrzeczni koledzy... no więc była totalnie wkurzająca.

- Dlaczego? - dopytuje się Heidi.

- Nie wiem. - Zoe unika kontaktu wzrokowego, wpatruje się w chili. -

Po prostu taka była.

Heidi upija łyk wody i patrzy na nią wielkimi oczami, przybierając pytającą minę. Miała identyczną, kiedy wspomniałem o rozmowie telefonicznej o trzeciej nad ranem.

- Czy była złośliwa?

- Raczej nie.

- Zbyt surowa?

- Nie.

- Może w takim razie brzydka? - wtrącam dla poprawienia nastroju.

Przejawiana przez żonę potrzeba wiedzy rodzi czasem napięcia. Heidi jest zdania, że gdy rodzice odpowiednio się zaangażują (według mnie zaangażują nadmiernie), to w zupełności wystarczy, aby przekonać wkraczającą w „trudny wiek” Zoe, że jest bezwarunkowo kochana. Jeśli o mnie chodzi, to trudny wiek zapisał się w mojej pamięci inaczej. W tamtym okresie dominowała silna potrzeba zejścia rodzicom z oczu, a gdy próbowali podążać za mną, starałem się jeszcze szybciej uciekać. Ale Heidi wypożyczyła masę książek z biblioteki, całe kilogramy poradników psychologicznych na temat rozwoju dziecka, miłości rodzicielskiej, tajników posiadania szczęśliwej rodziny, i jest mocno zdeterminowana, aby zastosować tę wiedzę w praktyce.

Zoe chichocze. Kiedy to robi - a nie zdarza się to ostatnio zbyt często - znowu staje się sześciolatką, doskonale czystym dwudziestoczerokaratowym złotem.

- Nie - odpowiada.

- Może nudna? Beznadziejna stara nudziara. - Odsuwam na bok czarną fasolę i szukam czegoś innego. Pomidora. Kukurydzy. Polowanie drapieżnika chili. Starannie unikam wegetariańskiej kostki sojowej.

- Taa... Chyba tak.

- Co jeszcze? - dopytuje się Heidi.

- Mm...? - Zoe ma na sobie bardzo błyszczącą bluzeczkę z jaskraworóżowymi napisami „pokój” i „miłość”. Włosy związała z boku w koński ogon, przez co wygląda doroślej, ale kłóci się z tym

pomarańczowy aparat na nieco krzywych zębach. Na lewym przedramieniu wyrysowała flamastrami pacyfy, serce, swoje imię. I niejakiego Austina.

Austin? - powtarzam w duchu.

- Co jeszcze ci nie pasuje? - pyta Heidi.

Kim, do diabła, jest Austin?

- Taylor wylała podczas lunchu mleko. - I dodaje po chwili: - Prosto na mój podręcznik do matmy.

- Czy książka nadaje się do użytku? - chce natychmiast wiedzieć Heidi.

Taylor przyjaźni się z Zoe, odkąd obie skończyły cztery lata. Są nierozłączne. Noszą jednakowe wisiorki na szyję, trzeba trafu, że są to czaszki. Zoe nigdy nie zdejmuje, nawet w nocy, swojego wisiorka barwy jaskrawozielonej. Jennifer, matka Taylor, jest najlepszą przyjaciółką Heidi. O ile dobrze pamiętam, spotkały się w parku miejskim. Dziewczynki bawiły się w piaskownicy, a mamy odpoczywały na ławce. Heidi nazywa to pomyślnym zrządzeniem losu. W rzeczywistości Zoe rzuciła Taylor piaskiem w oczy, więc te pierwsze chwile wcale nie należały do pomyślnych. Gdyby zapobiegliwa Heidi nie miała ze sobą butelki z wodą do przemycia oka, a Jennifer nie znajdowała się właśnie w trakcie rozwodu i nie szukała bratniej duszy, by móc się wygadać, sprawy mogły przybrać zupełnie inny obrót.

- Nie wiem - odpowiada Zoe. - Chyba tak.

- Czy trzeba kupić nowy podręcznik?

Bez komentarza.

- Czy coś jeszcze się wydarzyło? Coś pozytywnego?

Zoe kręci głową.

I na tym, w dużym skrócie, polegał jej koszmarny dzień.

Zoe wolno odejść od stołu, mimo że nie zjadła chili. Heidi udaje się ją przekonać do spożycia kilku kęsów babeczki z mąki kukurydzianej i dopicia mleka, a potem wysłać do pokoju, gdzie ma odrabiać lekcje. Zostajemy przy stole sami. Ponownie dzwoni moja komórka. Heidi zrywa się, żeby sprzątnąć naczynia, a ja zwlekam z odejściem, bo nie mam pewności, czy już mi wolno. Znajduję salomonowe wyjście -

zbieram kilka talerzy i przynoszę żonie, która wyrzuca niemal nietknięte chili Zoe do pojemnika z odpadami organicznymi.

- Chili było niezłe - kłamię, bo nie było.

Stawiam talerze przy zlewie, żeby Heidi mogła je opłukać, i czekam za jej plecami z ręką na czerwonej kraciatej flaneli.

- Kto wyjeżdża z tobą do San Francisco? - pyta Heidi.

Zakręca wodę i odwraca się do mnie, a wtedy przytulam się do niej poufałym, od dawna wpojonym nam obojgu gestem. To całkowicie naturalny nawyk, druga skóra. Jestem z Heidi prawie połowę mojego życia. Wiem, co zamierza powiedzieć, zanim otworzy usta. Znam język jej ciała, umiem go odczytać. Rozpoznaję zapraszające spojrzenie, kiedy Zoe nocuje u przyjaciółki albo już dawno położyła się spać. Wiem, że teraz, kiedy otacza mnie ramionami i przyciąga do siebie, zaplatając mi ręce na plecach, nie robi tego z porywu uczucia. To raczej akt posiadania.

Należysz do mnie.

- Parę osób z biura - odpowiadam.

Patrzy na mnie wyczekująco. Chce, żebym powiedział coś więcej.

- Tom - mówię - i Henry Tomlin. - Zawieszam na moment głos, co prawdopodobnie mnie zdradza. - Cassidy Knudsen - dorzucam niezbyt pewnym tonem, niepotrzebnie dodając nazwisko, jakby Heidi nie wiedziała, o kim mowa. Cassidy Knudsen, z wyciszoną literą K.

Słyszając to, cofa ręce i odwraca się z powrotem do zlewu.

- To podróż służbowa - przypominam. - Wyłącznie w interesach - podkreślam, wtulając twarz w jej włosy. Pachną jak truskawki, soczyście i słodko, w tle wyczuwam mieszaninę zapachów wielkiego miasta: ulicznego brudu, nieznajomych z pociągu, deszczowej wilgoci.

- Czy aby ONA o tym wie? - pyta kwaśno Heidi.

- Nie omieszkać jej o tym przypomnieć - odpowiadam. A kiedy rozmowa przycicha i słyhać jedynie brzęk wkładanych do zmywarki naczyń, korzystam z okazji, żeby wymknąć się z kuchni, i idę się spakować.

To nie moja wina, że pracuje ze mną kobieta, na którą miło popatrzeć.

HEIDI

Kiedy budzę się rano, Chrisa już nie ma. Na podniszczonej nocnej szafce stoi kubek kawy, letniej i prawdopodobnie przesadnie podlanej syropem orzechowym, ale zawsze. Siadam w łóżku i sięgam po kubek oraz pilota. Wybieram kanał z prognozą pogody. Na dziś zapowiadają deszcz.

Po pewnym czasie wlokę się korytarzem do kuchni, mijając po drodze fotografie Zoe od przedszkola do siódmej klasy, i w progu natykam się na córkę z butelką mleka w ręku, którym zamierza zalać wyspane do miski płatki.

- Dzień dobry - zagajam, ona zaś wzdryga się zaskoczona. - Dobrze spałaś? - pytam, nieśmiało cmokając ją w czoło. Uchyła się, ostatnio nie przepada za czułościami. Mimo to jako matka czuję potrzebę okazywania jej uczuć. Przybijanie piątki czy też tajemny uścisk ręki, jaki praktykują Chris i Zoe, zwyczajnie mi nie wystarczą, więc całuję ją i czuję, jak się odsuwa, ale wiem, że dowiodłam dziś znowu miłości.

Zoe ubrała się już w szkolny mundurek, czyli plisowaną spódnicę, której nie cierpi, kamizelkę w kratkę i granatowy rozpinany sweter.

- Uhm - odpowiada i zanosí miskę z płatkami na stół.

- Masz ochotę na sok?

- Nie chce mi się pić.

Ale widzę, że mimo tej deklaracji zerka na ekspres do kawy. To furтка, którą niedawno otworzyła, a ja zdecydowanie zamknęłam. Żaden dwunastoletni dzieciak nie potrzebuje takiego bodźca, żeby pobudzić się rano do działania. Nalewam sobie pełen kubek, dodaję śmietanki, siadam obok Zoe z czubatą miską płatków z rodzynkami i podejmuję próbę pogawędki o dniu, który nas czeka. W odpowiedzi otrzymuję wachlarz związłych „tak”, „nie”, „nie wiem”, po czym Zoe umyka pośpiesznie, żeby umyć zęby, ja zaś zostaję sama w pustej kuchni, a ciszę przerywa jedynie bębnienie deszczu o szybę i parapet.

Wychodzimy w ten mokry, ponury dzień i natykamy się na klatce na sąsiada. To Graham. Wciska guziki na odlotowym zegarku, z którego wydobywają się piski i pobrzękiwania. Wyraźnie zadowolony uśmiecha się do siebie.

- Cieszę się, że panie spotykam - wita się z szerokim uśmiechem. Kosmyki długawych jasnych włosów oklapły i przylepiły się do spoconego czoła, ale wkrótce staną na baczność, wysuszone i potraktowane słuszną ilością mocnego żelu. Graham jest mokry, ale nie umiem ocenić, od deszczu czy raczej od potu.

Wraca do domu po porannym biegu wzdłuż brzegu jeziora, od stóp do głów odziany w strój marki Nike, z kosztownym zegarkiem na rękę, który mierzy odległość i tempo. Poszczególne elementy stroju pasują do siebie wręcz idealnie, jasnozielone paski na kurtce są identyczne jak sznurowadła.

Grahama można określić mianem metroseksualnego, chociaż Chris jest pewny, że kryje się za tym coś więcej.

- Dzień dobry, Grahamie - mówię. - Jak tam poranne bieganie?

- Fantastycznie - odpowiada, opierając się ramieniem o popielatą ścianę i wlewając łyk wody do ust. Na jego twarzy maluje się wyraz tak głębokiej euforii, że Zoe się rumieni. Spuszcza wzrok na buty i strzepuje z nich czubkiem palucha niewidoczne pyłki.

Graham jest trzydziestokilkuletnim sierotą, który mieszka w naszym budynku, ponieważ dawno zmarła matka zapisała mu w testamencie mieszkanie i całkiem okrągłą sumkę kilkuset tysięcy dolarów. Syn konsekwentnie przetracał ją na kosztowne zegarki, drogie wina i zbytkowne urządzenie domu.

Po śmierci matki Graham planował początkowo sprzedać mieszkanie, ale rozmyślił się i wprowadził do niego. Furgony firmy organizującej przeprowadzki wywiozły stare, niemodne umeblowanie i sprzęty, zastępując je nowoczesnymi meblami w stonowanych kolorach, które wyglądały jak wyjęte wprost z katalogu „Dom i Wnętrze”. Graham był zwolennikiem wystroju minimalistycznego, więc i mebli było niewiele, najwięcej za to wydruków komputerowych, które zaśmiecały podłogę.

- To gej - zapewnił mnie Chris, gdy po raz pierwszy wstąpiliśmy do

odnowionego apartamentu. - Gej jak nic. - Wzrok Chrisa przyciągnęły nie tylko designerskie meble, lecz także szafy pełne ubrań. Było ich więcej, niż ja posiadałam. Graham zostawił szafy otwarte, byśmy mogli zajrzeć do środka. - Zapamiętaj sobie moje słowa. Przekonasz się, zobaczysz.

Lecz kobiety zjawiały się u Grahama regularnie, oszałamiająco piękne, nawet mnie zapierało dech. Kobiety o białoblond włosach i nienaturalnie błękitnych oczach, o ciałach tak szczupłych, jak lalka Barbie.

Graham sprowadził się do nas, kiedy Zoe była jeszcze malutka. Od początku ciągnęło ją do niego jak muszkę owocówkę do miski dojrzałych bananów. Jako pisarz, czyli wolny strzelec, często przesiadywał w domu, gapiąc się niewidzącym wzrokiem na ekran komputera oraz przyjmując zbyt duże dawki kofeiny i zwątpienia w siebie. Niejeden raz przychodził nam z pomocą, gdy Zoe była chora, a żadne z nas nie mogło się zwolnić z pracy. Graham zapraszał ją do siebie na miękką kanapę, gdzie razem oglądali kreskówki. Jest bardzo uczynny, można się do niego zwrócić z prośbą o pożyczenie masła, filtra do kawy czy przytrzymanie drzwi. Z ochotą pomagał Zoe przy pisaniu wypracowań z angielskiego, kiedy ani ja, ani Chris nie mieliśmy na to czasu. Umie wspaniale przyprawić indyka i poratował mnie swoim talentem, gdy w połowie przyrządzania obiadu dla teściów na Dzień Dziękczynienia okazało się, że ja tego nie potrafię.

Krótko mówiąc, Graham to dobry przyjaciel.

- Powinnyście kiedyś do mnie dołączyć - proponuje Graham.

Spoglądam na kolekcję butelek z wodą przypiętych do pasa i myślę, że raczej niekoniecznie.

- Pożałowałabyś, gdybym skorzystała z propozycji - mówię, obserwując, jak Graham mierzwi czuprynę Zoe, która znów się rumieni, tym razem jeszcze mocniej.

- A ty? - zwraca się do niej Graham, a Zoe wzrusza ramionami. Gdy się ma dwanaście lat, czerpie się z tego pewne korzyści. Wzruszenie ramion i nieśmiały uśmiech wystarczą za odpowiedź. - Pomyśl o tym - dorzuca, błyskając równymi białymi zębami. Nie ogolił się jeszcze, co

dodaje mu męskiego uroku, i zerka na Zoe z ukosa.

Moja córka za wszelką cenę unika jego spojrzenia. Nie dlatego, że nie lubi Grahama. Jest wprost przeciwnie.

Żegnamy się i wychodzimy na ulewę.

Odprowadzam Zoe do szkoły i dopiero potem ruszam do pracy. Córka uczęszcza do katolickiej placówki. To niedaleko od naszego domu. Szkołę zbudowano obok przyciężkiej bryły bizantyjskiego kościoła z szarego kamienia, z solidnymi drewnianymi drzwiami i strzelającą w niebo kopułą. Świątynia odznacza się przepychem, ściany w środku zdobią połączone freski, są też wysokie witrażowe okna i ołtarz z marmuru. Ceglany budynek szkoły stoi schowany z tyłu, a za nim rozciąga się kwadrat zwykłego szkolnego boiska, na którym roi się teraz od dzieci w jednakowych mundurkach, ukrytych pod różnobarwnymi płaszczami od deszczu, dźwigających wypchane plecaki.

Zoe bąka:

- Do widzenia - i umyka.

A ja obserwuję, stojąc w bramie, jak dołącza do innych siódmoklasistek i biegnie wraz z nimi do suchego, ciepłego budynku, trzymając się z dala od najmłodszych uczniów - ci czepiają się kolan rodziców i zawodzą, że „nie chcą tam iść” - jakby cierpieli na zaraźliwą chorobę.

Patrzę za nią, póki nie zniknie w czeluściach gmachu, a potem ruszam do dworca Fullerton. W którymś momencie deszcz zamienia się w gęstą ulewę i rzucam się do ciężkiego biegu, wpadając w kałuże i rozpryskując wodę dookoła.

Przychodzą mi na myśl dziewczyna i jej dziecko, zastanawiam się, czy także gdzieś tu są zalewani potokami deszczu.

Dobiegam do dworca, wsuwam kartę w szczelinę i odblokowuję kołowrót, po czym wbiegam po śliskich schodach, nie przestając myśleć, czy ich dziś zobaczę. Nie ma dziewczyny z dzieckiem. Oczywiście odczuwam ulgę, że nie mokną na peronie, lecz zarazem mój umysł błądzi wokół pytań: gdzie są? Czy są bezpieczni? Czy im sucho, czy ciepło? To wręcz definicja ulgi zaprawionej kroplą goryczy. Czekam niecierpliwie na przyjazd pociągu, a kiedy w końcu wtacza się na peron, wsiadam, nie

odrywając spojrzenia od okna, jakbym oczekiwała, że matka i dziecko zaraz tu się zjawią, ona w kurtce khaki i wysokich sznurowanych butach, ze starą skórzaną walizką, dziecko w mokrym różowym kocyku z polaru, a ja zobaczę bezzębny uśmiech niemowlęcia i aksamitny meszek włosów na kremowej główce.

W naszym ośrodku zwalczania analfabetyzmu zajmujemy się dziś czytaniem poezji, w czym pomaga garstka wolontariuszy. Następnie uczniowie próbują swych sił w dziedzinie pisania i ilustrowania wierszy, a co bardziej śmiałe osoby odważają się pokazać rezultaty swych starań kolegom. Osoby przychodzące do ośrodka pochodzą z niższych sfer, z peryferyjnych dzielnic, to głównie Afroamerykanie i Latynosi. Wiele z nich dorasta w ubóstwie, a w domach posługuje się językiem innym niż angielski: hiszpańskim, chińskim, polskim.

Sporo z tych dzieci pochodzi z rodzin, w których oboje rodzice pracują, ale większość wychowują samotne matki. To tak zwane dzieciaki z kluczem na szyi, które popołudnia i wieczory spędzają samotnie. Najbardziej zależy im na dachu nad głową i pożywieniu. Poranek w naszym ośrodku to coś więcej niż okazja poznania liter i rozwinięcia miłości do sonetów i haiku. Te dzieci ogarnia zwątpienie na widok zadań, które przed nimi stawiamy, ale potem, kiedy już ze wszystkim sobie poradzą, ciesząc się przez tych kilka godzin wyteżoną uwagą personelu, wychodzą silniejsze i bardziej pewne siebie.

Kiedy podopieczni rozbiegają się we wszystkie strony, powracają do mnie myśli o dziewczynie z niemowlęciem.

W porze lunchu deszcz przeszedł w drobną mżawkę. Zapinam płaszcz przeciwdeszczowy i wychodzę, kierując się w dół State Street i ze smakiem pojadając zdrowy baton musli, który zastąpi mi lunch. Zmierzam do biblioteki po zamówioną książkę. Uwielbiam to miejsce z rozświetlonym (oczywiście nie dzisiaj) atrium, groteskowymi gargulcami z granitu i nieprzeliczoną ilością książek. Kocham spokój i ciszę panującą w bibliotece, tej bramie do wiedzy, do języka francuskiego i historii średniowiecza, do inżynierii i baśni, a wszystkich tych rzeczy można się uczyć w jakże prymitywny sposób: za pomocą książek, zastępowanych z olbrzymią szybkością przez nowoczesne

technologie.

Zatrzymuję się przy bezdomnej, opartej o czerwony ceglany budynek, i wsuwam w jej wyciągniętą rękę kilka banknotów jednodolarowych. Kiedy się do mnie uśmiecha, spostrzegam, że brakuje jej kilku zębów. Niewyraźnie mamrocze podziękowanie i trudno mi ją zrozumieć. Resztki uzębienia poczerniały, jak przypuszczam, od metamfetaminy.

Dostaję zamówioną książkę i zmieniając windy, wjeżdżam na siódme piętro. Mijam ochroniarzy i wycieczki szkolne, błakających się samotnych mężczyzn i grupki kobiet rozmawiających stanowczo zbyt głośno jak na miejsce, w którym przebywają. W bibliotece jest ciepło i cicho, szalenie przytulnie, więc podchodzę do regałów z literaturą, żeby poszukać przyjemnej lektury, na przykład najnowszego bestsellera „New York Timesa”.

To tam ją dostrzegam, dziewczynę z niemowlęciem. Siedzi po turecku na podłodze pomiędzy regałami z dzieckiem na kolanach, podtrzymując mu główkę. Obok stoi skórzana walizka. Wydaje się, że dziewczyna odstawiła ją z wielką ulgą. Z kieszeni kurtki khaki wyjmuje butelkę i delikatnie wkłada dziecku do buzi. Sięga do najniższej półki po książkę – ja zakradam się jak najbliżej i na chybił trafił łapię powieść science fiction, którą zaczynam kartkować – i po chwili słyszę, jak cichym głosem czyta „Anię z Zielonego Wzgórza”, głaszcząc przy tym miękkie stópki dziecka.

Niemowlę jest całkowicie spokojne. Ukradkiem śledzę przez prześwity w metalowym regale, jak opróżnia zawartość butelki aż do bąbelków na samym dnie, a potem powieki robią się coraz cięższe i powoli opadają, a małe ciało ogarnia senność i nieruchomieje, nie licząc lekkich drgnień od czasu do czasu. Matka kontynuuje czytanie, nie przestając pieszczotliwie pocierać dużego palca u nóżki córeczki, i nagle czuję się, jakbym podsłuchiwała intymną rozmowę.

Nagle wyrasta przy mnie bibliotekarka i pyta:

- Czy mogę pani pomóc odszukać jakąś pozycję?

Wzdrygam się gwałtownie z powieścią science fiction w rękę. Jestem speszona, mój płaszcz wciąż jeszcze ocieka deszczem. Bibliotekarka uśmiecha się do mnie z sympatią.

- Nie - odpowiadam głosem ściszym do szeptu, bo nie chcę obudzić dziecka. - Dziękuję. Właśnie znalazłam to, czego szukałam. - Śpieszę do wind i zjeżdżam na parter, żeby przejrzeć książkę.

Przed powrotem do domu wstępuję do wypożyczalni filmów i wypożyczam komedię romantyczną dla siebie i Zoe, kupuję też pudełko beztłuszczowego popcornu do uprażenia w mikrofalówce. Chris był zawsze wojownikiem szos. Jako mała dziewczynka Zoe źle znosiła częstą nieobecność ojca, który, jak to określała, „wiecznie pojawiał się i znikał”. Kiedy wyjeżdżał, wymyślałyśmy sobie na pociechę rozmaite rozrywki: wieczory filmowe i spanie w naszym małżeńskim łóżku, naleśniki z nutellą na kolację, opowiadanie historii, w których Chris występował jako podróżnik w czasie (co było bardzo zajmujące), a nie jako wciąż przebywający w delegacjach bankier inwestycyjny (nuda).

Jadę windą na czwarte piętro naszej zabytkowej kamienicy i wchodzę do mieszkania, które wita mnie dziwną i niepokojącą ciemnością i ciszą. Na ogół z pokoju Zoe dochodzi przeraźliwy łomot muzyki. Dzisiaj zero decybeli. Zapalam światło w salonie i wołam Zoe. Stukam do drzwi jej pokoju. Ze szpary pod drzwiami sączy się blask, ale córka nie odpowiada. Naciskam kławkę i wchodzę.

Zoe, nadal w mundurku, co jest ostatnio rzadkością, leży w poprzek puszystego kremowego dywanu, który pokrywa niemal cały parkiet. Zazwyczaj zrzuca nielubiany szkolny strój natychmiast po powrocie do domu, zamieniając go na kolorową bluzkę z cekinami lub T-shirt z podobizną ukochanego piosenkarza. Widzę, że spokojnie oddycha, czyli śpi, więc nie wpadam w panikę. Obserwuję, jak leży nieruchomo, ściskając w rękach żółty notes, jakby ciało stało się nagle zbyt ciężkie, by móc utrzymać je w pionie. Owinęła się grubym kocem, głowa spoczywa na poduszce z napisem „Uściski & Pocałunki”. Farelka, którą kupił jej Chris, gdy się skarżyła, że marznie w swoim pokoju, jest nastawiona na dwadzieścia sześć stopni. Jest tu gorąco jak w piecu, a leżąca w odległości pół metra od grzejnika Zoe prawdopodobnie się gotuje. Policzki ma silnie zarumienione, dziwię się, że koc nie stanął w płomieniach. Przesuwam pokrętło i wyłączam urządzenie, ale zanim pokój się ochłodzi, będzie musiało upłynąć wiele godzin.

Omiotam wzrokiem pomieszczenie. Gdyby Zoe nie spała głęboko, zaczęłaby na mnie warczeć. Gdziekolwiek widać odkryte cegły, co według Chrisa jest powodem, dla którego Zoe uskarża się na zimno. Nieposłane łóżko z baldachimem, przykryte patchworkową narzutą, na ścianach plakaty z twarzami nastoletnich idoli i zdjęcia egzotycznych rajów. Kilka pluszowych zabawek. Szkolny plecak leży otwarty na dywanie, widzę nietknięty baton musli, który wsunęłam jej rano do ręki, żeby zjadła go sobie po lekcjach. Obok zmięte w kulki karteczki od koleżanek. Koty leżą obok Zoe, rozkoszując się ciepłem płynącym z farelki.

Głaszczę jej długie włosy i niezbyt głośno wołam po imieniu, raz, potem drugi. Gdy się ocyka, siada gwałtownie i wodzi dokoła spłoszonym wzrokiem, jakby została przyłapana na psoceniu. Na czymś niewłaściwym. Zrywa się na nogi, koty idą w jej ślady, i rzuca koc na łóżko.

- Byłam zmęczona - tłumaczy.

Strzela oczami tu i tam, by sprawdzić, na czym ją mogłam przyłapać. Nic podejrzanego nie znalazłam. Zbliża się siódma wieczór, więc za ciężkimi burymi chmurami słońce chyli się ku zachodowi. W San Francisco Chris siedzi pewnie w jakiejś modnej knajpie przy wykwintnej kolacji, patrząc przez stół na Cassidy Knudsen. Odsuwam od siebie te myśli.

- Okej, więc dobrze, że się zdrzemnęłaś - mówię, zerkając na czerwone ślady od poduszki na policzku i dostrzegając znużenie w piwnych oczach. - Jak minął dzień?

- Dobrze - odpowiada, podnosząc żółty notes z podłogi. Ścisza go jak małą wczepioną w futro matki.

- Czy pani Peters wróciła?

- Nie.

- Musi być naprawdę chora - mówię. Wydaje się, że grypa zaczęła w tym roku późno zbierać swoje żniwo. - A zastępstwo? Ta sama nudziara?

Zoe kiwa głową. Tak. Nudziara.

- Zacznę szykować kolację - oznajmiam, ale ku mojemu zaskoczeniu

Zoe odpowiada, że już jadła. – Tak?

– Byłam głodna. Po szkole. Nie wiedziałam, o której wrócisz do domu.

– W porządku – mówię. – A co jadłaś?

– Grillowany ser – powiada i dodaje po chwili: – No i jabłko.

– Świetnie.

Uświadamiam sobie, że nadal stoję w płaszczu i kaloszach, z torebką przewieszoną przez ramię. Wkładam rękę do torebki i szerokim gestem pokazuję Zoe kasetę z filmem i popcorn.

– Masz ochotę na wieczór filmowy? – pytam. – Tylko my dwie?

Zoe milczy z twarzą bez wyrazu, nie uśmiecha się z głupawym ożywieniem jak ja. Nim ją usłyszę, już jakbym słyszała odmowę.

– Wiesz... – zaczyna Zoe. – Mam jutro klasówkę. Z matmy... Muszę się uczyć.

Wrzucam kasetę do torebki. Mój pomysł nie znalazł uznania.

– Wobec tego pomogę ci się uczyć – proponuję.

– Nie trzeba. Zrobiłam sobie plansze. – Pokazuje mi je na dowód.

Staram się nie okazać przykrości, ponieważ dobrze pamiętam, że kiedy miałam dwanaście lat – czy też szesnaście lub siedemnaście – wolałabym raczej wizytę u dentysty, niż spędzać czas z mamą.

– Jasne. – Kiwam głową i wymykam się z pokoju.

Cichutko jak myszka Zoe zamyka za mną drzwi i przekręca klucz w zamku.

CHRIS

Siedzimy w pokoju hotelowym: Henry, Tom, Cassidy i ja. Pokój należy do mnie. Na telewizorze leży pudełko z niedojedzoną pizzą pepperoni (mięso!), wszędzie walają się otwarte puszki z napojami gazowanymi. Henry od dłuższego czasu przebywa w łazience. W kącie Tom gada przez telefon, przyciskając palec do ucha, żeby lepiej słyszeć. Na łóżku leżą rozrzucone płachty arkuszy kalkulacyjnych i wykresów kolumnowych, na stole i na podłodze brudne papierowe talerze. Talerz Cassidy stoi przy telewizorze, piętrzą się na nim wydłubane krążki pepperoni, obok pusta pushka po napoju dietetycznym. Chwytam kawałek kiełbasy i wrzucam do ust, a na zdziwione spojrzenie Cassidy odpowiadam wzruszeniem ramion i pytaniem:

- No co? Heidi odstawiła ostatnio mięso. Zaczyna mi brakować białka.
- Czyżby stek na sposób nowojorski nie zaspokoił tej tęsknoty? - pyta z łobuzerskim uśmiechem.

Cassidy Knudsen zbliża się do trzydziestki, niedawno skończyła studia magisterskie na wydziale zarządzania. Pracuje u nas od około dziesięciu miesięcy. Ma umysł cholernego geniusza, ale nie jest typem dziwacznej samotniczki wiecznie wiszącej przy kompie. Używa ze swobodą słów „powierniczy” i „fundusze wysokiego ryzyka”, które w jej ustach brzmią fajnie. Budową przypomina latarnię, jest wysoka i bardzo szczupła, a włosy na czubku głowy tworzą rodzaj błyszczącej aureoli.

- Gdybym chciał, żeby tu była moja żona, zabrałbym ją ze sobą.

Cassidy siedzi na krawędzi mojego łóżka. Ma na sobie wąską, ołówkową spódnice i pantofle na wysokich obcasach. Kobieta jej wzrostu nie potrzebuje tak wysokich szpilek. Cassidy przesuwając dłoń po gładkich lśniących włosach barwy szampana i mówi:

- Touché.

Za oknem wystrzela w niebo jasno oświetlona sylweta San Francisco. Ciężkie hotelowe kotary są rozsunięte. Po prawej stronie widać

Transamerica Pyramid, 555 California Street i zatokę San Francisco. Minęła dziewiąta wieczór. W sąsiednim pokoju bardzo głośno gra telewizor, przez ściany przenika rozgorączkowany głos komentatora meczu w bejsbol. Biorę jeszcze jeden kawałek ostrej kiełbasy z talerzyka Cassidy i nasłuchuję: Giganci prowadzą 3:2.

Z łazienki wyłania się Henry, a reszta z nas stara się ignorować towarzyszący temu powiew smrodu.

- Chris. - Wyciąga do mnie rękę z telefonem komórkowym. Jestem ciekaw, czy wcześniej ją umył. I czy rozmawiał przez cały ten czas, który spędził w łazience. Henry nie jest najlepiej wychowanym facetem na świecie. Spostrzegam, że ma rozpięty rozporek, i powiedziałbym mu o tym z rozkoszą, gdyby mi nie zasmrodził pokoju. - Aaron Swindler chce z tobą gadać - mówi, dla żartu przekręcając nazwisko.

Biorę od niego komórkę i widząc, jak łapczywie sięga po kolejny kawałek pizzy, całkiem tracę apetyt.

To nie przypadek, że nazwisko przyszłego klienta kojarzy się ze szwindlem. Odsuwam się w najdalszy kąt zatłoczonego pokoju i zagajam moim najlepszym głosem profesjonalisty:

- Dobry wieczór, panie Swinder. Jak tam Giganci? - Niestety, dobiegająca z sąsiedniego pokoju kocia muzyka świadczy o tym, że drużyna Gigantów straciła już chyba prowadzenie.

Nie zawsze chciałem być bankierem inwestycyjnym. Kiedy miałem sześć lat, stawiałem sobie wiele wzniosłych życiowych celów. Chciałem zostać astronautą, zawodowym bejsbolistą, fryzjerem (ten zawód wydawał mi się wtedy nader skomplikowany, fryzjer był kimś w rodzaju chirurga od włosów). Kiedy dorosłem, zaczęła mnie interesować nie tyle konkretna kariera, ile zarobki, jakie można było osiągnąć. Wyobrażałem sobie apartament na najwyższym piętrze na Złotym Wybrzeżu, szybkie samochody sportowe, ludzi spoglądających na mnie z uznaniem. Umysł podsuwał mi prawników i lekarzy, pilotów i inżynierów, ale żaden z tych zawodów nie budził mojego zainteresowania. Gdy miałem rozpocząć naukę w college'u, do tego stopnia zależało mi już na pieniądzu, że wybrałem finanse. Podobała mi się perspektywa siedzenia w auli z innymi chciwymi młodzieńcami i rozmawiania o kasie. Kasa, kasa,

kasa.

Prawdopodobnie to przyciągnęło mnie do Heidi, kiedy ją po raz pierwszy ujrzałem. W przeciwieństwie do reszty znanych mi osób pieniądze nie były jej obsesją. Przejmowała się raczej ich brakiem, ubogimi ludźmi, którzy ich nie mieli, podczas gdy mnie interesowali jedynie bogacze. I jedno pytanie: kto posiada najwięcej kasy i jak mógłbym coś z tego uszczknąć?

Aaron Swinder rozwodzi się w nieskończoność o derywatach, a ja słyszę dzwonek mojej komórki, która leży na pasiastej narzucie obok Cassidy i obecnie Henry'ego, samotnego czterdziestolatka. Ta cecha – samotność czterdziestolatka – wyraźnie rzuca się w oczy. Henry gapi się bezceremonialnie na długie nogi Cassidy odziane w przezroczyste pończochy. Czekam na ważny telefon, który koniecznie muszę odebrać, więc gestem pokazuję Cassidy, żeby zrobiła to za mnie, i słyszę jej entuzjastyczny szczebiot do słuchawki:

- O, cześć, Heidi!

Flaczeję jak balon po długim przyjęciu. Cholera. Podnoszę rękę, pokazując Cassidy, że zaraz podejdem, ale Aaron Swinder nie zamierza skończyć gadania o przeklętych derywatach, więc zmuszony jestem podsłuchiwać pogawędkę Cassidy z moją żoną na temat lotu do San Francisco, kolacji w drogim lokalu specjalizującym się w stekach, i cholernej pogodzie.

Heidi widziała się z Cassidy trzy razy. Dokładnie trzy. Pamiętam, ponieważ po każdym z tych spotkań byłem bombardowany zachowaniem pełnym urazy, jakbym miał coś wspólnego z przyjęciem Cassidy do pracy w naszym zespole albo, nie przymierzając, urodą. Po raz pierwszy spotkały się zeszłego lata na firmowym pikniku w ogrodzie botanicznym. Wcześniej nie wspominałem Heidi o Cassidy. Pracowała u nas dopiero od sześciu tygodni, a wzmianka o niej nie wydawała mi się ani konieczna, ani roztropna. Ale kiedy Cassidy wyrosła obok nas w długiej letniej sukni bez ramiączek – oboje z Heidi skryliśmy się przed prażącym słońcem w cieniu rozłożystego klonu i pociliśmy jak wieprze w ponad trzydziestostopniowym upale – spostrzegłem, że żona odruchowo dotyka dzinsowej spódnicy i bluzki z wilgotnymi kręgami potu na plecach i pod

pachami. Jej pewność siebie na moich oczach rozwiąła się w nicość.

- Kto to jest? - zapytała Heidi, kiedy skończyliśmy się obdzielać sztucznymi uśmiechami i zapewniać, jak „miło mi cię tu spotkać”, a Cassidy z gracją odpłynęła, żeby zachwiać fundamentami innego szczęśliwego małżeństwa. - Twoja sekretarka?

Nie dowiedziałem się, co miała na myśli, i czy gdyby Cassidy faktycznie była moją sekretarką, to wyszedłbym na tym w jej oczach lepiej, czy może gorzej.

Wieczorem w domu przyłapałem Heidi na wrywaniu pincetą niesfornych siwych włosów. Wkrótce potem naszą toaletkę zaanektowały rozliczne produkty upiększające, głównie kremy przeciwzmarszczkowe i maseczki odbudowujące napięcie owalu twarzy.

Przypomina mi się to, kiedy rzucam Henry'emu służbową komórkę, pamiętając, by zawołać przy tym głośno:

- Proszę bardzo, Henry! - żeby Heidi w Chicago wiedziała, że ja i Cassidy nie jesteśmy sami, i umykam z własnym telefonem na korytarz.

Nie zrozumcie mnie źle, moja żona jest bardzo piękna. Prześliczna. Nikt by się nie domyślił, że Cassidy jest od niej młodsza o dziesięć lat.

Ale Heidi to wie.

- Hej - zaczynam.

- Co to właściwie miało być? - pyta żona.

Wyobrażam ją sobie w domu, w łóżku, czerwonej flanelowej piżamie, chyba że włożyła nocną koszulę w groszki, którą dostała od Zoe na urodziny. Telewizor w sypialni nadaje wiadomości, na kolanach Heidi spoczywa laptop. Włosy upięła nieporządnie na czubku głowy, byle tylko nie włożyły do oczu. Szuka w internecie informacji na temat slumsów w Dharavi albo statystyk ubóstwa na świecie. Tego nie wiem. Być może kiedy nie ma mnie w domu, zagląda na strony z pornografią. Nie. Zmieniam zdanie. Nie moja Heidi. Ma stanowczo zbyt dobry gust, by oglądać pornosy. Może poszukuje przykładów praktycznego zastosowania wegetariańskiej kostki sojowej. Kocie żarcie? Koci żwirek?

- Co? - powtarzam tępo, jakbym się nie domyślał. Korytarz hotelowy jest wytapetowany w obrzydliwy wzór, geometryczne czerwone

bohomy na szarym tle, od których boli mnie głowa.

- To Cassidy odbiera twoje telefony?

- A... - bąkam. - To o to ci chodzi... - Opowiadam jej o rozmowie z Aaronem Swinderem, a potem możliwie jak najszybciej zmieniam temat, mamrocząc pierwsze, co mi przychodzi na myśl. - U nas ciągle pada? - pytam. Nic bodaj nie brzmi równie banalnie jak rozmowa o pogodzie.

- Owszem. Przez cały dzień.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - chcę wiedzieć. W Chicago nie zostało już wiele do północy.

- Nie mogłam usnąć - odpowiada.

- Ponieważ za mną tęsknisz - sugeruję, chociaż oboje wiemy, że raczej nie w tym rzecz.

Istnieje spore prawdopodobieństwo, że w domu nie ma mnie częściej, niż jestem, i jest tak od początku, od kiedy zaczęliśmy się spotykać. Heidi przywykła do mojej nieobecności. Jak to mówią, o nieobecnych myślimy życzliwiej. W każdym razie żona tak odpowiada, kiedy ją pytam, czy za mną tęskni. Przypuszczam, że lubi mieć łóżko tylko dla siebie. Najczęściej sypia na brzuchu i do tego w poprzek, a poza tym ściąga kołdrę do siebie. W naszym małżeństwie moje noclegi w hotelach nieźle się sprawdzają.

- Jasne - powiada i dodaje spodziewane przeze mnie przysłowie: - O nieobecnych myślimy życzliwiej.

- Kto to właściwie powiedział? - pytam.

- Nie wiem. - Słyszę szmer palców, biegających zwinnie po klawiaturze. Klik, klik, klik. - Jak tam twoje sprawy?

- W porządku - mówię z nadzieją, że to jej wystarczy, ale nie. Nie mojej Heidi.

- W porządku? - dopytuje, ja zaś zmuszony jestem przekazać jej wieści o locie opóźnionym z powodu ulewy, turbulencjach i rozlanej szklance soku pomarańczowego, lunchu z klientem w Fisherman's Wharf i powodach, dla których nie przepadam za Aaronem Swinderem.

Lecz kiedy pytam o jej dzień, chce raptem rozmawiać o Zoe.

- Zachowuje się dziwnie - mówi.

Parskam cichym śmiechem. Ześlizguję się plecami po ohydnej szaroczerwonej tapecie i siadam na podłodze.

- Heidi, ona ma dwanaście lat - mówię. - Trudno, żeby nie była dziwna.

- Po przyjsciu ze szkoły ucięła sobie drzemkę.

- Bo była zmęczona - mówię.

- Ma dopiero dwanaście lat, Chris. Dwunastolatki nie muszą się przespać po lekcjach!

- Może ją łapie przeziębienie. Albo grypa, no wiesz. Przecież teraz jest sezon - odpowiadam.

- Być może - bąka Heidi i dorzuca: - Ale wcale nie wyglądała na chorą.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Dwanaście lat miałem dosyć dawno temu. A zresztą jestem facetem. Nie wiem, może to przyspieszenie wzrostu, może coś z dojrzewaniem. Albo nie wyspała się w nocy.

Niemal widzę, jak jej oczy stają w ślup.

- Myślisz, że Zoe wkroczyła już w okres... dojrzewania?! - pyta z niebotycznym zdumieniem. Gdyby żona miała w tej sprawie coś do powiedzenia, nasza córka do końca życia nosiłaby pieluszki i ciepłe piżamki z polaru. Heidi nie czeka na odpowiedź. - Nie - uznaje po chwili - jeszcze nie. Zoe nie zaczęła jeszcze nawet miesiączkować.

Krzywię się mimo woli. Nie cierpię tego słowa. Miesiączkować. Miesiączka. Mieć miesiączkę. Myśl, że moja córka miałaby wkładać sobie tampon - a co gorsza, ja miałbym o tym słuchać - napawa mnie nieopisanym przerażeniem.

- Zapytaj Jennifer - podpowiadam. - Zapytaj ją, czy Taylor - krzywiąc się okropnie, wyduszam z siebie znienawidzone określenie - już miesiączkuje. - Wiem, jakie są kobiety. Poufała znajomość wszystkiemu zaradzi. Jeżeli Taylor również weszła już w okres dojrzewania, a Heidi i Jennifer mogą do siebie dzwonić i esemesować w sprawie pojawiających się włosów łonowych i konieczności rychłego zakupu pierwszego stanika, to wszystko będzie dobrze.

- Tak zrobię - postanawia Heidi. - To dobry pomysł. Zapytam Jennifer. - Poznaje po głosie, że się uspokoiła, gnębiące ją troski na razie się

rozwiały. Wyobrażam sobie, że zatrząskuje klapę laptopa i odstawia go na moją stronę łóżka. Będzie się miała do kogo przytulić w nocy. – Chris – powiada.

– Słucham?

Zmienia decyzję.

– Nieważne.

– Ale o co chodzi? – drążę. Na korytarzu pojawia się starsza para trzymająca się czule za ręce. Podciągam nogi, żeby umożliwić im przejście.

Kobieta afektowanym tonem mówi:

– Bardzo pana przepraszam, dziękuję.

W odpowiedzi kiwam uprzejmie głową. Wyglądają na sześćdziesiąt pięć lat i nadal trzymają się za ręce. Spoglądam za nimi. Są tak samo ubrani w spodnie khaki i wiatrówki, i przychodzi mi na myśl, że ja i Heidi rzadko to robimy. Jesteśmy jak koła samochodu, zsynchronizowani, ale niezależni.

– To nic takiego.

– Na pewno?

– Uhm – odpowiada. – Pogadamy o tym, kiedy wrócisz do domu.

I dodaje coś jeszcze. Po raz pierwszy słyszę, jak Heidi mówi, że jest wykończona. Istotnie, w jej głosie pobrzmiewa zmęczenie. Okiem umysłu widzę, jak wsuwa się głębiej pod kołdrę, tak grubą, że pocę się pod nią nawet w najmroźniejszą zimę. W sypialni światła są zgaszone, telewizor zgaszony, okulary Heidi leżą na nocnej szafce przy łóżku, jak zawsze.

W mojej głowie pojawia się obraz, niechciany i nieposzukiwany, więc prędko odpycham go od siebie, jakbym wywalał za drzwi nieproszonego gościa.

W czym Cassidy Knudsen kładzie się spać?

– Dobrze – mówię. Z wnętrza mojego pokoju dochodzi stukanie do drzwi. Jestem potrzebny. Wstaję z podłogi, mówiąc, że muszę już kończyć, a Heidi mówi:

– Okej.

Żegnamy się i życzymy sobie dobrej nocy. Mówię jej, że ją kocham,

odpowiada jak zwykle „też”, a choć oboje wiemy, że brzmi to niejasno, nie przejmujemy się tym, bo wiemy, o co nam chodzi. To taki nasz rytuał.

Gdy wracam do pokoju i widzę Cassidy w obcisłej spódnicy i butach na obcasach, przycupniętą w tej samej pozycji co przedtem na brzegu mojego łóżka, mimo woli zaczynam się zastanawiać: W satynowej koszulce? Jedwabnych szortach z koronką?

HEIDI

Po przebudzeniu przez chwilę towarzyszy mi obraz Cassidy Knudsen i zastanawiam się, czy śniła mi się w nocy, czy też zjawiała się dopiero nad ranem jako efekt naszej nieco dziwnej rozmowy z poprzedniego wieczoru. Słyszę echo jej głosu, rzucone z ożywieniem: „O, cześć, Heidi!”, które w moich uszach zabrzmiało denerwująco zgrzytliwie, jak przeciągnięcie paznokciami po tablicy.

W drodze do pracy staram się nie myśleć o dziewczynie i jej dziecku, choć nie jest to łatwe. W pociągu usiłuję się skupić na powieści science fiction i nie zerkać nerwowo przez brudne okno w oczekiwaniu na pojawienie się kurtki khaki. Porę lunchu spędzam z koleżanką, a nie w bibliotece publicznej, choć mam wielką ochotę tam pójść. Powłóczyć się między regałami i poszukać dziewczyny. Martwię się o nią i o dziecko, zastanawiam, co jedzą i gdzie śpią. Rozmyślam, jak im pomóc, czy dać jej trochę pieniędzy, tak jak zrobiłam w przypadku kobiety z poczerniałymi zębami kręcącej się pod biblioteką, czy raczej skierować ją do schroniska dla kobiet. Jest ich kilka, prowadzi je miasto. Uznaję, że tak właśnie powinnam postąpić - znaleźć dziewczynę i odwieźć ją do schroniska przy Kedzie Avenue, które znam i wiem, że będzie tam bezpieczna.

Postanawiam skrócić lunch z koleżanką, wymawiając się pilną sprawą, gdy brzęczy moja komórka. To oddzwania moja droga przyjaciółka Jennifer. Przepraszam i wycofuję się z jadalni do mojego biura, gdzie odbieram telefon, zapominając na krótką chwilę o dziewczynie i dziecku.

- Ocaliłaś mnie - oznajmiam, opadając na krzesło, twarde, zimne i zupełnie nieergonomiczne.

- Przed... - rzuca pytająco Jennifer.

- *Tedium vitae*.

- A w ludzkim języku?

- Nuda.

Na biurku stoi oprawione w ramkę zdjęcie Jennifer i Taylor oraz moje i Zoe, zrobione w automacie jakieś cztery lata temu, kiedy nasze ośmioletnie córki, pogodnie roześmiane, z błyszczącymi oczami, tolerowały jeszcze przebywanie w miejscach publicznych z matkami. Dziewczynki siedzą nam na kolanach, Taylor patrzy wielkimi oczami, uśmiechając się krzywo, obok niej Zoe, Jennifer i ja stykamy się głowami, żeby zmieścić się w kadrze.

Jennifer rozwiodła się wiele lat temu. Nigdy nie poznałam byłego męża przyjaciółki, ale z jej opowiadań wynika, że był ponurym sztywniakiem podatnym na wahania nastrojów, przez co dochodziło między nimi do nieustannych spięć, po których spędzali oddzielnie noc (to znaczy Jennifer nocowała na kanapie w salonie, bo jej eks był zbyt uparty, żeby zrezygnować z małżeńskiego łóża).

- Taylor nie weszła jeszcze w okres dojrzewania, co? - pytam bez zbędnych wstępów. Posiadanie najlepszej przyjaciółki to wspaniała sprawa. Nie muszę korygować ani cyzelować uwag, które przyjdą mi na myśl.

- Co masz na myśli? To, czy dostała już okres?

- Tak.

- Jeszcze nie. Dzięki Bogu - odpowiada Jennifer, a ja czuję natychmiastowy przypływ ulgi.

Ponieważ jednak mam skłonność do rozdzielania włosa na czworo - to moja pięta achillesowa - dlatego koniecznie muszę dorzucić:

- Czy nie uważasz, że powinny już zacząć miesiączkować?

Szukając informacji w internecie, dowiedziałam się bowiem, że menstruacja może się zacząć w wieku ośmiu lat, najpóźniej trzynastu. Niektóre strony sugerują, że miesiączka pojawia się mniej więcej dwa lata po tym, jak dziewczynce zaczną rozwijać się piersi. Dwunastoletnia Zoe jest na razie płaska jak naleśnik.

- Nie należy tego chyba uznawać za opóźnienie, co? - pytam niepewnie.

Jennifer wyczuwa moje zaniepokojenie. Pracuje jako szpitalna dietetyczka w miejscowej placówce. Zwracam się do niej z wszelkimi

problemami medycznymi, jakby praca w szpitalu automatycznie zapewniała jej darmowe wykształcenie w tej dziedzinie.

- Nie ma się czym martwić, Heidi. Każda z nich dojrzeje we własnym tempie. Nie ma żadnego terminarza - przekonuje mnie Jennifer, po czym zapewnia, że dojrzewanie Zoe jest poza moją kontrolą. - Chociaż wiem, że będziesz tego próbowała - śmieje się ze mnie dobrodusznie. - W zasadzie już to robisz - wypala bez ogródek.

Coś takiego może ująć na sucho tylko najlepszej przyjaciółce. Parskam śmiechem, bo wiem, że ma rację.

Zmieniamy temat i zaczynamy rozmawiać o wiosennym sezonie piłkarskim i o tym, co dziewczynki sądzą o swoich jaskraworóżowych strojach, czy nazwa Szczęśliwe Gwiazdy jest właściwa dla drużyny dwunastoletnich smarkul i czy naprawdę wszystkie durzą się w swoim trenerze, dwudziestokilkuletnim studencie college'u, który nie dostał się do drużyny Loyoli. Wszystkie matki uważają, że trener Sam jest boski. Wychwalając jedna przez drugą gęste kręcone włosy, ciemne, tajemnicze oczy, wspaniałą budowę, siłę i zwinność, cudownie wyrzeźbione mięśnie łydek i ud, kompletnie zapominamy o Zoe i jej okresie dojrzewania, a mnie dodatkowo wylatuje z pamięci dziewczyna z dzieckiem. Rozmowa przechodzi na chłopaków, niedorostków w rodzaju Austina Bella, uwielbianego przez wszystkie dziewczynki. W tym moją Zoe. I jej przyjaciółkę Taylor. Jennifer przyznaje, że widziała w zeszycie córki napisy „Pani Taylor Bell”, a mnie przychodzi na myśl blada skóra na przedramieniu Zoe z wytatuowanym różowym flamastrem imieniem „Austin” z serduszkami zamiast kropki nad i.

- W moich czasach istniał niejaki Brian Bachmeier - wyznaję, przypominając sobie bujne loki tego chłopaka i dziwne, różnobarwne oczy, jedno zielone, a drugie niebieskie. Zaczął naukę w naszym gimnazjum po przeprowadzce z San Diego w Kalifornii, co samo w sobie budziło szacunek i podziw, a w dodatku genialnie tańczył i znał najmodniejsze kroki. Dziewczyny go uwielbiały, a wszyscy chłopcy mu zazdrościli.

Pamiętam, że poprosiłam go do tańca na pierwszej imprezie, na której byli też chłopcy. I pamiętam, że mi odmówił.

Myszę o Zoe. Myszę o Taylor. Możete nasze córki wcale się od nas nie różnią.

Słyszę stukanie do drzwi. Podnoszę wzrok na Danę, naszą wspaniałą recepcjonistkę, która gestem przywołuje mnie na korepetycje z dwudziestotrzyletnią uchodźczynią z Bhutanu, małego południowoazjatyckiego państewka ściśniętego między Indiami a Chinami, której niedawno udzielono azylu. Większość życia spędziła w obozie dla uchodźców w Nepalu, mieszkając w bambusowej chacie z klepiskiem zamiast podłogi i żywiąc się wydzielanymi racjami. Kiedy jej ojciec popełnił samobójstwo z rozpaczy, poszukała schronienia w Stanach Zjednoczonych. Posługuje się dialektem nepalskim.

Zakrywam dłonią mikrofon i szeptem powiadamiam Danę, że zaraz będę.

- Praca mnie wzywa - mówię do telefonu. Jennifer potwierdza, że Zoe będzie dzisiaj nocowała u niej. Wiem, że moja córka bardzo się na to cieszy. Do tego stopnia, że dziś rano przed wyjściem do szkoły pamiętała, żeby się ze mną pożegnać.

Dzień upływa z nieskończoną powolnością. Deszcz przestaje padać, chociaż niebo nadal jest zaciągnięte burymi chmurami, wiszącymi tak nisko, że nie widać szczytów wieżowców. Kiedy w końcu przychodzi piąta, żegnam się ze wszystkimi i zjeżdżam windą na parter. Rzadko wychodzę z pracy punktualnie o piątej, ale w takie dni jak dzisiaj, kiedy Zoe nocuje u przyjaciółki, a lot Chrisa jest opóźniony i nie będzie go w domu przed dwudziestą drugą, cieszy mnie myśl o mieszkaniu, które mam tylko dla siebie. To przyjemność, która nie zdarza mi się zbyt często. Zamierzam rozłożyć się na kanapie i obejrzeć komedię romantyczną przebrana w miękką, ciepłą piżamę, pojadając popcorn z mikrofali. Nie wykluczam, że skuszę się także na kubek lodów miętowych z czekoladą!

Chmury zaczynają się rozpraszać, promienie zachodzącego słońca próbują się przedrzeć przez szczeliny w burej pokrywie. Jest chłodno, około pięciu stopni, i mocno wieje. Wkładam skórzane rękawiczki i kaptur na głowę, śpiesząc wraz z tłumem pasażerów na dworzec. Wpycham się do zatłoczonego wagonu, w którym ludzie stoją ściśnięci

jak sardynki w puszcze, i pociąg rusza z szarpnięciem, pokonując kolejne zakręty torów.

Wysiadam na stacji Fullerton i ostrożnie schodzę po mokrych stopniach schodów. Obok mnie mężczyzna zapala papierosa i dokoła rozchodzi się silny zapach tytoniu. Odczuwam przyływ nostalgicznej tęsknoty za domem. Kiedy byłam mała, mieszkałam z rodzicami pod Cleveland, w domu w stylu kolonialnym z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, o ścianach pomalowanych wałkiem na pastelowe kolory, które mama uwielbiała. Mój ojciec palił czerwone marlboro, pół paczki dziennie. Na papierosa wychodził do garażu, nigdy nie palił w domu. Ani w samochodzie, gdy wiozł mojego brata i mnie. Mama mu na to nie pozwalała. Jego skóra wydzielala zapach tytoniu, podobnie jak włosy, palce, ubranie. Garaż był przesiąknięty tą wonią, mama skarżyła się nawet, że dym przenika przez szczeliny w ciężkich metalowych drzwiach prosto do przylegającej do niego kuchni, utrzymanej wyłącznie w bieli – białe szafki i blaty, biała lodówka, pomalowany na biało wiejski drewniany stół. Pięć minut po wstaniu z łóżka ojciec wymykał się do garażu na papierosa i kubek kawy. Potem wchodził do kuchni, gdzie siedziałam nad talerzem kakaowych płatków kukurydzianych, patrzył na mnie i posyłał mi zniewalający uśmiech (uważałam, że mama miała szczęście, poślubiając ojca), ostrzegając, żebym nigdy nie paliła:

- Pamiętaj, Heidi, nie wolno ci palić. Nigdy.

Mył ręce i siadał ze mną przy stole, zajadając swoje płatki.

Schodzę na dół, rozmyślając o ojcu, i odruchowo dotykam złotej obrączki ślubnej, którą noszę na szyi na łańcuszku. Przesuwam po niej palcami, po wygrawerowanym od spodu napisie: „Początek wieczności”.

Nagle przez ułamek sekundy mam wrażenie, że widzę ojca w tłumie, w swoim zwykłym kombinezonie roboczym, z ręką w tylnej kieszeni, z czerwonym marlboro w drugiej, jak patrzy prosto na mnie z szerokim uśmiechem. Z pasa na narzędzia zwisa młotek, na głowie ma czapkę bejsbolową z nazwą drużyny Cleveland Indians, spod której wylazą zmierzwiłone ciemne włosy. Mama wiecznie walczyła z ojcem, żeby się ostrzygł.

- Tato - mamroczę pod nosem, ale obraz rozmywa się równie nagle,

jak się pojawił, a ja potrząsam głową. To niemożliwe.

Naprawdę?

Oczywiście, że niemożliwe. To jasne.

Wdycham haust znajomego rakotwórczego zapachu - pragnąc, a zarazem nie chcąc go poczuć - gdy nagle słyszę to, właśnie to. Kwilenie niemowlęcia. Zatrzymałam się, ten dźwięk chwyta mnie za gardło niczym kleszcze. Spinam się odruchowo i szukam oczami jego źródła.

Dostrzegam ją niemal od razu. Drżąc z zimna, siedzi pod wiaduktem. Opiera się plecami o mur obok kiosku z gazetami i cuchnących śmietników, obok dużej kałuży, siedzi na mokrym, zimnym betonie, kołysząc się razem z dzieckiem. Niemowlę zawodzi jękliwie. W jej ruchach jest jakaś gwałtowność, dziecko zapewne już długo nie daje się uspokoić, za chwilę dziewczyna wpadnie w złość. Zoe miewała częste napady kolki, bywało, że godzinami darła się i płakała. Współczuję młodej matce, po jej oczach widzę, jak bardzo jest zmęczona i sfrustrowana. Natomiast nie pojmuję jej obecności na gwarnej ulicy, o zmierzchu, w zimny wiosenny wieczór. Nie rozumiem desperackiego potrząsania wilgotnym kubkiem po kawie (najpewniej znalezionym w śmietniku), który dziewczyna wyciąga w stronę przechodniów, zebrząc o datki. Ludzie omiatają ją wzrokiem i wrzucają drobniaki do kubka, to garść miedziaków, to ćwierćdolarówkę, jakby pieniądze miały moc odwrócenia od niej złego losu. Na moment zapiera mi dech. Dziewczyna jest jeszcze dzieckiem, a dziecko niemowlakiem. Nikt nie zasługuje na tak okrutny los, na bezdomność i brak środków do życia, a już zwłaszcza nie dzieciak. Przypominam sobie wysokie koszty pieluch i żywności dla niemowląt. Jeśli młoda matka kupuje je swemu dziecku, to na pewno nie starcza jej na inne potrzeby. Na jedzenie i dach nad głową, na szykowne parasolki w kwiatki.

Popycha mnie tłum nowych pasażerów, którzy wysiedli z pociągu na stacji Fullerton. Odsuwam się na bok, nie mogąc na razie dołączyć do rzesz zwykłych zjadaczy chleba, którzy niedługo znajdą się w suchych, ciepłych domach i zasiądą do kolacji. Stopy wrosły mi w mokry chodnik, serce tłucze się w piersi. Zawodzenie dziecka - żałosne, przenikliwe,

nieutulone – drażni nerwy. Przyglądam się dziewczynie, jej nerwowym, kołyszącym ruchom, do mych uszu dolatują wypowiedane znużonym głosem słowa, gdy wyciąga kubek.

- Proszę, pomóż.

Dziewczyna prosi ludzi o pomoc.

Mimo to mijają ją obojętnie, śpieszą się do domów, usprawiedliwiając brak troski wrzuceniem garstki drobniaków do kubka, które w innym wypadku trafiłyby do automatu w pralni samoobsługowej albo skarbonki – ceramicznej różowej świnki – na regale z książkami.

Czuję, że drzę, podchodząc bliżej do dziewczyny. Podnosi głowę i na moment łączymy się spojrzeniami, zanim nie wystawi kubka w moją stronę i nie odwróci oczu. Wyzierają z nich pesymizm i zniechęcenie. Mają tak odpychający wyraz, że przez ułamek sekundy się waham. Intensywnie niebieskie, właściwie chabrowe, podkreślone stanowczo zbyt dużą ilością tuszu. Czerwone, podpuchnięte powieki. Przemyka mi przez myśl, żeby odejść. Rozważam wyjęcie z torebki dwudziestodolarowego banknotu, włożenie go do kubka i śpieszne oddalenie się do domu. Dwadzieścia dolarów to konkretna suma, nie jakieś miedziaki. Przy odrobinie sprytu można za to kupić obiad na cały tydzień. To właśnie powtarzam sobie w momencie zawahania. Uświadamiam sobie jednak, że dziewczyna najpewniej kupi za to mieszankę dla dziecka, stawiając jego potrzeby przed własnymi. Jest straszliwie chuda, chudsza od Zoe, która jest przecież cienka jak ołówki.

- Pozwól, że postawię ci kolację – proponuję nieśmiałym półgłosem w stosunku do śmiałej deklaracji.

Mówię cicho i drżąc, moje słowa niemal całkiem tłumi uliczny zgiełk: taksówki trąbiące na nieuważnych przechodniów, dochodzące ze stacji komunikaty, stukot jadących wiaduktem pociągów, przenikliwy płacz niemowlęcia. Mijają nas rozgadani i roześmiani ludzie z telefonami komórkowymi przy uszach, po niebie przetacza się samotny grzmot.

- Nie, dziękuję – mówi dziewczyna.

W jej głosie słyszeć gorycz. Byłoby lepiej, gdybym wrzuciła do kubka dwudziestkę i sobie poszła. Być może lepiej w tej chwili, ale nie wtedy,

gdy głód zacznie jej szarpać wnętrzności, a nieutulony płacz dziecka doprowadzi do szału. Dziewczyna wstaje i sięga po zniszczoną walizkę, podrzucając dziecko na rękę.

- Czasami pomaga - rzucam prędko, wiedząc, że zaraz stąd pójdzie - jak położy się malca na brzuszku. O tak. - Pokazuję rękami. - To pomaga na kolkę. - Dziewczyna obserwuje moje ruchy i nieznacznie kiwa głową. - Ja też jestem matką - dodaję, a ona mierzy mnie wzrokiem, zastanawiając się, czemu po prostu sobie nie pójdę. Powinnam przecież, jak wszyscy inni, wrzucić garść drobnych i odejść. - Jest takie schronisko... - zaczynam.

- Nie chcę do schroniska - przerywa stanowczo.

Wyobrażam sobie, jak to jest w przybytku dla bezdomnych: dziesiątki prycz w rzędach pod ścianami.

Dziewczyna sprawia wrażenie twardzielki. Jest harda i buntownicza. Ciekawi mnie, czy to tylko poza, czy taki ma charakter. Jest ubrana tak samo jak ostatnio, w podarte dżinsy, nieprzemakalną kurtkę khaki i wysokie sznurowane glany. Ubranie jest wymięte i mokre. Krzywo ostrzyżone włosy są przetłuszczzone, dawno nie były myte. Ciekawe, kiedy ostatnio brała gorący prysznic i spokojnie przespalała noc. Z tego, co widzę, dziecko też nie jest przesadnie czyste.

Wyobrażam sobie Zoe na ulicy, samotną, zdaną wyłącznie na siebie. Bezdomną. Ta czysto hipotetyczna wizja sprawia, że chce mi się płakać. Z pozoru zbuntowana Zoe o wrażliwym wnętrzu, żebrząca pod dworcem o drobne. Młodziutka Zoe z własnym dzieckiem za trzy czy cztery krótkie lata.

- Pozwól, że postawię ci kolację - powtarzam, ale dziewczyna odwraca się i odchodzi z dzieckiem niezgrabnie przewieszonym przez ramię, które wyrywa się i popłakuje. Pożera mnie desperacja, potrzeba zrobienia czegoś, udzielenia jakiegokolwiek pomocy. Ale dziewczyna prędko się oddala, niknie w tłumie wylewającym się z ruchliwego dworca. - Zaczekaj! - słyszę swój zmieniony głos. - Zatrzymaj się, proszę. Zaczekaj! - Ale ona nie słucha.

Upuszczam torebkę na mokry chodnik i robię jedyną rzecz, jaka mi przychodzi do głowy. Zdejmuję płaszcz przeciwdeszczowy,

wodoszczelny, na ciepłej podszewce, i rzucam się do skrzyżowania Fullerton i Halstead, gdzie dziewczyna, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, czeka na zielone światło. Dopadam jej i narzucam płaszcz na niemowlę.

Matka obrzuca mnie wrogim spojrzeniem.

- Co pani sobie... - zaczyna oskarżycielskim tonem, ale szybko cofam się o dwa kroki, żeby nie mogła mi oddać płaszcza, odrzucić próby pomocy.

Zimne powietrze owiewa mi ramiona, kiedy stoję w tunice z rękawami trzy czwarte i cienkich bezużytecznych legginsach.

- Będę w barze U Stelli - rzucam pośpiesznie, gdy zapala się zielone światło - gdybyś jednak zmieniła zdanie. - Patrzą, jak dziewczyna wraz z tłumem przechodniów przechodzi na drugą stronę Fullerton. Bar U Stelli jest otwarty przez całą dobę i prowadzi kuchnię amerykańską oraz naleśniki. Jest tam smacznie, skromnie i czysto. - To na Halstead! - wołam za dziewczyną, która zatrzymuje się pośrodku przejścia i zerka na mnie przez ramię. - Na Halstead - powtarzam na wszelki wypadek, gdyby nie dosłyszała.

Stoję na rogu i patrzę, dopóki kurtka khaki nie zniknie mi z oczu w gęstym tłumie i nie przestanę słyszeć płaczu dziecka. Wpada na mnie jakaś kobieta i jednocześnie mówimy:

- Przepraszam.

Krzyżuję ramiona, czując się niemal naga w zimnym powietrzu, typowym raczej dla jesieni niż dla wiosny, i skręcam w Halstead, kierując się do baru U Stelli. Rozmyślam, czy dziewczyna się tam pokaże, czy wie, gdzie jest ten bar, czy mnie w ogóle usłyszała.

Gdy wbiegam do baru, przy drzwiach wita mnie zdziwiona hostessa.

- Nie ma pani płaszcza? - pyta. - Zamarznie pani na śmierć.

Czuje oczy mierzą mnie uważnym spojrzeniem. Mam rozczochrane włosy i strój niestosowny na tę porę roku. Ściskam śliwkowo-zieloną, przesadnie drogą pikowaną torebkę dla potwierdzenia, że nie jestem włóczęgą. Mam dom, mam pieniądze. Jakby ciężar bezdomności nie był wystarczający - brak pożywienia i dachu nad głową, kąpieli i czystych ubrań - towarzyszy jej napiętnowanie. Bezdomnych stygmatyzuje się

jako nierobów, brudasów, narkomanów.

- Stolik dla jednej osoby? - pyta hostessa, piękna dziewczyna o białej cerze i migdałowych oczach.

- Dla dwóch - odpowiadam, nie tracąc nadziei.

Hostessa prowadzi mnie do okrągłego boksu w kącie sali wychodzącego na Halstead. Zamawiam kawę ze śmietanką i cukrem i wpatruję się w okno, śledząc wzrokiem przechodniów, ludzi wracających z pracy do domu, studentów zmierzających do gwarnych barów na Lincoln Avenue. Bardzo lubię przyglądać się tłumowi. Są w nim szczupli mężczyźni w ciemnych garniturach i butach za tysiąc dolarów, młodzi ludzie w obszernych dresowych spodniach i bluzach z kapturem, matki pchające kosztowne dziecięce wózki, z którymi można uprawiać jogging, starsze panie machające na taksówki. Dziś jednak prawie ich nie zauważam. Błądzą wzrokiem w poszukiwaniu dziewczyny. Co i rusz wydaje mi się, że ją widzę. Jestem pewna, że dostrzegam jej nijakie przetłuszczone włosy i mokrą kurtkę z nylonu. Mylę aktówki z walizką, pisk opon na mokrym asfalcie z dziecięcym zawodem.

Dostaję od Jennifer SMS-a, że właśnie wróciła do domu i u dziewczynek wszystko w porządku. Dla zabicia czasu przeglądam pocztę. Większość mejli jest związana z pracą, pozostałe to spam. Sprawdzam pogodę. Kiedy wreszcie przestanie padać? Na razie końca nie widać. Kelnerka, czterdziestokilkuletnia kobieta o nadzwyczaj bujnych rudych włosach i bladej, zimowej cerze, podchodzi, by przyjąć zamówienie.

- Na razie dziękuję. Zaczekam, aż przyjdzie reszta towarzystwa - mówię.

- Oczywiście - odpowiada z miłym uśmiechem.

Po chwili z braku zajęcia przeglądam menu i postanawiam zjeść francuski tost, ale tylko wtedy, gdy pojawi się dziewczyna z dzieckiem. Jeżeli nie przyjdzie, powiedzmy, do siódmej, zapłacę tylko za kawę, zostawiając kelnerce napiwek za fatygę, i wrócę do domu na film i prażoną kukurydzę oraz kolejną porcję martwienia się o nieznaną.

Obserwuję ludzi. Nieustannie wchodzą i wychodzą. Przyglądam się,

jak jedzą, pochłaniają wielkie porcje holenderskich naleśników i hamburgerów z frytkami. Nie cierpię jadać samotnie. Podchodzi kelnerka, żeby dolać mi kawy i zapytać, czy dalej będę czekała. Odpowiadam, że tak.

No więc czekam. Co dwie minuty sprawdzam godzinę na zegarku. Szósta trzydzieści osiem. Szósta czterdzieści. Szósta czterdzieści trzy.

Nagle się zjawia. Nieznajoma dziewczyna z dzieckiem.

WILLOW

- Heidi to od długiego czasu pierwsza osoba, która była dla mnie miła.

To właśnie mówię kobiecie z długimi srebrnymi włosami, zbyt długimi jak dla kogoś w jej wieku. Starsze kobiety powinny mieć krótkie włosy. Takie jak babcie. Krótkie, nakręcone mocno na wałki, tak jak mama robiła z włosami pani Dahl, kiedy byłam mała. Nakręcała je na różowe wałki, spryskiwała lakierem i kazała klientce siedzieć pół godziny pod gorącą suszarką. Czekaliśmy z nią przez ten czas w naszej ciasnej łazience (moim zadaniem było podawanie mamie szpilek), a pani Dahl rozwodziła się szeroko nad tym, jak sztucznie zapładniali krowy w gospodarstwie. Miałam wtedy osiem lat i niewiele z tego rozumiałam, ale lubiłam po cichutku powtarzać nieznane mi słowa, na przykład „na-sie-nie” i „poch-wa”.

- Więc dlaczego to zrobiłaś? - pyta kobieta ze starannie rozczesanymi, długimi srebrnymi włosami. Ma też wielkie zęby. Jak koń.

- Nie chciałam jej skrzywdzić - mówię. - Ani jej rodziny.

Wzdycha. Od chwili wejścia do zimnego pokoju traktuje mnie z nieufnością. Trzyma się ode mnie z daleka, stoi przy drzwiach, przyglądając mi się bacznie szarymi oczami zza szkieł okularów w prostokątnych oprawkach. Ma cieniutką skórę, jak papierowa chusteczka, jak używana papierowa chusteczka, bo jest pomarszczona. Przedstawia się jako Louise Flores. Literuje nazwisko: F-l-o-r-e-s, jakbym musiała je dobrze zapamiętać.

- Zaczniemy od początku - powiada, siadając na krześle. Na stole kładzie dyktafon, stoper, notes i cienkopis. Nie lubię jej ani trochę.

- Chciała postawić mi kolację - mówię. Powiedziano mi, że szczerść w stosunku do srebrnowłosej kobiety, do Louise Flores, popłaca. Tak twierdzili inni, którzy tu byli, mężczyzna z paskiem pod brodą i wąsami oraz kobieta o bandyckim wyglądzie, cała w czerni.

- Pani Wood chciała ci postawić kolację?

- Tak, psze pani - odpowiadam. - Heidi.

- No proszę, jak to miło z jej strony - mówi Flores z ironią i zapisuje coś w notesie cienkopisem. - Słyszałaś kiedyś przysłowie: „Nie kęśaj ręki, która cię żywi”? - Ponieważ nie odpowiadam, tylko gapię się w przestrzeń, naciska: - Hm? Słyszałaś? Słyszałaś kiedyś przysłowie: „Nie kęśaj ręki, która cię żywi”? - Wpatruje się we mnie szarymi oczami, w szklach okularów odbija się blask lampy fluorescencyjnej.

- Nie - kłamię i spuszcza głowę. Włosy zakrywają mi twarz, więc nie muszę już patrzeć na Louise Flores. Bo znam inne przysłowie: „To, czego nie widzisz, nie zrobi ci krzywdy”. - Nigdy.

- Jak widzę, nieźle się zaczyna - powiada Louise Flores z drwiącym uśmiechem i wciska czerwony guzik dyktafonu. - Na razie nie chcę rozmawiać o pani Wood. Jeszcze nie. Najpierw wrócimy do początków. Do Omaha - precyzuje, chociaż dobrze wie, że Omaha nie jest żadnym początkiem.

- Co z nią będzie? - pytam. Nie chciałam jej skrzywdzić, powtarzam sobie, przysięgam na Boga, że nie chciałam.

- Z kim? - pyta, chociaż świetnie wie, kogo mam na myśli.

- Z panią Wood - odpowiadam tonem bez wyrazu.

Flores odchyła się na krześle i wbija we mnie wzrok.

- Czy naprawdę cię to obchodzi? Czy też raczej próbujesz zyskać na czasie? - Świdruje mnie oczami niczym jastrząb. Tak jak robił to Joseph.

- Nigdzie mi się nie śpieszy, wiesz? - oznajmia, krzyżując ręce na piersi, na świeżo wyprasowanej bluzce. - Mam mnóstwo czasu, mogę tu z tobą siedzieć całą noc. - Ostry ton sugeruje jednak coś całkiem innego.

- Co z nią będzie? - pytam ponownie. - Z Heidi?

Przypominam sobie ciepło tego przytulnego mieszkania, miękkie wygodne łóżko, na którym leżałam wraz z dzieckiem przykryta lekkim brązowym kocem, tak miękkim jak futerko króliczka. W mieszkaniu były zdjęcia na ścianach, rodzinne fotografie całej trójki, uśmiechniętej, zadowolonej. Szczęśliwi ludzie. W takich miejscach zawsze jest ciepło, ale to inny rodzaj ciepła, nie płynie z zewnątrz, tylko ze środka. Nie czułam tego od długiego czasu, odkąd mama... Przez całe osiem lat. Heidi była drugą osobą po mamie, która mi to dała. Heidi była dobra.

Louise Flores rozciąga wargi w szyderczym uśmiechu, z szarych oczu wзира obojętność. Potem zaciska usta w wąską kreskę.

- Jak to mówią: „Żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary” - cedzi, a ja wyobrażam sobie panią Wood w pomarańczowym jednoczęściowym kombinezonie, takim samym jak mój, z miłym uśmiechem wygnanym z twarzy.

HEIDI

Dziewczyna stoi na ulicy przed wejściem do baru, zaglądając do środka przez okno. Nie jest pewna, czy chce wejść na salę. Pokonała tę drogę, ale nie podjęła decyzji. Widzę, że dziecko znów płacze, choć tym razem skłonne jest dać się utulić. To raczej ciche kwilenie. Dziewczyna owinęła je moim płaszczem i podtrzymuje na brzuchu jedną ręką, a w drugiej targa walizkę. Myślę sobie, że to dobra dziewczyna. Posłuchała mnie. Kładzie rękę na klamce i przez jedną szaloną sekundę nie boję się już, że nie przyjdzie, lecz przeciwnie, przeraża mnie, że się pojawiła. Serce mi się ściska i w głowie pojawia się całkiem nowy dylemat: co jej powiem, skoro już tutaj jest?

Śpieszący się młody człowiek wybiega z za rogu i omal nie przewraca dziewczyny. Ona się chwieje, cofa od drzwi i przechodzi mi przez głowę, że jednak zmieniła zdanie. Chłopak z bezczelną twarzą i czupryną śliską od nadmiaru pomady wpłynął na zmianę decyzji. Wchodzi do ciepłego baru i przytrzymuje drzwi dla dziewczyny. Ona zerka na niego, potem przenosi wzrok na Halstead, próbując coś postanowić. Zostać czy odejść. Zostać czy odejść. Po dłuższej chwili wahania chłopak rzuca pytanie, którego domyślam się raczej, niż słyszę w barowym hałasie:

- Wchodzisz czy nie?

Nie ulega wątpliwości, sądząc po jego minie, że najchętniej zatrzęsnałby jej drzwi przed nosem.

Przełykam ślinę i czekam na odpowiedź. Zostać czy odejść. Zostać czy odejść.

Postanawia, że zostanie.

Gdy wchodzi do baru, hostessa o czujnych oczach omiata ją wzrokiem. Nylonowa kurtka khaki, rozprute džinsy, słodkawy odór wlokący się za tymi, co żyją na ulicy, niemowlę przestraszone jaskrawym światłem lamp u sufitu, ciepło bijące z pomieszczenia, zgiełk denerwujący dla mnie, ale kojący dla dziewczyny.

- Stolik dla jednej osoby? - pyta kwaśno hostessa, a ja zrywam się prędko z miejsca i macham.

- Ona jest ze mną - wypowiadam samymi wargami, a hostessa musiała połączyć fakty - ja w lekkiej tunice, dziecko okryte drogim, ciepłym płaszczem - bo pokazuje narożny boks. Dziewczyna przeciska się między stolikami z laminatu, obok tłustawych ciał okupujących bankietowe krzesła, zabieganych kelnerów i kelnerek z tacami pełnymi talerzy.

- Przyszłaś - mówię, gdy dziewczyna zatrzymuje się przed boksem.

Niemowlę odwraca się na dźwięk mojego głosu. Po raz pierwszy widzę je z tak bliskiej odległości, w jasnym barowym świetle. Obdarza mnie bezzębnym uśmiechem i mamrocze zadowolone.

- Znalazłam to - odzywa się dziewczyna, podając mi znajomą zieloną kartę z biblioteki publicznej - w kieszeni pani płaszcza.

- Och - bąkam, nie kryjąc zaskoczenia. Co za głupota oddawać płaszcz bez sprawdzenia zawartości kieszeni. Przypominam sobie, że niedawno odruchowo włożyłam tam kartę, trzymając powieść science fiction w ręku. Dziewczyna przyszła mi zwrócić dokument. - Dziękuję - mówię, przyjmując kartę. Nachodzi mnie ochota, żeby przytulić niemowlę. Pogłaskać pulchne policzki, musnąć pukiel aksamitnych włosów. - Zjesz ze mną kolację - oznajmiam, obracając kartę biblioteczną w palcach, po czym wtykam ją do pikowanej torebki.

Dziewczyna nie odpowiada. Stoi przed boksem ze spuszczoneym wzrokiem. Wiem, jak patrzy na świat. Już wcześniej dostrzegłam jej nieufne, zmęczone oczy.

- Co to panią obchodzi? - pyta w końcu, nadal patrząc gdzieś w bok.

Widzę, że ma brudne ręce.

- Chcę ci tylko pomóc.

Stawia walizkę na podłodze między stopami i poprawia wierzgające niemowlę. Maluchy często bez ostrzeżenia wpadają w zły nastrój i zaczynają kwękać, a ten nie jest wyjątkiem. Może jest głodny, może przestały go zajmować lampy na suficie.

- Rzecz nie w tym, co świat ma dla ciebie, lecz co ty mu przynosisz^[1] - szepcze dziewczyna, a ja gapię się na nią tępo, dopóki nie doda: - „Ania

z Zielonego Wzgórza”.

To cytat ze słynnej powieści L. M. Montgomery. No jasne, myślę, przypominając sobie, że widziałam ją niedawno z dzieckiem na podłodze biblioteki publicznej, jak czytała półgłosem tę właśnie książkę. Zaczynam się zastanawiać, jakie jeszcze klasyczne powieści dla młodzieży czytała? „Tajemniczy ogród”? „O czym szumią wierzby”?

- Jak ci na imię? - pytam, ale ona nie odpowiada, przynajmniej nie od razu. - Jestem Heidi - mówię, postanawiając się pierwsza przedstawić. Wydaje się to słuszne. To ja jestem dorosła. - Heidi Wood. Mam córkę Zoe. Ma dwanaście lat.

Wzmianka o Zoe się przydała, ponieważ po chwili dziewczyna zajmuje miejsce i sadza sobie dziecko na kolanach. Z kieszeni kurtki wyjmuje brudną butelkę z resztką pokarmu dla niemowląt, napełnia ją lodowatą wodą ze stołu i wkłada dziecku do ust. Woda jest zdecydowanie za zimna, w dodatku pozbawiona witamin i składników odżywczych, które są w gotowej mieszance lub w mleku matki. Niemowlę zaczyna ssać. Nie po raz pierwszy musi się obyć samą wodą. Wszystko lepsze niż kompletnie pusty brzusek.

- Willow.

- Tak masz na imię? - upewniam się.

Kiwa głową po krótkim wahaniu.

- Uhm, Willow.

Oboje z Chrisem wybraliśmy Zoe takie imię, ponieważ najbardziej nam się podobało. Inne propozycje - Juliet, Sophia, Alexis - miały zostać wykorzystane w przyszłości. No, tak nam się wydawało. Dla chłopca myśleliśmy o Zachu, a Chris oczywiście wrzucił do kapelusza własne imię. Wiele razy rozmawialiśmy o tym, że zamienimy mieszkanie w starej kamienicy na dom jednorodzinny na północ od miasta, może w Lakeview, albo na zachód, w Roscoe Village, gdzie wysokość kredytu hipotecznego będzie niższa, za to dojazdy do pracy i szkoły nieco dłuższe. Gdy kupowaliśmy kołyskę dla Zoe, wyobrażałam sobie, jak w niedalekiej przyszłości kupuję białe piętrowe łóżka, niemal już widziałam rządki wysokich fotelików, domki dla lalek i mnóstwo rozsypanych po dywanie zabawek. Myślałam o uczeniu dzieci w domu

jako praktycznej alternatywie dla prywatnej szkoły z wysokim czesnym, do jakiej uczęszcza obecnie Zoe, obliczaliśmy bowiem koszt wykształcenia naszych licznych dzieci na czterdzieści tysięcy rocznie.

Lekarz użył terminu „histerektomia”. Spędzałam bezsenne noce, zastanawiając się nad tym słowem, nad jego znaczeniem. Dla lekarza, dla Chrisa, był to termin medyczny, pewna procedura. Dla mnie oznaczało to krwawą jatkę, masakrę, krótko i zwięźle. Unicestwienie Juliet i Zacha, Sophii i Alexis. Koniec wyobrażeń o piętrowych łózkach i edukacji domowej.

Było już oczywiście po Juliet w wyniku standardowej procedury wyłyżeczkowania jamy macicy. Nie sposób było orzec, czy płód był dziewczynką – tak stwierdził lekarz, i po wielekroć powtarzał mi Chris: że „nie sposób orzec” – a mimo to wiedziałam, byłam przekonana, że to Juliet stała się odpadem medycznym, razem z moją macicą, szyjką macicy i fragmentami waginy.

Nadal gromadzę ubranka niemowlęce wyszukiwane w butikach dla dzieci – lawendowe śpioszki i koszulki z bawełny organicznej w zabawne wzorki – które ukrywam w pojemnikach z fałszywymi etykietami „Heidi Praca”, przechowywanych w szafie w sypialni, dobrze wiedząc, że Chris nigdy do nich nie zajrzy, spodziewając się zobaczyć podręczniki do nauki angielskiego i statystyki analfabetyzmu.

- To ładne imię^[2] – mówię. – A dziecko?
- Ruby – bąka.
- Ślicznie^[3] – zachwycom się szczerze. – Ile ma?
- Cztery miesiące – odpowiada niepewnie po długiej chwili milczenia.
- Czy przejrzały już panie kartę dań? – pyta kelnerka, zjawiając się przy stoliku.

Willow wzdryga się zaskoczona i szuka wzrokiem pomocy u mnie. Menu leży przed nią nietknięte.

- Zajmie nam to jeszcze chwilę – mówię, lecz przy okazji zamawiam filiżankę czekolady dla Willow, która nadal lekko drży z chłodu. Obejmuję dłońmi swoją filiżankę z kawą, wciąż jeszcze dosyć gorącą. Kelnerka napełnia ją po raz trzeci tego wieczoru.

- Z bitą śmietaną? – pyta, a Willow znowu szuka u mnie wzrokiem

rady.

Wydaje mi się to dosyć zabawne, że na wzmiankę o bitej śmietanie na moment sama staje się dzieckiem. Przypomina mi to wazon Rubina, czyli słynne złudzenie wzrokowe. W zależności od tego, jak się spojrzy, można zobaczyć zwrócone do siebie profilami twarze lub wazon między nimi. Obraz ten nieustannie się zmienia. Twarze, wazon, twarze, wazon. Silna, niezależna młoda kobieta z dzieckiem i bezradna dziewczynka z upodobaniem do gorącej czekolady z bitą śmietaną.

- Oczywiście - odpowiadam z niepotrzebną werwą. Po chwili kelnerka przynosi niebiański napój w dużej białej filiżance na spodeczku, z czapą bitej śmietany posypanej wiórkami czekolady. Willow bierze do ręki łyżeczkę, zanurza koniec w śmietanie i łakomie oblizuje. Na jej twarzy rozlewa się błogość, jakby od wieków nie kosztowała smaku czekolady.

Jak do tego doszło, że ktoś taki jak ona wylądował na ulicy? Bez opieki, bez pieniędzy? Rzecz jasna, zadawanie takich pytań nie wchodzi w grę. Willow od razu by się poderwała i uciekła. Przyglądam się, jak z apetytem pochłania bitą śmietaną, ładując do ust pełne łyżki. W kącikach pokazują się resztki spienionej białej substancji, które dziecko obserwuje z żywym zainteresowaniem, zapomniawszy o lodowatej wodzie w butelce.

Willow podnosi filiżankę do ust i pije zbyt łapczywie, parząc boleśnie język. Łyżeczką wyjmuję ze szklanki kostkę lodu i wrzucam do gorącej czekolady.

- Proszę - mówię. - Szybciej ostygnie.

Waha się, ale próbuje i tym razem nie parzy języka.

Nad lewym okiem dostrzegam siniec. Ma barwę ochry, czyli już się goi. Kiedy Willow bierze do rąk menu, spostrzegam, że ma długie i popękane paznokcie z warstwą brudu pod nimi. W każdym uchu tkwią trzy kolczyki i dwa czarne ćwieki na czubkach. W kolejności: srebrne anielskie skrzydła, gotycki krzyż, karminowe wargi. Aha, w lewym uchu karminowych warg brakuje. Wyobrażam sobie, że leżą na brudnym chodniku obok dworca Fullerton, zgniatanymi butami przechodniów, albo na środku ulicy miażdżone oponami pojazdów. Tłuste kosmyki włosów zasłaniają jej oczy. Kiedy chce na mnie spojrzeć, odgarnia je na bok, po

czym znów prędko opuszcza jak ślubny welon. Skóra na twarzy i dłoniach jest spierzchnięta i zaczerwieniona, widać ranki i zaschniętą krew. Wargi popękane. Mała Ruby również ma objawy egzemy, bo dostrzegam nieliczne strupowate zaczerwienienia na gładkiej młecznej cerze. Sięgam do torebki, wydaję podręczne opakowanie balsamu i podsuwam Willow.

- Skóra na rękach w zimie zawsze mi się wysusza, od zimnego powietrza. To pomaga. - Gdy Willow bierze balsam do ręki, dodaję: - Posmaruj też policzki Ruby. - Odsuwa kosmyki i kiwa głową, po czym nakłada balsam na buzię dziecka. Mała krzywi się pod wpływem chłodnego preparatu, uważne niebieskie oczka z ciekawością i odrobiną niechęci obserwują poczynania matki. - Ile masz lat? - pytam i wiem, że natychmiastowa, przygotowana zawczasu odpowiedź jest kłamstwem.

- Osiemnaście - bąka, nie patrząc mi w oczy. Na wszystkie inne pytania odpowiadała po chwili namysłu. To właśnie jego brak upewnia mnie, że teraz kłamie. To i dziecięca niemal naiwność w oczach, z których wзира znów mała bezradna dziewczynka. Taka sama jak Zoe.

Dzieci osiągną pełnoletniość w wieku osiemnastu lat. Stają się wtedy dorosłymi, niezależnymi istotami. Rodzice tracą nad nimi władzę oraz odpowiedzialność za ich utrzymanie. Osiemnastoletnia osoba może robić wiele różnych rzeczy, których zabrania się osobie o rok młodszej, na przykład żyć na ulicy. Jeśli Willow ma dopiero siedemnaście czy też raczej piętnaście lub szesnaście lat, to rodzi się pytanie, gdzie są jej rodzice i dlaczego z nimi nie mieszka? Czy uciekła z domu? Została porzucona? Zerkam na siniec i pytam samą siebie, czy doznała przemocy? Molestowania? Gdyby była niepełnoletnia, można by ją zmusić do powrotu do domu, jeśli takowy istnieje, albo do skorzystania z pomocy opieki społecznej.

Na razie jednak odsuwam od siebie te podejrzenia i biorę odpowiedzialność za dobrą monetę. Tak, Willow ma osiemnaście lat.

- Są schroniska przeznaczone dla samotnych matek.
- Nie chodzę do schronisk.
- Pracuję z młodymi kobietami w twoim wieku. Przybyły tu z innych

krajów, to uchodźczynie. Czasami pomagam im w trudnej sytuacji.

Podchodzi do nas kelnerka. Zamawiam grzanki francuskie, a Willow mówi, że weźmie to samo. Domyślam się, że zamówiłaby cokolwiek, byle to samo co ja. Nie wzięłaby ogromnego burgera, gdybym jadła sałatkę, ani śniadania, gdy spożywam kolację. Kelnerka zabiera karty i znika za aluminiowymi drzwiami.

- Znam bardzo dobre schroniska. Oferują dach nad głową, opiekę medyczną, opiekę psychologa, możliwość nauki. Pracownicy pomagają stanąć na nogi. Doradzą, jak napisać CV, pomogą znaleźć żłobek dla Ruby. Mogłabym podzwonić - proponuję.

Ale widzę, że Willow utkwiała wzrok w starszym mężczyźnie przy stoliku obok, który zgrabnie kroi kanapkę na pół.

- Nie potrzebuję pomocy - mamrocze urażona i milknie.

- Rozumiem - rzucam ze spokojem, dobrze wiedząc, że jeśli nie zmienię tematu, Willow zabierze się z baru razem z dzieckiem i walizką.

- Okej.

Jeśli przestanę ją nękać, to zostanie. Siedzi i zajada kolację w milczeniu, a ja przyglądam się małej, która staje się senna i zasypia na kolanach Willow, która rozrywa grzanki na kawałki brzegiem widelca i przed włożeniem do zachłannie otwartych ust macza każdy kęs w kałużę syropu klonowego. Jem powoli, patrząc, jak krople gęstego syropu ściekają jej po brodzie, a ona ociera je rękawem nylonowej kurtki.

Kiedy jadła ostatni porządny posiłek?

To tylko jedno z niekończących się pytań, które pragnę jej zadać. Ile naprawdę ma lat? Skąd pochodzi? Jak stała się bezdomna? Od kiedy mieszka samotnie na ulicy? Gdzie jest ojciec Ruby? Skąd wziął się siniec nad okiem? Jak często przychodzi do biblioteki? Czy zawsze przysiadła w dziale literatury, czy rządzi tym całkowity przypadek? Omal nie wspominałam o bibliotekarce z miłym uśmiechem, by nawiązać rozmowę, ale w porę gryzę się w język. Willow nie ma przecież pojęcia, że ją tam widziałam, że czaiłam się w sąsiedniej alejce, podsłuchując, jak czytała dziecku „Anię z Zielonego Wzgórza”.

Zatem jemy w milczeniu. Zamiast pogawędki towarzyszą nam dźwięki

typowe przy jedzeniu: brzęk sztućców, żucie i przełykanie, zgrzyt przesuwanego krzesła. Willow wypada widelec. Podnosi go i szybko wbija w kęs grzanki, jak ofiara tortur, której od wielu dni odmawiano pożywienia. Dni, a może tygodni.

Po wymieceniu talerza do czysta chwyta walizkę i wstaje.

- Wychodzisz? - pytam, słysząc w swoim głosie urazę. Ona także ją słyszy.

- Tak - mówi, a Ruby budzi się na chwilę, po czym znowu odpływa do krainy snu.

- Ależ zaczekaj - wołam z nutą desperacji, podobnie jak niedawno na ulicy. Ona chce odejść, a ja nie potrafię jej zatrzymać. Gmeram w torebce i znajduję banknot dwudziestodolarowy. Za mało, by zapłacić za kolację. Będę musiała poczekać, aż kelnerka przyniesie rachunek, i uregulować go kartą kredytową. - Pozwól mi iść ze sobą do drogerii - rzucam błagalnym tonem. - Kupimy ci kilka rzeczy. Mieszankę dla niemowląt. Pieluchy.

Maść hydrokortyzonową na zaczerwienione policzki. Batony zbożowe dla Willow. Krem na otarcia. Pastę i szczoteczkę do zębów. Szampon, szczotkę do włosów. Witaminy. Butelki z wodą destylowaną. Rękawiczki. Parasol. Nawet mnie samej wydaje się to szalone. Jak niby miałyby nosić to wszystko ze sobą po ulicach?

Willow zezuje na dwudziestkę w moim otwartym portfelu, więc bez namysłu wyjmuję banknot i wtykam jej do ręki.

- Idź do drogerii - mówię. - Kup to, czego potrzebujesz. Dla siebie i dla dziecka. - Waha się przez ułamek sekundy, po czym chwyta pieniądze i krótko kiwa głową. Uznaję to za podziękowanie. - Zaczekaj! - wołam, zanim odejdzie, i odruchowo przytrzymuję ją za rękaw nylonowej kurtki. Materiał wydaje mi się inny niż zazwyczaj, zagraniczny. Pod lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu cofam szybko rękę i proszę pokornym tonem, żeby poczekała jeszcze chociaż chwilę. Wygrzebuję wizytówkę z torebki. Jest niewyszukana, na czarnym tle moje nazwisko i numery telefonów - komórka i stacjonarny do pracy - białymi literami, łatwą do odczytania czcionką Comic Sans. Wtykam jej kartę do ręki. - Na wypadek... - zaczynam, ale w tej samej chwili obok

boksu przebiega kelner z pełną tacą nad głową i woła śpiewnie:

- Przepraszam panie!

Willow ustępuje mu z drogi, cofa się od stolika i powoli wychodzi, ale tyłem, jakby na razie nie chciała spuścić mnie z oka.

Stoję samotnie pośrodku baru, nie przestając powtarzać w myśli „proszę, zaczekaj, proszę”. Willow wyszła już z lokalu, a ruda kelnerka, obojętna na moją rozpacz, przechodząc z tacą, podaje mi rachunek.

Idę pieszo do domu dłuższą drogą, znieczulona na chłód, na mżawkę w mglistym powietrzu. Wlokę się dłuższą drogą po to, żeby wstąpić do antykwariatu na Lincoln Avenue i kupić egzemplarz „Ani z Zielonego Wzgórza”.

Płacę tylko dwa dolary, ponieważ z książki wypadają pojedyncze żółknięjące strony. W środku znajduję zapomniane skarby: zakładkę z frędzlami, starą fotografię dziewczynki w białych podkolanówkach obok dziadka ubranego w niebieskie spodnie w kratkę. Na pierwszej stronie widzę dedykację z datą:

Dla Mamy, 1989.

Na korytarzu spotykam mojego sąsiada Grahama, który zamierza właśnie wyrzucić do zsypu pustą butelkę po winie.

- Szkło podlega selekcji - nadmieniam pouczającym tonem, którego Chris tak nie cierpi.

Lecz Graham wybucha śmiechem. Drzwi do mieszkania zostawił szeroko otwarte, na kanapie króluje jasnowłosa piękność z kieliszkiem chablis w dłoni. Stykamy się spojrzeniami i zmuszam się do uśmiechu, którego ona nie odwzajemnia.

- Znowu zostałem przyłapany przez służby recyklingowe - powiada Graham, wyjmując butelkę ze zsypu. Obok tylnego wejścia do kamienicy stoją pojemniki na odpady selekcyjonowane. To dość długi spacer dla kogoś, kto nie myśli zbyt wiele o środowisku naturalnym. Ale nie dla mnie. Gryzę się w język, zanim przypomnę sąsiadowi, że rozpad szklanej butelki zajmuje milion lat.

Czuję przemożną potrzebę opowiedzenia komuś o wieczorze w barze U Stelli. Wiem, że to nie będzie Chris. Jennifer także się do tego nie nadaje, ma zbyt logiczny umysł, zanadto rozwiniętą lewą półkulę mózgu,

by pojąć ten rodzaj szaleństwa. Potrzebny mi ktoś, kim rządzi prawa półkula, jak mną, osoba kierująca się emocjami, wyobraźnią i wiarą, inspirowana fantazją.

Jednym słowem Graham.

Z otwartego mieszkania dolatują jednak dźwięki gitary akustycznej, a blond piękność przywołuje go po imieniu. Graham wtyka butelkę pod pachę i oświadcza, że musi już iść.

- Oczywiście. - Patrzę za nim, jak wchodzi do mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Stoję przez chwilę, nasłuchując pisków i śmiechu dziewczyny, z którą się umówił.

Znalazłszy się w swoim mieszkaniu, całkiem zapominam o filmie i kładę się do łóżka z „Anią z Zielonego Wzgórza”. Kiedy Chris wraca z podróży służbowej, szybko chowam książkę pod łóżko, tam gdzie mieszkają tylko koty i kłęby kurzu, i udaję, że śpię.

Chris wpełza ostrożnie obok mnie, po czym całuje powoli i czule, choć dotyk jego ust przywodzi mi na myśl Cassidy Knudsen.

WILLOW

Moja mama była najpiękniejszą kobietą na świecie. Długie czarne włosy, szczupła twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, pięknie zarysowane brwi i najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam.

- Kocham cię, jak wiewiórka kocha orzechy - mawiała do mnie.

Albo:

- Kocham cię, jak myszka kocha ser.

Godzinami wymyślałyśmy najdziwniejsze porównania, na przykład: „kocham cię, jak mały grubas kocha ciastka”. I konałyśmy ze śmiechu. To był taki nasz zwyczaj.

Mieszkałyśmy na wsi w stanie Nebraska, w maleńkiej osadzie pod miasteczkiem Ogallala. Mama i tata, Lily i ja. Ogallala była na długo przed Omaha, tak jak mama i tata byli na długo przed Josephem i Miriam. Dokładnie rzecz biorąc, był to całkiem inny świat, zupełnie inna ja.

Mama opowiadała mi często o dniu, w którym ona i tata się pobrali. Mówiła, że kiedy powiedziała mu „tak”, była już ze mną w ciąży, co nie miało ani dla niej, ani dla taty żadnego znaczenia, ale jej rodzicom ani trochę się to nie podobało. Okazało się zresztą także, że wcale nie przepadali za tatą, i pewnego dnia, kiedy mama miała dziewiętnaście lat, razem z tatą pojechała do kaplicy w Des Moines i tam się pobrali. Lubiła o tym opowiadać, o ślubie w ślicznym małym kościółku niedaleko szosy, gdy siedziałyśmy na schodkach przed naszym maciupkim domkiem z prefabrykatów, malując paznokcie u nóg na jaskraworóżowy kolor, a Lily przesypiała popołudnie. Miałam wtedy osiem lat. Mama rozprawiała o kaplicy, o tym, jak kroczyła przejściem między ławkami w śnieżnobiałej sukni koktajlowej do kolan, która nie była nowa, i w welonie opisywanym w najdrobniejszych szczegółach. Nazywała go klatką dla ptaków, a ja wyobrażałam sobie kanarki przycupnięte na czubku jej głowy. Opowiadała o człowieku, który udzielił im ślubu. Był to

niejaki wolebny Love, i nawet w wieku ośmiu lat z trudem przychodziło mi wierzyć, że było to jego prawdziwe nazwisko^[4]. Wolebny Love. Pamiętam sposób, w jaki mama wymówiła te słowa, tamtego dnia, kiedy siedzialiśmy na schodkach naszego skromnego domku, przyglądając się chłopakom grającym w piłkę na podwórku domu naprzeciwko, przeciągając *love* z taką przesadą, że omal nie umarliśmy ze śmiechu.

Powiedziała, że tata wyglądał superprzystojnie w białej koszuli z krawatem i sportowej marynarce pożyczonej od przyjaciela. Staralam się, jak mogłam, to sobie wyobrazić, bo ani razu jeszcze nie widziałam taty w koszuli i krawacie. Nie było zdjęć ze ślubu, ponieważ rodzice nie posiadali jeszcze wtedy aparatu, ale mieli dokument stwierdzający, że zawarli związek małżeński, a to było dla nich ważniejsze niż jakieś tam zdjęcia. Mama pokazała mi ten dokument. Było na nim napisane „Świadectwo Ślubu”, a na dole widniał podpis „Wolebny Love”.

Pół roku później przyszedłam na świat. Mama opowiedziała mi o dniu, w którym się pojawiłam. Mówiła, że wcale się nie śpieszyłam, żeby wyjść z jej brzucha. Mówiła, że tata trzymał mnie tak mocno, tam, w szpitalu, jakby się bał, że znów zniknę. Kiedy się urodziłam, nie było przy mnie dziadków, i nigdy ich nie poznałam, ani wtedy, ani później. Mama i tata mamy nie chcieli mieć z nami nic wspólnego, a rodzice taty nie żyli. Czasami jechało się na ich grób, na cmentarz przy Piątej Ulicy, i zostawiało się kwiaty przy pomniku z napisem Ernest i Evelyn Dalloway.

Mama mojej mamy przekonała ją, że jest Audrey Hepburn, dlatego nadała jej imię Holly, jak Holly Golightly, bohaterka tego filmu. Mama upinała czarne włosy w kok i biegała po domu z papierosem w długiej cygarniczce w stylu „Śniadania u Tiffany’ego”, chociaż nie paliła. Ubierała się codziennie w niemodne marszczone sukienki w groszki i mówiła cytatami z filmów Audrey, jakby to były jej własne słowa, a ja siedziałam na tapczanie i przyglądałam się jej.

Nie dziwiłam się ani trochę, że tata chciał się z nią ożenić. Nigdy nie widziałam ładniejszej kobiety niż mama.

Nieraz prosiłam mamę, żeby mi opowiedziała, jak poznała tatusia, a jej nigdy się nie znudziło powtarzanie tej opowieści. Ponoć spotkała go

w mieście, w kowbojskim barze, gdzie był barmanem, a jakiś tępak próbował się do niej zalecać. Tacie bardzo się to nie spodobało, nie mógł ścierpieć, że ten facet dalej trzyma ją za rękę, chociaż mama powiedziała, żeby przestał, i ciągle ją zagaduje. Tata był jej rycerzem na białym koniu, tak mi powiedziała. Zawsze twierdziła, że decyzja o wyjściu za męża za tatę była najlepszą, jaką podjęła w życiu, choć przez to rozstała się z rodzicami. Znikli, wyparowali:

- O tak, puf! - Unosiła ręce jak sztukmistrz. - Jak za sprawą magii.

Tata był kierowcą ciężarówki i najczęściej nie było go w domu. Jeździł na długie trasy, od morza do morza, przewożąc rozmaite ładunki. Bardzo za nim tęskniłyśmy, zwłaszcza mama, ale kiedy wracał, wynagradzał nam chwile rozłąki. Obsypywał mamę całusami i ścisnął ją tak, że aż się rumieniła ze wstydu. Na jego powrót zawsze pięknie się stroiła, nakręcała włosy na wałki i malowała usta karminową szminką. Tata zawsze przywoził mnie i Lily prezenty, różne pamiątki z Vermontu albo Georgii czy też innego stanu, przez który akurat przejeżdżał - breloczek do kluczy, widokówkę, malutką Statuę Wolności. Kiedy był w domu, panowała radość jak w świąteczny poranek albo w letnie wakacje. Przywoził też prezenty dla mamy, ale nie pokazywał ich jej, dopóki ja i Lily nie poszłyśmy do łóżek. Potem często słyszałam dochodzące z sypialni rodziców stłumione śmiechy.

W tamtych czasach, w małym domku z prefabrykatów pod Ogallalą, mieliśmy mało pieniędzy, ale mama uwielbiała zakupy. Oczywiście nie stać jej było na to, co pragnęła kupić, więc zabierała mnie i Lily do eleganckich sklepów, gdzie przymierzała śliczne sukienki i przeglądała się w lustrze. Robiłyśmy tak tylko pod nieobecność tatusia i mama zawsze nam powtarzała, żebyśmy nigdy mu o tym nie mówiły, bo nie chciała mu sprawiać przykrości. Mama często zaczynała zdanie od „pewnego dnia”. Pewnego dnia otworzy prawdziwy zakład, zamiast strzyc klientkom włosy w naszej łazience. Pewnego dnia będziemy mieli większy dom, który urządzimy całkiem po swojemu. Pewnego dnia mama zabierze nas do miejsca zwanego Magnificent Mile w mieście, które nazywa się Chicago. Mama dużo mi o tym opowiadała. W jej ustach brzmiało to jak bajka, dlatego wcale nie byłam pewna, czy Magnificent

Mile istnieje naprawdę. Ale mama nie miała co do tego wątpliwości. Wymieniała nazwy butików, takich jak Gucci i Prada, i co by tam kupiła, gdyby miała pieniądze. Pewnego dnia. Posiadała listę tych towarów i miejsc, które koniecznie chciała odwiedzić przed śmiercią. Wieżę Eiffla, grób Audrey Hepburn w jakimś miasteczku w Szwajcarii, Magnificent Mile. Byliśmy dość biedni. Wiedziałam o tym nawet w wieku ośmiu lat, ale nigdy, przenigdy nie pragnęłam mieć więcej. Byłam szczęśliwa w skromnym domku w pobliżu Ogallali, i chociaż mama nie przestawała marzyć, że „pewnego dnia...”, nie chciałam nic w swoim życiu zmieniać. Podobało mi się, gdy mówiła:

- Nie posiadamy wiele, ale przynajmniej mamy siebie.
Lecz pewnego dnia nawet tego zabrakło.

CHRIS

Jedną z ważnych cech Heidi jest coś, co można by nazwać „potrzebą słusznego działania”. Na przykład starannie selekcjonuje odpadki. Osobno puszki i butelki, gazety, baterie, resztki folii aluminiowej. Odnosi wieszaki do pralni, upomina mnie, kiedy wracam z zakupów z plastikową siatką ze sklepu, zamiast wykorzystać domową torbę wielokrotnego użytku. W snach prześladuje mnie jej suchy głos powtarzający jak papuga:

- To się nadaje do selekcji, do selekcji, do selekcji...

Na przekór Heidi nieraz próbuję przemycić kopertę lub kawałek papieru do śmieci ogólnych. Mleko kupujemy w butelkach zwrotnych, co bardzo drogo kosztuje.

W naszym domu zabłąkanych pajaków się nie zabija, lecz wynosi na balkon, a w przypadku niestosownej pogody do piwnicy, gdzie mogą się bez przeszkód rozmnażać wśród nieużywanych rowerów i kartonów z niepotrzebnymi gratami. Rozdeptanie pająka albo spuszczenie go w kiblu byłoby wysoce niehumanitarne.

To dlatego posiadamy dwa koty. Heidi znalazła maluchy pod śmietnikiem obok naszej kamienicy. Krwawy strzęp, który pozostał z ich, jak można przypuszczać, rozjechanej matki, stanowił smaczne pożywienie dla bezpańskiego psa. Pewnego dnia Heidi wniosła kociaki do domu. Były brudne, z zaskorupiałą warstwą odchodów i śmieci na futerkach, i tak wychudzone, że kości sterczały im pod skórą.

Heidi oznajmiła:

- Zostaną u nas.

Nie zapytała o zgodę, zawsze tak robi, a ja zdążyłem do tego przywyknąć. Po prostu powiedziała, że zostaną u nas.

Nazwałem je Pierwsza i Druga, ponieważ Odetta i Sabina (zgadza się, obie to kotki, ja zaś jestem jedynym kocurem w tym stadzie), jak proponowała Heidi, wydawało mi się zwyczajnie głupie. Uparłem się, że

koty nie zasługują na ludzkie imiona. Zwłaszcza zwykle dachowce. Pierwsza to trikolor, *chatte d'Espagne*, jak twierdzi Heidi. Druga jest cała czarna, ma dłuższą sierść i jarzące się oczy. Zło w czystej postaci. Pech. Kocica mnie nienawidzi.

Nie było więc dla mnie zaskoczeniem, kiedy w sobotę rano po wstaniu z łóżka natknąłem się w salonie na Heidi patrzącą na mnie wzrokiem zbitego psa. Skończyła właśnie rozmowę przez telefon i zaczęła niekończącą się opowieść o jakiejś dziewczynie z dworca Fullerton. Dochodziła dziesiąta rano, ale półmrok za oknem sprawiał, że można było pomyśleć, iż jest piąta, najwyżej szósta. Po wyczerpującej podróży służbowej do San Francisco zamierzałem położyć się na skórzanej kanapie i oglądać zawodową ligę koszykówki. Ale Heidi, która pewnie zerwała się już o świcie i wyżłopała litry kofeiny, nie przestawała nadawać. W szlafroku i papuciach, z komórką w ręku i miną świadczącą o tym, że coś przede mną ukrywa. Nie chodziło tylko o przypadkowo spotkaną bezdomną dziewczynę. W Chicago jest pewnie ze sto tysięcy bezdomnych. Heidi zauważa ich wszystkich, nie zrozumcie mnie źle. Zwraca uwagę na każdą taką osobę. Nie znaczy to jednak, że nie może przez nich przespać nocy.

- To dlatego dobry Bóg sprawił, że istnieją schroniska dla bezdomnych - mówię.

Znowu pada. W stacjach telewizyjnych nieustannie pokazują reporterów na zalanych szosach i autostradach. Ponoć są nieprzejezdne i bardzo niebezpieczne. Zamknięte są nawet główne drogi ekspresowe, fragmenty trasy Eisenhowera i Kennedy'ego. Najwidoczniej wkroczyliśmy w stan wyjątkowy. Kamery kierują się na żółty znak drogowy „Zawróć, niebezpieczeństwo zatonięcia”. Warto zapamiętać tę radę. Zmoknięta reporterka w złotym poncho stoi na Loop, smagana wichrem i ulewą (jakby zobaczenie deszczu na ekranie telewizora zamiast za szybą, w którą bezlitośnie siecze, było bardziej przekonujące), i ostrzega, że nawet dziesięć centymetrów wartko płynącej wody może ponieść samochód.

- Jeżeli nie musicie dzisiaj nigdzie podróżować - mówi ze zmartwioną miną, jakby obchodził ją choć trochę nasz los - to proszę, pozostańcie

w domach.

- Ona nie korzysta ze schronisk - oznajmia Heidi takim tonem, jakby miała co do tego pewność, i nagle pojmuję, w czym rzecz. Ona nie tylko zobaczyła tę dziewczynę na ulicy. Doszło między nimi do wymiany zdań, zapewne do dłuższej rozmowy.

Z jej słów wynika, że młoda bezdomna dziewczyna zebrała w pobliżu dworca Fullerton. Miała ze sobą niemowlę. Wstałem z łóżka i wszedłem do salonu z jedną myślą: mecze w telewizji, i okazało się, że Heidi właśnie skończyła rozmawiać przez komórkę. Kiedy spytałem, do kogo dzwoniła, odpowiedziała:

- Do nikogo.

Ale widziałem, że to nieprawda. Było oczywiste, że rozmówca Heidi wiele dla niej znaczy. Nie chciała jednak przyznać tego przede mną. Pomyślałem, że to właśnie przydarza się mężom, którzy są wiecznie w podróży służbowej. Żony zaczynają ich zdradzać. Zrywają się z łóżka o świcie, żeby prowadzić ukradkowe rozmowy z kochankiem, podczas gdy ich umęczeni mężowie usiłują odespać w wolny poranek. Spojrzałem w rozbiegane oczy Heidi i zapytałem, czy rozmawiała z mężczyzną.

Przypomniało mi się, jak wczoraj wieczorem odsunęła się ode mnie w łóżku. Czy on niedawno tu był? - pomyślałem. Wróciłem do domu po jedenastej, Zoe nie było, gdyż nocowała u przyjaciółki, Heidi leżała w łóżku, i wspominałem, jak dawniej, gdy Zoe była jeszcze mała, obie z Heidi miały zwyczaj przygotowywać dla mnie transparenty powitalne, przyklepać w kuchni rozmaite rysunki i zdjęcia, zostawiać smakowite niespodzianki, a teraz, pięć czy sześć lat później, nic. Tylko koty czekały na mnie przy drzwiach, a ich irytujące miauczenie nie było miłym powitaniem, lecz raczej groźnym ultimatum: jak zaraz nas nie nakarmisz, to... Miseczki ze stali nierdzewnej, których Heidi nigdy nie zapomniała napełnić, stały kompletnie puste.

- Heidi? - zagadnąłem ponownie, tracąc cierpliwość. - Czy rozmawiałaś z facetem?

- Nie, skąd - odpowiedziała bez wahania i zaśmiała się nerwowo.

Nie potrafiłem ocenić, czy kłamie, czy tylko tak mi się wydaje. Może jednak ma romans...

- W takim razie z kim? - naciskałem. - Powiedz mi, kto do ciebie zadzwonił.

Z początku milczała. Nie mogła się zdecydować, czy wyznać mi prawdę. Zaczynałem być naprawdę wkurzony, gdy niechętnie zaczęła opowiadać o dziewczynie. I o jej dziecku.

- Rozmawiałaś z nią? - pytam, czując, że serce zwalnia rytm, a ciśnienie krwi spada.

- Przed chwilą do mnie zadzwoniła - odpowiada Heidi. Widzę, że się rumieni bądź to za sprawą nadużycia kofeiny, bądź też z zakłopotania.

Otwieram niemo usta, a po chwili pytam z niedowierzaniem:

- Dałaś jej swój numer?

Heidi skręca się z poczucia winy. Zerka na mnie niepewnie. Nie odpowiada od razu. Wreszcie bąka:

- Dałam jej wizytówkę. Wczoraj wieczorem. Na kolacji.

Wydaje mi się to coraz bardziej dziwne. Patrzę na tę kobietę z rosnącym niedowierzaniem. Patrzę na tę burzę rudych włosów, na rozgorączkowane oczy, i zastanawiam się, co ta kobieta zrobiła z moją żoną. Owszem, Heidi to marzycielka, wizjonerka i optymistka. Ale nigdy dotąd nie traciła poczucia rzeczywistości.

Ten raz jest pierwszy.

- Na kolacji? - powtarzam otumaniony, po czym potrząsam głową i zaczynam jeszcze raz, uznawszy, że bardziej palące kwestie domagają się szybkiego wyjaśnienia: - Dlaczego do ciebie zadzwoniła?

Wpatrując się w rozbiegane oczy żony, żałuję, że jednak nie chodzi o faceta.

Heidi podchodzi do ekspresu, jakby zamierzała się napić jeszcze więcej kawy. Nalewa sobie pełen kubek, który kilka lat temu dostała ode mnie i Zoe na Dzień Matki, z czarnej porcelany, ze zdjęciem roześmianej Zoe, które zbladło nieco od mycia w zmywarce. Dolewa do kawy syropu orzechowego, a ja myślę, że jeszcze i cukier. No ładnie. Akurat tego jej w tej chwili potrzeba.

- Mała Ruby płakała przez całą noc - mówi Heidi. - Do rana. Willow jest udręczona. Z jej głosu było śmiertelne znużenie. Dziecko ma kolkę, jestem tego pewna. Pamiętasz, jak Zoe była niemowlęciem i miała ataki

kolki? Potrafiła płakać przez całą noc. Naprawdę się o nią martwię, Chris. O nią i o dziecko. Ten ciągły płacz. To coś, co może wywołać depresję poporodową. Albo syndrom dziecka potrząsanego.

Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź:

- Willow? Tak ma na imię? I Ruby? - Gdy potwierdza, dodaję: - Ludzie nie noszą takich imion, Heidi. To nazwa drzewa. A Ruby...

Nie kończę zdania, bo Heidi mierzy mnie takim wzrokiem, jakbym był diabłem wcielonym, który półnagi, w bokserkach w kratkę, zjawił się nagle na środku pokoju wypoczynkowego. Wymijam ją i idę do kuchni, żeby nalać sobie kawy. Może kofeina sprawi, że to wszystko nabierze chociaż trochę sensu. Może po kawie zdołam w końcu pojąć, że to tylko zwykłe nieporozumienie, że zaspany i zmęczony umysł całkiem wszystko pokręcił. Nie śpiesząc się, napełniam kubek i piję oparty o granitowy blat, chłonąc ożywczą substancję i czekając, aż pobudzi neurony w mózgu.

Ale kiedy wracam z kuchni, zastaję Heidi przy drzwiach wejściowych, jak wkłada na szlafrok pomarańczowy ocieplany płaszcz.

- Dokąd się wybierasz? - pytam zdumiony tym widokiem. Szlafrok, płaszcz, rozczochrane włosy...

Heidi zrzuca kapcie i wsuwa stopy w wysokie kolorowe kalosze.

- Powiedziałaś, że przyjdę się z nią spotkać.

- Niby gdzie?

- Przy dworcu Fullerton.

- Ale po co?

- Żeby zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku.

- Heidi - przybieram maksymalnie spokojny, racjonalny ton. - Masz na sobie piżamę. - Spuszcza wzrok na fioletowy szlafrok z polaru, spod którego wystają wygniecione bawełniane spodnie od piżamy w kwiatki.

- No tak - mamrocze i biegnie do sypialni, gdzie zamienia je na parę dżinsów. Ale nie traci czasu na zdjęcie szlafroka.

To jakiś absurd, myślę. Mógłbym jej to wykazać, sporządzić listę najważniejszych punktów albo wykres graficzny, żeby przekonała się naocznie, jakie to szaleństwo. Na jednej osi umieściłbym wszystkie idiotyzmy tej sytuacji: obsesję Heidi na punkcie bezdomnych,

rozdawanie wizytówek bez zastanowienia, okropieństwo połączenia fioletu szlafroka z oranżem płaszcza, ulewny deszcz; na drugiej ich wartości, przy czym wartość stroju znacznie przewyższałyby wartość wizytówki.

Wiem też, że nie zdałoby się to na nic.

Leżąc na skórzanej sofie, kątem oka śledzę, jak Heidi chwyta torebkę i parasol, po czym znika, wołając:

- Do zobaczenia!

- Na razie - mamroczę w odpowiedzi.

Koty wskakują na parapet i patrzą za nią tęsknym wzrokiem. Zachowują się tak zawsze, gdy Heidi wychodzi z domu.

Smażę sobie jajecznicę na bekonie i zapominam wyrzucić karton po jajkach do odpowiedniego pojemnika. Miękkie plastry bekonu przygrzewam najpierw w mikrofalówce (czuję lekkie wyrzuty sumienia, że jem mięso w naszym pseudowegetariańskim domu) i zasiadam z talerzem przed telewizorem. Nastawiam kanał sportowy, niedługo zaczną się rozgrywki ligi koszykówki. Podczas przerw na reklamy przełączam na kanał ekonomiczny, ponieważ muszę być na bieżąco z notowaniami giełdy. Ta część mojego mózgu nigdy nie zasypia. Ta zżerana żądzą pieniędzy. Kasa, kasa, hajs.

Słychać silny grzmot, chmury rozdziera błyskawica. Trzęsie się cała kamienica. Myślę o Heidi, jak biegnie przy tej pogodzie przez miasto. Mam nadzieję, że szybko załatwi swoje sprawy i wróci.

Kolejny grzmot, kolejny oślepiający błysk.

Modłę się, żeby nie wyłączyli prądu przed rozpoczęciem meczu.

Godzinę później w domu zjawia się Zoe w towarzystwie Taylor i jej matki. Nadal leżę w bokserkach przed telewizorem, kiedy Zoe otwiera sobie drzwi, i nagle w progu pokoju stają wszystkie trzy, kompletnie przemoczone, gapiąc się na mnie z otwartymi ustami.

- Zoe - wołam, zrywając się z kanapy i omal nie wywracając przy tym kubka z kawą.

- Tato...! - Z oczu mojej córki wyziera gniew i upokorzenie. Pólnagi owłosiony ojciec widziany przez najlepszą przyjaciółkę i jej matkę. Co za porażka. Owijam się kocem ze sztucznego futra i próbuję obrócić

wszystko w żart.

- Nie wiedziałem, kiedy wrócisz do domu - mówię, wiedząc przy tym, że to żadne usprawiedliwienie, przynajmniej dla Zoe.

Jestem pewien, że właśnie nastąpił pierwszy z niezliczonej liczby incydent, kiedy upokorzę moją córkę w oczach innych. Widzę, jak chwyta Taylor za rękę i ciągnie za sobą przez korytarz. Słyszę łupnięcie drzwi do pokoju Zoe i wyobrażam sobie, co mówi:

- Mój tata jest taki beznadziejny.

- Cześć, Chris, jest Heidi? - pyta Jennifer, unikając mnie wzrokiem.

- Nie, nie ma jej. - Jestem ciekaw, czy Jennifer wie o dziewczynie z dzieckiem. Prawdopodobnie tak. Jeśli chodzi o życie Heidi, Jennifer doskonale się w nim orientuje. Owijam się ciaśniej kocem i rozmyślam, co żona jej o mnie opowiada. Jestem przekonany, że kiedy zdarzy mi się zachować jak kretyn, Jennifer pierwsza się o tym dowiaduje. Podobnie jak o mojej superatrakcyjnej koleżance z pracy, a także o tym, że znowu wyjeżdżam w podróż służbową.

- Wiesz może, kiedy wróci?

- Nie.

Jennifer bawi się paskiem torebki. Byłaby pociągającą kobietą, gdyby tylko porzuciła workowate ciuchy i zaczęła się lepiej ubierać. Pracuje w szpitalu i jestem prawie pewien, że posiada w szafie kolekcję takich łąchów we wszystkich kolorach tęczy, a do tego drewniaki. Szpitalne drewniaki. Są bardzo wygodne, owszem, przyznaję, ale gdzie podziały się dzinsy? Bawełniane bluzy? Legginsy?

- Może ja mógłbym pomóc? - zadaję zwyczajowe pytanie.

Zgorzkniała rozwódka Jennifer nie cierpi mnie wyłącznie dlatego, że jestem mężczyzną. No i flejtuchowatym półgłówkiem, skoro w południe łażę po domu w samych gaciach.

Potrząsa głową, po czym mówi:

- Takie tam babskie sprawy. - I dodaje: - Ale dzięki, że spytałeś.

Potem woła Taylor, a kiedy drzwi się za nimi zamykają, Zoe odwraca się do mnie i mierzy pełnym potępienia spojrzeniem.

- Nie no, tato, poważnie. Bokserki? O jedenastej? - Odwraca się na pięcie, maszeruje do swojego pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Świetnie, myślę. Wprost doskonale. Heidi gania po mieście za bezdomną dziewczyną, ale to ja zasługuję na miano dziwaka.

HEIDI

Nie wiem, czy dziewczyna pije kawę, czy nie, ale i tak przynoszę jej mokkę z dodatkiem bitej śmietany, pocieszycielkę wszystkich, którzy mają zły dzień. Do tego słodki rogalik, babeczkę cynamonową i ciastko z jagodami, a to na wypadek, gdyby nie lubiła rogalików albo cynamonu. Z tym wszystkim biegnę wyludnionymi w sobotni poranek ulicami, rozstawiając szeroko łokcie, gotowa zwalić z nóg każdego, kto stanie mi na drodze.

Pada deszcz, kwietniowe niebo jest mocno zachmurzone. Na chodnikach i na jezdniach kałuże rozpryskiwane przez przejeżdżające taksówki. Auta mają włączone reflektory, a choć minęła dziesiąta rano, automatycznie zapalone i gaszone latarnie muszą się dopiero zorientować, że noc zamieniła się w dzień. Rozłożyłam parasol, dzięki czemu nie moknie mi głowa, ale nogi mam mokre do kolan, głównie z powodu pióropuszy wody spod kół samochodów. Pada ulewny deszcz, a ja podśpiewuję pod nosem:

- Leje jak z cebra. Jak z wiadra, jak ze studni. Ulewa, ulewa!

Stoi dokładnie tam, gdzie powiedziała. Spaceruje nerwowo wzdłuż Fullerton, podrzucając na rękach Ruby, która wrzeszczy ile sił w płucach. Obie są doszczętnie przemoczone. Przechodnie, czyli garstka najbardziej zajadłych biegaczy w nieprzemakalnych strojach sportowych, omijają ją szerokim łukiem, zbiegając na jezdnię. Jak widać, wolą zaryzykować utratę życia pod kołami nadjeżdżających aut niż pomóc Willow, młodziutkiej dziewczynie, która przez jedną noc postarzała się chyba o trzydzieści lat, bo wygląda na kobietę w średnim wieku. Ma worki pod oczami, a białka pożyłkowane, zaczerwienione, i głębokie zmarszczki na twarzy. Potyka się o nierówny chodnik i zarzuca sobie Ruby na ramię, klepiąc ją po plecach gestem, który wcale nie jest łagodny.

- Ciii, ciii - mówi, ale takim tonem, który zdradzał, że wolałaby

wrzasnąć: – Cicho bądź, zamknij się wreszcie!

Podrzuca ją ze złością, a ja przypominam sobie, że kiedy Zoe była malutka i trzymała mnie całą noc na nogach, zanosząc się płaczem, musiałam się surowo napominać, że nie wolno mi tego robić. Nie wolno stracić opanowania. Akurat ja nie doświadczyłam depresji poporodowej, ale media są pełne sensacyjnych opowieści o kobietach emocjonalnie rozchwianych i nawiedzanych przez obsesyjne myśli, żeby zrobić dziecku krzywdę, utopić je, zadźgać nożem albo zrzucić ze schodów. Wjechać furgonetką do zbiornika retencyjnego z dziećmi zapiętymi pasami na tylnym siedzeniu. Wiem, że są matki, które tak bardzo bały się zrobić dziecku coś złego, że porzucały noworodka w szpitalu. Doceniam, że Willow nie zostawiła córeczki na schodach kościoła czy w podobnym miejscu, że nie każe jej się zamknąć, choć te słowa wyraźnie cisną jej się na usta. Biegacze spoglądają i marszczą czoła. Niemal słyszę, jak pytają:

– Co ta dziewczyna robi tutaj z niemowlakiem?

Ja jednak widzę, że ma odwagę i głowę na karku i radzi sobie lepiej niż połowa znanych mi kobiet. Ja mogłam się wygadać mamie przez telefon, miałam Chrisa, który brał rozhisteryzowaną Zoe na ręce, gdy ogarniało mnie krańcowe zniechęcenie. Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez ich wsparcia, jak przetrwałabym pierwszy rok macierzyństwa (choć wiedząc już, jakie trudności sprawia wychowanie dwunastoletniej dziewczynki, dochodzę do wniosku, że niemowlęctwo wcale nie jest najgorszym okresem).

– Przyniosłam ci kawę – mówię, wyłaniając się zza pleców Willow i strasząc ją nagłym pojawieniem się.

Jakby kawa mogła tu coś pomóc, wyrwać Willow z życia na ulicy, odżywić jej wychudłe ciało. Jest wycieńczona, słania się na nogach. Domyślam się, że spaceruje po Fullerton od północy, usiłując uspokoić dziecko. Ciało wydaje się ociężałe, ale oczy jarzą się złością jak u chorego na wściekliznę psa, agresywnego, gotowego w każdej chwili zaatakować. Z irytacją wyrywa mi kubek, siada ciężko na mokrym chodniku i łapczywie pochłania rogalik, ciastko cyrulkowe i biszkopt z jagodami.

- Płakała przez całą noc - mówi z pełnymi ustami. Okruchy ciastek spadają na ziemię, skąd trafiają z powrotem do ust. Willow siedzi na schodku przed wejściem do staroświeckiego sklepiku z porcelaną i wiatrowymi dzwonkami na wystawie. Jest otwarty, z głębi obserwuje nas uważnie jakaś kobieta.

- Kiedy mała ostatnio jadła? - pytam.

Willow najpierw kręci energicznie głową, a potem wyjaśnia:

- Nie wiem. Nie chce jeść. Odsuwa ciągle butelkę. Wrzeszczy.

- Nie chce pić z butelki? - upewniam się.

Tylko potrząsa głową, po czym zdejmuje plastikową pokrywkę z kubka i zaczyna zlizywać bitą śmietaną. Znow przychodzi mi na myśl porównanie z psem.

- Willow - mówię.

Nie patrzy na mnie. Czuć od niej zgniłym zapachem brudnych, tygodniami niepranych ubrań, w dodatku przemoczonych, zalatuje odorem niemytego ciała. Pielucha Ruby wydziela ohydny smród. Rozglądam się po ulicy i zastanawiam, gdzie Willow korzysta z łazienki. Pracownicy okolicznych barów i restauracji przepędziliby ją jak bezdomnego kota, co przynosi pecha. Nieraz widywałam naklejki na szybach lokali: „Brak wstępu do toalety”. Myślę o parku za następną przecznicą. Czy jest tam toaleta publiczna, choćby najprostsza, przenośna?

- Willow - zaczynam jeszcze raz, siadając obok niej na chodniku. Przygląda mi się uważnie z dużą dawką nieufności i odsuwa się odrobinę, ściskając mocniej papierową torebkę, w której zostały jeszcze okruchy ciastek, na wypadek, gdybym chciała jej ją zabrać. - Willow, czy dasz mi potrzymać Ruby? - odważam się w końcu zapytać.

Och, jak pragnę wziąć to dziecko na rękę, poczuć jego słodki ciężar! Dobrze pamiętam cudowny zapach małego ciała Zoe, mieszaninę mleka i pudrowej zasyпки, kwaskowy i jak się zastanowić, niezbyt przyjemny, ale tak bardzo wytęskniony. Spodziewam się usłyszeć stanowcze „nie” i jestem zaskoczona, że Willow po chwili podaje mi małą. Nie dzieje się to automatycznie, o nie. Najpierw badawczo mi się przygląda, jakby pytała: Kim właściwie jest ta kobieta i czego chce?”. Potem jednak

nabiera zaufania i kładzie mi dziecko na kolanach, wdzięczna, że choć na chwilę może się pozbyć kilkukilogramowego ciężaru, który musiała dźwigać przez całą noc. Willow rozluźnia się, osuwa na schodku, opiera o szklane drzwi do sklepu.

Na moich rękach Ruby się uspokaja. Nie ma to oczywiście nic wspólnego ze mną, lecz raczej ze zmianą pozycji, innymi oczami, w które można spojrzeć, uśmiechem. Składam parasol i wstaję, przed deszczem chroni mnie do pewnego stopnia granatowa markiza nad wejściem do sklepu. Kołyszę się z dzieckiem na rękach, łagodnie i powoli, nucąc cicho. Przypominam sobie długie godziny spędzone w bujanym fotelu z malutką Zoe w objęciach, która nie chciała zasnąć w łóżeczku w miękkiej jasnofioletowej pościeli z adamaszku, i zmęczona płaczem usypiała mi na kolanach.

Pielucha Ruby waży pewnie z pięć kilo. Mała jest kompletnie mokra, mocz i rzadki kał przesączają się przez śpioszki i kombinezon na mój płaszcz. Kombinezon, niegdyś biały, z kolorowym napisem „Młodsza Siostra”, jest poplamiony śliną i wymiocinami, mlecznobiałymi i ciemnożółtymi. Dziecko wydaje mi się zanadto rozgrzane, czółko jest bardzo gorące, policzki płoną. Musi mieć wysoką gorączkę.

- Czy Ruby ma siostrę? - pytam, przykładając grzbiet dłoni do czoła małej i próbując zmierzyć w ten sposób jej temperaturę. Trzydzieści osiem, może trzydzieści dziewięć stopni. Nie chcę niepokoić Willow, więc staram się zagadywać, żeby nie spostrzegła, jak zbliżam wargi do rozpalonego czółka. Chyba nie więcej, na Boga?

- Co? - dziwi się Willow i blednie, więc pokazuję kolorowy napis na ubranku.

Obok nas przejeżdża rowerzysta, rozchlapując głębokie kałuże, a Willow omiata go wzrokiem, te czarne rowerowe spodenki, czerwoną wiatrówkę, szary kask, umięśnione łydki, pióropusze wody wystrzeliwujące spod wąskich opon.

- Dostałam go w sklepie dobroczynnym - bąka, nie patrząc na mnie.

- No jasne - mówię. Oczywiście, myślę. Gdzie niby miałyby się podziąć ta siostra?

Czubkiem palca głaszczę Ruby po policzku, po gładkiej jak aksamit

skórce, i patrzę w jej niewinne oczy. Mała chwyta pulchną piąstką mój palec, małe kostki i ściągnę niki pod warstwą dziecięcego tłuszczu. Jedyny okres w życiu, kiedy tłuszcz jest tak podziwiany i śliczny. Wkłada paluszek do buzi i zapamiętała go sobie.

- Wydaje mi się, że jest głodna - mówię z nadzieją.

- Nie - ucina Willow. - Próbowałam. Nie chce jeść.

- Mogłabym spróbować - sugeruję, a po chwili dodaje: - Wiem, że jesteś zmęczona. - Nie chcę sprawiać wrażenia, że Willow sobie nie radzi i powinnam ją zastąpić w roli matki. Za nic nie chciałam jej urazić. Wiem jednak, że niemowlęta czasem trudniej zrozumieć niż dwunastoletnie dziewczynki, potrafią być bardziej skomplikowane niż polityka zagraniczna i algebra. Krzyczą o butelkę, potem nie chcą butelki. Często płaczą absolutnie bez powodu. Jednego dnia pochłaniają z apetytem purée z zielonego groszku, drugiego nie chcą go tknąć. - Ale zrobimy, jak uznasz - zapewniam.

- Wszystko mi jedno - mruczy i obojętnie wzrusza ramionami. Podaje mi jedyną butelkę, jaką posiada, wypełnioną w trzech czwartych pokarmem dla niemowląt, o świecie rozrobionym z wodą. Pokarm się zwarzył i choć wiem, że Willow spodziewa się, że wetknie dziecku smoczek do szeroko otwartej buzi, nie jestem w stanie tego zrobić. Moje wahanie sprawia, że Ruby wybucha płaczem.

- Willow - staram się przekrzyczeć wrzask dziecka.

- Hm? - Upija łyk kawy i krzywi się, bo jest zbyt gorąca.

- Może wypłuczę tę butelkę? Rozrobię nową porcję?

Oczywiście pamiętam doskonale, że pokarm dla niemowląt jest przeraźliwie drogi. Krzywiłam się za każdym razem, jeśli Zoe nie opróżniła butelki do końca. Kiedy ją urodziłam, wyznawałam niezachwianą wiarę w karmienie piersią. Przez pierwsze siedem miesięcy wyłącznie w taki sposób karmiłam Zoe. Planowałam wytrzymać co najmniej przez rok, ale potem trochę się zmieniło. Z początku razem z lekarzem przypisywałam ból piersi skutkom porodu. Traktowałam go jako coś zwyczajnego.

Ale było zupełnie inaczej.

Byłam znów w ciąży, tym razem z Juliet, chociaż nie sposób było wtedy

jeszcze określić płci płodu.

Nie upłynęło sześć tygodni od poczęcia, gdy zaczęły się krwawienia. Serduszko Juliet pompowało już krew i zaczynały się wykształcać rysy twarzy. Z maleńkiego ciała wyrastały zaczątki rączek i nóżek. Nie miałam poronienia, byłoby to przecież za łatwe, za proste, gdyby zwyczajnie umarła.

To ja musiałam podjąć decyzję o zakończeniu życia mojej Juliet.

Willow obrzuca mnie spojrzeniem, którego nie potrafię odczytać. Nieufność i powątpiewanie, ale także ogromne zmęczenie, tak wielkie, że niewiele ją to wszystko obchodzi. Grupka dziewcząt, studentek w wiatrówkach i flanelowych spodniach, z parasolkami w rękach, przechodzi obok nas zbита w ciasną gromadkę, chichocząc, wspomina wyczyny ubiegłej nocy. Mimo woli słyszę pojedyncze słowa: „dżungla”, „sok”, „różowe majtki”, „szaleństwo”. Spoglądam na swój dość dziwny strój i kręcę głową.

- Wszystko mi jedno - powtarza, wiodąc wzrokiem za dziewczynami, dopóki nie znikną za rogiem.

Przez chwilę towarzyszy nam ich śmiech.

Podaję dziecko Willow, otwieram parasol i biegnę do najbliższej drogerii, gdzie biorę z półki butelkę wody i dropsy z acetaminofenem. Pomogą zmniejszyć gorączkę.

Wracam do naszej kryjówki i wylewam pokarm z butelki prosto na ulicę. Strugi deszczu błyskawicznie zmywają ciecz do rynsztoka. Płuczę butelkę i przygotowuję nową porcję pokarmu. Willow oddaje mi Ruby. Wkładam smoczek w rozdziawione z oczekiwaniem usteczka, mając nadzieję, że dziecko wreszcie przestanie płakać, ale wypluwa go z przerażoną miną, jakbym podała śmiertelną truciznę.

I zanosi się przeraźliwym krzykiem.

- Ciii... ciii... - szepczę błagalnym tonem, podrzucając małą, i już zmęczona, już sfrustrowana przypominam sobie, że Willow robiła tak przez całą noc. Do świtu. Zupełnie sama. Zziębnięta. Głodna. Może przestraszona? Błyska się w oddali i zaczynam liczyć:

- Raz... dwa... trzy.

Nieopodal uderza piorun, gniewnie i głośno. Willow z niespokojnym

szarpnięciem podnosi głowę, szukając na niebie niepokojących oznak. Widząc jej rozszerzone oczy, uświadamiam sobie, że się boi. Boi się pioruna jak każde dziecko.

- Nic się nie stało - słyszę swój spokojny głos i natychmiast przypominam sobie, jak do niedawna musiałam pocieszać Zoe w czasie burzy. - Nie bój się, to tylko zagrzmiało. Nic ci się nie stanie. Nic a nic. - Czuję na sobie wzrok Willow, ale znów nie potrafię go rozszyfrować.

Jestem przemoczona do suchej nitki, podobnie jak Willow i Ruby. Właścicielka sklepu ma czelność zastukać w szybę i gestem kazać nam odejść. Proszę stąd iść - czytamy z ruchu jej warg.

- I co teraz? - pytam na głos samą siebie.

- Jutro będzie nowy dzień - odpowiada szeptem Willow - w którym jeszcze nie zrobiło się żadnych błędów.

- „Ania z Zielonego Wzgórza”? - pytam domyślnie.

- Tak - szepcze.

- Twoja ulubiona powieść?

Potwierdza skinieniem.

Ociągam się z odejściem, z wyciągnięciem Willow i jej skórzanej walizki spod osłony markizy na ulewny deszcz.

- Kupiłam tę książkę - wyznaję - wczoraj po drodze z pracy do domu. Nie czytałam jej w młodości, ale chciałam przeczytać razem z moją córką. Niestety, za szybko dorosła. - Zanim się obejrzałam, dziewczynka, której czytałam bajki przed snem, stała się za duża, żeby czytać razem z mamą, bo co pomyślą o niej koleżanki? To przecież obciachowe, a przynajmniej tak sądzi Zoe.

Przemyka mi przez głowę, jak to się dzieje w takich chwilach: czy gdybym mogła cofnąć czas, to postępowałabym inaczej? Gdyby Zoe znów była maluchem, czy traktowałabym ją inaczej? Czy Zoe byłaby inna? Czy gdyby miała siostrę, to by coś zmieniło?

Są to próżne i jałowe pytania, skoro jedno jest pewne - oboje z Chrisem nie możemy mieć więcej dzieci.

- Czy mama czytała ci „Anię z Zielonego Wzgórza”? - pytam w nadziei, że dowiem się od niej czegoś więcej na temat jej życia.

- Matthew - odpowiada z ociąganiem.

- Matthew? - powtarzam zachęcająco, obawiając się, że wyznania skończą się na tym jednym słowie.

Ale ku mojemu zdziwieniu Willow mówi dalej, kryjąc twarz za firaną czarnych kosmyków. Nieopodal drozd poluje na robaki. Pierwsza oznaka wiosny. Na drzewach wzdłuż ulicy pęcznieją pąki, na grząskich trawnikach widać łebki żółtych i niebieskich krokusów.

- Matthew, mój... - urywa i dopiero po chwili kończy - ...brat.

Kiwam głową, ale serce bije mi mocniej. Pierwszy kawałek układanki. Willow ma brata imieniem Matthew. Nie jest jedynaczką. Ma brata, który czytał jej „Anię z Zielonego Wzgórza”.

- Twój brat czytał „Anię z Zielonego Wzgórza”? - pytam, starając się nie okazać zdziwienia, bo nie jest to powieść dla chłopców, lecz raczej dla matki i córki. Mam ochotę zapytać ją o matkę, o to, dlaczego nie czytała razem z nią tej pięknej książki. Brak mi jednak odwagi, więc milczę.

- Tak.

Widzę, że na wspomnienie o bracie ogarnia ją tęsknota. Matthew. Smutnieje, żałośnie wzdycha.

Ciekawe, gdzie on teraz się podziewa i jakim jest człowiekiem.

Mrożące krew w żyłach wrzaski Ruby każą mi wreszcie przypomnieć sobie o dropsach z acetaminofenem. Zaczynam lekkim tonem:

- Ruby ma chyba gorączkę. Kupiłam w drogerii tylenol. Przypuszczam, że może jej pomóc. - Podaję Willow pudełko, by się przekonała, że nie próbuję jej oszukać.

Patrzy na mnie zaniepokojona i pyta głosem przestraszonego dziecka, czy mała jest chora.

- Tego nie wiem.

Ale widzę, że dziecko jest w opłakanym stanie, zaślinione, zasmarkane. Willow zgadza się podać tylenol, więc czytam dawkowanie i sposób użycia. Trzyma Ruby, ja zaś wkraplam do jej buzi lekarstwo o owocowym smaku. Ruby na chwilę się uspokaja i cmoka wargami. Syropek jest smaczny. Czekamy, aż lek zacznie działać i dziecko przestanie płakać. Czekamy i rozmyślamy. Rozmyślamy i czekamy. Czekamy i rozmyślamy. Rozmyślamy i czekamy.

Co zrobię, jeśli Ruby przestanie wreszcie płakać? Pożegnaj się i wrócę do domu? Zostawię matkę i dziecko na deszczu, na ulicy?

Z brudną, mokrą od biegunki i moczu pieluchą, zaczerwienionymi, bolesnymi odparzeniami na pośladkach i genitaliach (jestem pewna, że taki widok odsłoni się po zdjęciu zużytej pieluchy). Sama zanosiłabym się płaczem, gdyby mnie to spotkało.

- Kiedy mała była ostatnio u lekarza? - pytam.

- Nie wiem - bąka Willow.

- Nie wiesz? - powtarzam zdziwiona.

- Nie pamiętam - poprawia się.

- Mogłybyśmy pokazać ją lekarzowi.

- Nie.

- Zapłacę za wizytę. I za lekarstwa.

- Nie.

- No to schronisko. Ochrona przed deszczem i zimmem. Można się wyspać w nocy.

- Nie chodzę do schronisk - powtarza to, co słyszałam już wczoraj w barze. Cedzi pojedyncze słowa, żebym to w końcu pojęła: - Nie. Chodzę. Do. Schronisk.

Trudno ją za to winić. Długo bym się namyślała, nim podjęłabym decyzję o skorzystaniu ze schroniska dla bezdomnych. Te miejsca bywają bardzo niebezpieczne, roi się tam od zdesperowanych mężczyzn i kobiet, których okoliczności zmieniają w agresywnych drapieżców. Można się zarazić ciężkimi chorobami: gruźlicą, zapaleniem wątroby lub HIV. Czasami bezdomnym nie wolno wnosić do środka rzeczy osobistych, co oznacza, że Willow musiałaby porzucić skórzaną walizkę i skarby, które w niej chowa. W schroniskach są narkotyki, narkomani i dilerzy, są wszy i pchły, złodzieje, którzy ukradną ci buty w czasie snu. A jednak gdy jest zimno, przed schroniskami ustawiają się kolejki chętnych i nie każdy znajduje dla siebie wolne łóżko.

- Willow - zaczynam. Tyle mam jej do powiedzenia, ale mój głos zagłusza pociąg, przejeżdżający po torach nad naszymi głowami. Dopiero kiedy huk milknie, ciągnę dalej: - Nie możesz tu dłużej zostać. Ruby potrzebuje różnych rzeczy. Ty też ich potrzebujesz.

Patrzy na mnie chabrowymi oczami, rozmazane resztki makijażu podkreślają sine worki pod powiekami.

- Myśli pani, że chcę żyć na ulicy? - pyta z goryczą. - Po prostu nie mam dokąd iść.

CHRIS

Drzwi do mieszkania otwierają się nagle i stają w nich dwa zmokłe szczury. Heidi trzyma na ręku dziecko, od którego zawiewa smrodem znacznie gorszym niż od dziewczyny. Przecieram oczy, pewien, że mam halucynacje, bo przecież moja Heidi, moja prawdziwa nigdy nie sprowadziłaby do nas bezdomnej, do mieszkania, w którym żyje i oddycha jej własna córka. Dziewczyna to ulicznica niewiele starsza od Zoe. Unika mojego wzroku, kiedy Heidi przedstawia ją jako Willow, a ja swobodnym tonem odpowiadam (nie chcę mieć zbyt głupiej miny, takiej jak wtedy, gdy zjawia się prowadzący program i wyjawia: Właśnie wzięłeś udział w kolejnym odcinku „Ukrytej kamery”), że mam na imię Chris.

- Willow zostanie dzisiaj z nami - ogłasza Heidi jak gdyby nigdy nic.

I tak samo jak wtedy, z kociętami ze śmietnika, jestem zbyt ogłuszony, żeby coś odpowiedzieć, a zresztą nikt nie czeka na wyrażenie przeze mnie opinii w tej kwestii. Heidi zaprasza dziewczynę dalej i proponuje, żeby zdjęła ciężkie buciory, a kiedy ona to robi, z butów wylewają się na podłogę litry wody. Bezdomna nie ma skarpetek, bose stopy są spuchnięte i zaczerwienione, pokryte pęcherzami. Krzywię się mimowolnie, a oczy dziewczyny i Heidi wędrują za moim wzrokiem. Wiem, że moja żona już myśli, czym posmarować te stopy, ale ja zastanawiam się, czy nie jest to aby zaraźliwe.

Z pokoju wychodzi Zoe, zaczyna:

- Co tu się... - i gwałtownie urywa.

Mam ochotę dokończyć za nią pytanie: „Co tu się, kurwa, dzieje? Co ty sobie wyobrażasz, droga Heidi?”. Ale żona już przedstawia dziewczynę naszej córce, która gapi się na nią jak cielę na malowane wrota, po czym bezradnie przenosi wzrok na mnie. Wzruszam ramionami, nie umiem niczego wyjaśnić.

Dziewczyna wpatruje się w ekran telewizora, na którym trwa mecz

Chicago Bulls z Detroit Pistons.

- Lubisz koszykówkę? - słyszę swój głos.

- Nie - mamrocze, ale nie odrywa oczu od ekranu, jakby nigdy dotąd nie widziała takiego urządzenia.

Gdy mówi, czuję jej cuchnący oddech wywołany odorem gnijących w ustach bakterii. Ciekaw jestem, kiedy ostatnio szorowała zęby. Zresztą cała śmierdzi, więc podchodzę do okna i uchylam je nieco, na co Heidi posyła mi mordercze spojrzenie.

- No co? Trochę tu duszno, trzeba przewietrzyć - bronię się, w nadziei że to coś pomoże.

Dziewczyna przejawia zdenerwowanie jak kot zapędzony do kąta, strzela oczami tu i tam. Najchętniej ukryłaby się w mysiej dziurze.

Nie umiem orzec, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze: ta obca dziewczyna w naszym domu czy może Heidi z dzieckiem na rękę, które tuli jak własne, podtrzymując mu główkę ramieniem i z błogą miną delikatnie kołysząc się wraz z nim. Gdy telewizor milknie na chwilę tuż przed blokiem reklam, słyszę jej cichutkie nucenie.

- Idę do siebie - oświadcza Zoe i wychodzi, zatraskując za sobą drzwi.

- Nie przejmuj się nią - przeprasza dziewczynę Heidi. - Ma dopiero dwanaście lat.

- Nie lubi mnie - zgaduje Willow.

O tak, masz rację, myślę, nie lubi.

- Nie, nie... - zaprzecza Heidi. - Ona po prostu... - szuka stosownego wytłumaczenia, ale go nie znajduje. - Nie cierpi wszystkiego. - Łącznie z naszym gościem, dodaję złośliwie w duchu. - Możesz zająć ten pokój - ciągnie, prowadząc dziewczynę do mojego biura, w którym stoi elegancka rozkładana kanapa ze skóry przeznaczona dla gości. Obserwuję od progu, jak Heidi podaje dziewczynie dziecko, po czym zbiera z kanapy papiery i z trzaskiem kładzie je na biurku.

- Heidi - zagajam, ale nie odpowiada, zajęta zdejmowaniem poduch z kanapy.

- Potrzeba ci - zwraca się do dziewczyny, która sterczy niezgrabnie z dzieckiem i walizką, równie skrępowana jak ja - odpoczynku i snu.

I porządnego posiłku. Czy lubisz kurczaka? Zrobimy potrawkę. Albo nie, lepiej mięso z warzywami w cieście. Bardzo smaczna potrawa. Chętnie zjesz, prawda?

W głowie mam tylko jedną myśl: przecież jesteśmy wegetarianami. Gdzież to moja żona przez cały ten czas chowała kurczaka?

W pośpiechu Heidi strąca na podłogę plik wydruków z Excela i mój ulubiony kalkulator. Tracę cierpliwość i przepycham się do pokoju, po czym zbieram jeden po drugim wydruki. Dziewczyna schyla się i podnosi kalkulator. Zanim mi go poda, przesuwa lekko opuszkami palców po przyciskach.

- Dzięki - mamrocze i powtarzam: - Heidi.

Tym razem nie udaje, że nie słyszy, tylko przeciska się obok mnie bez słowa, zostawiając samego z dziewczyną na długie dwadzieścia sekund, i idzie do bieliźniarki po zmianę pościeli. Zabieram laptop, odłączam drukarkę od gniazdka i taszcze oba ciężkie urządzenia, potykając się o zwisający kabel. Dziewczyna ukradkiem mnie obserwuje. W drzwiach mijam żonę.

- Heidi - warczę z naciskiem, a kiedy spogląda na mnie, dodaję rozeźlony: - Muszę z tobą pogadać. Teraz!

Heidi odkłada pościel i wychodzi za mną z pokoju z urażoną miną.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? - syczę, kiedy idziemy wąskim korytarzem. - Sprowadzasz tę dziewczynę do naszego domu! - Drukarka jest tak ciężka, że tracę równowagę i zataczam się na ścianę, ale Heidi nie proponuje pomocy.

- Ona nie ma dokąd pójść, Chris - tłumaczy, stojąc przede mną w tym okropnym fioletowym szlafroku, z włosami przylizanymi od deszczu. Oczy błyszczą gorączkowo, zupełnie jak wtedy, gdy jakieś dwanaście lat temu wróciłem z pracy do domu i zastałem ją w oświetlonym świecami salonie, nagusienką, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni. Château Saint-Pierre za dziesięć dolarów, które trzymaliśmy na specjalne okazje.

- Jak długo zostanie? - pytam.

- Nie wiem. - Wzruszenie ramion.

- Jeden dzień, tydzień? Jak długo, Heidi? - podnoszę głos. - Co? No powiedz!

- Dziecko ma gorączkę.
- Więc idźcie do lekarza.
- Ona nie chce - mruczy Heidi.

Docieram do mojego nowego biura i stawiam sprzęt na kuchennym stole. Wyrzucam ramiona w górę w desperackim geście.

- A kogo, do diabła, obchodzi, czego ona chce? To jakaś smarkula. Pewnie uciekła z domu. Udzielamy pomocy uciekinierce. Masz w ogóle pojęcie, jakie grożą nam za to konsekwencje? - pytam poirytowany. Wyjmuję z szuflady książkę telefoniczną i zaczynam szukać numeru najbliższego posterunku policji. A może powinienem zadzwonić na numer alarmowy? Obca dziewczyna w mieszkaniu. Według mnie to naruszenie miru domowego.

- Ona ma osiemnaście lat - mówi Heidi.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi - odpowiada głupawo.

- Akurat, wcale nie ma osiemnastu lat! - zapewniam z politowaniem. - Trzeba to zgłosić odpowiednim władzom.

- Nie możemy tego zrobić, Chris - mówi Heidi, odbierając mi spis telefonów. Zatrząskuje go z takim impetem, że zagniata przy tym stronicę. - Skąd wiesz, czy nie została pobita? Może była molestowana? Jeśli nawet uciekła z domu, to musiała mieć poważny powód.

- Tak czy owak, należy to zgłosić. Niech problem rozwiążą powołane do tego władze. Nie musisz się tym zajmować.

Co ja gadam. Jest wręcz przeciwnie. Każde porzucone, zaniedbane, ignorowane, zapomniane, bite, bezdomne boże stworzenie na Ziemi wymaga uwagi Heidi.

Wiem o tym i wiem też, że nie wygram.

- Skąd wiesz, że nas nie pozabija? - Uważam, że to dobre, uzasadnione pytanie. Już widzę nagłówki w gazetach:

Rodzina z kamienicy w Lincoln Park ofiarą brutalnej zbrodni!

W tym momencie dziewczyna staje w drzwiach gabinetu i przygląda się nam przez korytarz. Z niebieskich, nabiegłych krwią oczu wyziera zmęczenie. Brudne kosmyki zasłaniają twarz, wargi zaciśnięte w wąską kreskę. Fioletowo-żółty siniec na czole podkreśla obawy Heidi.

- Mogłabym zapytać o to samo - mruczy, wodząc wzrokiem po ścianach i suficie. - Kiedy się lękam, pokładam wiarę w tobie.

Nabieram stuprocentowej pewności, że za moment z klatki schodowej wyskoczy roześmiany od ucha do ucha Peter Funt z kamerzystą.

- We mnie? - pytam głupawo kompletnie oszołomiony.

- W Panu - poprawia mnie dziewczyna, a Heidi patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby wyrosły mi rogi i ogon.

Potem odwraca się na pięcie i woła do dziewczyny:

- Napuszczę gorącej wody do wanny! Będziesz się mogła wymoczyć, a ja zajmę się Ruby. Poczujesz się zupełnie inaczej, jak się umyjesz i włożysz czyste ubranie. I przede wszystkim suche. Jestem pewna, że nosisz ten sam rozmiar co Zoe. Chętnie pożyczę ci coś ze swoich ubrań.

Pieprzenie, myślę. Zoe nie ma ochoty oddychać tym samym powietrzem co ta bezdomna, nie mówiąc o pożyczaniu czegokolwiek. Z pokoju Zoe dochodzi jej ulubiona muzyka puszczone na cały regulator.

Heidi bierze dziecko na ręce i prowadzi dziewczynę do łazienki.

Kiedy drzwi się za nimi zamykają, rzucam się do przetrząsania szafek w poszukiwaniu lizolu w sprayu.

WILLOW

Moje wspomnienia o mamie niemal całkiem już zblakły. Nie ma zdjęć, na których byłoby widać jej długie czarne włosy, gładką śniadą cerę, śliczne niebieskie oczy. Joseph o to zadbał. Powiedział, że nie mogę wciąż żyć przeszłością. Stał w moim pokoju, gdzie strasznie ciągnęło od okien, przez co w zimie nigdy nie było tam ciepło, za to w lecie zawsze za gorąco, a ze ścian odłaziła brzydka tapeta w kwiatki. Od czasu do czasu pojawiają się w mojej pamięci okruchy wspomnień. Wspomnień o mamie. Jej profil w łazienkowym lustrze, kiedy strzygła włosy pani Dahl. Chichot, kiedy oglądała telewizję. To, jak opala się rozciągnięta na poobijanym plastikowym leżaku na wyschniętym trawniku, a ja szukam robaków, grzebiąc w ziemi. Gotuje w kuchni z przepisu z wypożyczonej w bibliotece publicznej książki kucharskiej i właśnie poplamiała sobie przód białej bluzki musztardą z Dijon. Zaśmiewa się z tego.

Patrzyłam, jak Joseph rozdiera na pół fotografie, które mi z tamtych czasów zostały. A potem drze je na małe, maluskie kawałeczki, żebym nigdy nie mogła ich skleić. Kazał mi pozbierać te strzępki z podłogi. Kazał pójść z nimi do przepelnionego śmietnika - chłopaki na to patrzyli - a potem odesłał mnie do pokoju. Jakbym to ja nabrudziła.

- Nie chcę słyszeć ani słowa skargi, rozumiesz? - zagroził, górując nade mną - dwumetrowy olbrzym - z tą swoją ryżą brodą i poważnymi, bystrymi jak u jastrzębia oczami. - Proś Boga o wybaczenie - dodał jeszcze.

Jakby miłość do mamy była grzechem.

Po tym incydencie wspomnienia o mamie stały się rozproszone i nigdy nie miałam pewności, czy są prawdziwe, czy nie, musiałam się nad każdym zastanawiać. Czy naprawdę pamiętam jej śmiech albo dotyk palców, gdy przeczesywała moje myszowate włosy? Leżałam w łóżku pod kołdrą i wysilałam mózg, by przypomnieć sobie najmniejszy okruch wspomnień i dzięki temu jakoś przetrwać noc. Kształt nosa mamy, czy

miała piegi, jakim tonem mówiła moje imię.

- Jak zmarli twoi rodzice? - pyta mnie ona. Louise Flores. Zdejmuje granatowy żakiet, składa go starannie na dwoje, jak kartkę z życzeniami, i kładzie na stole obok magnetofonu i stopera.

- Przecież pani to wie - odpowiadam.

W kącie stoi strażnik i pilnuje, chociaż stara się udawać, że go nie ma. Powiedziała, że nie muszę odpowiadać na pytania, przynajmniej na razie. Mogę poczekać na pannę Amber Adler albo mojego adwokata. Wyobrażam sobie jednak rozczarowane spojrzenie panny Adler, kiedy wchodzi do pomieszczenia, i wiem, że lepiej szybko się przyznać, zanim tu przyjedzie.

- Wolę usłyszeć od ciebie - mówi srebrnosiwa kobieta, mimo że jestem pewna, iż ma tę informację w swoich dokumentach. O starym datsunie mamy. O wypadku z dachowaniem, jak ktoś mi powiedział, na autostradzie stanowej 80, zaraz za Ogallalą. Świadkowie twierdzili, że samochód zygzakiem zjechał z szosy. Tata musiał stracić panowanie nad kierownicą i zbyt gwałtownie ją wyprostować, przez co pojazd wpadł w poślizg. Wyobrażam sobie, jak stary datsun dachuje z mamą i tatą w środku.

Ja i Lily byłyśmy wtedy w domu. Same. Nigdy nie zostawała z nami opiekunka. Mama miała do mnie zaufanie, że zaopiekuję się siostrą, nawet gdy miałam ledwie osiem lat. Radziłam sobie całkiem nieźle, potrafiłam zmienić pieluchę, położyć Lily do łóżka. Kroiłam jej jabłka i marchew na malutkie kęsy, żeby się nie zakrztusiła, tak kazała mi mama. Zasuwę trzymałam zawsze zamkniętą i nikomu nie otwierałam drzwi, nawet pani Grass, wścibskiej sąsiadce, która wiecznie chciała pożyczać od nas jajka i mleko. Kiedy mama i tata wychodzili z domu, oglądałyśmy z Lily w telewizji „Ulicę Sezamkową”, nasz ulubiony program. Lily najbardziej lubiła wielkiego starego mamuta Snuffy’ego, który ją śmieszył. Leżała obok mnie na podłodze, na wytartej zielonej wykładzinie przypominającej mamucie futro, pokazywała go palcem i chichotała.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mama często zostawiała mnie samą z Lily. Czasami jednak „dorośli muszą się zająć swoimi sprawami”,

powiadała. Tak też mi powiedziała tamtego ranka, wytknąwszy głowę z datsuna, gdy tata usiadł za kierownicą, a po chwili wyjechał z podwórka. Wiatr zakrył włosami jej twarz, ale wyraźnie usłyszałam:

- Opiekuj się Lily. - I jeszcze coś, że „kocham” i „was obie”. Kocham cię, jak pszczołka kocha miód. Jak masło orzechowe kocha dżem. Jak ryba kocha wodę.

Mama prosiła, żebym dobrze zaopiekowała się Lily. To były jej ostatnie słowa do mnie i moje ostatnie wspomnienie: jej głowa wytknięta z bocznej szyby poobijanego datsuna, wiatr rozwiewający długie czarne włosy.

- Opiekuj się Lily.

Taki miałam zamiar.

Ale potem, zupełnie nagle, Lily także odeszła.

HEIDI

Najpierw kąpiemy Ruby. Do wanny nalewam wodę wystarczająco ciepłą, ale niezbyt gorącą, odpowiednią dla wrażliwej skóry niemowlęcia. Chcę opuścić łazienkę, aby dać Willow trochę prywatności, ale odwraca się do mnie i prosi cichym, znużonym głosem, żebym jej pomogła. Zgadzam się z radością i biorę dziecko na ręce, a Willow polewa je ostrożnie garściami letniej wody. Trzymając śliskie ciało Ruby w rękach, rozmyślam o Juliet, wiedząc, że nie opłakiwałam straty tylko jednego dziecka, ale wszystkich, których już nie urodzę. W swoim czasie spędzałam długie godziny na rozmyślaniu o Juliet i zastanawianiu się, jaka by była, gdyby udało mi się szczęśliwie donosić ciążę. Czy miałyby jasne, rzadkie włoski jak Zoe, kiedy ją urodziłam, czy może ciemne i gęste jak u małego Chrisa, o czym mówiła mi jego matka.

Już od dawna nie pozwalałam sobie na wspomnienia o nienarodzonej Juliet. Teraz jednak zjawiała się w moim umyśle, nie prosząc o pozwolenie, i przypomniawszy mi o dzieciach, których nigdy nie będę miała. Juliet, szepnęłam w duchu. Juliet Wood. Miałyby teraz jedenaście lat. I mały zastęp młodszego rodzeństwa, co dwa lata jak w zegarku, Sophia, Alexis i malutki Zach.

Ruby piszczy i wracam do rzeczywistości, do tego, co tu i teraz. Patrzę, jak strużki wody ściekają po rękawach kurtki Willow, zmieniając kolor khaki na czarny. Zaproponowałam, żeby zdjęła kurtkę, zanim zanurzy ręce w wannie, ale odmówiła. Pokryte odciskami dłonie drżą, kiedy rozciera w zagłębieniach waniliowy płyn do kąpieli i delikatnie rozprowadza pianę na główce i ciałku dziecka. Ruby ma liczne zaczerwienienia i odparzenia na skórze, nie tylko w okolicy pośladków, lecz także pod paszkami i wszędzie tam, gdzie tworzą się fałdki. W okolicy odbytu dostrzegam infekcję drożdżakową, białawą skorupę na brzegu zaczerwienienia. W myśli sporządzam listę niezbędnych zakupów: krem na pieluszkowe zapalenie skóry, krem clotrimazolum,

płyn do kąpielni dla niemowląt. Willow nie ma zapasowych pieluch, więc po kąpielni zawijam Ruby w ręcznik z bawełny organicznej i zapinam końce na agrafki. Do listy dopisuję pieluchy i nawilżane chusteczki.

Chcę wynieść dziecko z łazienki, żeby Willow mogła się wykąpać, ale mnie zatrzymuje. Widzę, że nie chce spuścić małej z oczu. Nie ufa mi. Jeszcze nie teraz. Dociera do mnie, że nie ma się czemu dziwić, przecież jestem dla niej obcą osobą. Czyż sama nie powstrzymałam pielęgniarki przed zabraniem Zoe z sali porodowej, kiedy lekarz zalecił mi odpoczynek?

Choć nie pragnę niczego więcej, jak tylko przygotować butelkę z pokarmem dla Ruby, i siedząc w pokoju wypoczynkowym, trzymać ją na kolanach, dopóki nie zaśnie, rozkładam ręcznik na wyłożonej kaflami podłodze i kładę na nim dziecko zajęte ssaniem dużego palca u nogi. Ociągam się z wyjściem jeszcze przez sekundę, obserwując, jak maluszek niczym wprawny gimnastyk zakłada sobie to jedną, to drugą nóżkę za głowę.

Willow zamyka za mną drzwi na zamek. Stoję w korytarzu oparta ręką o ścianę i próbuję oddychać. Widzę, że Chris siedzi przy stole w kuchni i wali w klawisze laptopa. Drukarka jest podłączona do gniazdka w ścianie, skąd ciągnie się brzydki czarny kabel.

Zagrożenie bezpieczeństwa.

Nie ośmielam się mu tego powiedzieć. Stykamy się wzrokiem i po raz kolejny mogę się upewnić, że Chris nie pochwała mojej decyzji. Potrząsa głową z niechęcią, po czym wraca do gapienia się na ekran, do kolumn liczb, które wypełniają niekończące się arkusze kalkulacyjne. Dolatująca z pokoju Zoe muzyka sprawia, że ściany się trzęsą i podrygują wiszące na nich rodzinne zdjęcia. Patrzę na fotografię uśmiechniętej Zoe ze szparą między zębami, z nosem zaczerwienionym od kataru. Krzywe zęby wymagające noszenia aparatu. Zoe uwielbiała zdjęcia robione na zakończenie roku szkolnego, jedyną okazję, kiedy nie trzeba było wkładać skromnego mundurka. Kiedy była młodsza, decydowałam, co wkładała do szkoły. Najczęściej były to satynowe sukienki i wełniane swetry, czasem korsarska bandana na włosach. Z biegiem lat, kiedy moje dziecko stawało się starsze, na zdjęciach widać wyraźną zmianę.

Nie ma już żabotów i koronek, a pojawiają się bluzy z kapturem, bluzki w graficzne wzory i ciemne kamizelki, odzwierciedlające posępny charakter ich właścicielki.

Zginam palec i stukam do drzwi pokoju Zoe.

- Co? - burczy niechętnie ze środka.

Wchodzę i widzę, że siedzi na łóżku z ukochanym żółtym notesem pod ręką. Grzejnik jest włączony, ustawiony na dwadzieścia pięć stopni, mimo próśb, żeby nie nagrzewała w pokoju jak w piecu. Zresztą Zoe i tak siedzi owinięta kocem, z nadąsaną miną. Na rękach ma długie do łokci wełniane rękawiczki bez palców, czarne, naszywane cekinami.

- Czy ci zimno w ręce? - zapytałam, gdy po raz pierwszy wróciła w nich ze szkoły.

W jej wzroku zobaczyłam potwierdzenie wcześniejszych przypuszczeń: matka to kompletna idiotka.

- Czy masz pożyczyć jakieś ubranie dla Willow? - pytam, słysząc w swoim głosie obawę i lęk przed reakcją dwunastoletniej córki. - Żeby mogła włożyć, kiedy skończy się kąpać... - Stoję w drzwiach jak spłoszony kot.

- Chyba żartujesz - cedzi Zoe i sięga po komórkę. Zaczyna pisać SMS-a, szybko biegając kciukami po klawiaturze. Wyobrażam sobie, jakie wieści właśnie wysyła do Taylor.

- Nie możesz... - rzucam i doskakuję do niej, żeby jej zabrać aparat. Wyrwam jej go z ręki i widzę serię niezrozumiałych skrótów. J2LYK.

- Zostaw! - ryczy Zoe i rzuca się do mnie, żeby zrobić to samo.

- Chwileczkę. Ja i tata płacimy twoje rachunki - przypominam chłodno. Stoję obok łóżka z komórką za plecami. Taka była umowa. Zoe wolno posiadać telefon pod warunkiem, że oboje z Chrisem będziemy mieli wgląd w jej SMS-y.

Zoe patrzy na mnie z taką miną, jakbym uderzyła ją w twarz.

- Oddawaj - żąda, wpatrując się we mnie oczami wielkimi jak spodki, które zawsze wydawały mi się smutne. Wyciąga rękę, palce ma poplamione tuszem. Och, jak bardzo pragnę spełnić jej prośbę, żeby przestała się wściekać! Dostrzegam rumieniec gniewu i wiem, że moje dziecko gotuje się z nienawiści. Nienawiści do mnie.

Nikt nie mówił, że macierzyństwo to łatwa sprawa.

Tęsknię za czasami, kiedy z Zoe na kolanach kołysałam się w bujanym fotelu przy oknie, tak długo, dopóki nie zasnęła. Potem nie przerywałam bujania, cichutko nucąc kołysanki i obserwując, jak rozpalona tarcza słońca niknie za horyzontem.

Z okna pokoju Zoe patrzę na sylwetę miasta, częściowo skrytą za chmurami. Z piątego piętra naszej kamienicy rozciąga się widok na dachy niższych budynków, a na południu widać Loop. Właśnie dlatego przed czternastoma laty postanowiliśmy z Chrisem kupić to mieszkanie. Oczarował nas widok z okien. Loop od południa, fragment jeziora Michigan od wschodu. Nie próbowaliśmy się targować, lecz zapłaciliśmy wyznaczoną cenę, z obawy że ktoś podkupi wymarzone mieszkanie.

- Nie wolno nam nikomu wspominać o Willow - mówię ze spokojem. - Przynajmniej na razie.

- Czyli mam okłamywać najlepszą przyjaciółkę? - wybucha oburzona Zoe.

Potakuję w duchu, jednak na głos powtarzam wcześniejsze słowa:

- Nie wolno nam nikomu o niej wspominać, Zoe. Jeszcze nie teraz.

- Ale dlaczego? Jest w programie ochrony świadków czy jak? - pyta wyzywającym tonem nadąsanej dwunastolatki.

- Czy możesz pożyczyć coś Willow z twoich ubrań? - pytam, ignorując jej komentarz. Zoe zrywa się z łóżka i biegnie do szafy. Wydaje mi się, że ma na sobie zbyt luźne spodnie, które zwisają z tyłka. - Ona nie zabawi tu długo - słyszę swój głos. - Wkrótce zabiorę cię na zakupy, wybierzesz sobie trochę nowych rzeczy - dorzucam. Była to żalсна próba zawarcia rozejmu.

- Wiem. To tylko jedna z twoich klientek - cedzi z sarkazmem Zoe.

- Niezupełnie - odpowiadam, domyślając się, że Zoe połączyła Willow z przynoszonymi przeze mnie do domu historiami bezdomnych analfabetów, z którymi zawodowo mam do czynienia. - Ta dziewczyna potrzebuje naszej pomocy. - Mam nadzieję, że uda mi się zaapelować do poczucia obowiązku mojej córki. Kiedy była młodsza, nieraz brnęła ze mną przez śnieg, żeby zanieść do schroniska dla bezdomnych samotnych matek zimowe kurtki i płaszcze, z których wyrosła, zbierała zabawki

i książki dla przewlekle chorych pacjentów szpitali dziecięcych. Napominałam ją wtedy, że nie wszyscy mają tyle szczęścia co ona, więc naszym obowiązkiem jest pomagać potrzebującym.

Zoe wyciąga z szafy parę jaskraworóżowych, ściąganych w pasie tasiemką spodni i rozpinaną koszulę w szaro-fioletowe paski.

- I tak ich nie lubię - mruczy, wciskając mi ubrania do rąk. Czyżby jednak zapomniała o pomocy tym, którzy mieli w życiu mniej szczęścia niż ona? - Są brzydkie - dorzuca złośliwie.

- To tylko na krótki czas - powtarzam i zabieram się z pokoju. Napotykam wzrok Chrisa, który podniósł głowę znad laptopa i kręci nią w milczeniu.

Kładę czyste ubrania na kanapie w gabinecie i czekam w swoim pokoju, aż Willow wyjdzie z zaparowanej łazienki, owinięta własnym niebieskim ręcznikiem, z Ruby na rękach. Na palcach skrada się do przeznaczonego dla niej pokoju i zamyka drzwi.

Przekręca klucz w zamku.

Idę do łazienki, zbieram jej rzeczy z podłogi i wkładam do pustego kosza na brudną bieliznę razem z proszkiem do prania i odplamiaczem. W kuchni wyjmuję z szuflady portmonetkę z drobnymi i informuję Chrisa, że niedługo wrócę. Z koszem pod pachą schodzę do piwnicy, gdzie znajduje się wspólna pralnia. Zanim wyjdę, Chris świdruje mnie wzrokiem i pyta, co niby ma robić z dziewczyną.

- To mi zajmie pięć minut - mówię, co nie jest odpowiedzią na jego pytanie, i wybiegam w pośpiechu, zanim się zdenerwuje.

Pralnia jest pusta. To małe pomieszczenie z kaflową posadzką, pięcioma pralkami i taką samą liczbą suszarek, które łakomie pożerają ćwierćdolarówki. Kładę śpioszki Ruby na pralce i obficie polewam odplamiaczem, potem robię to samo z kombinezonem i kocykiem z polaru. Wszystko okropnie cuchnie potem i uryną. Z kosza wyjmuję kurtkę khaki i zapinam na suwak. Boję się, że dzinsy zafarbują inne ubrania, więc odkładam je na bok, do osobnego prania. Spod swetra wyciągam kiedyś biały podkoszulek.

Zamieram.

Sprawdzam dwukrotnie, przekonując samą siebie, że z powodu

słabego oświetlenia w pralni mi się wydaje – tylko mi się wydaje – że na podkoszulku dostrzegam plamy krwi. Coś czerwonego, to pewne, ale mogą to być przecież plamy keczupu. Albo sosu barbecue. Soku z wiśni. Wącham podkoszulek, spodziewając się poczuć koncentrat pomidorowy, ocet, cokolwiek, ale czuję jedynie odór ciała. Ciała i krwi. Po raz drugi oglądam inne sztuki ubrania: podarte dżinsy, sweter, śpioszki Ruby. Widzę brud i rozmaite plamy, ale tylko na podkoszulku jest zaschnięta krew. Rzucam się po odplamiacz i zalewam nim plamy, po czym nagle uświadamiam sobie, że krwi nie da się sprać. Zwijam podkoszulek w ciasną kulę i po drodze na piąte piętro wyrzucam do zsypu.

Wyobrażam sobie, jak spada z góry prosto do dużego pojemnika na śmieci.

Chris nie może się dowiedzieć o zakrwawionym podkoszulku.

WILLOW

Mama opowiadała mi, że ma siostrę Annabeth, ale jeśli istotnie tak było, to ta siostra nie zjawiała się, żeby wziąć mnie i Lily do siebie.

- Jak to się stało, że zamieszkałaś z Josephem i Miriam? - pyta Louise Flores, zastępczyni prokuratora. Zegar na ścianie pokazuje czternastą trzydzieści siedem. Kładę głowę na zimnym stalowym blacie stołu w pokoju przesłuchań i zamykam oczy. - Claire! - woła surowo, potrząsając mnie za ramię. W ogóle zachowuje się wobec mnie szorstko. Jak mówi, nie pozwoli na żadne „błazenady” i nie chce słuchać „kręactw”. Wyrywam jej rękę i razem z drugą chowam pod stołem, gdzie nie będzie mogła dosięgnąć.

- Jestem głodna - bąkam.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam, ale zanim dopadli mnie gliniarze, grzebałam w śmietniku i znalazłam niedojedzonego hot doga, zimnego, pomazanego musztardą, ze śladami szminki na bułce. Oczywiście nie tam mnie znaleźli. Wpadli na mnie na Michigan Avenue, jak gapiłam się na wystawę butiku Gucciego.

- Dostaniesz jeść, jak skończymy - odpowiada. Ma dłonie jak stara kobieta, pomarszczone, pokryte żyłkami. Gruba złota obrączka wżyna się w palec. Fałdy skóry zwisają z podbródka i z ramion.

Podnoszę głowę ze stołu i patrząc w szare oczy za prostokątnymi szklami okularów, powtarzam, że jestem głodna. Potem kładę głowę z powrotem i zamykam oczy.

Wyczuwam wahanie. Po chwili Flores prosi strażnika, żeby przyniósł mi coś do jedzenia. Kładzie na stole kilka monet. Czekam, aż strażnik wyjdzie, i dodaję, że chce mi się też pić.

Postanawiam, że nie podniosę głowy, dopóki nie dostanę jedzenia, a ona jednak zadaje mi pytania, które z radością ignoruję.

- Jak się znalazłaś u Josepha i Miriam? Opowiedz mi o Josephie. Jest profesorem, prawda?

Joseph jest profesorem. To znaczy był. To dlatego, kiedy oboje z Miriam zjawili się, twierdząc, że są dalekimi krewnymi ze strony taty, moja opiekunka społeczna uznała to za szczęśliwe zrządzenie losu. Joseph i Miriam mieszkali z dwoma synami, Matthew i Isaakiem, w Elkhorn w Nebrasce, niedaleko Omaha, największego miasta w tym stanie. Mieli bardzo ładny dom, zupełnie inny niż nasza chatka z prefabrykatów w Ogallali, jednopiętrowy, z trzema sypialniami i wielkimi starymi oknami wychodzącymi na otaczające wzgórza. W okolicy był piękny park i pole golfowe, ale nigdy ich nie widziałam, tylko słyszałam o nich od dzieciaków z sąsiedztwa, które obserwowałam przez te wielkie okna, jak uganiają się na rowerach po ulicy i pokrzykują do kogoś, żeby przyniósł im kij do golfa, bo zamierzają trochę pograć.

Joseph oznajmił, że nie wolno mi się bawić z tymi dziećmi. W ogóle nie wolno mi się bawić.

Spędzałam dni na wykonywaniu moich obowiązków, opiekowaniu się Miriam, tęsknocie za mamą i tatą. Przez resztę czasu gapiałam się przez okno na dzieciaki, wymyślając jak najwięcej „kocham cię jak”.

Kocham cię, jak cynamon kocha cukier.

Kocham cię, jak dzieci kochają zabawki.

Kiedy przyjechali Joseph i Miriam, Lily już ze mną nie było.

Przebywała w ośrodku jeszcze przez około trzy tygodnie. Po śmierci rodziców zostaliśmy zabrane do domu dla osieroconych dzieci, takich jak my. Byłyśmy sierotami. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa. W domu dla sierot mieszkało nas ośmioro, a kilkoro dorosłych przychodziło rano i wychodziło wieczorem. Na stałe mieszkało z nami dwoje, Tom i Anne, inni natomiast pojawiali się i znikali: ludzie z opieki społecznej, nauczyciele, jakiś facet, który wiecznie mnie wypytywał:

- Powiedz mi, dlaczego jesteś zła, Claire. Powiedz, co czułaś, kiedy zginęli twoi rodzice.

Patrząc wstecz, nie było to wcale złe miejsce. Później, kiedy mieszkałam z Josephem i Miriam, ośrodek dla sierot wydawał mi się pałacem. Ale dla ośmioletniej dziewczynki, która właśnie została SIEROTĄ, było to najgorsze miejsce na świecie. Nikt nie chciał tu być, a już zwłaszcza ja. Niektóre dzieci były wredne. Inne przez cały czas

plakały. Te dzieci zostały odebrane rodzicom albo przez nich porzucone. To, że mama i tata umarli, było na swój sposób dobre, bo pokazywało, że ja i Lily byśmy kochane, że ktoś nas chciał w swoim życiu.

Lily została adoptowana, i to było najlepsze, co mogło się przydarzyć sierocie.

Sierota. Jednego dnia jestem małą dziewczynką z Ogallali, a drugiego sierotą. W tym krótkim słowie zawierało się całkiem sporo: współczucie, z jakim ludzie na mnie patrzyli, na mnie i na moje tanie, przyciasne ubrania, otrzymane od organizacji dobroczynnej, od dzieci, które już z nich wyrosły, i mruknięcie, speszone:

- Och... - jakby to tłumaczyło wszystko.

To wyjaśnia smutek w moich oczach, łatwość, z jaką wpadam w gniew, skłonność do siadania w kącie i zalewania się łzami.

Paul i Lily (tak, tak!) Zeegerowie adoptowali Lily, moją małą siostrzyczkę. Była taka śliczna z loczkami czarnych jak u mamy włosków, z łagodnym uśmiechem, pulchnymi policzkami i rączkami, którymi ścisnęła mnie za palec. Miałam się nią opiekować, mama mnie o to prosiła. Podśluchałam rozmowę Zeegerów z opiekunką. Duża Lily, ładna blondynka z turkusowym naszyjnikiem i bransoletką, oświadczyła takim tonem, jakby mówiła o psie:

- Oczywiście trzeba będzie zmienić jej imię. Trudno, żebyśmy obie miały na imię Lily.

- Oczywiście - zgodziła się opiekunka.

Dostałam napadu wściekłości. Wrzeszczałam wniebogłosy. Że to mama nadała Lily imię i nie mają prawa go zmieniać. Złapałam siostrę i uciekłam, wybiegłam tylnymi drzwiami, próbując znaleźć jakąś kryjówkę. Pobiegłam do lasu, ale z Lily na rękach szybko mnie dogonili. Anne odebrała mi siostrę ze słowami:

- Tak ma być i koniec.

A Tom mnie ofuknął:

- Chyba nie chcesz, żeby się przestraszyła, prawda?

Widziałam, że Lily płacze i wyciąga do mnie pulchne łapki, ale Anne nie zwolniła kroku. Odchodziła coraz dalej i dalej, a Tom trzymał mnie mocno, chociaż się wyrywałam, kopałam, a nawet, jak mi się zdaje,

ugryzłam go w rękę. W każdym razie pamiętam, że krzyknął i w końcu mnie puścił.

Wpadłam do domu i zaczęłam wszędzie szukać siostry.

- Lily! Lily! - wrzeszczałam, dusząc się od płaczu, tyle razy, że słowo to przestało wreszcie cokolwiek znaczyć. Wbiegałam jak bomba do pokoiw innych dzieci, do zajętych kabin w toalecie.

Nagle zobaczyłam to z okna: srebrny minivan wyjeżdżał z podjazdu.

Wtedy ostatni raz widziałam siostrę.

Zmieniłi jej imię na Rose.

Dopiero później zrozumiałam, że to wcale nie byli źli ludzie. Ale kiedy masz osiem lat i straciłaś rodziców, a na dodatek teraz zabierają ci siostrę, to nienawidzisz wszystkiego i wszystkich. Tak właśnie było ze mną. Nienawidziłam całego świata.

- Opowiedz mi o Josephie - mówi Louise Flores.

- Nie chcę o nim rozmawiać. - Kładę głowę bokiem na stole, żeby nie patrzeć jej w oczy, i pytam: - Jak nas właściwie znaleźliście? - Skubię spierzchnięte dłonie i przyglądam się, jak krwawią.

- Jak WAS znaleźliśmy? - powtarza, a ja kątem oka dostrzegam, że wykrzywia wargi z niechęcią. Nie lubi mnie ani trochę. - Po prostu mieliśmy szczęście. Jeśli natomiast pytasz, jak wpadliśmy na trop dziecka, to wiedz, że dostaliśmy informację.

- Informację? - Podnoszę głowę i widzę w jej oczach satysfakcję. No i te oczy pytają niemo: Faktycznie jesteś trochę tępa, co?

- Tak, Claire, innymi słowy cynk. Zadzwoiła do nas pewna osoba...

- Kto? - przerywam.

- Osoba - ciągnie niewzruszona - która pragnie pozostać anonimowa.

- Ale dlaczego? - dziwię się głośno, choć nie muszę się zbytnio wysilać, żeby poznać odpowiedź. Typuję pewnego faceta. Nigdy mnie nie lubił, to pewne. Słyszałam ich głosy w sąsiednim pokoju. Kłócili się o mnie, bo wydawało im się, że tego nie słyszę.

- Opowiedz mi o Josephie - powtarza cierpliwie.

- Już mówiłam, że nie chcę o nim rozmawiać.

- W takim razie opowiedz mi o Miriam.

- Miriam to troll - mruczę, pozwalając, żeby moja tania torebka

zsunęła się na podłogę.

- Co to znaczy? - pyta Flores spokojnie. - Troll?

- Chochlik. - Nie da się tego lepiej określić. To cała Miriam. Nie lubiłam jej, to pewne, ale jej współczułam. Była niziutka, miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, rzadkie mysie włosy i gruzłowatą cerę. Po całych dniach i nocach przesiadywała w pokoju. Przez cały czas odezwała się do mnie może dwa razy. Rozmawiała wyłącznie z Josephem.

Ale nie wyglądała tak, gdy razem z mężem i synami przyjechała po mnie do ośrodka. Nie, tamtego dnia Joseph kazał jej włożyć ładną sukienkę z krótkimi rękawkami, dekoltem w szpic i paskiem z kokardą, a Matthew i Isaac mieli spodnie wyprasowane w kancik i koszule w kratkę. Nawet Joseph prezentował się szykownie w pasiastej koszuli z krawatem i patrzył na mnie z taką łagodnością w oczach, jakiej nigdy więcej u niego nie zobaczyłam. Dopilnował, żeby Miriam zażyła tabletki, umalowała usta i uśmiechała się za każdym razem, kiedy ukradkiem szturchnął ją w bok. Przypuszczam, że tak musiało się to odbyć, bo nie pamiętam, żeby później choć raz się uśmiechnęła. Tak czy siak, ich zachowanie przekonało moją opiekunkę, że zamieszkanie z Josephem i Miriam będzie dla mnie korzystne. Twierdziła, jak pamiętam, że to „wielce fortunne zdarzenie”. Po prostu „szczęśliwe”. Ja użyłabym innego określenia. Było to moim przekleństwem. Opiekunka przysięgała, że Joseph i Miriam zostali sprawdzeni przez odpowiednie służby i ukończyli odpowiedni kurs opieki, a zresztą są przecież rodzicami. Mogą być dla mnie rodziną zastępczą, wszystko wspaniale do siebie pasuje. Tak przynajmniej mówiła.

Nikt nie zapytał, czy chcę zamieszkać z Josephem i Miriam. Miałam wtedy dziewięć lat. Nikogo ani trochę nie obchodziło, czego ja chcę. Powinnam być zadowolona, że wyprowadzam się do prawdziwego domu i nie będę musiała mieszkać w ośrodku dla sierot. Ponadto Joseph i Miriam byli moimi dalekimi krewnymi, co tylko polepszało sprawę. Jakoś nie mogłam dostrzec tego pokrewieństwa, ale opiekunka twierdziła, że są na to dowody, jakieś dokumenty. Wreszcie posadziła mnie przed sobą, zajrzała mi w oczy i powiedziała:

- Claire, musisz to dobrze zrozumieć. Z każdym rokiem jesteś starsza. To może być twoja jedyna szansa, żeby mieć rodzinę.

Ale ja przecież miałam rodzinę. Mamę, tatę i Lily. Nie chciałam mieć innej.

Lily została szybko adoptowana, bo miała dopiero dwa lata. Bezplodne pary, jak Paul i Lily Zeegerowie, takich właśnie dzieci szukali. Najchętniej niemowlęcia, ale w ostateczności mogło też być małe dziecko. Lily prawie nie pamiętała mamy i taty. Po pewnym czasie nawet resztki wspomnień się ulotnią. Zacznie wierzyć, że Paul i Lily są jej rodzicami.

Ale nikt nie chciał dziewięciolatki i można było uznać, że za rok czy dwa sytuacja się nie poprawi. Czas pracował na moją niekorzyść, tak w każdym razie twierdziła moja opiekunka, panna Amber Adler.

Spakowałam kilka drobiazgów, które wolno mi było zabrać ze sobą: parę ubrań i książek, fotografie mamy, które Joseph później podrze na strzępy.

- A Joseph, czy on także jest trollem?

Wyobraziłam go sobie. Ogromny mężczyzna o złowrogich oczach drapieżnika i haczykowatym nosie, z krótko ostrzyżonymi jak u wojskowego, rudawymi włosami i szorstkim zarostem, o którym myślałam, leżąc bezsennie nocą spocona z przerażenia i nasłuchując kroków skradających się po trzeszczącym parkiecie do mojego pokoju.

Szorstki zarost drapał mnie po twarzy, kiedy Joseph kładł się przy mnie na łóżku.

- Nie - mówię, patrząc Flores prosto w oczy. - Nie, proszę pani, Joseph jest diabłem.

HEIDI

Nie mogę przestać myśleć o plamach krwi.

Kiedy wracając z pralni, natykam się na Grahama, jestem tak niespokojna i rozkojarzona, że w pierwszej chwili nie reaguję na jego stały żart:

- Za każdym razem, kiedy cię spotykam, wydajesz mi się piękniejsza.
- Co takiego? - pytam, a Graham wybucha śmiechem.

Przypominam sobie, że jestem w szlafroku, nieuczesana i nie brałam jeszcze prysznic. Klatka schodowa wiruje mi przed oczami i zastanawiam się, kiedy jadłam ostatni prawdziwy posiłek. Opieram się o ścianę i obserwuję zbliżającego się do mnie Grahama. Jak zwykle jest nienagannie ubrany w pulower do połowy zapięty na suwak, ciemną koszulę, czarne sprane dżinsy od znanego projektanta, skórzane półbuty.

Mimo żalostnego wyglądu wierzę Grahamowi, który omiata mnie wzrokiem i mówi, że pięknie wyglądam. Żartobliwie chwyta mnie za rękę i prosi, żebym umówiła się z nim dziś wieczorem, dotrzymała mu towarzystwa na jakimś nudnym przyjęciu w Cafe Spiaggia. Trudno mi sobie wyobrazić, że Graham pójdzie tam sam, bez atrakcyjnej blondynki w małej czarnej i pantoflach na wysokich obcasach.

Gdy ręce zaczynają mi się trząść, Graham pyta z troską, czy dobrze się czuję. Odczuwam nagły impuls, żeby ukryć twarz na jego piersi i opowiedzieć o dziewczynie. O dziecku. O plamach krwi.

Z jego oczu wyziera niepokój, między brwiami pojawia się głęboka zmarszczka zatroskania. Przytrzymuje mnie wzrokiem, starając się odczytać niewypowiedziane słowa, aż w końcu odwracam oczy.

Graham doskonale widzi, że coś jest nie w porządku, że Heidi Wood, która zawsze nad wszystkim panuje, za moment się rozklei.

- Tak - kłamię. - Okej.

Fizycznie to prawda, emocjonalnie kłamstwo. Nie mogę się pozbyć

z myśli widoku krwi, widoku infekcji drożdżakowej na pupie niemowlęcia, oczu Chrisa mówiących, że to, co robię - pomagam nieszczęsnej dziewczynie, która rozpaczliwie tego potrzebuje - jest niewłaściwe. Obrazu malutkiej Juliet, która powróciła do mnie po tylu długich latach.

Graham nie daje się łatwo spławić. Nie odchodzi, jak zrobiliby to inni, biorąc moje słowa za dobrą monetę. Dalej się we mnie wpatruje, dopóki nie powtórzę, tym razem z obowiązkowym uśmiechem, że wszystko ze mną w porządku. Dopiero wtedy daje się przekonać.

- Wobec tego chodź ze mną - mówi i ciągnie mnie za rękę.

Zaczynam się śmiać. Graham zawsze potrafi mnie rozśmieszyć.

- Chciałabym - odpowiadam. - Dobrze wiesz, jak bardzo.

- No to chodź. Proszę! Wiesz, że nie cierpię uprzejmych pogawędek - oznajmia, ale nic nie jest dalsze od prawdy.

- Jestem w szlafroku, Graham.

- Zatrzymamy się w Tribeca. Znajdziemy ci jakiś efektowny ciuszek.

- Od lat nie noszę efektownych strojów.

- No to coś ładnego i praktycznego - rzuca Graham, nie dając zbić się z tropu.

Ale pomysł krążenia po mieście w zabójczej kreacji w roli jego towarzyszkii bardzo mi się podoba. Często się zastanawiam, dlaczego jest jeszcze singlem i czy faktycznie, jak sugeruje Chris, jest gejem. Czy te wszystkie piękne kobiety, którymi się otacza, są tylko przykrywką, stanowią alibi?

- Przecież wiesz, że nie mogę - powtarzam, a Graham przybiera zdruzgotaną minę, zanim się ze mną pożegna i podąży schodami na dół.

Zatrzymuję się przed drzwiami do mieszkania i stoję przez chwilę, zatopiona w marzeniach, zanim rzeczywistość nie wedrze się w nie z całą mocą: Graham i efektowna sukienka z Tribeki, kolacja w Cafe Spiaggia. Ja uwieszona ramienia Grahama, w roli jego dziewczyny.

W mieszkaniu Willow siedzi na brzegu rozsuwanej kanapy z dzieckiem na kolanach. Ma na sobie rzeczy pożyczone od Zoe, mokry ręcznik wrócił na wieszak w łazience.

- Moje ubranie - odzywa się spanikowana. - Co pani z nim zrobiła?

Nie jest... - Głos jej drży. Oczy ma rozbiegane. Nerwowo kołysze dziecko na kolanach.

- Właśnie się pierze - przerywam, widząc jej strach. - Było poplamione - dodaję szybko cichszym tonem, żeby Chris nie usłyszał. Wpatruję się w nią z nadzieją, że to wyjaśni, że nie będę musiała pytać jej bez ogródek o krew. Nie chcę, żeby się stąd zabrała, ale jeśli jej pobyt w naszym domu stanowi zagrożenie dla Zoe, dla mojej rodziny, to nie mogę pozwolić jej zostać. Gdyby Chris miał o tym decydować, Willow byłaby już za drzwiami.

Patrzę na nią surowo, błagając wzrokiem o wyjaśnienie. Skąd wzięła się ta krew? Modłę się, żeby to było coś oczywistego, coś...

- Krew poleciała mi z nosa - odzywa się nagle, przerywając moje myśli. - Czasami tak mam. - Wbija wzrok w ziemię jak ludzie, którzy się denerwują albo... kłamią. - Nie miałam niczego do wytarcia. Tylko ten podkoszulek.

Zimne kwietniowe powietrze sprzyja krwawieniom z nosa, myślę.

- Krew poleciała ci z nosa? - pytam, a ona powoli kiwa głową. - No tak, to wszystko wyjaśnia. - Wychodzę z pokoju.

WILLOW

Matthew powiedział mi kiedyś, że zanim jego ojciec się ożenił, zamierzał wstąpić do seminarium i zostać katolickim księdzem. Ale potem poznał Miriam, stuknął ją i marzenia o kapłaństwie się rozwiały.

- Stuknął ją? - zapytałam nieśmiało. Miałam wtedy dziesięć, najwyżej jedenaście lat. Wiedziałam, co to seks. Tego nauczył mnie Joseph, choć nie posunął się tak daleko, by nadać nazwę temu, co robił ze mną, gdy zakradał się w nocy do mojego pokoju. Nie wiedziałam, że kiedy leżał na mnie, przyciskając mnie do łóżka i wilgotną, gumowatą łapą zakrywając mi usta, żebym nie krzyczała, to robił dokładnie to samo, od czego miało się dzieci.

- No tak. - Matthew wzruszył ramionami. Był o sześć lat starszy ode mnie i wiedział różne rzeczy, których ja nie wiedziałam. Dużo różnych rzeczy. - No wiesz. Zrobił jej dzieciaka. Zaszła w ciążę.

- Aha. - Nadal nie wiedziałam, co „stuknięcie” i „ciąża” mogły mieć wspólnego z tym, że Joseph nie został księdzem.

Matthew tylko przewrócił oczami.

Ale to było później, znacznie później.

Z początku ani Matthew, ani Isaac nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Joseph im tego zabronił. Zakazał ze mną rozmawiać, a nawet patrzeć w moją stronę. Podobnie jak mnie, Matthew i Isaakowi nie wolno było robić wielu rzeczy. W domu nie było telewizora, nie mogli grać w piłkę ani jeździć na rowerze z chłopakami z sąsiedztwa, nie wolno im było słuchać muzyki ani czytać książek, oczywiście za wyjątkiem Biblii, a kiedy któryś z chłopców przynosił ze szkoły coś do czytania, Joseph oglądał to z dezaprobatą i nazywał bluźnierstwem.

Mama i tata w ogóle nie byli religijni. Imienia Boga używali wyłącznie „nadaremno”, jak się później dowiedziałam. Nie chodziliśmy do kościoła. W starym domku z prefabrykatów wisiał tylko obrazek z Jezusem, należący ponoć do mamy i taty mamusi, i to na ścianie w kuchni, gdzie,

szczerze mówiąc, zasłaniał dziurę, którą zrobiłam piłką, gdy bawiłam się z tatą. Dla mnie przedstawiony na obrazku mężczyzna mógł być równie dobrze prezydentem Stanów Zjednoczonych. Albo moim dziadkiem. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym obrazku. Po prostu wisiał w kuchni.

- Powiadasz, że twój przybrany ojciec wykorzystywał cię seksualnie - mówi Flores, chociaż jej oczy wysyłają sygnał, że ma już tego po uszy. Dostyc tych moich bredni. - I nigdy nie mówiłaś o tym swojej opiekunce społecznej?

- Nie, proszę pani.

- Dlaczego? Przecież sprawdzała, jak ci się wiedzie w nowej rodzinie, prawda? Przywoziła ci listy od Paula i Lily Zeegerów.

- Tak, proszę pani. - Wzruszam ramionami.

- Więc dlaczego jej o tym nie powiedziałaś?

Wyglądam przez zakratowane okno umieszczone zbyt wysoko, żebym mogła zobaczyć, co jest na zewnątrz. Widzę skrawek błękitnego nieba, przepływający biały obłok. Wyobrażam sobie, co jest po przeciwnej stronie: parking, samochody, drzewa.

Opiekunka społeczna była w porządku, nawet ją lubiłam. Przyjeżdżała starym gruchotem z milionem dokumentów w wytartej torbie firmy Nike, którą dźwigała zgarbiona. Mogła mieć trzydzieści, może czterdzieści lat, a wyglądała z tym garbem jak staruszka z osteoporozą. Często pracowała w samochodzie, nie wysiadając z niego, dokumenty trzymała rozłożone na tylnym siedzeniu. Przemieszczała się między ośrodkami dla sierot i domami zastępczymi, spotykając się z przydzielonymi jej pod opiekę dziećmi. Zapewne posiadała gdzieś biuro, ale wątpię, żeby tam przesiadywała. Była miłą osobą, tyle że przeciążoną pracą i rosnącą liczbą przypadków, którymi musiała się zajmować. Kiedy zjawiała się u mnie, zdarzało jej się pomylić moje imię. To nazywała mnie Clarissą, to znowu Clarice. Mówiła szybko, a poruszała się jeszcze szybciej. Po prostu chciała załatwić sprawę.

Dzień, w którym zamieszkałam z Josephem i Miriam, był tylko jeszcze jedną odhaczoną pozycją na liście takich spraw.

- Widzisz, Claire, przeglądałam twoje dokumenty. Wiem, że opiekunka społeczna wizytowała dom Josepha i Miriam, i wiem, że nigdy nie było

mowy o tak zwanym molestowaniu. Natomiast w dokumentach są liczne wzmianki... - Flores sięga do stojącej przy biurku aktówki i wyjmuje z niej grubą zieloną teczkę. Przerzuca kartki i otwiera w zaznaczonym samoprzylepną karteczką miejscu - ...o twoich zmianach nastrojów, napadach złości, odmowie przestrzegania zasad i wykonywania obowiązków, nieposłuszeństwie, nieuznawaniu autorytetów, słabych ocenach w szkole. - Siedzi nieruchomo, wpatrując się we mnie przez stół, po czym dodaje: - I wymyślaniu niestworzonych historii.

W domu pod Omaha przebywałam prawie od miesiąca, gdy Joseph po raz pierwszy przyszedł do mnie do łóżka. Z początku chciał tylko patrzeć na różne części mojego ciała, które według mnie nie powinny go wcale obchodzić, a potem chciał mnie dotykać tam, gdzie nie chciałam być dotykana. Kiedy powiedziałam mu, że tego nie chcę, wyszeptał ze słodyczą, która prędko się ulotniła:

- Ależ daj spokój, Claire. Jestem przecież teraz twoim tatusiem. Tatusiowi można wszystko pokazać.

A potem gapił się na mnie, kiedy ścigałam koszulę przez głowę.

Dawno się tak nie bałam, chyba od czasu, gdy Ivy Doone w pierwszej klasie podstawówki rzucił mi wyzwanie, że nie odważę się przywołać ducha Krwawej Marii z lustra w szkolnej łazience. W ciągu pierwszego miesiąca mojego pobytu prawie nie widywałam Miriam, bo rzadko opuszczała pokój. Przez cały czas była ubrana w nocny strój, wечно ten sam, brudny i poplamiony, i nie kąpała się, aż smród roznosił się po całym domu. Niewiele odzywała się do chłopców lub do mnie, zwracała się jedynie do Josepha, błagając go o wybaczenie za jakieś swoje grzechy. Rozszlochana klękała przed nim i całowała jego stopy, skamłając, żeby jej przebaczył, ale on, nie zatrzymując się, wymierzał jej kopniaka i warczał, że jest odrażającą, nic niewartą ladacznicą. Kiedyś w napadzie wściekłości wykrzyknął, że powinien ją wyrzucić przez okno i zostawić truchło na pożarcie bezdomnym psom.

- Czy chcesz to jakoś skomentować? - pyta Louise Flores. Ma na myśli moje przewinienia.

Joseph od razu zapowiedział, że nikt mi nie uwierzy. Jego słowo przeciwko mojemu. Nikt nie da wiary moim oskarżeniom.

A zresztą robił tylko to, co powinien robić dobry tatuś.

- Nie - mruczę.

Flores przewraca oczami i zamyka teczkę.

- Opowiedz mi teraz o rzekomym - to słowo z naciskiem - molestowaniu.

Później, przepisując wersety z Biblii, słowo w słowo, aż drętwiały mi palce, piekły mięśnie i nie mogłam utrzymać długopisu - tak Joseph karał mnie za złe zachowanie - dowiedziałam się o Jezabel, księżniczce Fenicjan, która została wyrzucona przez okno za zabicie proroka Pana. Jej krew opryskała mury, ciało zostało zdeptane i pozostawione psom na pożarcie, a kiedy ludzie po nie przyszli, zobaczyli jedynie czaszkę, dłonie i stopy.

Matthew i Isaac zostali wysłani do szkoły, podczas gdy Miriam i ja samotnie przesiadywałyśmy w domu. Gdyby ktoś zastukał kiedyś do drzwi, nie wolno nam było go wpuścić. Miałyśmy siedzieć cicho jak myszy, żeby nikt nie wiedział, że jesteśmy w środku. Joseph ostrzegł mnie, że jeśli otworzę drzwi, mogą mnie napaść źli ludzie, którzy będą chcieli mnie skrzywdzić. Wobec tego bałam się nawet wchodzić do sieni. W domu panował półmrok, kotary były zawsze zaciągnięte. Ukradkiem wyglądałam przez okno w swoim pokoju, kiedy Matthew i Isaac szli ulicą, mijając dzieciaki na rowerach, z piłkami i kijami do golfa, i małe dziewczynki uczesane w kucyki, które bazgrały kredą na chodniku. Na rogu czekali na duży żółty autobus, który zawoził ich do szkoły. Niektóre dzieci naśmiewały się i wyzywały Matthew i Isaaka, ponieważ byli uważani za świrów, którzy nie mieli rowerów i nie umieli złapać piłki, nawet gdyby od tego zależało ich życie. Nie mieli też żadnych kolegów, bo nawet jeśli któryś z chłopaków przyszedł pod drzwi, chcąc zapytać, czy wyjdą się pobawić, mieli tak jak ja przykazane siedzieć cicho i udawać, że nikogo nie ma w domu. Po pewnym czasie te rzadkie wizyty całkiem ustały. Zaczęło się przezywanie na przystanku autobusu, popychanie i poszturchiwanie, a w zimie obrzucanie śnieżkami.

Wierzyłam Josephowi, kiedy noc w noc przychodził do mnie do pokoju, gdzie płakałam z tęsknoty za mamą i tatą, samotna i przestraszona, i mówił, że zaopiekuje się mną tak jak najlepszy tatuś. Twierdził, że to,

co robi ze mną, spocony wślizgując się pod kołdrę, jest tym, co powinien robić dobry ojciec.

Powiedział, że zamieszkanie z nim i Miriam było ostatnią prośbą moich rodziców. Że tego właśnie chcieli.

I dodał, że jeśli go nie posłucham, to pójdzie do Lily.

- Tak, tak - mówił, kiedy ociągałam się z rozbieraniem. - Przecież nie chcesz, żeby coś się stało Lily, prawda?

Myślałam o niej nieustannie. Zastanawiałam się, czy mama i tata pragnęli także i tego: żeby Lily po ich śmierci zamieszkała u Zeegerów.

Nie sądziłam, żeby to była prawda.

Ale Lily miała dopiero trzy lata. Znała tylko Paula i Dużą Lily, nie pamiętała rodziców, którzy spoczywali w grobie na cmentarzu w Ogallali przy Piątej Ulicy, pod na wpół martwym klonem. Śnili mi się mama i tata w sosnowych trumnach, które widziałam na pogrzebie opuszczane do dołu w ziemi, stojąc z panną Adler. Potem zabrała mnie i Lily do swojego gruchota i odwiozła do ośrodka dla sierot.

Śniło mi się, że mama i tata wyciągają do siebie szkielety rąk, żeby się uścisnąć.

CHRIS

Przyglądam się, jak Heidi przyrządza kurczaka z warzywami w cieście. Najpierw smaży mięso, marchew, seler i groszek. W rondlu rozpuszcza masło i podsmaża cebulę, zalewa rosółem z puszki. Cieszę się na prawdziwe mięso, a nie kostkę sojową o smaku kurczaka. Heidi przekłada wszystko na blachę z podpieczonym ciastem i wsuwa do piekarnika. Unika mojego wzroku.

- Potrzebna jej nasza pomoc - mówi cicho, gdy stykamy się spojrzeniami. To jej nowa mantra.

Stawiam laptopa i drukarkę na podłodze, żeby zwolnić miejsce na stole. Czynię to z pewną przesadą, aby dać Heidi do zrozumienia, jaką to stanowi niewygodę. Ale nie zwraca uwagi na moje stękanie, łupnięcie ciężkiej drukarki o parkiet, zduszone przekleństwo, kiedy stopy zaplątują się w kabel i omal się nie wywracam. Heidi nadal nie zdążyła się wykapać, nie zdjęła fioletowego szlafroka, jedynie związała włosy w nieporządny kok na czubku głowy. Ma okulary na nosie.

Jej ręka drży, kiedy wyjmuję talerze z szafki. Zoe tkwi w pokoju, słuchając boysbandu i bez wątpienia wymyślając scenariusze, w których jej rodzice znikają bez śladu. Nie wie chyba, że największa szansa na to przebywa zamknięta w biurze, dzięki łasce Heidi. Od czasu do czasu słyszę gaworzenie dziecka napojonego tylenolem, żeby powstrzymać gorączkę.

- Ty drżysz - odzywam się.

- Przez cały dzień nic nie jadłam - odpowiada sucho.

Wydaje mi się jednak, że jest w tym coś więcej.

Dzwoni jej komórka, leżąca na kuchennym blacie obok skonfiskowanego telefonu Zoe. Heidi bierze ją do ręki, sprawdza wyświetlacz i odkłada, nie odbierając.

- Kto to dzwonił? - pytam, prostując kręgosłup po harcach z drukarką.

- Nikt - odpowiada. - Telemarketer. - Kiedy wychodzi zawołać Zoe

i dziewczynę na kolację, rzucam się do aparatu i sprawdzam spis ostatnich połączeń. Dwa nieodebrane od Jennifer Marcue. Dwie nieodsluchane wiadomości w poczcie głosowej.

Siadamy przy stole jak jedna wielka szczęśliwa rodzina. Heidi trzyma dziecko na kolanach. Dziewczyna, Willow, jak upomina mnie Heidi bolesnym kopniakiem w goleń, gdy pomyłkowo zwracam się do niej per Wilma, pochłania łąpczywie jedzenie, jakby nie miała nic w ustach od tygodnia. Unika mojego wzroku, choć co chwila zerka na Heidi, ale mnie nie zaszczyca nawet jednym spojrzeniem. Trzyma się ode mnie z daleka, jakbym był zarażony. Mówię sobie, że pewnie nie lubi mężczyzn, choć być może chodzi tylko o mnie. Wzdryga się cała, gdy wstając, żeby nalać sobie szklankę mleka, wykonuję zbyt gwałtowny ruch.

Heidi wpatruje się w śpiące niemowlę. W kącikach jej warg czai się uśmiech i zastanawiam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby Heidi mogła mieć liczną rodzinę, o jakiej zawsze tyle rozprawiała. Zamierzała mieć co najmniej szóstkę dzieci. Nie miałem jasnego stosunku do tej kwestii. Oczywiście chciałem mieć dzieci. Ale piątkę czy szóstkę, o czym mówiła Heidi... No, sam nie wiem. Rzecz jasna, te rozważania nie mają już żadnego znaczenia, bo nigdy do tego nie doszło. Zanim zacząłem się martwić domem pełnym dzieciaków, dostaliśmy diagnozę od lekarza i nasze życie zmieniło się na zawsze.

To nie dzieci stały się nagle problemem, tylko to, czy moja żona przeżyje, czy umrze.

Mimo to czasem zdarza mi się myśleć, jak by to było, gdyby Zoe nie była jedynaczką. Czy atmosfera podczas rodzinnych posiłków byłaby właśnie taka - napięta i nienaturalna, kiedy jedyne dźwięki to żucie i przełykanie - czy przeciwnie, panowałby wesoły harmider i przekomarzania, zamiast ciszy, w jaką zazwyczaj wycofuje się jedynak. Stereotypowe poglądy na temat jedynaków - samotnych, samolubnych i nieprzystosowanych - wydają się świetnie pasować do Zoe. Obserwuję, jak kątem oka zerka na Willow, i zastanawiam się, jak nazwać emocje, widoczne na jej twarzy. Nienawiść? Zazdrość? A może coś jeszcze? Coś całkiem innego?

Zoe siedzi przy stole opatulona w koc, ponieważ wiecznie jej zimno,

dziabie widelcem potrawę i przewraca oczami na widok rosołu wylewającego się z ciasta na talerz.

- Co to w ogóle jest? - pyta, krzywiąc się wzgardliwie.

- Kurczak zapiekany w cieście z warzywami - odpowiada Heidi, wsuwając widelec do ust. - Spróbuj. Będzie ci smakowało. - Przyglądam się, jak jednocześnie spożywa i zajmuje się dzieckiem, utalentowana w sztuce macierzyństwa. Nie tak dawno temu trzymała na kolanach malutką Zoe.

Zoe oznajmia, że nienawidzi groszku, i zaczyna rozgarniać widelcem potrawę, oddzielając na poszczególne kupki marchew i groszek, kurczaka i seler. Odkrawa kawałek ciasta i kładzie na wysuniętym języku.

- Willow... Co to właściwie za imię? - pytam, kiedy zapada przedłużająca się cisza. Telewizor jest wprawdzie włączony, właśnie pokazują skróty meczów koszykówki, ale jak zwykle podczas kolacji nie ma dźwięku. Przelatują tabele wyników, najlepsze ataki i obrony.

- Chris - warczy Heidi, jakbym zadał niestosowne pytanie, na przykład o rozmiar stanika albo poglądy polityczne. Nikt nigdy nie oskarżył mnie o nieśmiałość. Co za ironia, Heidi ma zwyczaj wypytywać mnie ze szczegółami, jak mi minął dzień, ale pozwala obcej dziewczynie siedzieć przy naszym stole, nie spytawszy jej nawet o nazwisko ani o to, czy przypadkiem nie uciekła z poprawczaka.

- Tak tylko pytam. Jestem zwyczajnie ciekawy. Nigdy nie słyszałem o takim imieniu. - Przecież to nazwa drzewa, dopowiadam w duchu.

- To śliczne imię. Jak wierzbowe drzewo, sprężyste i pełne wdzięku - mówi Heidi.

- Jedna Willow chodzi ze mną na geografie - wtrąca nieoczekiwanie Zoe ku zdumieniu nas wszystkich. Jest to równie zaskakujące, jak by sama Willow otworzyła usta i przemówiła. - Willow Toler. Chłopaki mówią na nią Cipa - dodaje i znowu zapada niezręczna cisza przerywana jedynie zaciekłymi atakami czarnego kota na ceglana ścianę. Może kocur słyszy, że mieszkają w niej karaluchy.

- Masz jakieś nazwisko, Willow? - pytam.

- Chris! - beszta mnie znowu Heidi.

- Tak, proszę pana - odpowiada cicho dziewczyna.

Ma w sobie wręcz arkadyjską prostotę skrywaną pod maską oschłości. Nie sposób do niej dotrzeć. Zaskoczyło mnie, że zwróciła się do mnie „proszę pana”. Gapię się na nią, jak pochłania zbyt duże kęsy kurczaka i warzyw na raz. Niemal wylizuje talerz i Heidi bez pytania dokłada drugą porcję. Willow najpierw zjada nadzienie, zostawiając chrupiące ciasto na koniec. To jej ulubiona część potrawy. Zwykle ciasto z pudełka. Kupione w supermarkecie.

Ona nie ma osiemnastu lat, tyle wiem. Ale w jakim jest wieku? Wmawiam sobie, że jest pełnoletnia, bo kiedy staną w naszych drzwiach urzędnicy, będę mógł twierdzić, że nie miałem o niczym pojęcia. „Ależ proszę pana, powiedziała mi, że ma osiemnaście lat!”. Wykąpana i przebrana w czyste ubranie Zoe pachnie już zdecydowanie lepiej, ale nadal wygląda jak włóczęga. Jest zbyt mocno umalowana, włosy ma dziwnie ostrzyżone. Uszy przekłute w kilku miejscach i zainfekowane, paznokcie obgryzione do żywego mięsa. Rozbiegane oczy unikające mojego badawczego spojrzenia. Siniak widoczny spod grzywy farbowanych włosów.

- Zechcesz się przedstawić?

- Chris. Proszę.

Dziewczyna mamrocze niezrozumiale pod nosem. Wyobrażam sobie, że to znowu jakieś religijne teksty o Bogu i zaufaniu.

- Greer - szepcze, kiedy proszę, żeby powtórzyła.

- Słucham? - Przez uchylone okno dochodzi z ulicy przenikliwe wycie alarmu.

- Nazywam się Willow Greer - powtarza wyraźniej, ale z uwagi na alarm chyba tylko ja usłyszałem te cztery słowa.

Po kolacji, kiedy naczynia zostały już sprzątnięte ze stołu i włożone do zmywarki, zapisuję usłyszane nazwisko na odwrocie paragonu. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy budzę się rano, świeci słońce. Po tylu chmurnych, deszczowych dniach wprawia mnie to niemal w konsternację. Jest tak jasno. Za jasno.

Czuję się zeszywniały jak starzec. Przetaczam się na bok i na plecy, przytrzymując się metalowej ramy łóżka. Lekko spanikowany usiłuję

sobie przypomnieć, dlaczego właściwie leżę w sypialni na podłodze, na niezbyt miękkim dywanie, zupełnie nie czując zdrętwiałego biodra i ramienia, owinięty śpiworem Zoe.

Raptem sobie przypominam - śpię na podłodze, ponieważ tego chciałem, upierając się, że Zoe nie powinna zostać sama w pokoju na noc, skoro nocuje u nas ta obca dziewczyna. Heidi orzekła, że się wygłupiam, i zaproponowała, że zamieni się z Zoe na łóżko, ale się postawiłem. Chciałem mieć oko na całe moje nieliczne stado. Nawet kotom wolno było zostać w naszej zamkniętej na klucz sypialni, z krzesłem podstawionym pod klamkę na wypadek, gdyby intruzka chciała sforsować drzwi.

Zmieniam pozycję i po raz pierwszy w życiu spoglądam na łóżko od spodu. Dostrzegam pod nim to, czego należało się spodziewać pod łóżkiem: zakurzoną pojedynczą skarpetkę, pluszowego królika Zoe, który zginął, gdy miała jedenaście lat, sztyft od kolczyka.

- Co się stało? - pyta Heidi, gdy wchodzę do kuchni.

Dom pachnie naleśnikami, jajkami i świeżo zaparzoną kawą. Heidi stoi przy patelni, podtrzymując dziecko na biodrze, i jedną ręką smaży naleśniki. Wydaje mi się to szokująco naturalne. Jakbyśmy odbyli podróż w czasie i oto znowu Heidi trzyma małą Zoe. Dziecko ma w tłustej rączce złoty łańcuszek, bez którego Heidi nie rusza się z domu, i mocno nim szarpie. Z łańcuszka zwisa obrączka ślubna jej ojca, jedyna pamiątka po nim, jaką sobie zostawiła. Specjalnie umówiła się z matką, że ją dostanie. Długo szukała łańcuszka w takim samym kolorze dwudziestoczerokaratowego złota, kosztował ją prawie tysiąc dolarów. A teraz dziecko nim szarpie i uderza w pamiątkową obrączkę.

- Nic - zbywam ją, nalewając sobie kubek kawy. - Dzień dobry, Willow - zwracam się do dziewczyny, która siedzi samotnie przy stole i zajada naleśniki z syropem. Cienka strużka skapuje na mahoniowy blat i przód kraciastej koszuli od Zoe.

Biegnę na róg po gazetę, a potem zasiadam do śniadania na balkonie. Nie mogę wytrzymać w tym samym pomieszczeniu co Heidi i dziewczyna, bo skrępowanie wypełnia je jak ciężki zapach zupy grochowej. Na dworze jest nie więcej niż dziesięć stopni. Spoglądam na

oparte o balustradę bose stopy i myślę, że słońce mnie wykiwało. W gazecie podają, że temperatura maksymalna wyniesie dzisiaj trzynaście stopni. Mimo woli sprawdzam rubrykę osób zaginionych, czytam artykuły o dzieciach podejrzanych o zamordowanie rodziców, nieletnich uciekinierkach. Szukam słów kluczy: „zabójstwo”, „zbrodnia”, „tortury”, i zastanawiam się, co konkretnie zrobili krewni Lizzie Borden, że aż tak ją wkurzyli?

Wczoraj wieczorem Heidi wysłała mnie po zakupy. Po kolacji poszedłem do drogerii i stanąłem ogłupiały w pustej alejce przed regałem z różnymi rodzajami pieluch dziecięcych. Pomyślałem, że jestem już za stary, żeby kupować pieluchy.

Potem przyglądałem się, jak Heidi kładzie dziecko na podłodze i odwija je z niebieskiego ręcznika, zabrudzonego śmierdzącymi odchodami. Niemowlak kopał nóżkami, uradowany nagością, podczas gdy moja żona wycierała mu pupę nawilżonymi pachnącymi chusteczkami, odkładając zużyte na ręcznik, który później miał trafić do zsypu.

Kiedy podniosła niemowlę, przeraził mnie widok podrażnionej, zaczerwienionej skóry wokół odbytu. Gdy Heidi smarowała pośladki najpierw jednym, potem drugim kremem, Willow gapiała się na nią, jakby nigdy dotąd nie słyszała o konieczności zmiany pieluch i opłakanych skutkach tego zaniechania. W jej oczach był smutek, kiedy Heidi wyjmowała z opakowania białe śpioszki i wkładała dziecku, zakrywając znamię wielkości dolarówki na nóżce.

Kiedy skończyła, podała dziecko Willow, która wzięła je niezgrabnie na rękę, nie tak wprawnie jak Heidi, jakby nie została pobłogosławiona rzekomo naturalnym instynktem macierzyńskim. Widziałem, że obchodzi się z dzieckiem jak z workiem ziemniaków, i zacząłem się zastanawiać, czy to naprawdę jej własne.

Nie ośmieliłem się jednak zapytać Heidi, ponieważ wiedziałem, co odpowie. Przypomni mi, że jestem sceptycznym cynikiem. Oczywiście, że to jej dziecko, powiedziałyby, jakby była obdarzona szóstym zmysłem i miała co do tego pewność.

Siedzieliśmy przed telewizorem przez, jak mi się wydawało, całą

wieczność, w każdym razie nieznośnie długo, bo przez ponad godzinę nikt nie odezwał się ani jednym słowem. Kiedy nie mogłem już tego dłużej wytrzymać, zgasilem telewizor i oznajmiłem, że pora spać. Zegar na ścianie wyświetlił dwudziestą czterdzieści sześć.

Nikt nie zaprotestował.

- Tylko na jedną noc - powiedziałem do Heidi, odciągając ją na stronę. - Nie dłużej.

- Zobaczymy - odparła, wzruszając ramionami.

Z szafy w pokoju Zoe wyciągnąłem śpiwór, wsunąłem krzesło pod klamkę sypialni i wysłuchałem niekończących się uwag Zoe, jak to mój pomysł wspólnego spania jest totalnie beznadziejny. Ja jestem totalnie beznadziejny. I że ma nadzieję, że jej znajomi nie dowiedzą się nigdy o tej beznadziei, o tym *ménage à trois*, jak się wyraziła.

Od kiedy moja dwunastoletnia córka zna takie... frywolne wyrażenia?

WILLOW

Joseph uczył religii w college'u. Omawiał Biblię, głównie Stary Testament. Nauczał o Bogu, który pokarał świat potopem, spuścił ogień i siarkę na wioski i pozabijał wszystkich mieszkańców, na kobiety i dzieci, na dobrych ludzi i złoczyńców. Wszystkich co do jednego. Nie wiedziałam, co znaczy siarka, więc Joseph pokazał mi ilustracje z podręczników, na których lał się z nieba ogień, pochłaniając miasta Sodomę i Gomorę, a żonę Lota zamieniając w słup soli.

- Oto - oznajmił surowym tonem z powagą na bladej, gąbczastej twarzy, na której nigdy nie gościł uśmiech - gniew boży. Wiesz, co znaczy gniew, prawda, Claire? - Odpowiedziałam, że nie wiem, a wówczas zdjął z półki duży, ciężki słownik i razem sprawdziliśmy znaczenie. „Stan najwyższej złości”, było tam napisane. - Oto - ciągnął Joseph, pokazując mi ilustracje lejących się z nieba ognia i siarki - co czyni Bóg, kiedy wpadnie w gniew.

Ponadto przekonał mnie, że grzmoty są moją winą, wyrazem bożego gniewu za to, co zrobiłam źle. Żyłam w strachu przed deszczem, błyskawicami i grzmotem. Kiedy niebo zasnuwały czarne chmury, jak to w środku lata w Omaha, wiedziałam, że Bóg idzie po mnie. Gdy zaczynał dąć wicher, gnąc drzewa niemal do ziemi, a czasami je łamiąc, i porywając śmieci z pojemnika na rogu, padałam na kolana, jak pokazał mi Joseph, i modliłam się gorąco o przebaczenie.

Nie wiedziałam przy tym, co złego uczyniłam. Przeszywające niebo błyskawice i ogłuszające grzmoty wprawiały mnie w przerażenie, kilka razy zmoczyłam nawet majtki, klęcząc i modląc się w swoim pokoju. Patrzyłam w okno, wypatrując deszczu siarki i ognia. Tkwiłam tak nieruchomo, dopóki burza się nie uspokoiła i nie przesunęła dalej, do Iowy i Illinois, aby tam ukarać innego grzesznika.

Joseph opowiedział mi o piekle. O miejscu, do którego udają się grzesznicy. Odbywają tam niekończące się pokuty i tortury, dręczeni

przez demony, smoki i samego diabła. Wieczne potępienie. Jeziora ognia. Ognisty piec. Nieugaszony ogień. Ogień, ogień, ogień. Żyłam w lęku przed ogniem.

Starłam się być dobrą dziewczynką. Naprawdę. Sprzątałam dom, kiedy Joseph wychodził do college'u, a Matthew i Isaac do szkoły, przygotowywałam lunch dla niego i chłopców, zносиłam też tacę Miriam, choć prawie nigdy nie jadła z własnej woli, Joseph musiał wykręcać jej rękę.

Miriam spędzała większość czasu na jeden z dwóch sposobów: albo w stanie podobnym do uśpienia, choć czuwała nieruchoma jak kłoda, albo też w stanie paniki, kiedy to rzucała się Josephowi do stóp, błagając o wybaczenie. Zdarzały się dni, kiedy była niespokojna, czepiała się Josepha i chłopców, że czytają w jej myślach. Kazała im przestać, krzyczała, okładając się pięściami po głowie:

- Wyjdźcie stąd, wyjdźcie, wyjdźcie!

W takie dni Joseph zamykał ją w pokoju na klucz. Nigdy nie rozstawał się z tym kluczem, nawet kiedy nie było go w domu, więc gdy zostawałam sama z Miriam, przez cały dzień musiałam słuchać jej wrzasków, że Joseph czyta jej w myślach i wkłada jej obce myśli do głowy.

Wydawało mi się, że Miriam jest wariatką. Bałam się jej. Nie tak jak Josepha, inaczej, ale się bałam.

Wykonywałam swoje obowiązki, pranie, sprząatanie i tak dalej, i gotowałam posiłki dla Josepha i chłopaków. Przez cały czas głośno podśpiewywałam, żeby zagłuszyć krzyki Miriam. Robiłam tak tylko pod nieobecność Josepha, ponieważ uważał, że śpiewanie piosenek z płyt, które kiedyś puszczała mama, z pewnością nie podoba się Bogu. To bluźnierstwo, wykrzykiwał. Świątokradztwo.

Ale Joseph nie zamykał mnie w pokoju na klucz. Przynajmniej jeszcze nie wtedy. Wiedział, że nigdzie nie ucieknę, ponieważ ciągle mi groził, że zacznie robić niedobre rzeczy z Lily, jeśli będę się źle zachowywać. Wobec tego zawsze byłam bardzo grzeczna.

Kiedy Miriam leżała nieruchomo jak posąg, wchodziłam do jej pokoju, ale zdawała się mnie nie zauważać. Nie patrzyła na mnie, nie śledziła

wzrokiem, gdy pomagałam jej wstać z łóżka. Nawet nie mrugała powiekami. Od czasu do czasu zmieniałam i prałam jej pościel. Potem prowadziłam Miriam do łazienki, wsadzałam do wanny i szorowałam ją gołymi rękami, ponieważ Joseph powiedział, że to mój obowiązek.

Prawie zawsze robiłam to, co Joseph mi kazał.

Jeden jedyny raz sprzeciwiłam mu się, kiedy wszedł do mojego łóżka. Tylko raz wyznałam, że boli mnie, kiedy mi to robi. Podciągnęłam wysoko nogi i objęłam je ciasno rękami, mając nadzieję, że mu to przeszkodzi, a wtedy stanął przede mną i powiedział:

- Oko, co ojca wyśmiewa, gardzi posłuchem dla matki - niech kruki nad rzeką wydziobią lub niech je zjedzą orlęta! Księga Przysłów, 30:17^[5].

Wyobraziłam to sobie, to rozrywanie przez kruki i sępy. Moje ciało rozdierane dziobami i szponami, ponieważ Bóg się na mnie pogniewał. Bo odmówiłam posłuszeństwa ojcu.

Więc rozchyliłam nogi, pozwoliłam Josephowi położyć się na mnie i starałam się nie poruszać, pamiętając, co powtarzała mama, kiedy prowadziła mnie do lekarza na zastrzyk:

- Nie ruszaj się, to mniej zaboli.

Więc starałam się ani drgnąć. Ale i tak bolało.

Bolało tam, podczas gdy... I jeszcze długo po tym, jak Joseph już sobie poszedł, chwalać mnie wcześniej, jaką byłam dobrą dziewczynką, jak bardzo jest ze mnie zadowolony.

Rozważałam jego słowa długo i wnikliwie. Zastanawiałam się, ile jeszcze razy Joseph będzie musiał zakraść się do mego pokoju, zanim ta dobra dziewczynka zamieni się w złą.

CHRIS

Kończę śniadanie i idę pod prysznic. Najpierw zmywam mopem podłogę, żeby usunąć ślady odparzonych, pokrytych pęcherzami stóp dziewczyny. Pół godziny później stoję przed Heidi z aktówką w rękach.

- Naprawdę? - pyta, podparłszy się pod boki.

- Tak, naprawdę - odpowiadam. Żegnam się z Zoe i kieruję do drzwi.

Ciągnę Heidi za sobą na klatkę schodową. Unosi się na niej zapach naszego śniadania. Mija nas sąsiad, pewnie schodzi do kiosku po gazetę.

- Chcę, żebyś do mnie dzwoniła - mówię, wciskając guzik windy. - Dokładnie co godzinę. Jeśli spóźnisz się choćby o minutę, dzwonię na policję.

- Zachowujesz się nierozsądnie, Chris - odpowiada.

- Punktualnie co godzinę, Heidi - powtarzam. - To proste. Co tak naprawdę można wiedzieć o drugiej osobie? - dorzucam retoryczne pytanie.

Całuję ją na pożegnanie w policzek i wsiadam do windy.

W pociągu mimo woli podsłuchuję rozmowę młodych ludzi o pijackich przygodach wczorajszego wieczoru, porannym kacu i o tym, który z nich rzygał po powrocie do domu.

W zaciszu biurowego pokoju wyjmuję z portfela paragon i zerkam na zanotowane nazwisko. Willow Greer. Rozparty w skórzanym obrotowym fotelu na czterdziestym trzecim piętrze biurowca uświadamiam sobie, że memorandum w sprawie kontraktu - przyczyna zjawienia się w pracy w słoneczny niedzielny poranek - kompletnie wywietrzało mi z głowy. Przez chwilę rozważam, że może jednak tym się zająć, po czym z ulgą rezygnuję.

Odpalam komputer i wpisuję w wyszukiwarce dwa słowa: Willow Greer.

Enter.

Podczas gdy komputer szemrze cichutko, wpatruję się niewidzącym

wzrokiem w ścianę i żałuję, że nie wziąłem po drodze kawy na wynos. Mój pokój nie ma okna, choć powinienem być wdzięczny, że go posiadam i nie muszę siedzieć w ciasnym szarym boksie na otwartej przestrzeni, jak większość naszych analityków. Z szuflady biurka wyłuskuję dwie lśniące ćwierćdolarówki, planując wyprawę do automatu z kawą, gdy tylko uda mi się rozwikłać tajemnicę Willow Greer. Gdy dzwoni telefon, prędko podnoszę słuchawkę.

- Rozmowa kontrolna o jedenastej - oznajmia Heidi z sarkazmem. Zerkam na ekran komputera i widzę cyferki: 10.59. W tle słychać zawodzenie dziecka.

- Dlaczego ona płacze? - pytam.

- Znów ma gorączkę - odpowiada Heidi.

- Podałaś jej lekarstwo?

- Czekamy, żeby zaczęło działać.

- Spróbuj zimnego okładu - podsuwam - albo letniej kąpieli. - Z Zoe to czasem działało. W istocie jednak mam ochotę stwierdzić pouczająco: „Należy ci się” albo „Nie mówiłem?”.

- Spróbuję - mówi Heidi i kończymy rozmowę.

Ale przedtem jeszcze napominam:

- Słyszemy się za godzinę, pamiętaj.

Wracam do komputera.

Najpierw otwieram galerię zdjęć, spodziewając się ujrzeć twarz Willow. Zamiast niej znajduję jednak rudą gwiazdkę ekranu o tym samym nazwisku. I brunetkę, bohaterkę mediów społecznościowych, która prezentuje się na tyle nieskromnie w wydekoltowanych bluzeczkach i króciutkich szortach, że nie mogłaby być naszą Willow. Jest jeszcze miasto Willow w hrabstwie Greer w Oklahomie. Domy na sprzedaż w Greer w Karolinie Południowej. Z książki telefonicznej wynika, że na terenie Stanów mieszka sześć kobiet o tym nazwisku. Oprócz tego Stephen Greer z Willow Ridge Drive w Cincinnati. Sprawdzam poszczególne osoby i notuję ich dane na kartce. Willow Greer z Old Saybrook w stanie Connecticut ma ponad czterdzieści lat. Za stara. Następna, z Billingsley w Alabamie, jest jeszcze starsza, ma chyba z dziewięćdziesiąt lat. Być może to babcia naszej Willow. Albo

nawet prababcia. Inne osoby także nie pasują.

W zamyśleniu postukuję długopisem w kartkę. Nagle mi świta: czy w książce telefonicznej są jedynie osoby pełnoletnie? Albo właściciele nieruchomości?

Szybko wpisuję Zoe Wood z Chicago, Illinois, i otrzymuję zero wyników.

Cholera.

Myszę intensywnie, wyłamując palce. Jak mógłbym wytropić córkę w internecie? Przeglądam strony znanych mi mediów społecznościowych. Nie ma tego wiele. Facebook. Myspace. W swoich poszukiwaniach zaszedłbym prawdopodobnie znacznie dalej, gdybym poprosił córkę o pomoc, tak jak wtedy, kiedy ratuje mnie przy obsłudze komórki. Rozważam dyskretne zadzwonienie na komórkę Zoe, ale szybko sobie przypominam, że przecież została skonfiskowana i leży na stole w kuchni obok Heidi. Psiakrew!

Zaczynam szukać wariantów nazwiska. Najpierw próbuję Willow G., potem Grier. Jeszcze Willow przez jedno „l”. Dla zabawy opuszczam drugie „w”. Willo. Kto wie...

Natykam się na profil na Twitterze dla W. Greer, nazwa użytkownika @LostWithoutU^[6]. Nic nie wiem o tym medium, ale wpisy wydają mi się mroczne i depresyjne, pełne samobójczych aluzji. „Zrobię to. Dzisiaj”. Zdjęcie profilowe ukazuje jednak inną osobę, nie tę, która zamieszkała w moim domu. W. Greer jest starsza, wygląda na pełnoletnią, chwali się bliznami na przegubach, ma nieprzyjemny uśmiech. Ostatni wpis został zamieszczony dwa tygodnie temu. Zastanawiam się, czy naprawdę to zrobiła, czy postanowiła skończyć ze swoim życiem.

I w jaki sposób.

- Witaj, nieznajomy.

Błyskawicznie ściemniam ekran i odchylam się w fotelu, jakbym wcale nie został przyłapany na podejrzanych czynnościach. Czy dałoby się to podciągnąć pod uporczywe prześladowanie? Uspokajam samego siebie, że to zwykłe poszukiwanie danych.

Mimo to jestem pewien, że moja twarz wyraża skrępowanie.

W drzwiach stoi Cassidy Knudsen. Ołówkową spódnicę i wysokie

szpilki zamieniła na mniej formalny strój, według mnie bardziej atrakcyjny: wąskie dżinsy i obszerny ciemny sweter, który zsuwa się z jednego ramienia, ukazując ramiączko czerwonego biustonosza. Cassidy poprawia sweter, który natychmiast opada z powrotem. Daje mu spokój, krzyżuje nogi w kostkach – trampki converse'y z niewiadomych powodów są bardziej pociągające niż niebotyczne szpilki – i opiera się swobodnie o framugę.

- Wydawało mi się, że w ten weekend pracujesz w domu.

- Miałem taki zamiar. – Sięgam po paragon z nazwiskiem dziewczyny na odwrocie i zwijam go w ciasną kulkę. – Muszę sporządzić memorandum – dodaję, wążąc w rękach gruby plik dokumentów. – W domu trochę za dużo się działo.

- Zoe? – pyta Cassidy domyślnie.

- Właściwie to Heidi – wyznaję.

Cassidy mruczy współczująco, jakbym się właśnie przyznał do małżeńskiego kryzysu, i przybiera zatroskaną minę.

- Tak mi przykro, Chris – oznajmia i bez pytania zasiada na jednym z krzesełek dla gości. – Czy chcesz o tym porozmawiać? – Zakłada nogę na nogę i nachyla się do mnie. Tylko kobiety są do tego zdolne. Mężczyzna natychmiast wyczuje powiew melancholii i ucieknie, gdzie pieprz rośnie. Kobieta czuje nieprzepartą potrzebę szczegółowego omówienia problemu.

- No cóż, Heidi czasem tak ma – powiadam i od razu żałuję, że to powiedziałem. Jakbym się uskarżał na swoje małżeństwo. – I nie ma w tym nic złego – zastrzegam.

- Heidi to dobra osoba – oznajmia Cassidy.

- Najlepsza – zgadzam się z nią. Wolałbym zarazem, żeby opuściły mnie myśli o Cassidy Knudsen w satynowej koszulce i szortach.

Ożeniłem się z Heidi, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Heidi była o dwa lata młodsza ode mnie. Patrząc na fotografię z naszego ślubu, wsuniętą za ramkę korkowej tablicy na ścianie. Straciłem ją kiedyś z biurka w pośpiechu i ramka pękła. Ciągle zapominałem o kupieniu nowej. Heidi była kiedyś u mnie w biurze i wodząc palcami po fotografii, bąknęła z przekąsem:

- Elegancko...

Ale wiem, że mnie rozumie, wie, że moja kariera opiera się na ciągłym pośpiechu i bieganinie.

Lecz teraz naszała na mnie myśl, że to zdjęcie mówi coś o nas. Ochronna szybka się stłukła i oto zostaliśmy narażeni na mikroskopijne dziurki i uszkodzenia, które pewnego dnia mogą doprowadzić do rozdarcia. Te dziurki mają nazwy: kredyt, dorastające dziecko, brak porozumienia, oszczędności na emeryturę, nowotwór. Spoglądam na wypielęgnowane paznokcie Cassidy, kiedy bawi się lampką na biurku, stylizowaną na zielone bankowe lampy z dawnych czasów. Owija łańcuszek na palcu i pociąga w dół, raz, potem drugi.

Niewierność? - myślę. Nie. Nigdy. Nie ja i Heidi.

Pokój wypełnia miękkie żółtawe światło. Miły kontrast w porównaniu z oślepiająco białymi fluorescencyjnymi lampami na suficie.

Chodziliśmy ze sobą zaledwie od kilku miesięcy, kiedy poprosiłem Heidi, żeby za mnie wyszła. Jej obecność była mi koniecznie potrzebna, jak powietrze. Wiedziałem, że tego właśnie pragnę, że to pierwsza pozycja na tegorocznej liście życzeń do świętego Mikołaja. Przywykłem dostawać to, co chcę. Jako nastolatek zmagalem się z koszmarnym aparatem na zęby, wiecznie jęczałem i narzekałem, że metal kaleczy mi dziąsła i policzki.

- Kiedyś mi za to podziękujesz - mawiała moja matka, która przez całe życie cierpiała z powodu nieprawidłowego zgryzu.

Nie pomyliła się, podziękowałem jej, i to wylewnie. Po latach wizyt u ortodonta potrafiłem błysnąć powalającym uśmiechem, który zjednywał mi powszechną sympatię. Czynił cuda na wieczorkach zapoznawczych w czasie studiów, podczas rozmów o pracę, kolacji z klientami i oczywiście podbijał kobiety. Heidi powtarzała mi nieraz, że to ten uśmiech najpierw zwrócił jej uwagę, kiedy spotkaliśmy się na jakimś balu dobroczynnym. Pamiętam, że był grudzień, a ona miała na sobie czerwoną sukienkę. Zapłaciłem dwieście dolców za bilet wstępu, zachęcony przez dyrektora mojej firmy. Mottem tamtego roku było „dawanie”. Ponoć to dobrze wyglądało, że zarezerwowaliśmy dwa stoliki, szesnaście czy nawet dwadzieścia miejsc po dwie stowy każde,

choć nikt z nas nie wiedział, jaką słuszną sprawę wspieramy.

Dopiero późno wieczorem na parkiecie, tańcząc z Heidi w objęciach, dowiedziałem się o analfabetyzmie w Chicago znacznie więcej, niż pragnąłem.

Jak wspomniałem, przywykłem dostawać to, co chciałem. To znaczy przed poślubieniem Heidi.

- Na czym polega problem, panie Wood? - pyta Cassidy. Nachyliła się jeszcze bliżej i wypielegnowanymi dłońmi poprawia fryzurę. - Chciałby pan o tym porozmawiać?

- Nie - odpowiadam. - Lepiej nie. - Smętnie myślę, że ostatnio wygrałem z Heidi tylko jedną potyczkę. Mianowicie zgodziła się włożyć dzinsy pod szlafrok, zanim popędziła ratować bezdomną dziewczynę. Wcześniej wygrywałem jedynie w drobiazgach, trywialnych sprawach, gdy różnica zdań między mną a żoną dotyczyła takiego oto zagadnienia: jaki rodzaj masła orzechowego kupić, kremowy czy z okruchami orzeszków.

Natomiast w ważnych sprawach przegrywałem. Za każdym razem.

- *C'est la vie?* - pyta Cassidy.

- *C'est la vie* - powtarzam.

Takie życie.

Patrzę w jej niebieskoszare oczy i przypominam sobie, jak oblałem się kawą, kiedy po raz pierwszy weszła do sali konferencyjnej, ubrana w czerwony żakiet i wąskie czarne spodnie nad kostkę, które włożyć mógł jedynie ktoś taki jak Cassidy Knudsen, a do tego buty na dziesięciocentymetrowych szpilach. Mój szef, nagle dziwnie niski i pozbawiony mocy, przedstawił ją jako „nową dziewczynę w mieście” i gapił się na jej tyłek, gdy zmierzała do pustego krzesła obok mnie. Sięgnęła do pudełka z papierowymi chusteczkami i zaczęła wycierać poplamiony kawą gors mojej koszuli. Gest, na który mógł sobie pozwolić jedynie ktoś taki jak Cassidy Knudsen.

- Ona jest taką *femme fatale*, prawda? - zapytała Heidi tamtego letniego dnia na firmowym pikniku w ogrodzie botanicznym, kiedy się poznały, obserwując, jak Cassidy odchodzi, mocno kołysząc biodrami.

- A co to znaczy *femme fatale*? - chciała wiedzieć Zoe.

Na co Heidi pokazała kobietę w wiśniowej sukience bez ramiączek i mruknęła krótko:

- Ona.

Biorę do ręki ćwierćdolarówki i oznajmiam, że wybieram się do automatu z kawą.

- Przynieść ci coś? - pytam z nadzieją, że zaprzeczy, a kiedy wrócę, znajdę pusty pokój. Odmawia z podziękowaniem, więc wyruszam do ciasnej firmowej kuchni na końcu korytarza. Wciskam odpowiedni guzik i czekam, aż maszyna przygotuje podwójne espresso bez cukru. Upijam kilka łyków i wracam z papierowym kubkiem do pokoju.

Po drodze zastanawiam się nad dalszymi krokami, jakie powinienem podjąć, żeby odszukać niejaką Willow Greer. Skręcam do pokoju i znajduję w nim Cassidy na czworakach, która zbiera rozsypane na wykładzinie ołówki i długopisy. Obszerny sweter niemal ciągnie się po podłodze, ukazując szczerze niewidoczną wcześniej resztę czerwonego biustonosza: koronkę Chantilly, fiszbiny pod nisko wyciętymi miseczkami, małą kokardkę z przodu.

Cassidy trzyma w ręku moją komórkę. Zerkam na zegar na ścianie. Dwie po dwunastej. I serce mi zamiera.

- Heidi - mówi Cassidy, podając mi aparat. Uśmiecha się, ale nie jest to miły ani uprzejmy uśmiech. - Do ciebie. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że odebrałam.

HEIDI

- Co ona sobie myśli, że odbiera twoje telefony? - warczę do słuchawki, słysząc wypowiedziane niepewnym, skruszonym tonem „halo?”. Wychodzę z pokoju wypoczynkowego, gdzie Willow przysiadła na brzeżku kanapy z Ruby na przykrytym ściereczką ramieniu, starając się doprowadzić, żeby odbiło się małej po jedzeniu. W tym celu, tak jak jej pokazałam, poklepuje ją lekko po pleckach. Widzę jednak, że buzia dziecka jest niepotrzebnie wciśnięta w ściereczkę, utrudniając jej oddychanie. Pozycja wcale nie wydaje się wygodna.

- Cześć, Heidi - odpowiada Chris, usiłując emanować spokojem i opanowaniem. - Wszystko w porządku?

Wyobrażam sobie tę, właśnie tę kobietę w jego ciasnym biurowym pokoju, jak przysłuchuje się naszej rozmowie. Przed oczami mam obraz Chrisa, jak zerka na zegarek i przewracając oczami, daje jej do zrozumienia, że żona jak zwykle marudzi, zasypując go pytaniami i pretensjami: „Czemu ona odbiera twoje telefony?”. „Dlaczego nie powiedziałeś, że będziesz dziś z nią pracował?”. „Czy ktoś jeszcze jest w biurze? Tom? Henry?”. Czuję, że policzki mi płoną. Pieką mnie uszy. Zaczyna boleć głowa. Dwoma palcami mocno naciskam zatoki.

Wciskam klawisz zakończenia rozmowy, co nie jest tak satysfakcjonujące, jak odłożenie z trzaskiem słuchawki na widełki. Przez chwilę stoję w kuchni, oddychając z trudem, i przypominam sobie powody, dla których nie cierpię Cassidy Knudsen. Jej uroda zapiera dech. Jest bystra, inteligentna. Szalenie szykowna, jak modelka ze stron kolorowego czasopisma, a nie analityczka, która przez cały boży dzień gapi się na nudne arkusze kalkulacyjne.

Jaki jest jednak najważniejszy powód mojej niechęci? To raczej jasne i nieskomplikowane. Mój mąż spędza z nią więcej czasu niż ze mną. Latając do gwarnych metropolii, nocując w drogich eleganckich hotelach, o których prywatnie możemy jedynie pomarzyć, jadając

kolacje w lokalach, w których bywamy jedynie od święta.

Wciąż słyszę jej przesadnie ożywiony ton - „O, cześć, Heidi!” - jakim zawiadamia, że „Chris właśnie wyszedł z pokoju” i że „za chwilę wróci”. Czy ma go poprosić, aby do mnie oddzwonił? Odpowiadam, że to zbyteczne, raczej zaczekam. Tak zrobiłam, gapiąc się na zegar w piekarniku przez ponad cztery minuty, bo tyle zajął Chrisowi powrót do pokoju, i słysząc, jak Cassidy Knudsen przesuwają przedmioty na jego biurku i pewnie coś zrzuca, bo rozlega się głucho łupnięcie. Prawdopodobnie gliniany pojemnik na długopisy, który Zoe zrobiła mu w prezencie parę lat temu. Słyszę, jak turlają się po podłodze.

- Ojej. - Chichocze jak niesforna nastolatka.

Wyobrażam sobie, że była kiedyś cheerleaderką w skąpej poliestrowej spódniczce i odsłaniającej pępek bluzce, i miała zwyczaj upuszczać ołówek przed rzekomo zboczonym nauczycielem fizyki, po czym podnosić go, schylając się nisko do podłogi, a potem opowiadać, że gapił się na jej cycki.

Zbieram się, żeby wrócić do Willow i Ruby, ale słyszę skrzypienie drzwi w sypialni Zoe, która opuszcza swoją kryjówkę i wślizguje się do pokoju. Najpierw cisza, a potem moja córka pyta głosem oschłym i trochę spiętym:

- Czy kiedyś się bałaś?

Czaję się w kuchni, ciekawa dalszego ciągu rozmowy. Bo takie pytanie...

- Co? - odpowiada Willow zdziwiona.

Wyobrażam ją sobie w pożyczonych ciuchach, wymiętych od snu i poplamionych syropem. Siedzi na brzeżku kanapy, a kiedy Ruby wydaje wreszcie beknięcie niczym rasowy pijak, parska głośnym śmiechem.

Trochę gazu zawsze topi lody.

- To znaczy tam - precyzuje Zoe.

Wyobrażam sobie, że pokazuje na okno, zza którego dochodzi zwyczajny miejski zgiełk: taksówki, syreny, klaksony, muzyka saksofonu.

- Tak, pewnie tak - odpowiada Willow i dorzuca zmieszana: - Nie lubię grzmotów.

Uderza mnie, że siedząca w moim mieszkaniu dziewczyna

z niemowlęciem na rękę, z pozoru twarda, osłonięta skorupą jak mięczak, która chroni to wszystko, co w niej wrażliwe i cenne, sama jest jeszcze dzieckiem. Dziecko, które rzuca się łapczywie na naleśniki i bitą śmietanę i boi się czegoś tak w sumie niegroźnego jak grzmoty.

Wazon, profile. Wazon, profile.

Rozmyślam o gwarnym mieście, które w nocy w końcu zamiera. Słońce zachodzi, znika za przedmieściami, zapalają się neony, latarnie i światła. Wydaje się, że Loop wtedy płonie. To doprawdy niezwykły widok. W naszej okolicy, o dwa, trzy kilometry od centrum, noc oznacza całkowitą ciemność. Jest ciemno choć oko wykol, gdzieś tylko pali się latarnia, o ile działa. To pora, o której wyłażą miejskie żywe trupy i przesiadują w parkach, w mrocznych zaułkach i podcieniach zamkniętych warsztatów i sklepów wzdłuż ulic Fullerton i Clark. Mieszkanie w zamożnej okolicy nie oznacza bynajmniej ochrony przed przestępczością. W porannych wiadomościach często się słyszy doniesienia o fali przestępstw, która zalewa Lakeview i Lincoln Park, o nocnych rabunkach i eskalacji przemocy. Nieustannie dowiadujemy się o napadach na kobiety wracające z pracy lub z zakupów. Nasza dzielnica, tak ciemna nocą, wypełniona dzwoniącą w uszach ciszą, musi się wydawać przerażającym miejscem. Po prostu upiornym.

- Muszę wam coś pokazać - mówię i znikam na końcu korytarza.

Zanim lekarstwo Ruby zadziałało i gorączka opadła, minęła ponad godzina. W tym czasie mała była płaczliwa i rozdrażniona, ani Willow, ani ja nie mogłyśmy jej utulić. Próbowaliśmy karmienia, kołysania, wkładałyśmy smoczek do buzi otwartej do krzyku, ale wszystko na próżno. Potem, zgodnie z sugestią Chrisa, włożyłyśmy ją do letniej kąpielni, co trochę pomogło. Następnie nałożyłyśmy nowe warstwy maści na pośladki, dałyśmy świeżą pieluchę i czyste ubranko. Targam teraz do salonu pojemnik z fałszywą etykietą „Heidi. Praca” i razem z dziewczynami przebieramy w śpioszkach w zabawne wzory i koszulkach z żabocikami, w piżamkach z organicznej flaneli i satynowych kapturkach w sam raz dla malutkich niemowlęcych stópek.

- Tylko nic nie mów tacie - przestrzegam Zoe, kątem oka obserwując,

jak Willow dotyka delikatnych materiałów, po czym szybko cofa rękę jakby w obawie, że coś uszkodzi albo pobrudzi. Widzę niemal, niczym w jasnowidzeniu, jak jakiś dorosły pacnięciem odsuwa jej rękę, kiedy ona chce dotknąć czegoś, co jej się podoba. Zabiera ją, spuszczaając wzrok, głęboko urażona.

- Proszę, obejrzyj - mówię, wkładając jej do rąk najbardziej szykowne ubranko, jakie mogę znaleźć. Willow wodzi palcami wzdłuż poziomych linii na sztruksie, jakby nie widziała wcześniej tego materiału. Podnosi ostrożnie parę śmiesznych spodenek i pociera nimi policzek.

- Co to właściwie jest? - dziwi się Zoe, wyjmując z pojemnika aksamitną sukieneczkę ze spódniczką z tafty. Spogląda na cenę na metce i oczy robią jej się okrągłe jak spodki. - Dziewięćdziesiąt cztery dolary? - pyta z niedowierzaniem, oglądając na wszystkie strony spłachetek materiału, którego nikt nigdy nie nosił. I równie kosztowne, pasujące kolorem rajstopki.

- A przecież to było dziesięć lat temu - mówię - albo i więcej. - Pamiętam, że porę lunchu spędzałam na buszowaniu w butikach, kupując tu sweterek, tam sukieneczkę, a jeśli Chris, co się rzadko zdarzało, pytał, skąd wziął się debet na karcie kredytowej, tłumaczyłam to pożyczką dla przyjaciółki, która pilnie potrzebowała pieniędzy.

- Czy to... moje rzeczy? - pyta Zoe, biorąc do rąk kwiecistą letnią sukieneczkę i sandały. Trzyma je przed sobą, a ja zaczynam się zastanawiać, jak jej to wytłumaczyć. Mogłabym spokojnie potwierdzić i na tym zakończyć. Lecz oczywiście metki świadczą o tym, że ubranka te nigdy nie były używane.

- To moje hobby - mówię. - Jedni zbierają korki z butelek po winie, inni pocztówki. - Dziewczyny patrzą na mnie, jakbym właśnie wyszła z rakiety i rozpoczęła spacer po Marsie. - Trudno się temu oprzeć - ciągnę - bo przecież te ubranka są takie śliczne. - Na dowód pokazuję im parę futrzanych kozaczków.

- Ale... - zaczyna Zoe, która odziedziczyła po Chrisie logiczny umysł. - Ja nigdy nie nosiłam tych rzeczy, więc dla kogo właściwie były przeznaczone? - pyta rzeczowo.

Córka i Willow wpatrują się we mnie surowo. Jak dobry i zły glina,

myślę. Unikam pytającego spojrzenia Zoe, nie jestem w stanie przyznać, że to ubranka dla Juliet, że nawet kiedy dowiedziałam się od lekarza, iż nie będę mogła mieć więcej dzieci, nie przestałam za nimi tęsknić, wyobrażać sobie świata, w którym istnieją obie, Zoe i Juliet, i bawią się lalkami na podłodze w pokoju wypoczynkowym, a ja mam wielki, zaokrąglony brzuch, w którym noszę trzecie maleństwo. Nie mogę się przyznać, że na wieść, że będę miała tylko jedno dziecko, poczułam chłód i niechęć, bo przecież zawsze wyobrażałam sobie dom pełen dzieci; czułam się samotna nawet w towarzystwie Zoe. Nawet z Chrisem. Nasza trójka, moja mała rodzina, wydała mi się nagle niewystarczająca. Nie dość dobra. Była w niej pustka. Wypełniłam ją myślami o Juliet, ambicjami i oczekiwaniach oraz pojemnikiem ubranek, które pewnego dnia miała zacząć nosić.

W głębi serca przekonałam samą siebie, że pewnego dnia ona się pojawi. Ten dzień po prostu jeszcze nie nadszedł.

- A może zobaczymy, czy coś z tych ubranek nada się dla Ruby? - pytam w nadziei, że Zoe nie będzie drążyć tematu. Z nowym entuzjazmem zabieramy się do przeszukiwania pojemnika, mimo że widok kolorowych ciuszków - i zapach, niemożliwa do pomylenia woń luksusowych butików i optymizmu - przypomina mi o jątrzącej się ranie w sercu.

I w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się moje łono.

Wybieramy jasnobrązowy kombinezon na szelki i białą koszulkę z falbanką. Przyglądam się, jak Willow rozbiera dziecko i stara się włożyć mu koszulkę przez głowę. Ruby wydaje ryk protestu i energicznie kopie nóżkami. Willow porusza się niepewnie, z nadmierną ostrożnością. Patrzy na koszulkę, na z pozoru zbyt małe wycięcie przy szyi, po czym stara się wcisnąć w nie główkę dziecka, zapominając, że jak najszybciej trzeba uwolnić nos, by umożliwić dziecku oddychanie.

- Pozwól, że ja to zrobię - mówię z lekkim zniecierpliwieniem, choć staram się je stłumić. Czuję na sobie wzrok Zoe, ale go unikam. Zajmuję pozycję Willow i rozciągnąwszy elastyczne wycięcie koszulki, stanowczym ruchem wkładam Ruby przez głowę. Zapinam zatrzaski w kroku, sadzam małą i zapinam resztę zatrzasków na plecach. -

Ślicznie - mówię, gdy Ruby chwyta w paluszki dyndający na mojej szyi złoty łańcuszek i oczy jej się rozjaśniają. - Podoba ci się? - Uznaję błyszczące oczy i zaśliniony, bezzębny uśmiech za odpowiedź twierdzącą. Wkładam do małej rączki obrączkę ślubną ojca i patrzę, jak Ruby zaczyna ją ścisnąć pulchnymi paluszkami. - To obrączka mojego tatusia - mówię i zabieram się do włożenia kombinezonu i białych koronkowych skarpetek na wywijające energicznie stópki. Ruby piszczy z uciechy, więc przyciskam twarz do jej brzuszka i pieszczotliwie przemawiam: - Koci koci łapci... - Dzieci uwielbiają taką paplaninę.

Zupełnie zapominam, że Willow i Zoe są ze mną w pokoju, przyglądając się, jak żartobliwie dmucham na odkryte części ciała Ruby: wnętrza łokci, tłusty karczek. Staram się ignorować zdumienie na twarzy mojej córki, kiedy bełkoczę płynnie po dziecinnemu; tej umiejętności nigdy się nie zapomina, jak jazdy na rowerze.

- Kiziu miziu - seplenię.

- Boże! - Zoe zrywa się nieoczekiwanie i krzyczy piskliwym falsetem:

- Może już dość tej dziecięcej paplaniny, co? - Tupiąc nogami, wychodzi z pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi do pokoju.

WILLOW

- Na co chorowała Miriam? Na schizofrenię?

- Nie wiem. - Potrząsam głową.

W zakratowanym, wysoko umieszczonym oknie widzę, że skrawek nieba zmienia barwę i błękit szybko zastępują pomarańcz i purpura. Strażnik w kącie ziewa przeciągle, wcale się z tym nie kryjąc, a Louise Flores gromi go wzrokiem.

- Czy pan się nudzi? - pyta oschle, a strażnik staje na baczność, ściągając barki, unosząc brodę i prostując plecy.

- Nie, proszę pani - odpowiada.

Ale Flores nadal świdruje go tak surowym spojrzeniem, aż nawet ja zaczynam się rumienić.

Nie wiem, na co chorowała Miriam, ale jestem pewna, że była to sprawka Josepha.

- Mówiłaś, że Miriam zażywała czasami tabletki - pyta Flores, a kiedy kiwam głową, pyta: - Czy wiesz, jakie to były lekarstwa?

- Małe białe pigułki - mówię. - A czasami jeszcze inna. - Tłumaczę, że po nich wyglądała trochę lepiej i mogła wstawać, lecz jeśli musiała zażywać ich więcej, to potem znowu lądowała w łóżku.

Miriam była wiecznie zmęczona bez względu na to, czy przyjmowała leki, czy nie.

- Czy Joseph zaprowadził ją kiedyś do lekarza?

- Nie, proszę pani. Miriam nie opuszczała domu.

- Nigdy nie wychodziła z domu?

- Nie, proszę pani. Nigdy.

- Dlaczego nie przyjmowała leków regularnie?

- Joseph mawiał, że gdyby Bóg chciał ją wyleczyć, toby ją wyleczył.

- Ale czasami podawał jej tabletki?

- Tak, proszę pani. Kiedy miała przyjść panna Amber Adler.

- Twoja opiekunka społeczna?

- Tak, proszę pani.

- Skąd Joseph brał te tabletki? Skoro nie był z Miriam u lekarza?

- Z szafki z lekarstwami w łazience.

- Tak, Claire, to oczywiste, ale jak one tam trafiły, skoro nie było wizyty u lekarza? Prawdopodobnie na takie leki potrzeba recepty. Kupuje się je w aptece.

Odpowiadam, że nie wiem. Joseph kazał mi je przynosić, były w małych plastikowych torebeczkach.

- W plastikowych torebeczkach? - przerywa mi ze zdziwieniem.

Potakuję, a wtedy zapisuje coś w swoim notesie obok słowa „zelota”, które czytam do góry nogami już od pół godziny i wciąż nie mam pojęcia, co oznacza. Joseph wyjmował pigułki i zmuszał Miriam, żeby je zażyła. Czasami siłą otwierał jej usta i kazał mi wrzucać do nich tabletki, a potem czekaliśmy, ile było trzeba, aż je połknie. Miriam nie lubiła tych leków.

Raz czy dwa razy do roku Joseph zmuszał ją do regularnego przyjmowania pigułek i wtedy wychodziła z pokoju i szła się wykąpać, a my otwieraliśmy wszystkie okna, a moim zadaniem było pozbyć się tego wszechobecnego smrodu Miriam z domu, zanim przyjedzie do nas panna Amber Adler w swoim gruchocie z wielką torbą Nike na tylnym siedzeniu. Joseph wyjmował skrzynkę z narzędziami i zaczynał wszystko naprawiać, zamalowywać plamy, które powstały tu i ówdzie w pomieszczeniach. Jedynie przed spodziewaną wizytą opiekunki wymieniał przepalone żarówki i oliwił skrzypiące zawiasy.

Joseph zawsze dawał mi nową sukienkę, o wiele ładniejszą od za ciasnych, brudnawych łachów, które wrzucał mi do pokoju w dużych białych workach, jakby zabrał je sprzed czyjejś furtki w dniu wywożenia śmieci. Raz przyniósł mi nawet parę butów z prawdziwej skóry, za dużych na mnie, ale i tak kazał mi je włożyć, żeby panna Adler widziała.

Opiekunka przywoziła mi listy od Paula i Lily Zeegerów. Wspomniała, że może im podać mój nowy adres, ale po tym, jak Joseph podarł zdjęcie mamy, podziękowałam jej, mówiąc, że tak jest dobrze, mogę dostawać te listy, kiedy panna Adler mnie odwiedza. Lily Zeeger pisała dużo i pięknie o mojej młodszej siostrze Rose (Lily), a to wcześniejsze imię

umieszczala zawsze w nawiasie na wypadek, gdybym nie wiedziala, o kim mowa. Rose (Lily) rosła ponoć jak na drożdżach, a ze zdjęć, które Duża Lily widziala, wynikało, że staje się coraz bardziej podobna do mamy, która była prześliczną, wyjątkową, absolutnie wspaniałą kobietą (jakby niezliczone komplementy mogły zanegować prosty fakt, że nie żyła). Dalej pisała, że Rose (Lily) uczy się abecadła i rachunków i potrafi śpiewać ślicznie jak ptaki, których pełno w okolicy ich domu w Kolorado, dołączała też zdjęcia ładnego domu ze spadzistym dachem w otoczeniu lasu na tle wyniosłych górskich szczytów, i małego psa podobnego do cocker spaniela, który biegał przy nogach mojej Lily. Oto i ona, Mała Lily, z loczkami czarnych włosów zupełnie jak u mamy, które urosły, zostały zaczesane do tyłu i przytrzymane spinkami w kształcie biedronek, w ciemnożółtej sukience z falbankami i wielką kokardą na czubku głowy. Uśmiechała się. Paul Zeeger stał na balkonie w koszuli i krawacie w paski, patrząc w dół na Małą Lily, więc pewnie fotografowała Duża Lily, bo nigdzie nie było jej widać. Nawet pies wyglądał na szczęśliwego. Z listu wynikało, że Rose (Lily) chodzi na lekcje baletu, bardzo lubi popisywać się przed Paulem i Lily piruetami i podskokami, i uwielbia swój jasnoczerwony trykot i tutu, spódniczkę baletnicy. A na jesieni zacznie chodzić do przedszkola przy szkole Montessori w miasteczku.

- Co to jest szkoła Montessori? - zapytałam pannę Adler.

- To dobra szkoła - odpowiedziała z uśmiechem, poklepując mnie po grzbiecie dłoni.

Zapytałam też, czemu Paul i Lily Zeegerowie nie mają własnych dzieci. Dlaczego potrzebowali akurat mojej Lily? Odpowiedziała, że czasem po prostu tak właśnie jest. Jedno z nich nie mogło mieć dzieci. Wcale nie miało tak być. Przypomniałam sobie, co Joseph mówił o Miriam - gdyby Bóg chciał, żeby była zdrowa, toby ją uzdrowił. Pomyślałam, że gdyby Bóg chciał, żeby Zeegerowie mieli dzieci, to dałby im je. Ich własne, a nie moją Lily. Lily była moja.

Wiele rozmyślałam o domu ze spadzistym dachem, w którym teraz mieszkała. O wysokich drzewach, górach i psie. O tym, że bardzo chciałabym tam pojechać, do tego domu w lesie, i znowu zobaczyć Lily.

Zastanawiałam się, czy będzie to kiedyś możliwe.

Duża Lily napisała, że jeśli chcę, mogę napisać list do Rose (Lily), a ona go jej przeczyta. Tak zrobiłam. Opowiedziałam jej o grządkach tulipanów przed domem (których wcale nie było) i czego się uczę w szkole (nie chodziłam do szkoły). W domu czytało się jedynie Biblię; na rozkaz Josepha przepisywałam wersety z Księgi Powtórzonego Prawa lub Księgi Kapłańskiej, nic innego. Świadectwa szkolne, które pokazywał opiekunce – te, na których widniały moje słabe oceny – były sfałszowane, na fotokopiach świadectw Matthew lub Isaaka Joseph wpisywał po prostu moje nazwisko i zmieniał stopnie z fizyki i matematyki, dopisując uwagi nauczycieli o moim rzekomo złym zachowaniu i nieposłuszeństwie.

– Nie lubisz szkoły? – pytała z troską opiekunka.

– Dosyć lubię – odpowiadałam.

– Jaki jest twój ulubiony przedmiot? – dociekała.

Nie wiedziałam zbyt wiele o przedmiotach, więc podawałam na chybił trafił, że matematyka.

– Ależ Claire, tu jest napisane, że często wagarujesz z tej lekcji. – Wzruszałam na to ramionami, mamrocząc, że to trudny przedmiot, a wtedy napominała mnie, jak to miała w zwyczaju, jaka jestem szczęśliwa, że mam Josepha i Miriam. Inne rodziny zastępcze nie byłyby skłonne wykazać tyle zrozumienia. – Musisz się bardziej starać – powtarzała, sugerując Josephowi i Miriam wzięcie korepetytora.

W listach opisywałam Małej Lily, że mieszkam w dużym mieście, w Omaha, gdzie są piękne budynki. Chociaż nigdy ich nie widziałam, czułam, że gdzieś tam są. Omaha była zupełnie inna niż Ogallala. Poznawałam to po zapachach, dźwiękach, nawoływaniach dzieciaków na ulicy. Kiedy byłyśmy małe, mama często opowiadała nam o Omaha. O ludziach i budynkach, muzeach i zoo. W listach pisałam Lily o braciach (których ledwie znałam), przyjaciółkach ze szkoły (których nie było) i cudownych nauczycielach (jak wyżej).

W odpowiedzi mogłam przeczytać o prezencie dla Rose (Lily) na czwarte urodziny. Był to nowy rower, różowy i miętowozielony, z kółeczkami do nauki jazdy, białym wiklinowym koszyczkiem i żółtym

siodełkiem. Do listu Duża Lily dołączyła zdjęcia. Mała Lily w kasku na rowerze popychanym z tyłu przez Paula, za nimi goni spanielek. I o planowanych wakacjach w Kalifornii, żeby Rose (Lily) zobaczyła ocean i plażę. Była ciekawa, czy widziałam już kiedyś ocean? Rose (Lily) dostała kostium do opalania i kapelusik. Przy następnej wizycie opiekunka przywiozła mi list z rysunkami samej Lily, na których był ocean, ryby i jakieś kształty na piasku, które mogły być ewentualnie muszelkami. Na rysunkach było także wielkie żółte słońce z promieniami wyłazającymi poza kartkę. Na odwrocie każdego rysunku Duża Lily napisała swoim nienagannym charakterem pisma:

Rose (Lily), 4 lata.

To nie byli źli ludzie.

Z czasem to zrozumiałam.

Pojmowałam to dobrze umysłem, ale nie sercem. To były dwie zupełnie różne sprawy.

HEIDI

Następnego ranka Zoe z lekkim ociąganiem proponuje pożyczanie Willow ubrania na zmianę. Tym razem są to czarne legginsy, za krótkie na Zoe – a tym bardziej na Willow – i bawełniana, poplamiona farbami bluza, w której moja córka chodziła na zajęcia z plastyki.

– Zoe, błagam. To wygląda strasznie – mówię.

– No dobrze – cedzi i zdejmuje z wieszaka rozpinany ciemny sweter. – Masz. – Rzuca go prosto w ręce Willow.

Dziewczyny jedzą śniadanie – pełne miski płatków kukurydzianych z mlekiem – po czym Zoe znika w łazience, żeby się umyć i ubrać. Ruby na moich kolanach w końcu zasnęła, przedtem marudziła i popłakiwała już od piątej rano, zbudzona wysoką gorączką. Ponieważ płaczące dziecko powinno być kołysane, a nie mamy kołyski, przytuliłam małą do piersi i kołysałam się w przód i w tył, w przód i w tył, dopóki nie zaczęła się uspokajać, a mnie nie rozboleły mięśnie pleców. Nie przeszkadzało mi to. Czułam niezwykłą satysfakcję, kiedy Ruby wreszcie ucichła i powoli zamknęła oczy.

Ostrożnie przesiadłam się na fotel, pochłonięta obserwowaniem, jak jej powieki drżą w czasie snu, a małe paluszki mocno ściskają mój kciuk. Nie budząc się, zdjęła sobie z lewej stopy skarpetkę i zrzuciła ją na podłogę. Jak urzeczona wpatrywałam się w maleńkie piętki, jedwabiste kosmyki włosów, aksamitny puszek na gładkiej główce, jasną cerę.

Byłam tym tak pochłonięta, że straciłam poczucie czasu, zapomniałam, że muszę wyprawić Zoe do szkoły, a siebie do pracy.

Otrząsam się z zauroczenia, gdy Zoe staje przed drzwiami z plecakiem przewieszonym przez ramię. Ma na sobie kurtkę, w rękę trzyma parasolkę.

– Jesteś gotowa do wyjścia? – pyta, a ja spoglądam na siebie. Siedzę w szlafroku i ciepłych futrzanych papuciach. – Mamo! – warczy Zoe, zorientowawszy się, że nadal jestem w piżamie. Nie poruszam się

z obawy, że obudzę Ruby. Słyszę swój szept:

- Ciii... - żeby Zoe przestała wreszcie krzyczeć.

Moja córka marszczy gniewnie czoło, zerkając to na mnie, to na zegar na ścianie. Garbi się, zwiesza luźno ramiona, pochyla głowę. Plecak zsuwa się z ramienia i z łupnięciem spada na podłogę.

- Nie idę do pracy - szepczę. - Musisz dziś sama iść do szkoły. - Spodziewam się, że podskoczy z uciechy, bo błaga mnie już od dawna, żebym przestała ją wreszcie odprowadzać. Żeby mogła sama chodzić do szkoły, jak jej najlepsza przyjaciółka Taylor.

Ale zamiast wybuchu radości Zoe patrzy na mnie ze wzgardliwym zdumieniem.

- Jak to nie idziesz do pracy? Przecież zawsze chodzisz. - Co jest prawdą, bo nawet kiedy Zoe była mała i leżała chora na grypę, rzadko brałam wolne. Często prosiłam Chrisa, żeby z nią został, a kiedy nie mógł, przyjeżdżali jego rodzice albo w ostateczności siedział z nią Graham.

Miły ciężar Ruby, śpiącej słodko na moich kolanach, przypomina mi, że nie mogę wyjść z domu.

Mój kciuk, ściskany przez jej pulchne paluszki, przekonuje mnie, że nie mogę nawet drgnąć.

- Mam dużo dni wolnych do odebrania - mówię przyciszonym tonem.

Przypominam Zoe o zapakowanym w papierową torebkę drugim śniadaniu, leżącym na stole w kuchni. Moja córka zaczęła dbać o wagę. Staram się sobie przypomnieć, czy w wieku dwunastu lat też się tym przejmowałam, ale jestem prawie pewna, że to przyszło później, co najmniej cztery czy pięć lat później. Zoe idzie do kuchni i wraca z szeleszczącą torebką. Ruby porusza się nieco i leciutko unosi powieki, po czym wyciąga rączki nad głowę i znowu zapada w sen.

- Miłego dnia - szepczę do Zoe, na co wzrusza ramionami i wychodzi bez słowa, nie zamykając za sobą drzwi. Muszę poprosić Willow, żeby to za nią zrobiła.

Mam nadzieję, że Zoe pamięta o mojej prośbie, żeby z nikim w szkole nie rozmawiać o Willow. Ukrywanie zbiegłej osoby przez ponad czterdzieści osiem godzin jest przestępstwem, karanym rokiem

więzienia, kilkoma latami zawieszenia albo dotkliwą grzywną.

Wiedza i wiara to jednak dwie różne rzeczy. Trudno mi uwierzyć, że mogłabym zostać na tym przyłapana, albo że policja mogłaby wnieść oskarżenie, chociaż próbuję jedynie pomóc tej dziewczynie. Ciekawe, gdzie była policja, kiedy ktoś uderzył Willow tak mocno, że wciąż ma siniec na głowie, albo kiedy dobrał się do niej lubieżny mężczyzna. Czy była sama, kiedy rodziła Ruby, ukryta w pustym, ciemnym zaułku pod zardzewiałymi schodami przeciwpożarowymi i ciekącymi otworami klimatyzatorów, obok rojących się od szczurów śmietników, oparta o mur upstrzony graffiti, tłumiąc wydzierające się z gardła jęki, by nikt niczego nie słyszał.

Nie mogę się pozbyć z myśli obrazu Willow rodzącej w ciemnym zaułku. Siedząc w fotelu z dzieckiem na kolanach – Willow przycupnęła przy dużym oknie i spogląda w milczeniu na ulicę – odliczam cztery miesiące: marzec, luty, styczeń, grudzień. Ruby musiała się urodzić w grudniu. Wyobrażam sobie rozmiękły brudny śnieg, lodowate zimno, w którym zamarza krew płynąca z kanału rodnego.

W mojej głowie Willow zostaje zastąpiona przez Zoe; jest córką, czyjąś córką.

Gdzie jest jej matka?

Dlaczego nie ochroniła jej przed tym koszmarnym losem?

Patrzę na Willow, na firanę zasłaniających twarz włosów, pod którą kryją się trochę mniej już opuchnięte, zaczerwienione oczy, trochę bardziej miękka, mniej spierzchnięta cera. Willow nie jest wysoka, jest o piętnaście centymetrów niższa ode mnie, więc widzę czubek jej głowy, odrosty brązowych, nieufarbowanych kosmyków.

Bez zastanowienia wyciągam rękę i lekko muskam palcami płatek ucha, gdzie skóra jest czerwona i popękana, upstrzona zainfekowanymi dziurkami od kolczyków. Willow błyskawicznie się uchyla i chowa głowę w ramiona, jakbym wymierzyła jej policzek.

- Bardzo przepraszam – szepczę poruszona, szybko cofając rękę. - Przepraszam... Nie chciałam... - Głos mi się załamuje, więc biorę się w garść i zaczynam od nowa: - Trzeba się temu przyjrzeć. Mam dobrą maść, neosporin, powinna pomóc. - W głębi ducha wiem jednak, że i tak

prędzej czy później pójdziemy do lekarza, skoro gorączka u Ruby nie mija.

Po pewnym czasie Willow pyta nieśmiało, czy może pożyczyć mój egzemplarz „Ani z Zielonego Wzgórza”, na co chętnie się zgadzam. Przyciskając książkę do serca, znika w pokoju Chrisa, ja zaś zaczynam rozmyślać, jakie znaczenie ma dla niej ta powieść, którą musiała czytać już wiele razy, skoro tak dobrze pamięta jej treść. Mogłabym ją o to zapytać, ale od razu wyobrażam sobie, że zwija się w kulę jak jeź albo stonoga, przyjmując pozycję obronną.

Ze śpiącą, zawiniętą w kocyk Ruby przesiadam się z fotela na krzesło i otwieram laptop, przy którym stawiam kubek kawy. W okienko wyszukiwarki wpisuję „maltretowanie nieletnich”.

Dowiaduję się, że w naszym kraju co roku ponad tysiąc dzieci umiera z powodu maltretowania lub zaniedbań ze strony opiekunów. Co roku nauczyciele, lokalne władze, przyjaciele rodzin, sąsiedzi i osoby anonimowe składają ponad trzy miliony doniesień do opieki społecznej i organizacji pomocowych. Bite dzieci doznają ran i złamań kości, uszkodzeń kręgosłupa, mózgu, szyi, poparzeń drugiego i trzeciego stopnia. Długo można by ciągnąć tę smutną statystykę. Przemoc psychiczna skutkuje depresją nawet u najmłodszych ofiar, zamknięciem się w sobie, zachowaniami antyspołecznymi, zaburzeniami łaknienia, próbami samobójczymi, przedwczesnym podejmowaniem życia płciowego. Gdy to czytam, w umyśle zaczyna mi się tworzyć obraz młodziutkiej ciężarnej Willow. Ofiary przemocy fizycznej i psychicznej częściej popadają w nałogi, są sprawcami przestępstw, porzucają naukę.

Kim jest ojciec dziecka? – zastanawiam się, nalewając drugi kubek kawy ze śmietanką.

Kochanek? Chłopak? Nauczyciel, który wykorzystał swoją pozycję, by uwieść uczennicę, albo uczynił to, faworyzując ją w klasie, będąc dla niej wyjątkowo miłym? Jej ojciec? Sąsiad? Krewny?

Nagle sobie przypominam: Matthew. Brat Willow. Który czytuje „Anię z Zielonego Wzgórza”.

Czy to Matthew jest ojcem Ruby?

Słyszę kroki Willow, więc szybko zatrzaskuję laptop, żeby nie

zobaczyła słów rozsypanych na ekranie: „molestowanie seksualne”, „przemoc”. Willow pyta, czy może włączyć telewizor, więc oczywiście się zgadzam, pod warunkiem, że przyciszy dźwięk. Zerkam ukradkiem, jak siada na fotelu i zaczyna oglądać „Ulicę Sezamkową”, program dla dzieci, który Zoe uwielbiała, kiedy miała cztery czy pięć lat. Wydaje mi się to dziwne, bardzo dziwne. Nie wiem, jak mam to rozumieć.

Moja troska o Willow zostaje jednak dosyć szybko zastąpiona rozmyślaniami o Ruby i zaprzestaję szukania w internecie haseł o przemocy i molestowaniu na rzecz przeglądania ofert kołyszek dla niemowląt. Nie myślę już o fioletowym siniaku na głowie Willow, lecz o potrzebie kołysania małych dzieci i o tym, żeby usiąść z Ruby na kolanach przed dużym wykuszowym oknem i godzinami gapić się na deszcz.

CHRIS

Z jednej nocy robią się dwie.

A z dwóch trzy.

Nie jestem pewien, jak to się dzieje. Wracam z pracy do domu, zamierzając stanowczo oznajmić, że już najwyższy czas, by dziewczyna się z nami pożegnała. Planuję dać jej pięćdziesiąt dolarów – nie, lepiej stówę – co powinno jej na pewien czas wystarczyć.

Sprawdzę, gdzie w granicach miasta znajdują się schroniska dla bezdomnych. Niech Heidi widzi, że się staram.

Osobiście ją tam zawiozę. Taksówką. Zaczekam, aż wejdzie do środka. Zawczasu ustalę, czy przyjmują matki z dziećmi.

Zastanawiam się, co powiem mojej żonie. W drodze z pracy do domu sporządzam ponumerowaną listę spraw, bazgrząc okropnie z powodu kołysania pociągu. Maszerując z dworca Fullerton, szlifuję swoją wypowiedź. Będziemy dla niej hojni, powiem. Naprawdę hojni, damy jej dużo pieniędzy. Upewnimy się, że ma wszystko, czego potrzebuje. Naprawdę wszystko.

Spojrzę w czarujące piwne oczy Heidi i sprawię, że zrozumie, że tak właśnie musi się to odbyć. Będę taktowny i delikatny, użyję Zoe jako argumentu ostatecznego.

Zoe może jeszcze pomyśleć, że bardziej dbasz o potrzeby Willow niż jej potrzeby, powiem.

Wtedy zrozumie. Kiedy postawię Zoe przeciw Willow, Heidi dostrzeże różnicę.

Ale, jak to mówią, planuj śmiało, a rozśmieszysz pana Boga.

Mam do pokonania ostatnią przecznicę, kiedy nagle rozlega się grzmot i z nieba zaczyna się lać zimny, rzęsisty deszcz. Ściana chmur przetacza się nad dachami domów jak kamienny walec. Ruszam biegiem, świadom, że temperatura szybko spada, z dziesięciu stopni w ciągu dnia zrobiło się około zera.

Tylko prawdziwy potwór wyprosiłby tę dziewczynę z domu na ulicę podczas gwałtownej ulewy. Przynajmniej tak powiedziała Heidi, myślę smętnie, otrząsając w sieni zmoczone ubranie i włosy.

Wchodzę do mieszkania i widzę ją na kanapie przed telewizorem ze złym czarnym kocurem na kolanach. Heidi i Zoe siedzą przy kuchennym stole, omawiając rachunek prawdopodobieństwa. Prawdopodobieństwo prostych zdarzeń. Prawdopodobieństwo zdarzeń nakładających się na siebie.

Jakie jest prawdopodobieństwo kolejnego deszczowego wieczoru w najbardziej mokrym kwietniu w historii? – zadaję w duchu pytanie.

Heidi od dwóch dni nie chodzi do pracy. Dwa dni. To ja zabroniłem jej zostawiać „tę dziewczynę” samą w mieszkaniu z obawy, że może coś ukraść. Heidi zerknęła na przytwierdzony do ściany czterdziestodwucalowy odbiornik TV, wyobraziła sobie, jak dziewczyna idzie z nim po Fullerton i zapytała z politowaniem:

- Naprawdę, Chris? – tonem podkreślając mój pesymizm.
- Nie bądź naiwna – odpowiedziałem na to.

Heidi wykorzystała mój zakaz jako wymówkę i zamiast wykopać dziewczynę na ulicę, wzięła sobie wolne z pracy. Tłumaczyła, że przecież nie może zostawić Willow samej w domu, bo jeszcze coś wyniesie. Telewizor albo pamiątkową obrączkę po ojcu Heidi.

Dziecko leży na dywanie i śpi. W prognozie pogody ostrzegają przed frontem burzowym, który w nocy przejdzie nad miastem. To taki typ frontu, mówią, który wytwarza tornada i powoduje liczne zniszczenia.

- Mieszkańcy Dixon i Eldeny nie powinni wychodzić z domów – zalecają.

Burze zbliżają się do nas ze środkowego Illinois i z Iowa. Na ekranie ukazuje się radar dopplerowski oraz czerwone i pomarańczowe błyski.

- Znowu pada? – pyta krótko Heidi, gdy wieszam przemoczony płaszcz na wieszaku i zmieniam buty. Musi mówić głośniej ze względu na bębnienie deszczu o parapet.

- Niedawno zaczęło – wyjaśniam. – I zrobiło się zimno. – Niedaleko uderza z trzaskiem piorun, słychać ogłuszający grzmot. Kamienica się trzęsie, wszyscy podskakują ze strachu.

- Zapowiada się nieciekawie - mówi Heidi, mając na myśli burzę. Patrzy na Willow, która siedzi z kotem na kolanach i głaszcze go nieuważnie, ze wzrokiem wbitym w ciemność za oknem. Gdy błyskawica rozdziera niebo, Willow wzdryga się gwałtownie, po czym zapada głębiej w poduszki, jakby chciała się schować.

Cmokam Heidi i Zoe w policzki i wkładam do mikrofalówki talerz z zostawioną na blacie kolacją, przykryty papierowym ręcznikiem. Zaglądam pod przykrycie i widzę żeberka w sosie.

Może ta dziewczyna nie jest jednak wcale taka zła.

W mieszkaniu robi się chłodno, zimne powietrze ciągnie przez szpary w nieszczelnych oknach. Wicher zawodzi, przyginając korony drzew. Heidi podnosi się, podchodzi do gazowego kominka i zapala go, żeby ogrzać pokój.

Kątem oka dostrzegam przerażenie na twarzy dziewczyny, która zrywa się z kanapy, zrzucając kota z kolan, i wbija wzrok w kominek. Wśród sztucznych polan tańczą oranżowe płomienie. Powstaje złudzenie, że płonie mocny ogień, i oba oczarowane tym widokiem koty zbliżają się do ciepłego kominka i rozciągają przed nim na dywanie, nic sobie nie robiąc z niepokoju Willow.

- Pali się - jąka drżącym, przestraszonym głosem, pokazując kominek. Na dobudowanym do ściany gzymsie stoją ulubione ozdoby Heidi: wazony i śnieżne kule, kolekcja zabytkowych słoików. - Pali się - powtarza, a mnie przychodzą na myśl jaskiniowcy, którzy właśnie odkryli ogień, po raz pierwszy zobaczyli płomienie. Szkliste oczy, twarz pobielała ze strachu.

Heidi odruchowo wyłącza kominek.

Płomienie znikają. Gazowe polana na powrót stają się tym, czym są: malunkami.

- Willow - bąka Heidi tak samo drżącym głosem jak dziewczyna, tyle że spokojniejszym, w którym dźwięczą nuty rozsądku. Ja i Zoe milczymy. Koty wpatrują się rozczarowane w stygnący kominek. - Wszystko w porządku - zapewnia Heidi. - To tylko kominek. Jest bezpieczny. Całkowicie bezpieczny. - Przenosi na mnie wzrok, prosząc niemo, bym wytłumaczył, co właściwie zaszło.

Wzruszam ramionami, a Willow garbi się i z powrotem zajmuje miejsce na kanapie.

Zjadam kolację i wychodzę do sypialni, żeby zadzwonić. W sprawach zawodowych, dodaję, żeby nikt mi nie przeszkodził.

Ale to wcale nie jest telefon związany z pracą.

Sprawdzałem, co można znaleźć na temat Willow Greer, ale nie dotarłem do niczego istotnego. Rozszerzyłem poszukiwania poza Google. Wykorzystałem w tym celu każdą wolną chwilę.

Wszedłem na stronę Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych, przeszukałem aktywne powiadomienia portalu AMBER. Wpisałem się nawet na ich listę mejlingową, aby tą drogą otrzymywać najświeższe powiadomienia, i co pewien czas przychodzi do mnie nowe nazwisko poszukiwanej osoby. Ale na razie zero trafień.

Po odkryciu konta na Twitterze, @LostWithoutU, połączonego z W. Greer, spędziłem masę czasu na czytaniu ponurych wpisów dziewczyny zawierających groźby samobójcze i oglądaniu zamieszczonych przez nią zdjęć, na których pokazywała pokaleczone, rzekomo brzytwą, nadgarstki i przedramiona. Cięła się. W odpowiedzi dostawała fotografie innych miłośników żyletki, pokazujących wycięte na skórze krwawe słowa: „tłuszcz”, „ból”, „kurwa”. Groźenie samobójstwem skutkowało rzucaniem wyzwania: „Zrób to”, „Nie ośmielisz się”.

Na innych zdjęciach były jej tatuaże: symbole okultystyczne na łydce i ramieniu, motyl z czarno-żółtymi skrzydłami na grzbiecie dłoni. Zbliżenie twarzy i kolczyki widoczne zza krwistoczerwonych włosów, podobne do tych, jakie nosiła Willow. Para anielskich skrzydeł.

Czy to mógł być przypadek? Długo i uważnie przyglądałem się kolczykom i myślałem: chyba nie.

Czy nasza Willow Greer to ta sama dziewczyna, tylko z pożyczonym od kogoś zdjęciem profilowym? Być może. Przeglądałem zdjęcia innych kont: pies, kot, Marilyn Monroe. Nie ma obowiązku dodawania własnej podobizny. Pod wpływem impulsu zakładałem własne konto. @MoneyMan3. Ściągam z sieci zdjęcie modela z błękitnymi oczami i burzą jasnych włosów, z nagim torsem i kaloryferem na brzuchu.

Można przecież pomarzyć.

Wysłałam tweet do @LostWithoutU.

„Czy to boli?” – pytam, mając na myśli krwawe równoległe nacięcia na skórze.

A potem dzwonię.

Mój stary kumpel z college'u, obecnie prywatny detektyw, trudni się głównie śledzeniem niewiernych małżonków. Nazywa się Martin Miller. Parę razy opowiadał mi ciekawe historie o zamożnych kobietach, które spotykają się z kochankami w trzeciorzędnych hotelach. Na stronie internetowej chwali się odszukiwaniem dawnych miłości, przyjaciółek z liceum, nastolatków, którzy uciekli z domu. Być może będzie mógł mi pomóc.

Kiedy Martin podnosi słuchawkę, zwięźle streszczam mu naszą sytuację. Przyrzeka zachować najwyższą dyskrecję.

Nie chcę, żeby Heidi się dowiedziała, że zatrudniam prywatnego detektywa. Ani żeby ta informacja znalazła się w niepowołanych rękach. Gdyby kumpel przekazał ją władzom... Nie, myślę. Jeszcze raz omiatam wzrokiem stronę w internecie. „Najwyższa dyskrecja”, tak jest napisane. A zresztą znam tego faceta.

Skąd wobec tego wiem o zamożnych kobietach i trzeciorzędnych hotelach? Niemożliwe, powiadam w duchu, odsuwając od siebie tę myśl. Pamiętam, że zaśmiewał się z tego w jakimś barze przy Logan. To było pięć lat temu, może nawet dawniej. Obaj byliśmy pijani.

Znam tego faceta.

Późno wieczorem, leżąc w śpiworze Zoe na podłodze, rozmyślałam o dziewczynie, o przerażeniu, jakie odmalowało się na jej twarzy na widok rzekomego pożaru. Jak to się stało, że nastolatka boi się burzy, piorunów? Boi się ognia?

Zoe przestała się tego bać, kiedy skończyła osiem lat.

Prawie zaczynam jej współczuć. Prawie.

Bo prawdę mówiąc, współczucie to nie moja działka, tylko Heidi.

HEIDI

Willow powoli się u nas zadomawia. To powolny, ale dziejący się bez przerwy proces, podobnie jak skała wietrzeje wraz z upływem czasu, rozpadając się na coraz mniejsze fragmenty, kamyki, piasek. Willow niewiele mówi o sobie, prawie nic, a jednak nie ma w tym nic niezwykłego. Przystaję zadawać pytania, nie usiłuję z niej niczego wyciągać ani o jej rodzinie, ani o przeszłości, bo już wiem, że odpowiedzi będą skąpe i wyrywkowe.

Ma brata, niejakiego Matthew. Tyle wiem.

Willow jest z nami od niedawna, mimo to jakoś udało nam się do niej przekonać. Sympatia Chrisa jest nieco sztuczna i wysilona. Toleruje naszego gościa, chociaż nie przestaje każdego dnia bombardować mnie pytaniami, jak długo Willow jeszcze zostanie.

- Przez jedną noc? - pyta. - Dwie? - A kiedy odpowiadam, że nie wiem, potrząsa głową z irytacją i mówi: - Heidi, sytuacja naprawdę wymyka się nam spod kontroli.

Wtedy mu przypominam, że przez wszystkie te dni, kiedy Willow przebywa z nami, nie stało się nic niepokojącego. Nadal cieszymy się dobrym zdrowiem, sprzęt elektroniczny stoi tam, gdzie stał.

- Ona jest nieszkodliwa - zapewniam.

On jednak nie jest tego taki pewien.

W rzeczywistości zdarza mi się czasami myśleć o krwi na podkoszulku, który wrzuciłam do zsypu i który pewnie wylądował już na wysypisku w Dolton. Nie wiem, czy podkoszulek faktycznie należał do Willow, chociaż tak twierdziła, i skóra popękała jej od chłodu, czy też może... Tu się zatrzymuję, nie chcąc rozważać innych możliwości. Krwawe plamy przychodzą mi na myśl w najdziwniejszych momentach, na przykład kiedy biorę prysznic albo gotuję obiad. W chwilach spokoju i ciszy, kiedy umysł swobodnie błądzi.

Gdy nie myślę o plamach krwi, nieustannie myślę o Ruby. Kiedy mam

ją na rękach i słucham jej zawodzenia, przypominają mi się wszystkie dzieci, które kiedyś chciałam mieć. Te, które miałam urodzić. W nocy śnią mi się niemowlęta: żywe, martwe, cherubinki i anioły z rozpostartymi skrzydłami. Śni mi się Juliet. Śnią mi się embriony i płody, butelki do karmienia i niemowlęce buciki. Przez całą noc śnię o rodzeniu dziecka i o krwi, krwi na podkoszulku, krwi wypływającej ze mnie między nogami, czerwonej i gęstej, zastygającej po wewnętrznej stronie majtek. Które były kiedyś niepokalanie czyste i białe, jak ten podkoszulek.

Budzę się zrana potem, drżąca ze strachu, a Zoe i Chris dalej śpią w najlepsze.

Zoe podchodzi do Willow jak do wszystkiego w życiu: z wrogością. Bywa, że ukradkiem wpatruje się w nią przez pokój z miną wyrażającą jawną niechęć, niemal nienawiść. Narzeka, że musi się z nią dzielić ubraniami albo nie może oglądać jakiegoś kiczowatego programu w telewizji. Ani na sekundę nie chce wziąć Ruby na ręce, gdy Willow musi iść do łazienki, a ja jestem czymś zajęta. Odmawia karmienia jej butelką, a kiedy mała płacze, co się często zdarza, zawodząc żałośnie, Zoe przewraca oczami i ostentacyjnie wychodzi z pokoju.

Ja z chęcią przygotowuję trzydaniowe obiady, wdzięczna za obecność kogoś, kto wylizze talerz do czysta. Robię sałatki i zupy, lasagne i makaron z grillowanym kurczakiem, obserwując z zadowoleniem, jak Willow zajada z pasją, dziękując za dokładki, podczas gdy Zoe wzgardliwie wpatruje się w talerz, zadając głupawe pytania w rodzaju:

- Co to w ogóle jest?

lub:

- Myślałam, że jesteśmy wegetarianami.

A mówi to tak jadowitym tonem, jak potrafi tylko dwunastolatka z pretensjami. Patrzę, jak Zoe skubie listki sałaty niczym królik, wdzięczna, że siedząca po przeciwnej stronie stołu Willow zajada, aż jej się uszy trzęsą.

Po południu, kiedy Zoe jest jeszcze w szkole, przyglądam się, jak Willow niewprawnie zajmuje się Ruby. Delikatnie wyjmuję dziecko z jej rąk, mamrocząc, że przydałaby się jej chwila odpoczynku, bo nie chcę,

żeby się na mnie obraziła. Nie jestem pewna, co Willow sobie myśli, kiedy biorę Ruby na ręce, i szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Przyciskam wargi do czółka małej, leciutko ją podrzucam i szepczę czułe słówka, za wszelką cenę starając się ją rozśmieszyć.

Siadam w kupionym przez internet bujanym fotelu, który został dziś rano dostarczony kurierem. Chris go jeszcze nie widział. Dopłaciłam prawie sto dolarów za ekspresową dostawę, ale mu o tym nie wspomnę. Opieram się o drewniane oparcie i zaczynam się kołysać razem z dzieckiem. Nucę przy tym cicho kołysanki Patsy Cline, które kiedyś śpiewała mi mama, i wydaje mi się, że Willow nadśłuchuje, choć stara się udawać, że jest zajęta czymś innym.

Obserwuję ją kątem oka, myśląc, czy i kiedy zechce dziecko z powrotem, kiedy znudzi ją „Muppet Show” w telewizji i zapragnie zamknąć się w gabinecie z Ruby i „Anią z Zielonego Wzgórza”. Odruchowo obejmuję mocniej małą, jakbym chciała ją przed tym ochronić.

Willow przebywa ze mną już od ponad czterdziestu ośmiu godzin, a ja znam jedynie jej imię, o ile, jak słusznie podkreśla Chris, jest prawdziwe.

I wiem, że ma brata. Matthew.

Nie mówi ani słowa o sobie, a ja o nic nie pytam z obawy, że ją to wystraszy i odejdzie, zabierając dziecko ze sobą. Brak informacji zastępuję wymyślaniami rozmaitych bajkowych historii o tym, co sprawiło, że się tutaj znalazła, może przywiało ją ze Środkowego Zachodu wiosenne tornado albo uciekła przed złym myśliwym, który miał pozbawić ją serca i zanieść je do zamku złej królowej. Niekiedy Willow zaczyna o czymś przebąkiwać, z jej ust wyrzywa się jedno słowo, czasem sylaba lub dwie, ale zaraz milknie i popada w udawaną obojętność.

Jest bardzo poważna. Nie uśmiecha się. Równie dobrze mogłaby być doświadczoną przez życie starszą panią, bo z jej oczu wyziera wielki smutek. Jest szalenie cicha, niemal nic nie mówi, tylko siedzi na kanapie, wpatrując się kamiennym wzrokiem w telewizor. Ogląda głównie kreskówki, prawie zawsze „Ulicę Sezamkową”, i tkwi bez ruchu jak zahipnotyzowana, dopóki ktoś z nas nie wyrwie jej z zamyślenia.

Je szybko, zachłannie, jakby przez większą część życia nie miała dostępu do posiłków domowych, a wieczorem, kiedy już mruknie „dobranoc” i schowa się razem z Ruby w gabinecie, zawsze zamyka go na klucz, jakby chciała mieć pewność, że nikt się tam nie zakradnie, nie przemknie się w mroku, kiedy ona będzie głęboko spała.

Czasami słyszę ją w środku nocy. Słyszę, jak mamrocze przez sen, jak powtarza jedno zdanie:

- Chodź ze mną.

I jeszcze raz, i jeszcze:

- Chodź ze mną.

Jej głos przybiera na sile, słysząc w nim nuty rozpacz, gorączkową próbę przekonania kogoś:

- Chodź ze mną. Chodź ze mną.

Do kogo ona się zwraca? - myślę. Dokąd pragnie się udać?

Willow sprząta po sobie ze stołu, znosi naczynia do zlewu, myje i wyciera ściereczką, chociaż proszę, żeby tego nie robiła.

- Zostaw - mówię. - Zamierzam dziś włączyć zmywarkę.

Nie słucha i zmywa bardzo starannie, sprawdzając po dwa, trzy razy, czy między zębami widelca lub na brzegu talerza nie został choćby jeden okruch, jakby zwykłe przeoczenie mogło wywołać surową reprimendę, i wyobrażam ją sobie przełożoną przez kuchenne krzesło, jak dostaje lanie za niedomycie talerza, a potem jeszcze cios pięścią w głowę, po którym zostaje spory siniec.

Bujam się wraz z Ruby na fotelu, Willow siedzi na kanapie i milczy. Mała kręci się niespokojnie, w buzi ma smoczek, więc nie może płakać, ale widzę po niej, że najchętniej wydałaby z siebie wrzask mrozący krew w żyłach. Ma rozbiegane, szkliste od gorączki oczy.

Zwilżam kompres i przykładam jej do czoła, nucąc kołysankę, mając nadzieję, że to ją uspokoi.

Nagle Willow odwraca się do mnie i przerywa milczenie, a ja wzdrygam się przestraszona.

- Jak to się stało - pyta tym swoim ścisłym, nieśmiałym tonem - że nie ma pani więcej dzieci? Skoro tak je pani lubi?

Mam wrażenie, że gigantyczny odkurzacz wysssał powietrze z pokoju,

bo raptem nie mam czym oddychać.

Mogłabym skłamać. Mogłabym unikać odpowiedzi. Nikt nigdy nie zadał mi tego pytania, nawet Zoe. Cofam się myślami do okresu sprzed jedenastu lat. Do początku końca, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Zoe miała pół roku i była milutka, pod warunkiem, że nie cierpiała akurat na bolesną kolkę, wówczas bowiem płakała tak przeraźliwie, że nawet nasi sąsiedzi nie mogli spać. Mniej więcej w tym czasie odkryłam, że jestem znowu w ciąży. Nie planowaliśmy spłodzić nowego dziecka, to nie był konkretny zamiar, ale nie stosowaliśmy też zabezpieczenia. Ucieszyłam się na wieść o ciąży, będąc pewna, że to zaledwie początek dużej rodziny, o której marzyłam.

Nie do końca wiem, czy Chris też się ucieszył.

- Tak szybko - bąknął, kiedy stanęłam w drzwiach do łazienki z pozytywnym testem w ręku i rozpromieniona powiedziałam mu o tym. I dodał, że przecież mamy już jedno dziecko.

Potem się jednak uśmiechnął i przytulił mnie. Przez kilka cudownych tygodni dużo rozmawialiśmy o tym, jak nazwiemy maluszka i czy umieścimy go w pokoju razem z Zoe.

Najpierw zauważyłam krwawienie, wodniste upławy, które z czasem stały się czerwone. Potem pojawił się ból. Widząc krew, byłam pewna, że to poronienie, ale lekarz zapewnił mnie, że dziecko ma się dobrze.

Biopsja potwierdziła diagnozę: rak szyjki macicy, stadium 1B.

Lekarz proponował radykalny krok, czyli wycięcie macicy, twierdząc, że to prosty zabieg. Oczywiście najpierw należało się pozbyć z łona Juliet. W internecie przeczytałam, że polega na rozszerzeniu szyjki i wyskrobaniu zawartości macicy do czysta, i wyobraziłam sobie Juliet jako krwawą, wyjmowaną łyżką papkę.

- Nie - powiedziałam. - W żadnym wypadku.

Chris przekonał mnie jednak, że musimy się zdecydować na aborcję. Powtarzał argumenty lekarza: „Gdyby ciąża była bardziej zaawansowana”, „Gdyby rak był w innym stadium”, dodając też własne: „Jeśli coś ci się stanie, to nie wiem, czy podołam samotnie wychować Zoe”. Myślałam o Chrisie i Zoe, całkiem samych, bo ja leżę w grobie. Gdyby rak nie był tak zaawansowany, można byłoby poczekać z operacją

do porodu. Było jednak inaczej. Musiałam podjąć decyzję: ratować dziecko czy siebie, i do końca życia będzie mnie to prześladować.

Lekarz i Chris poprawiali mnie za każdym razem, gdy mówiłam „dziecko”. Sami używali terminu „płód”. Lekarz twierdził, że nie sposób określić jego płci, organy płciowe wykształcają się bowiem dopiero w trzecim miesiącu ciąży. Potem wyrzucili moją Juliet jako odpad medyczny.

Ale ja wiedziałam.

Gapiałam się na broszury, które lekarz wręczył mi w poczekalni, zła na siebie, że zajęta opieką nad Zoe i pracą, zaniedbałam regularne badania ginekologiczne. Rak szyjki macicy jest łatwo wykrywalny dzięki rutynowym wymazom z pochwy, jakim przestałam się poddawać. Wkurzało mnie też, że nie pasował do mnie żaden z czynników ryzyka: nie paliłam, nie brałam leków hamujących działanie układu immunologicznego, nie miałam kontaktu z wirusem HPV.

Byłam wyjątkiem. Rzadkim przypadkiem. Byłam jedna na milion.

To nie miało mi się prawa przydarzyć.

Chirurg wyciął macicę. A kiedy już się do tego zabrał, pomyślał widać, a co tam, i wyciął również jajowody i jajniki. A oprócz tego szyjkę macicy, fragment waginy i węzły chłonne.

Dochodziłam do siebie prawie sześć tygodni. To znaczy fizycznie. Emocjonalnie już nigdy nie będę zdrowa.

Nie spodziewałam się uderzeń krwi do głowy, które zdarzały się zupełnie nieoczekiwanie. Ani intensywnych napadów gorąca i trądziku różowatego na skórze. Ani też przyspieszonego bicia serca, kiedy musiałam przysiąść na moment, żeby odzyskać oddech, tak jak to często czynią starsze - znacznie starsze ode mnie - kobiety. Nocnych potów, które nie dawały mi zasnąć na zmianę z moim małym dzieckiem. Bezsenności powodującej rozdrażnienie i wahania nastrojów.

Przechodziłam okres menopauzy, a nie skończyłam jeszcze nawet trzydziestu lat.

Zauważyłam też spowolnienie metabolizmu, na szczupłej do niedawna talii pojawiły się wałeczki tłuszczu. Chris twierdził, że ich nie dostrzega, ale ja widziałam to wyraźnie. Rozmiar spodni zmienił się z czwórki na

ósemkę, a na kobiety typu Cassidy Knudsen – młode, szczupłe i... płodne – zaczęłam patrzeć spode łba. Zieleniałam z zazdrości. Były urodzajnymi, produktywnymi rogami obfitości.

Ja byłam wyjałowiona. Wyschnięta i straszliwie spustoszona, niezdolna do podtrzymywania życia.

Starzałam się stanowczo zbyt szybko jak na kobietę w moim wieku.

- Pomyśl o tym w ten sposób – powiedział Chris, próbując mnie pocieszyć. – Już nigdy nie będziesz się musiała martwić o to, czy dostaniesz okres. – Wymówił te słowa z udawaną grozą, ale ja pomyślałam o miesięczce z tęsknotą. Co dałabym za to, żeby musieć iść do drogerii po pudełko tamponów. Doświadczyć comiesięcznego upływu krwi, świadectwa, że było we mnie życie. I oczekiwania na nowe.

Ale to się skończyło.

- Miałam raka – szepczę przez zaciśnięte wargi. – Raka szyjki macicy. Musieli mi ją wyciąć. – Nie jestem pewna, czy Willow rozumie te słowa.

Siedzi na kanapie i gapi się w telewizor. Przez ekran przebiegają Bert i Ernie z ukochaną gumową kaczuszką. Ernie zaczyna śpiewać.

- Ale chciała pani mieć więcej dzieci? – pyta. Głos ma stłumiony, jak najbledszy odcień różu. Subtelny. Pastelowy.

- Tak – mówię, czując się przytłoczona przez wyrwę w sercu w miejscu, które kiedyś zajmowała Juliet. – Bardzo chciałam.

Chris powiedział, że adoptujemy więcej dzieci. Wszystkie sieroty na świecie, jak się wyraził. Ale urodziwszy wcześniej własne dziecko, krew z krwi, nie chciałam tamtych dzieci. Pragnęłam własnych. Adopcja przestała do mnie przemawiać, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że mam wychowywać cudze dziecko. Czułam się oszukana, wyprowadzona w pole. Moje serce było szczelnie zamknięte.

- Jest pani dobrą mamą – szepcze Willow i przenosi wzrok na okno, skąd dochodzi odległy pomruk grzmotu, a potem widać rozdzierającą niebo błyskawicę. Kolejna burza przypelza nad miasto jak rakowata narośl. – Moja mama też była dobra – dodaje cicho raczej do siebie niż do mnie.

- Opowiedz mi o niej – szepczę ledwie słyszalnie.

Zaczyna mówić. Z początku opowieść się rwie.

Opisuje ciemne włosy matki.

Opisuje niebieskie oczy.

Mówi, jak miała na imię - Holly.

I że pielęgnowała klientkom włosy w łazience. Strzygła, czesała, robiła trwałą ondulację. Ponoć lubiła gotować, ale niezbyt dobrze jej to wychodziło. Czasem przypalała potrawy, kiedy indziej były niedogotowane, na przykład kurczak. Jak się go nadgryzło, był w środku różowy. Lubiała słuchać muzyki country. Dolly Parton, Loretty Lynn. Patsy Cline.

Opowiadając, nie patrzy na mnie, lecz na ekran, gdzie szaleją kolorowe, ekscentryczne Muppety. Przyssała się do nich wzrokiem.

- Gdzie jest twoja mama? - pytam, ale nie odpowiada.

Opowiadam jej wobec tego o moim ojcu, a ręka odruchowo sięga do złotego łańcuszka ze ślubną obrączką na szyi. Gdy wspomina Patsy Cline, pojawia się w myśli jej głos, śpiewane przez nią piosenki. Śmierć tej artystki wywarła na mojej matce tak wielkie wrażenie, że utwory „Crazy” i „Walkin’ After Midnight” stały się częścią mojego dzieciństwa, podobnie jak obraz ciasno przytulonych rodziców obracających się w tańcu w salonie.

- Ta obrączka - pyta Willow, wskazując palcem - to jego?

Potakuję, a potem z niewiadomego powodu opisuję jej szeroko zakrojone poszukiwania, jakie oboje z Chrisem prowadziliśmy, żeby znaleźć pasujący do niej złoty łańcuszek. Musiał pasować wręcz idealnie. „W miarę” nie było wystarczające ani dla mnie, ani dla ojca. Chris kazał go w końcu zrobić na zamówienie, co kosztowało go ponad tysiąc dolarów.

- Za te pieniądze moglibyśmy kupić nowy telewizor albo komputer - powiedział. - Lub też pojechać na wakacje.

Ale ja się uparłam. Musiałam mieć łańcuszek z identycznego złota.

- Ta obrączka - powiedziałam wtedy Chrisowi, stojąc przed salonem jubilerskim na Wabash, zalana łzami i półprzytomna, bo od śmierci ojca prawie nie sypiałam - jest wszystkim, co mi po nim zostało. Reszta zniknęła.

Nie opowiadam Willow, jak po jego śmierci na raka płuc z przerzutami

do mózgu, wątroby i kości wpadłam w głęboką depresję. Nie opowiadam, że odmówił terapii i nadal palił czerwone marlboro. Pół paczki dziennie. Nie mówię, że matka pochowała go razem z kartonem tych papierosów i błyszczącą zieloną zapalniczką, żeby miał co zapalić na tamtym świecie.

Opowiadam natomiast, że pochowaliśmy go pięknego jesiennego dnia na cmentarzu obok kościoła, pod rozłożystym klonem, który przez jedną noc zżółkł. Opowiadam, jak wyniesiono trumnę z kościoła i zanesiono ją na miejsce wiecznego spoczynku. Padało w nocy i ziemia była rozmiękła. Ja i matka szłyśmy za trumną. Podtrzymywałam matkę rzekomo po to, by nie upadła, ale tak naprawdę dlatego, że właśnie straciłam ojca i nie mogłam znieść myśli o nieuchronnej stracie drugiego rodzica, o nie wiedzieć jak bardzo oddalonej w czasie stracie matki. Opowiadałam, jak patrzyliśmy, kiedy spuszczała trumnę do grobu, a potem rzuciłyśmy na wieko bukiet róż. Lawendowych róż. Takich jak wiązanka, którą mama miała na ślubie.

Wtedy Willow patrzy na mnie znużonymi chabrowymi oczami i cedzi ostrym tonem, jakiego używa się, gdy chce się powiedzieć, że nienawidzi się hitlerowców albo terrorystów stanowiących zagrożenie dla ludzkości, a nie smrodu przypalonego popcornu:

- Nienawidzę róż.

Staram się nie okazać urazy, każdy ma prawo do własnych upodobań, lecz tak czy inaczej jest to dziwna odpowiedź na moje zwierzenia.

Potem Willow dodaje po milczeniu tak długim, że jestem już niemal pewna, iż nasza rozmowa się zakończyła:

- Moja mama nie żyje.

Te dwa słowa - „nie żyje” - wymykają się jakoś niezobowiązująco, jak gdyby Willow nie była pewna, czy tak rzeczywiście jest albo co właściwie znaczą. Zupełnie jakby ktoś jej kiedyś oznajmił: „twoja mama nie żyje” na zasadzie, na jakiej się powiada, że „to pestka” albo „ręka rękę myje”. Taki idiom. Fraza, która w sensie dosłownym nie ma logicznego sensu, bo oznacza coś innego.

„Moja mama nie żyje”.

- Jak to? - pytam, ale nie odpowiada. Zwija się w ciasną kulę, chowa

w swoim pancerzu. Wbija wzrok w ekran, chociaż oczy stają się szkliste i obojętne, jakby stanowczo uznała, że się nie rozplacze. – Willow? – zagaduję ponownie, ale całkiem mnie ignoruje, nie słysząc, nie czując przyklejonego do siebie mojego spojrzenia, choć tak rozpaczliwie czekam na odpowiedź.

Na próżno.

Po pewnym czasie, mając być może dość mojego błagalnego wzroku, wstaje, zabiera mi dziecko i znika w gabinecie.

CHRIS

Zbiegam po dwa stopnie naraz po schodach na peron linii L, kiedy dzwoni moja komórka. To Henry. Zatrzymuję się w biegu i wracam na poziom ulicy, opierając się o balustradę. Wokół roi się od samochodów i pieszych wracających z pracy do domu. Zmierzch jeszcze nie zapadł, to jeden z tych rzadkich dni, kiedy nie zostaję dłużej w firmie. Autobus zatrzymuje ruch, a jakiś przyjezdny próbuje go ominąć i omal nie najeżdża na grupkę pieszych. Pisk hamulców. Ryk klaksonu. Ktoś krzyczy:

- Kretyn! - i pokazuje kierowcy środkowy palec.

- Nie chcę nawet tego słyszeć - rzucam do aparatu, osłaniając oczy przed nisko wiszącym słońcem. Trudno mi zrozumieć Henry'ego z powodu zgiełku, ale rozróżniam jego głośny, zgrzytliwy śmiech, przypominający skrobanie paznokciami po tablicy.

- Ja też cię witam, Wood - mówi Henry, a mnie się raptem wydaje, że dzwoni do mnie, siedząc w toalecie. Spodnie ma spuszczone do kolan, w rękę czasopismo, zapewne „Playboy”. - Pożegnaj się czule ze swoją śliczną żoną. Wyruszamy wcześniej rano.

- Co znowu? - pytam kwaśno.

- Objazdówka. Denver z postojem w Nowym Jorku.

- Cholera - klnę z pasją. Wprawdzie nie jest to dla mnie zaskoczeniem, przygotowaliśmy się do tej podróży od tygodni, ale Heidi i tak będzie wkurzona.

Podróż koleją do domu przebiega spokojnie. Wsiadam z linii L na dworcu Fullerton i wspinam się schodami na ulicę. O żelazne sztachety parkanu przy kiosku z gazetami opiera się bezdomny, powieki ma przymknięte, jakby spał. Obok stoi czarny plastikowy worek na śmieci wypchany dobytkiem włóczęgi, który wygląda na zziębniętego. Trudno się dziwić, jest tylko dziesięć stopni ciepła i wieje porywisty wiatr.

Moja pierwsza myśl: długie nogi bezdomnego w jasnoniebieskich

szpitalnych drelichach zagradzają mi drogę. Tak jak inni piesi przestępuję przez nie przesadnie długim krokiem. Nagle coś każe mi się zatrzymać i odwrócić, dostrzec czerwone policzki i uszy, rękę zaciśniętą na worku na wypadek, gdyby ktoś chciał mu go ukraść. Wyjmuję z tylnej kieszeni portfel i usiłując się pozbyć z umysłu głosu Heidi, rzucam mężczyźnie dziesiątkę, mając nadzieję, że wiatr jej nie porwie.

Poczytywałbym sobie za szczęśliwy traf, gdyby mój dobry uczynek pozostał niezauważony.

Kiedy wracam do domu, telewizor jest włączony. „Ulica Sezamkowa”. Heidi położyła niemowlę na brzuszku przed telewizorem i edukuje Willow na temat potrzeby umieszczania dziecka w tej nielubianej pozycji. Wielkie kudłate potwory na ekranie powinny odwrócić uwagę Ruby, by zapomniała, że leży płasko na brzuchu jak ryba wyrzucona z wody.

Zoe stoi w kuchni, zerkając tęsknie na komórkę leżącą na blacie. Wzdryga się gwałtownie, kiedy wchodzę, jakbym ją przyłapał na czymś zakazanym. Odsuwa się powoli, krok po kroku, by matka zauważyła, że chyłkiem podkradła się do telefonu.

- Myślałam, że przyjdiesz wcześniej - wita mnie Heidi. Nie odwraca wzroku od dziecka, które zabawia piskliwym dzieciennym gulgotaniem i robieniem min. Dla mnie nie ma nawet spojrzenia.

Dochodzi siódma.

- Heidi, czy możemy porozmawiać? - pytam, wieszając kurtkę na wieszaku przy drzwiach.

Muska mnie wzrokiem, podnosi dziecko z dywanu i podaje Willow, która chwyta je tak niezgrabnie, że przez moment obawiam się, iż je upuści. Nagle na ekranie ukazuje się kretyński kudłacz Snuffy i dziewczyna zamiera z szeroko otwartymi oczami, a mnie przelatuje przez myśl, że Zoe chyba od dziesięciu lat nie ogląda już tego programu.

Heidi idzie za mną do naszej sypialni, stąpając tak lekko, że nie słyszę jej kroków na parkiecie. Ja z kolei tupię ciężko, jakbym musiał coś udowodnić. Koty umykają mi spod nóg i chowają się pod łóżkiem. Przebieram się w starą bawełnianą bluzę z czasów studenckich z napisem „Naprzód, Phoenix!” i napomykam o wyjeździe. Najpierw na

jeden, dwa dni do Nowego Jorku, a potem jeszcze pobyt w Denver. I że wyruszam jutro wcześniej rano.

Spodziewam się pretensji i przewracania oczami, złośliwych docinków na temat Cassidy Knudsen i surowych pytań, czy „ta flądra” jedzie razem ze mną w tę podróż służbową, ale... nic takiego nie następuje.

Heidi milczy przez chwilę, po czym obojętnie wzrusza ramionami i mruczy:

- Okej.

Mało tego, idzie do pralni z koszem brudnej bielizny, by mieć pewność, że nie zabraknie mi czystych rzeczy na wyjazd.

Powinno mnie to zaniepokoić, wiem. Ale nie zostać skarconym jak mały chłopak to wielka przyjemność.

Pakuję walizkę. Odgrzewam na kolację resztki pizzy z obiadu i jem samotnie przy kuchennym stole, bo Heidi zbiega na dół, żeby wrzucić pranie do suszarki. Zoe siedzi w pokoju i uczy się geografii, a przynajmniej tak twierdzi. Widzę jednak, że leży na łóżku z tym swoim żółtym notesem na kolanach. Tym, w którym zapisuje swoje myśli o tacie, który jest kretynem, i zwariowanej matce. Albo pisze w nim o Austinie lub Willow. Skąd mam wiedzieć? Kto wie, może jest nieodkrytym jeszcze talentem poetyckim i wypełnia stronicę notesu lirykami.

Willow siedzi na kanapie w salonie. Panuje między nami kamienne milczenie.

Ciszę przerywają jedynie dźwięki wydawane przez dziecko, czyli piski i gaworzenie, stękania i szelesty.

Ukradkiem zerkam na dłonie Willow, szukając śladów tatuażu - motyla z czarno-żółtymi skrzydełkami. Czy gdyby go usunęła, pozostałaby blizna? Pobieliała skóra? Jakież resztki rysunku?

Jednak niczego takiego nie widzę. Ale są przecież te charakterystyczne kolczyki, dokładnie takie, jak na zdjęciu z Twittera. Jak to możliwe?

Upewniam się, że Willow nie zwraca na mnie uwagi, po czym dyskretnie sprawdzam, czy mam odpowiedź od @LostWithoutU. Niestety. Mam za to ośmiu nowych obserwujących.

Zastanawiam się, jak Willow mogłaby odpisać, skoro nie ma dostępu do komputera? A może jednak ma? Przypomina mi się ta zniszczona, popękana walizka ze skóry, którą wtaszczyła do naszego domu, a która teraz stoi w kącie gabinetu. Czy ma w niej laptop albo smartfon z Wi-Fi, z którego może odpowiadać na tweety? Nigdy jej przy tym nie widziałem, nie słyszałem dzwonka komórki.

Dostateczną trudność sprawia jej posługiwanie się pilotem. Nie sposób uwierzyć, że umiałaby obsłużyć komputer albo smartfon. Ale nie wiem tego na pewno. Mój i Heidi są chronione hasłami, niemożliwe, żeby korzystała z nich w nocy.

Gapi się tępo w telewizor. Zmieniam kanał na wiadomości. Podsumowanie rozgrywek ligi bejsbolu. To dzień otwarcia. Jestem pewny, że Willow ma to w nosie, ale wbija wzrok w ekran, żeby nie musieć ze mną rozmawiać. Siedzi daleko, najdalej jak może, wciśnięta w róg kanapy, choć ja nadal tkwię przy stole w kuchni. Popija wodę ze szklanki, ja zaś przyglądam się, jak drży jej ręka, powodując leciutkie falowanie powierzchni płynu w szklance.

- Skąd właściwie pochodzisz? - pytam. Nie cierpię martwej ciszy. Przede wszystkim jednak jestem jedyną osobą w tym domu, która pragnie się czegoś dowiedzieć o naszym gościu. Ta chwila, tych kilka minut pytań nieskrępowanych uważnym spojrzeniem Heidi i jej cenzurą, może być moją jedyną szansą.

Przenosi na mnie wzrok. Nie patrzy wyzywająco, właściwie wręcz przeciwnie. Jest potulna. Onieśmielona.

Ale milczy.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

Nie śpieszy się z odpowiedzią. Potem potrząsa głową ruchem tak nieznacznym, że gdybym akurat mrugnął, nic bym nie zauważył.

- Nie, proszę pana - szepcze.

Podoba mi się forma, w jakiej się do mnie zwraca.

- A to dlaczego? - Słucham jej odpowiedzi, na próżno starając się rozszyfrować dialekt. Wymawia słowa jak przeciętna mieszkanka Środkowego Zachodu. Jak ja. Standardowy angloamerykański.

- Mógłby mi pan kazać wrócić do domu - cedzi z wahaniem tak cicho,

że muszę się do niej nachylić, bo przeszkadza mi gaworzenie dziecka.

- A czy jest jakiś powód, że nie chcesz tam wrócić? - bez ogródek ciągnę wątek.

Telewizor bębni wiadomościami, otwarcie rozgrywek w bejsbol przyćmiewa inne wydarzenia, ale w końcu dowiadujemy się i o nich. Uwagę Willow przyciąga informacja o brutalnym włamaniu i morderstwie na South Ashland. Sięgam po pilota i znowu zmieniam kanał, akurat kiedy worki z ciałami są wynoszone z budynku na ulicę. Wyciszam głos na kanale zakupowym.

- Willow - zagaduję ją po imieniu, mając nadzieję, że to przysporzy mi punktów. - Czy jest jakiś powód, że nie chcesz wrócić do domu?

- Tak, proszę pana - przyznaje, skubiąc frędzel poduszki na kanapie. Spuszcza wzrok, nie patrzy mi w oczy.

- Dlaczego?

- Po prostu... - jąka. - Po prostu... Po...

Już myślę, że nigdy nie skończy zdania, ale się mylę, bo mówi:

- Nieszczególnie go lubię, to wszystko.

Nieprzekonująca odpowiedź.

- Ale dlaczego? - naciskam. Milczy, więc dodaję z cieniem irytacji: - Willow? - Powoli tracę cierpliwość.

Heidi niedługo wróci.

Wokół dziewczyny wyrasta niewidzialny mur. Nie radzi sobie z cudzym zniecierpliwieniem. Najpierw należy ją odpowiednio przygotować. Tak jak nasiona kwiatów powinno się moczyć przez noc w wodzie, żeby szybciej wykiełkowały. Nie otworzy się, póki nie przebijemy zewnętrznej skorupy.

Zniżam głos i włączam urok osobisty. Uśmiecham się i próbuję od nowa.

- Czy ktoś był dla ciebie niedobry? - pytam ciepłym tonem. Nie cechuje mnie zbytnie współczucie, ale bardzo się staram.

Podnosi na mnie wzrok. Niebieskie oczy, z których wyziera smutek niepasujący do jej wieku, podkrążone, spuchnięte, nabiegłe krwią. Czuję, że siedzę na brzeżku krzesła. Willow otwiera usta, żeby przemówić. Żeby mi wszystko wyjawić.

- W porządku - mówię łagodnym tonem. - Możesz mi o tym powiedzieć.

Wtedy słyszę zgrzyt klucza w zamku i w duchu żałuję, że Heidi tak szybko wróciła z pralni. Willow dosłownie podskakuje na kanapie, śmiertelnie przerażona tym zwyczajnym dźwiękiem. Widzę w jej oczach strach, szklanka wysuwa się z ręki i toczy po dywanie. Nie tłucze się, ale rozlewa resztkę wody. Dziewczyna rzuca się na kolana i zaczyna wycierać wodę połą koszuli. Wodzi przy tym wzrokiem między mną a Heidi, jakby się spodziewała, że ukarzymy ją za tę straszną przewinę.

Mamrocze niemal niezrozumiale coś o grzechu i wybaczeniu.

Klucze. Zgrzyt klucza w zamku. Czyżby była gdzieś zamknięta, przetrzymywana?

Notuję tę myśl w pamięci.

Nie jestem skory do współczucia, ale przez chwilę trochę mi żal dziewczyny, która pełza po dywanie, modląc się do bogów o łaskę.

- Skarbie, proszę cię! - woła Heidi, podbiegając do Willow z rolką papierowego ręcznika. - Nie martw się tym, naprawdę.

Ze swej strony nachylam się i podnoszę szklankę.

Ale widzę strach w oczach dziewczyny i wiem, że nie mogę naprawić tego, co się stało.

Śpimy zamknięci w sypialni, ja, Heidi, Zoe i koty. Budzę się bardzo wcześnie rano, jeszcze przed świtem, i napominam Heidi, że tak powinno być każdej nocy, kiedy mnie nie będzie - ona i Zoe razem, zamknięte na klucz.

Wychodzę o piątej, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach i niosąc aktówkę, aby pojechać taksówką na lotnisko O'Hare.

Dziewczyna i dziecko śpią, kiedy opuszczam dom, prawdopodobnie także za zamkniętymi na klucz drzwiami. Przypuszczam, że podstawiła krzesło pod klamkę, takie dodatkowe zabezpieczenie, gdybyśmy zamierzali się do niej wedrzeć w środku nocy.

Słońce powoli wschodzi, malując niebo na złoto. Taksówka, w której „pachnie” sosnowy odświeżacz powietrza i słysząc trzeszczenie radiotelefonu, pędzi autostradą międzystanową 90. Kładę aktówkę na siedzeniu obok i sięgam po notes i długopis, żeby popracować w drodze.

W sprzyjających warunkach na lotnisko jedzie się bite pół godziny, a sądząc po natężeniu ruchu na autostradzie, dziś pojedziemy dłużej.

Otwieram aktówkę i widzę na wierzchu czerwoną samoprzylepną karteczkę z odpowiedzią na zadane pytanie, której nie otrzymałem wczoraj.

Jej treść wysysa zapas tlenu z wnętrza taksówki.

Nieznany charakter pisma.

I tylko jedno słowo:

Tak.

WILLOW

Louise Flores chce się dowiedzieć więcej o Matthew i Isaaku, moich przybranych braciach, jeśli to właściwe określenie. Słowo „brat” narzuca informację o rodzinnej więzi, której w tym przypadku zabrakło. Nie z Josephem. Nie z Miriam ani Isaakiem.

Ale Matthew był inny.

Siedząc w niemal pustym pokoju naprzeciw Louise Flores, wyobrażam sobie Matthew, wysokiego jak ojciec, ale z czupryną barwy czekoladowych ciasteczek, jakie piekła nam kiedyś mama, i piwnymi oczami. Wyobrażam sobie, że tak wyglądała kiedyś Miriam, bardzo dawno temu, zanim nie zszarzała jak mysz. Z kolei Isaac był wykapanym synem Josepha. Rudzielec, rude włoski porastały brodę, nogi, ramiona.

- Ale co konkretnie? - pytam.

- Czy dobrze się z nimi dogadywałaś? Czy brali udział w rzekomym molestowaniu tak jak Joseph? A może oni również byli jego ofiarami? Jaką relację mieli z katatoniczną matką?

- Katatoniczną?

- Tak. Otumanioną, niereagującą na bodźce zewnętrzne. - Wyjaśnia, że podejrzewa, iż Miriam cierpiała na schizofrenię katatoniczną, to wynika z mojego opisu. - O ile - dodaje znacząco - to prawda, co mi opowiadasz. - Nie przestaje sugerować, że kłamię.

Wyobrażam sobie, jak Miriam siedzi w kącie pokoju w wiklinowym fotelu, wpatrując się w przestrzeń, podczas gdy w sąsiednim pomieszczeniu jej mąż używa sobie do woli. Zły troll, myślę o niej. Złośliwy chochlik.

Mój pokój sąsadował przez ścianę z pokojem Matthew i Isaaca. Przez około rok tylko to nas łączyło. Nie jadaliśmy wspólnie posiłków. Odwracaliśmy albo spuszczaaliśmy wzrok, mijając się przypadkiem na korytarzu. Matthew i Isaac musieli się zadowolić wspólnym pokojem po tym, jak Joseph i Miriam sprowadzili mnie do siebie, i nie wiedziałam,

jak im się to podobało, ponieważ w tym domu prawie nikt nic nie mówił. Chłopcy większość dnia spędzali w szkole, a kiedy przebywali w domu, siedzieli w swoim pokoju, odrabiając lekcje i czytając Biblię. Joseph nie pozwalał im ze mną rozmawiać i za każdym razem napominał, że „złe towarzystwo szkodzi moralności”, jeśli choćby zerknęli w moją stronę.

Pod tym względem Isaac nigdy się nie zmienił. O ile to możliwe, z czasem stał się jeszcze bardziej podobny do Josepha, był lemingiem gotowym się rzucić ze skały na rozkaz ojca. Ale Matthew był inny.

Pamiętam noc, kiedy po raz pierwszy wdaliśmy się w prawdziwą rozmowę. Miałam wtedy dziesięć lat. Mieszkałam w tym domu od niespełna roku, a Joseph zdążył mnie w tym czasie odwiedzić kilkadziesiąt razy. Było już dobrze po północy i leżałam w łóżku, jak zwykle nie mogąc zasnąć. Rozmyślałam o mamie i tacie i usiłowałam wymyślić możliwie jak najwięcej porównań do „kocham cię jak”. Usłyszałam kroki na korytarzu. Ktoś skradał się do mojego pokoju. Wstrzymałam oddech, czekając na wejście Josepha, na ohydny dotyk jego cuchnącego cielska. Zaczęłam się trząść, jak zawsze, kiedy z korytarza słychać było echo kroków, a potem nastąpiły dalsze reakcje: przyspieszone bicie serca, pot na rękach, pot na całym ciele, mroczyki w oczach, dzwonięcie w uszach.

Drzwi uchylają się nieco i w ciemności widzę inny profil niż ten, do jakiego przywykłam. Głos także jest inny, łagodny, bardziej miękki i równie przestraszony jak ja.

- Wiedziałaś, że karaluchy mogą przez tydzień żyć bez głowy? - wyszeptał.

Rozpoznałam ten drżący głos. Przyszedł do mnie Matthew.

- Naprawdę? - odszepnęłam, unosząc się na łokciach. W pokoju było niemal całkiem ciemno, jedyne światło dawała zepsuta uliczna latarnia, która to zapalała się, to znowu gasła. I tak przez całą noc.

- Uhm - odrzekł. - Czasami nawet przez miesiąc. Umierają z braku wody.

- Aha.

Trwaliśmy tak przez mniej więcej minutę w całkowitej ciszy, a potem drzwi się zamknęły i Matthew wrócił do siebie.

Następnego dnia znalazłam książkę wciśniętą pod materac. Nosiła tytuł: „Przewodnik po owadach i pająkach dla dzieci”. Wiedziałam, że to od niego. Kiedy Joseph wyszedł do pracy, a Matthew i Isaac zniknęli za rogiem ulicy, gdzie czekali z resztą uczniów na szkolny autobus, usiadłam na łóżku i pochłonięłam książkę za jednym zamachem.

W Ogallali chodziłam do szkoły, gdzie nauczyłam się czytać, i mama prosiła mnie, żebym codziennie czytała jej przed snem artykuły z kolorowych czasopism, książki kucharskie Julii Child, broszury reklamowe, jakie przyszły pocztą. Bardzo dobrze radziłam sobie z czytaniem. Bez trudu przeczytałam przewodnik otrzymany od Matthew i ukradkiem odniosłam mu do pokoju i wsunęłam pod materac, zanim wszyscy wrócili do domu. Dowiedziałam się mnóstwo o skorkach i modliszkach, cykadach i ważkach równoskrzydłych. Dowiedziałam się, że końska mucha żyje od trzydziestu do sześćdziesięciu dni, że królowa pszczoł hibernuje w zimie w ziemnej jamce, a niektóre cykady pojawiają się jedynie raz na trzynaście lub siedemnaście lat.

Po kilku dniach znalazłam nową książkę. Nazywała się „Morskie anemony”. Przeczytałam, że wyglądają jak kwiaty, którymi tak naprawdę nie są. To morskie drapieżniki. Nie starzeją się jak rośliny i zwierzęta. Mogą żyć wiecznie, są nieśmiertelne, jak podawała książka. Dowiedziałam się z niej, że anemony wstrzykują w swoje ofiary paraliżującą truciznę, a potem żarłocznie je pochłaniają.

Morskie anemony ani trochę mi się nie podobały. Tak niebiańsko piękne, a przecież zabójcy. Przyszli mordercy w delikatnych, anielskich powłokach. Wydawało się to nie w porządku. To był trik, pułapka, złudzenie.

Kilka dni później dostałam „Skały i minerały”. Potem kolejna książka, i następna. Prawie co tydzień Matthew wsuwał mi pod materac nową, wypożyczoną ze szkolnej biblioteki pozycję: „Pajęczyna Charlotty”, „Pamiętnik młodej dziewczyny”, „Z pomieszanego archiwum pani Basil E. Frankweiler”.

Zaczytywałam się nimi w chwilach wolnych od sprzątanania domu, kąpania Miriam lub robienia kanapek z tuńczykiem na kolację.

Co pewien czas w środku nocy Matthew zatrzymywał się pod moim

pokojem w drodze do toalety lub do kuchni po szklanę wody. Szybko nauczyłam się rozpoznawać, które kroki należą do niego, a które do Josepha. Matthew stąpał lekko i zwalniał, zbliżając się do mych drzwi, jakby nie miał pewności, czy powinien przystanąć. W krokach Josepha natomiast nie było śladu wahania. Maszerowały prosto do mojego pokoju i wchodziły bez sekundy namysłu.

Matthew ostrożnie uchylał drzwi, żeby nie skrzypnęły, za to Joseph w ogóle się tym nie przejmował. Matthew stał najwyżej przez chwilę, przekazując szeptem jakąś całkiem nieistotną dla mnie, a pewnie i dla niego informację. Po pewnym czasie zrozumiałam, że nie o treść chodziło, ale o sam fakt. Podkreślenie, że łączy nas jakaś więź, mamy pakt.

Nie byłam sama.

- Wiedziałaś, że krokodyl nie potrafi wysuwać jęzora? - zapytał pewnego razu. - Wiedziałaś, że słowo „żółć” nie ma rymu? - zapytał jakiś czas potem.

Przyznałam, że nie, nie miałam o tym pojęcia, i resztę bezsennej nocy spędziłam na wynajdywaniu jakiegokolwiek rymującego się z żółcią słowa. Żeby mogła mu je podszeptać, kiedy zajrzy do mnie następnym razem. Pluć. Studź. Wrzuć.

Eee, do niczego.

- Wiedziałaś, że Wenus jest najgorętszą planetą? Na powierzchni temperatura dochodzi do czterystu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. To ponad osiemset stopni Fahrenheita.

Gapiałam się tylko na niego, ponieważ prawdę mówiąc, nie miałam zbyt wiele pojęcia o Celsjuszu i Fahrenheicie i zaczynałam zapominać o Wenus. Tak dawno temu siedziałam w klasie w Ogallali, ucząc się o planetach, pogodzie i tym podobnych zagadnieniach. Następnego dnia dostałam nową książkę, o astronomii.

- Czy wiesz, że moja rodzina dostaje na ciebie prawie dwadzieścia dolarów dziennie? - zapytał mnie kiedyś Matthew.

- Co? - zdziwiłam się. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. - Od kogo? - Czy to pieniądze zaoszczędzone kiedyś przez moich rodziców, a może to opiekunka za mnie płaci?

- Od starego dobrego stanu Nebraska - odparł Matthew, potrząsając głową w ciemności. Stał w drzwiach w kraciastych spodniach od piżamy i białym podkoszulku z żółtymi plamami z przodu, za ciasnym i stanowczo za krótkim.

- Za Lily też? - zapytałam. Być może Paul i Lily Zeeger również zarabiali na opiece nad moją siostrą. Ale Matthew zaprzeczył.

- Przy adopcji jest inaczej. Zeegerowie musieli za Lily zapłacić. Co najmniej dziesięć tysięcy dolarów.

- Tak? - spytałam z niedowierzaniem. To była duża suma. Zeegerowie kupili moją Lily tak, jak kupuje się w sklepie koszulę. Nie byłam pewna, jak powinnam się czuć w związku z tym: zadowolona, że wydali aż tyle pieniędzy, żeby móc ją posiadać, czy też raczej smutna, że Lily była takim samym towarem jak inne - ubranie, masło orzechowe, spray przeciw komarom.

Rozmyślałam, czy jeśli pewnego dnia uzbieram dziesięć tysięcy, to będę ją mogła odkupić. A może Zeegerowie zechcą ją oddać, jak buty, które nie pasują. Może Lily znowu będzie na sprzedaż i uda mi się wymyślić sposób, żeby ją kupić dla siebie.

Najbardziej jednak uwierało mnie to, że Joseph i Miriam dostawali pieniądze za to, że mnie u siebie trzymali. Nie kupili mnie, tak jak Zeegerowie kupili Lily.

- Skąd wiesz? - spytałam.

Matthew wzruszył ramionami.

- Po prostu wiem. - Zamknął cicho drzwi i poszedł.

- Dlaczego nigdy nie próbowałaś stamtąd uciec? - pyta Louise Flores. Stojący w kącie strażnik lekko nachylił się w naszą stronę i wiem, że zadaje sobie to samo pytanie: dlaczego nie próbowałam ucieczki? Zerkam na niego spod oka i przyłapuję na sobie jego badawcze spojrzenie. Mundur jest na niego za luźny. To jeszcze chłopak, a nie mężczyzna.

- No właśnie - mówią te oczy - dlaczego?

- Bałam się - mówię. - Bałam się zostać i bałam się uciec. Bóg rozzłościłby się na mnie, gdybym okazała Josephowi nieposłuszeństwo. Joseph mi tak powiedział. Przekonał mnie i kazał mi w to wierzyć.

Wiedziałam, że nie mogę odejść. Przynajmniej na początku tak było. Oczywiście i tak nie miałabym dokąd pójść, ale gdybym uciekła, Joseph skrzywdziłby Lily – powtarzał mi to chyba z milion razy – a gdyby jakimś cudem tego nie zrobił, to Bóg posłałby za mną burze z piorunami i sępy. Nie miałabym żadnych szans. Zamieniłby mnie w słup soli. Zalał ogniem piekielnym.

- Byłam małą dziewczynką – przypominam Flores. Zanim zamieszkałam z Josephem i Miriam, wierzyłam w Świętego Mikołaja, wróżkę zębuszkę i wielkanocnego zajączka. To znaczy do momentu, gdy wypadł mi kieł, włożyłam go pod poduszkę i przez całą noc czekałam na błyszczącą złotą monetę, jaką wróżka zębuszka zostawiała mi zawsze w Ogallali.

Ale tym razem nie przyszła.

Wmówiłam sobie, że nie mogła mnie znaleźć w tym ponurym domiszczu pod Omaha i na próżno latała nad Ogallalą.

A potem zaczęłam wspominać stary dom na Canyon Drive. Zastanawiałam się, czy ktoś się do niego wprowadził, czy jakaś inna dziewczynka śpi w moim łóżku przykrytym ciemnoróżową narzutą w groszki, z zasłonkami z niebieskiej koronki, które uszyła mi mama, wyszukawszy materiał na wyprzedaży. Byłam ciekawa, czy ta dziewczynka, szczelnie przykryta kołderką, przytula się do mojego ulubionego pluszowego kotka, czy mama czyta jej z mojej ukochanej książeczki z obrazkami, czy obudziła się rano i znalazła mój błyszczący pieniążek pod moją miękką podusią.

Powiedziałam o tym Matthew, kiedy pewnej nocy przystanął pod moim pokojem. Poskarżyłam się, że wróżka zębuszka nie mogła mnie znaleźć. Że ciągle przechowuję mój błyszczący ząbek. I nie wiem, jak mam go dostarczyć wróżce, żeby mogła go użyć do budowy zamku w Baśniowej Krainie.

- Baśniowa Kraina? – odszepnęła. Więc opowiedziałam mu, że wróżka zębuszka buduje z milionów dziecięcych ząbków wielki błyszczący zamek i wioskę dla siebie i swoich przyjaciół. To właśnie Baśniowa Kraina.

Matthew patrzył na mnie tępo, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie ma żadnej wróżki zębuszki, Claire - wydusił w końcu. Przez długi czas panowało milczenie. - Wyrzuć go.

Jakaś część mnie umarła, tak jak wtedy, gdy zginęli moi rodzice.

Za bardzo się bałam, żeby zapytać o Świętego Mikołaja i wielkanocnego zajęczka. Ale kiedy przyszły święta i minęły bez żadnych prezentów, znałam już przyczynę. Wcale nie chodziło o to, że byłam niegrzeczna.

Kilka dni później Matthew zostawił mi książkę pod materacem. Był to wybór baśni, między innymi „Trzy świnki”, „Złotowłosa”, „Rumpelszyk”.

Mnie jednak najbardziej zaciekała opowieść pod tytułem „Szczurołap z Hameln”. Był to śmiesznie wyglądający człowieczek, który grając na magicznej fujarce, wywabiał dzieci z miasteczka. Nigdy więcej ich nie widziano. Wyobrażałam sobie Josepha w stroju średniowiecznego błazna z książkowej ilustracji, jak przechadza się ulicami Ogallali i gra, żeby zwabić dzieci. Takie jak ja.

Nie jestem pewna, czego bałam się bardziej, mieszkając z Josephem i Miriam: Josepha z oczami sępa i haczykowatym nosem, mściwego Boga, o którym tyle mi opowiadał, czy też tego, co jak twierdził, zrobi z Lily, jeśli źle się zachowam. Uwięzi ją i żywcem obedrze ze skóry. Zdradził mi w najdrobniejszych szczegółach, jak się do tego zabierze: powiesi ją mianowicie za nogi i podetnie gardło od ucha do ucha, żeby powoli wykrwawiła się na śmierć. Przy tym powolnym, dokładnym ruchem przesuwając mi po gardle zimnym palcem, żebym dobrze pojęła, co ma na myśli. Używał nieznanymi mi słów - ścięgna, krwinki - które dodatkowo mnie przerażały.

Co ciekawe, rozmyślanie o Bogu Josepha i o tym wszystkim, co zrobiłby z Lily, gdybym była niegrzeczna, sprawiało, że siedząc w domu, czułam się jakby bezpieczniej niż na ulicy, wśród chłopców na rowerach i dziewczynek ze skakankami, zwykłych dzieci jak ja, które nie miały pojęcia, co dzieje się u Josepha i Miriam. Dla nich byli to tylko starzy dziwacy, jak mama nazywała owdowiałą panią Waters z sąsiedztwa, która spacerowała, rozmawiając ze zmarłym mężem jak przez telefon. Wyobrażałam sobie, że rodzice tych dzieci przestrzegają je, żeby nie bawiły się z Isaakiem i Matthew, ponieważ są dziwni. I nie rozmawiały

z Josephem, bo to „stary dziwak”, ale później, kiedy wszystko zostało już powiedziane i zrobione, to właśnie te mamy i tatusiowie zeznali na policji, że po prostu czuli, iż coś złego dzieje się w naszym domu, od początku im się wydawało, że coś tam jest nie w porządku. Ale nie było to nic konkretnego...

I dlatego nie reagowali.

HEIDI

Natychmiast po wyjściu Chrisa wstaję cichutko z łóżka, żeby nie obudzić Zoe. Śpi jak noworodek w pozycji rozgwiadzy, na plecach, z rękami odrzuconymi w tył, wschodzące słońce opromienia jej twarz. Przyglądam się jej wygładzonym rysom, na których nie widać wiecznego zbuntowania i niezadowolenia, na wargach czai się uśmiech. Ciekawi mnie, co jej się śni, bo wzdycha i przewraca się na bok na moją część łóżka. Naciągam jej kołdrę na ramiona i spuszczam rolety, żeby osłonić Zoe przed ostrym słońcem.

Wychodzę na korytarz i na palcach podkradam się do gabinetu. Kładę rękę na gałce, przyciskam ucho do drzwi i nasłuchuję. W środku panuje niezmacona cisza. Serce bije mi szybko i głośno. Dłonie zaczynają się pocić.

Ogarnia mnie nagła nieprzeparta chęć, bardzo podstawowa ludzka potrzeba, taka jak pożywienie, schronienie, ubranie.

Muszę wziąć to dziecko na ręce.

Mocniej ściskając wilgotną dłonią matową niklowaną gałkę, nie kieruję się żadną logiką, a jedynie instynktem, odruchem, wpojonym przez naturę zachowaniem.

Wiem, że nie powinnam, ale i tak to robię – ostrożnie przekręcam gałkę i ze zdumieniem stwierdzam, że się obraca. Drzwi nie są zamknięte na klucz.

Znak.

Leżą obok siebie na rozsuwanej sofie przykryte zieloną narzutą. Willow plecami do dziecka z głową nakrytą poduszką, jakby pragnęła się odciąć od nocnych gaworzeń i płaczów, a może odgłosów porannej kąpieli Chrisa przed wyjazdem do Nowego Jorku. Oddycha regularnie, głęboko, co znaczy, że mocno śpi. Podkradam się na palcach, klnąc w duchu kota, który wśliznął się za mną i od razu umknął pod biurko. Zastony są zaciągnięte, tylko przez szczeliny z boku wpada blask

złotoróżowego poranka.

Pogrążona w głębokim śnie Willow nie słyszy moich lekkich kroków dodatkowo stłumionych przez wykładzinę, a ja wyobrażam sobie, że wcale jej tu nie ma.

Tylko śliczne maleństwo, które czeka, aż ktoś do niego przyjdzie.

Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do półmroku, widzę, że oczy Ruby są szeroko otwarte. Z podziwem wpatruje się w biel sufitu, a na mój widok pogodnie się uśmiecha. Zaczyna kopać z radości nóżkami i wymachiwać rączkami we wszystkie strony. Wsuwam ręce pod plecki małej i delikatnie ją podnoszę. Willow wzdycha przez sen, nie otwiera oczu.

Przytulam dziecko do piersi, dotykam wargami główki i szybko wychodzę z pokoju.

Siadam w bujanym fotelu i zaczynam się rytmicznie kiwać z dzieckiem na kolanach. Liczę paluszki u rąk, u nóg. Muskam opuszkami jedwabistą główkę i napawam się ciszą przerywaną jedynie tykaniem drewnianego ściennego zegara, którego tarczę ledwie widzę w przyćmionym świetle. Nad jeziorem Michigan wschodzi słońce, ozłacając zwrócone na wschód fasady kamienic. Widać chmury na niebie, pierzaste obłoki w odcieniach srebra i bladego różu na brzegach. Przelatuje duże stado ptaków, pewnie wróble, na parapecie przysiadła gołębica i pilnie się we mnie wpatruje. We mnie i w dziecko. Czarne koraliki oczu świdrują nas bez przerwy, mały łepiek przechyla się to na jeden bok, to na drugi, zadając sobie tylko wiadome pytania. Ulica w dole jest cicha, czasem tylko widać śpieszącego do pracy przechodnia albo biegacza. Miejski autobus przejeżdża, nie zatrzymując się na pustym o tej porze przystanku, co i rusz przemyka taksówka.

Wciskam bosą stopę w podłogę i kołyszę fotel w tył i w przód, w tył i w przód, zdając sobie cały czas sprawę, że dziecko przyciska twarzyczkę do mojej piżamy i ugniata materiał, szukając jedzenia, szukając sutka, z którego popłynie pokarm. Dokładnie tak, jak robią małe zwierzątka.

Mocno wierzyłam w karmienie piersią. Nigdy nie rozmawiałam o tym z Chrisem, to były moje plany. Z pewnością nie zamierzał się temu

sprzeciwiać. Karmienie piersią oznaczało, że nie będzie musiał wstawać o północy, żeby podać dziecku butelkę. Będzie mógł spać, podczas gdy ja spędzę niezliczone godziny z Zoe na kolanach.

Karmienie piersią miało wiele zalet, poczynając od ekonomicznych, a na medycznych kończąc. Jak wiadomo, dzięki mleku matki dzieci nabywają zwiększonej odporności. Dla mnie liczyła się jednak przede wszystkim wygoda. Znacznie wygodniej było przystawić sobie malutką Zoe do piersi i pozwolić jej ssać do woli. Nie trzeba było wyparzać i przygotowywać butelek, ale nade wszystko miałam intymny kontakt ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, czułam się mu potrzebna. Należało je utulić do snu, zmienić pieluszkę, ale to mógł zrobić także Chris. Natomiast ja i tylko ja mogłam nakarmić Zoe piersią, tylko ja mogłam jej dostarczyć życiodajnego pokarmu.

Planowałam ją karmić do ukończenia roku, a potem stopniowo odzwyczajając.

Kiedy zachorowałam i musiałam się zatroszczyć o własne zdrowie, moje plany uległy zmianie. Karmienie piersią musiało zostać zastąpione przez pokarm z butelki. Zoe nie była tym zachwycona. Na swój sposób wierzyłam, że moje dziecko miało do mnie żal o tę nagłą zmianę, o to, że bez pytania o zdanie wcisnęłam jej do buzi sutek z silikonu. Płakała, broniła się, próbowała wypluć obcy przedmiot, nie chciała ssać obcego mleka. Z czasem, rzecz jasna, się przystosowała. Osiągnęłam to metodą prób i błędów, po kilkukrotnym zmienianiu butelek i smoczków oraz przetestowaniu wyrobów różnych firm produkujących gotowe mieszanki pokarmowe. W końcu udało nam się znaleźć taką, którą Zoe tolerowała, po której nie bolał jej brzuch.

Ale nigdy nie widziałam – ta myśl przyszła mi do głowy, kiedy Ruby gmera w zakamarkach mojej piżamy – żeby Willow karmiła piersią.

Dlaczego zatem, zadaję sobie pytanie, maleństwo tak uparcie szuka sutka, skubiąc przezroczyste plastikowe guziki i próbując się dostać do piersi?

Nie mam jednak czasu, żeby się nad tym zastanowić, wymyślić sensowną odpowiedź, ponieważ Willow staje raptem przede mną. Długie włosy zakrywają twarz i widzę tylko oczy, nieufne i przenikliwe,

świdrujące mnie z góry jak para ostrzy. Gniewny wzrok każe mi się nagle zastanowić, na ile mogę jej ufać, czy to uczciwa, porządna dziewczyna?

Moje myśli kierują się automatycznie do poplamionego krwią podkoszulka.

- Zabrała pani dziecko - mówi. - Zabrała pani Ruby z mojego pokoju.

- Tak. Istotnie - odpowiadam spokojnym tonem. Muszę szybko wymyślić dobry powód. - Płakała - kłamie. Przychodzi mi to z łatwością, wręcz odruchowo. - Nie chciałam, żeby cię obudziła. Ja i tak już nie spałam - ciągnę. - Właśnie miałam nastawić kawę, kiedy usłyszałam, że Ruby płacze.

- Jest głodna - mówi Willow cicho, widząc, że obserwuję, jak mała skubie gors mojej piżamy.

- Tak. Właśnie miałam jej przygotować butelkę...

- Ja to zrobię - przerywa Willow ze stanowczością, jakiej jeszcze u niej nie słyszałam. Przenosi wzrok na dzbanek z wczorajszą zimną kawą. - Nie napiła się pani jeszcze porannej kawy - dodaje, a ja tłumaczę sobie, że stara mi się po prostu pomóc, ulżyć w obowiązkach. Tłumaczę sobie, że wcale nie brzmią w jej głosie ostre tony, kiedy niezgrabnie chwyta małą i zabiera ją z moich kolan. Natychmiast ogarnia mnie uczucie, że zostałam pozbawiona czegoś cennego, co przecież należało do mnie.

Może Willow nie jest wcale taka naiwna, jak mi się z początku wydawało.

Zabrała dziecko, a teraz stoi w kuchni, zarzuciwszy je sobie na biodro, jedną ręką podtrzymując Ruby, a drugą przygotowując pokarm. Mała wierci się gwałtownie, oczy napełniają jej się łzami. Wpatruje się we mnie, wyciąga do mnie rączki - jestem tego pewna - gdy tak tkwię na bujanym fotelu, niezdolna uczynić ruchu. Nie chcę kawy, chcę, żeby dziecko wróciło do mnie na kolana. Ciśnienie krwi rośnie, pot występuje mi na ciele. Brakuje mi tchu, brakuje tlenu, który mógłby wypełnić mi płuca.

Dziecko wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem, choć reszta małego ciała rozpaczliwie się miota. Kopie Willow, szarpie za jej długie

włosy. Jest czerwona jak burak, a brak reakcji powoduje, że zaczyna przeraźliwie płakać. Willow zdaje się nie zwracać na to uwagi, ale jej ruchy stają się jeszcze bardziej niezgrabne, przez co strąca butelkę z mieszanką na podłogę. Biały proszek rozsypuje się dookoła, wpełza w szpary między deskami parkietu. Mogłabym pomóc. Mogłabym, ale siedzę skamieniała jak posąg, przyklejona do bujanego fotela, ze wzrokiem utkwionym w oczach małej.

Z korytarza dolatuje trzask drzwi, a potem zaspany i poirytowany głos Zoe. Głos dziecka, które kiedyś ssało moją pierś i tak bardzo mnie potrzebowało. A teraz nie chce mnie znać.

- Czy nikt w tym domu nie śpi? - warczy Zoe, nie patrząc na mnie ani na Willow.

- Dzień dobry - bąkam bez tchu, gdy wchodzi półprzytomna do kuchni, czochrając rudą czuprynę.

Zoe nie odpowiada. Pada na kanapę i włącza telewizor, kanał MTV. Młodzieńczy ekwiwalent kofeiny.

- Dzień dobry - odpowiadam z sarkazmem samej sobie, tęsknie spoglądając na niemowlę i tak bardzo pragnąc otrzymać drugą szansę, by tym razem wszystko zrobić lepiej.

WILLOW

Zastępczyni prokuratora chce wiedzieć więcej o Matthew. Na wzmiankę o nim moja twarz się rozchmurza. Milczę, ale Flores widzi mój uśmiech.

- Lubisz Matthew, prawda?

Uśmiech raptownie znika, gdy mówię:

- Matthew jest moim przyjacielem.

Opowiadam jej, jak zatrzymywał się na chwilę w drzwiach mego pokoju, jak zostawiał mi pod materacem książki, żebym nie zdurniała jak Miriam.

Ale to było wcześniej.

Matthew był o sześć lat starszy ode mnie. Miał piętnaście lat, kiedy zamieszkałam w domu pod Omaha. Ja miałam dziewięć. Nie minęło wiele czasu, a skończył naukę w szkole, a kiedy miałam trzynaście, może czternaście lat, wyprowadził się z domu. Pewnego dnia, kiedy Joseph był w pracy, spakował swoje rzeczy i postanowił się wynieść. Ale nie odszedł daleko.

Nie wstąpił jak koledzy do college'u - nie mógł sobie na to pozwolić ze względów finansowych - lecz zaczął pracę na stacji benzynowej w okolicy i przez pewien czas zamiast książek przynosił mi batoniki i torebki chipsów, czyli ten rodzaj żywności, który Joseph uważał za wytwór szatana.

Nie wiedziałam, gdzie Matthew nocował. Niewiele o tym mówił. Czasem napomykał o mieszkaniu w wysokiej kamienicy z cegieł z klimatyzacją i wielkim telewizorem, ale nawet ja wiedziałam, że zmyśla. Innym razem twierdził, że podróżuje w dół rzeki Missouri na barce. Po prostu nie chciał, żeby było mi go żal. Zresztą wszystko było lepsze niż mieszkanie w tym domu z Josephem i Miriam, z Isaakiem, w którego oczach widziałam to samo pragnienie, jakie wyzierało z oczu Josepha, kiedy przychodził do mnie w nocy.

Mimo to Matthew czasem wpadał, kiedy Joseph był w pracy, Isaac w szkole, a Miriam leżała w pokoju obojętna na wszystko dokoła. Mówił mi, że być może wstąpi do wojska i że świetnie zarabia, pracując na stacji benzynowej.

Widziałam jednak zmęczenie w jego oczach, niekiedy wydzielał zapaszek niemytego od wielu dni ciała, a ubranie prawie zawsze cuchnęło. Bywało, że zdrzemnął się na moim łóżku, a wtedy prałam mu koszulę albo dżinsy, po czym przeszukiwałam szafki, żeby dać mu coś do jedzenia. Co pewien czas Matthew przetrząsał dom w poszukiwaniu pieniędzy i znajdował wymięty banknot dolarowy albo zapomniane drobniaki, które chował skrupulatnie do kieszeni, i stopniowo zaczęłam myśleć, że to jego jedyne dochody. Kiedyś w starej, nienoszonej już kurtce Josepha znalazł dwadzieścia dolarów i po rozjaśnionych oczach poznałam, że poczuł się tak, jakby trafił na żyłę złota.

Matthew chciał mnie zabrać z tego domu, wiem, że tak było. Po prostu nie wiedział, jak to zrobić. Zaklinał się, że pewnego dnia, jak zarobi więcej pieniędzy... Tak jak kiedyś mama, tak i Matthew zaczął często używać tej frazy. Pewnego dnia będzie miał dość pieniędzy. Pewnego dnia zabierze mnie daleko stąd.

Przychodziło mi na myśl, że skoro Joseph i Miriam otrzymują zapłatę za opiekę nade mną, to może Matthew mógłby zostać moim opiekunem?

Była to dziecinada; prawdziwa „ja” dobrze wiedziała, że tak się nigdy nie stanie.

Widziałam, że w Matthew coś się zmienia. Częściej rozprawiał o poważniejszych kwestiach niż karaluchy i Wenus. Mówił o tym, że zabierze mnie z tego domu, daleko od Josepha. O bezdomnych, którzy żyją na ulicach.

Nie przestał także przynosić mi książek z biblioteki publicznej. Często snułam fantazje o tym miejscu, gdzie za darmo można do woli czytać setki, ba, tysiące książek. Matthew tyle mi o nim opowiadał, o trzech piętrach wypełnionych wyłącznie książkami, a ja zastanawiałam się, ile czasu zajęłoby mi przeczytanie ich wszystkich. Przynosił mi jedną, czasem dwie książki i pozwalał zatrzymać do następnej wizyty, więc kiedy kończyłam pranie i sprzątanie i wyniosłam śmieci, kładłam się na

łóżku i czytałam.

Czasem oboje przysiadaliśmy na brzegu mojego łóżka, żeby wspólnie poczytać. Matthew wydawał się za duży na mój pokój, jakby dorosły mężczyzna próbował się wcisnąć do domu dla lalek. Wyczuwałam, że się zmienił, nie jest tym samym przeraźliwie chudym chłopcem, który przystawał w drzwiach i opowiadał mi o Wenus i karaluchach. Zmężniał, stał się mężczyzną. Głos mu zgrubiał, wyraz oczu stał się znacznie bardziej nieodgadniony niż wtedy, gdy obaj z Isaakiem wracali ze szkoły do domu ze wzrokiem wbitym w chodnik, starając się nie zwracać uwagi na popychania i wyzwiska kolegów.

Czułam, że ja także się zmieniam. Swoboda w kontaktach z Matthew gdzieś się ulotniła, w jej miejsce wkradła się nerwowość, taka jak za pierwszym razem, kiedy nie wiedziałam, po co zajrzał do mojego pokoju. Matthew patrzył na mnie tak jak nikt na świecie. Mówił do mnie tak jak nikt na świecie, oprócz mamy i taty. Czytaliśmy wspólnie różne książki – moją ulubioną była „Ania z Zielonego Wzgórza”, chyba ze sto razy prosiłam Matthew, by mi ją wypożyczył – a kiedy trafiało się trudne słowo i nie umiałam go przeczytać, pomagał mi i nigdy nie dał odczuć, że jestem strasznie tępa.

Z książek wiele się nauczyłam, na przykład jak powstają burze i dlaczego w niektórych częściach świata zdarzają się codziennie. I że błyskawice są dobre dla ludzi i roślin, wcale nie trzeba się ich bać.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Joseph faktycznie ma rację z tym ogniem i siarką, co leją się z nieba, i tym podobnymi twierdzeniami. Zaczęłam myśleć, że kiedy burza przetacza się po okolicy, budząc w nas taką grozę, to wcale nie znaczy, że Bóg jest na mnie zły.

Być może to po prostu burza.

Ale nie odważyłam się powiedzieć o tym Josephowi.

Pewnego dnia Matthew przyjechał z oparzeniami na ramionach i rękach. Skóra w tych miejscach była zaczerwieniona, pokryta pęcherzami. Widziałam, że go to boli, bo jedną rękę miał owiniętą bandażem i często nieświadomie się krzywił. Wszedł do domu ukradkiem, jakby miał nadzieję, że go nie usłyszę i nie zobaczę. Na jego widok wydałam stłumiony okrzyk i pobiegłam do kuchni po woreczek

z lodem.

Matthew opowiedział mi, że w schronisku, w którym nocował, wybuchł pożar. Gdy zapytałam, o jakim schronisku mowa, powiedział, że dla bezdomnych. Przypomniałam sobie, że mama zbierała stare ubrania dla bezdomnych, ale nie bardzo pojmowałam znaczenie tego słowa. Pomyślałam, że Matthew wkłada czyjąś starą odzież i sypia w czyjeś pościeli. Zrobiło mi się okropnie smutno.

Wiedziałam, że nie kłamie na temat schroniska, bo kiedy to mówił, spojrział mi w oczy, kiedy natomiast opowiadał o spływaniu barką po rzece Missouri, odwracał wzrok i wbijał go w ścianę.

Przyniósł ze sobą torbę ze swoim dobytkiem, prawie pełną. Oznajmił, że nie wróci do tamtego ani żadnego innego schroniska dla bezdomnych, że raz na zawsze z tym skończył.

Z początku nie chciał mi wyjawić, co się takiego stało, że został poparzony. Ale opowiedział mi o samym schronisku. Było przepełnione. Nie dla wszystkich starczało łóżek, w niektóre noce musiał spać na podłodze. Cały swój dobytek musiał trzymać pod łóżkiem i był szczęśliwy, jeśli znajdował go tam następnego ranka. Stały tam rzędy jednakowych piętrowych pryczy z powgniatanymi materacami i brudną, porwaną pościelą. Rzadko tylko zdarzał się nieużywany komplet z darów.

- Został oddany - mówił Matthew - bo jest bezwartościowy, nie nadaje się dla reszty ludzi.

W jego oczach widziałam rozżalenie, dołujące przekonanie, że i on jest bezwartościowy, tak samo się nie nadaje. Pragnęłam mu powiedzieć, że to nieprawda.

Mieszkańcy schroniska byli w większości alkoholikami i narkomanami, a kierownictwu to wcale nie przeszkadzało. Czasami, żeby dostać czystą pościel lub porządny posiłek, Matthew musiał robić różne rzeczy, których wcale nie chciał.

- Czyli co? - spytałam.

- Nie chcesz wiedzieć - zbył mnie zdawkowo.

Potem opowiedział mi jednak, co się stało, dlaczego jest poparzony. Nie dlatego, że go zapytałam; przeciwnie. Nie byłam pewna, czy chcę

się tego dowiedzieć.

Wybuchł pożar. Być może nastąpiło zwarcie instalacji elektrycznej, powiedział, ale jest bardziej prawdopodobne, że to było podpalenie. Kiedy nie zrozumiałam, wyjaśnił, że ktoś mógł się rozzłościć, że nie starczyło dla niego miejsca, więc celowo podpalił budynek. Były dwie ofiary śmiertelne, mężczyzna i jego dziesięcioletni syn. Wyjścia przeciwpożarowe były zablokowane pryzami i ludzkim dobytkiem, więc została tylko jedna droga ucieczki.

Długo przypatrywałam się poparzeniom, bąblom na czerwonej skórze. Wyobrażałam sobie pożar szalejący w budynku, szerniałe ściany, zwęglone sprzęty. Obraz był podobny do miejsca, jakie opisywał mi Joseph, twierdząc, że udają się tam grzesznicy. Piekło. Niekończące się tortury i kary, demony, smoki i sam szatan. Wieczne potępienie. Jeziora ognia. Ognisty piec. Nieugaszony ogień. Płomienie. Ogień, ogień.

Wtedy postanowiłam, że nigdy, przenigdy moja noga nie postanie w schronisku dla bezdomnych. I nie miało znaczenia, że nie wiedziałam, co ten termin dokładnie oznacza.

- Gdzie zamieszkał Matthew po wyprowadzce ze schroniska? - pyta Flores, wrywając mnie z zamyślenia. Myślę o Matthew i skomplikowanym wyrazie jego oczu, który mi się podobał, bo robiły się bardziej brązowe, cieplejsze, jak syrop, którym mama polewała naleśniki.

Z tym kojarzyły mi się oczy Matthew: ze słodkim, ciepłym syropem na przepysznych naleśnikach.

- Claire - ponagliła Flores. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Zanim zdążę odpowiedzieć, rozlega się sygnał komórki i pani prokurator sięga do torebki. Zerka na ekran i głęboko marszczy brwi.

Wzdrygam się gwałtownie, gdy ze zgrzytem odsuwa krzesło i zrywa się z miejsca.

- Przerwiemy - mówi. - Za chwilę dokończymy rozmowę o Matthew. Obserwuj ją - zwraca się do młodego strażnika. - Zaraz wracam. - Wybiega z zimnego pokoju, z korytarza dolatuje tupot jej obcasów.

Drugi strażnik zatrzaskuje za nią okratowane drzwi i oddala się korytarzem.

- Gdyby to o mnie chodziło, to też bym ich zabił - słyszę z kąta szept
młodego strażnika.

HEIDI

Rano ktoś stuka do drzwi.

Zoe przygotowuje się w pokoju do wyjścia do szkoły. Willow zajęła łazienkę. Stukanie zastaje mnie w sypialni, gdzie ubieram się po kąpieli. Zdążyłam włożyć tweedowe spodnie i bluzkę, rozpinany sweter leży na łóżku. Świeżo umyte włosy schną w imponującym tempie.

Z dzieckiem opartym na biodrze mijam łazienkę i widzę, że Willow zostawiła drzwi lekko uchylone. Stoi przed lustrem i przypatruje się sobie. Z mokrych po kąpieli włosów woda skapuje na jeden z podkoszulków Zoe. Jedno oko Willow jest już podkreślone tuszem. Nachyla się do lustra, żeby umalować drugie oko, ale zamiast tego odsuwa brzeg spranego podkoszulka, opuszcza go tak nisko, że widać delikatną skórę piersi. Wstrzymuję oddech, modląc się, żeby dziecko nie zapłakało. Willow muska ostrożnie ranek na mlecznobiałej skórze, tak blisko brodawki, że widzę jej różowo-brązowy fragment. Odruchowo nachylam się bliżej i wyteżam wzrok, chcąc się przyjrzeć temu, co wygląda mi na ślady zębów, krwawy odcisk kłów i siekaczy, zaciśniętych na tyle mocno, że zostało wyraźne znamię. Na zawsze zniekształcony fragment ciała.

Stukanie się powtarza i szybko ruszam do drzwi, żeby Willow nie dojrzała moich ust otwartych ze zdumienia na widok blizny. W ogóle żeby mnie nie dostrzegła.

Otwieram i widzę Grahama z dwoma kubkami kawy z sylwetą wieżowców Chicago w rękach. Widząc dziecko, wymija mnie i stawia kubki na kuchennym blacie.

- Oto komu zawdzięczam zamieszanie przez ostatnie parę nocy - mówi. - Nic nie mówiłaś, że będziesz miała gości. - Siada przy stole i stopą przysuwa dla mnie krzesło. - Gdzie jest Chris? - pyta, wodząc wzrokiem po nieopisanym bałaganie, jaki panuje w moim mieszkaniu. W zlewie walają się puste butelki ze smoczkiem, na podłodze w salonie

leżą paczki jednorazowych pieluch i chusteczek nawilżających, pod drzwiami pełen kosz rzeczy do prania, z pojemnika na śmieci pod zlewem dolatuje odór fekaliiów. Graham usilnie stara się go ignorować. – Tak wcześnie wyszedł do pracy? – Dochodzi siódma rano.

– Wyjechał do Nowego Jorku – mówię, siadając przy nim i rozkoszując się niebiańskim aromatem wody kolońskiej na bazie paczuli zmieszanej z oszałamiającym zapachem kawy. Przytykam wargi do kubka i wdycham głęboko, zanim się napiję.

Graham jak zwykle prezentuje się nienagannie w obcisłym wełnianym swetrze, dżinsach i z fantazyjną fryzurą. Powiada, że wstał już o piątej, żeby pisać, co czyni niemal każdego ranka. W godzinach pracy jest wolnym strzelcem, pisuje dla czasopism, stron internetowych, niekiedy do dzienników. Wczesne godziny poranka przeznacza natomiast na swoją prawdziwą pasję, czyli pisanie powieści. Od wielu lat pracuje nad swoim pierwszym dziełem, swoim ukochanym dzieckiem, radością i dumą, mając nadzieję, że pewnego dnia ujrzy je na półce w księgarni. Miałam okazję czytać nieliczne fragmenty, który to zaszczyt spotykał mnie najczęściej po trzech, czterech kieliszkach wina oraz stosownej porcji błagań i próśb, pochwał i pochlebstw. Rzecz była naprawdę niezła, przynajmniej te urywki, które przeczytałam. Wynajęłam Grahama do redagowania mojej strony internetowej non profit, broszur informacyjnych i napisania dorocznego apelu z prośbą o wsparcie. Spędziliśmy niejedną wieczór na tej pracy, wspomagając się jedną czy dwoma butelkami mojego ulubionego rieslinga, podczas gdy Chris i Zoe siedzieli w mieszkaniu za ścianą. Wracałam późno podpita i rozbawiona, ale nie wyczuwałam u Chrisa zazdrości, choć ja w takiej sytuacji byłabym o niego zazdrosna.

– Niby o co miałbym być zazdrosny? – zapytał Chris, gdy go o to zagadnęłam, czego nigdy nie zrobiłabym na trzeźwo. Po czym dodał, co mnie mocno zabolalo: – Wątpię, żebyś była w typie Grahama.

Pamiętam wyraz satysfakcji na jego twarzy. Zadowolonia, że powiedział to głośno.

Bardzo długo zastanawiałam się nad znaczeniem tych słów. Nie w typie Grahama, nie superlaska o nieziemskiej urodzie, z jakimi

umawiał się w domu i zabawiał tak hucznie, aż trzęsły się ściany kamienicy. Czy to miał na myśli Chris? Że nie jestem dla Grahama dość dobra? Jestem tylko podstarzałą sąsiadką z włosami poprzetykanymi siwizną i początkami zmarszczek? Przyjaciółką. Kumpelą. Zaufaną osobą. Ale nikim więcej.

A może Chrisowi po prostu chodziło o to, że kobiety nie były w typie Grahama, ponieważ preferował mężczyzn.

Nigdy się tego nie dowiem. Siedząc naprzeciw niego na kuchennym krześle, zastanawiam się mimo wszystko, czy w jakimś innym życiu, w równoległym wszechświecie, mogłabym być dla Grahama kimś więcej niż tylko sąsiadką.

Nie poświęcam temu jednak zbyt wiele uwagi, bo nieustannie myślę o Willow, jak wodzi palcami po bliźnie. Po śladach zębów. Ludzkich zębów.

Staje w progu jakby przywołana moimi myślami, a Graham odwraca się do niej, posyła swój najbardziej czarujący uśmiech i uprzejmie mówi:

- Dzień dobry.

Willow nie odpowiada. Widzę, że zamierza się wycofać, ale czar uśmiechu jednak ją pokonuje - jest taki ciepły i miły - więc i ona nieśmiało się uśmiecha.

Nie sposób nie odpowiedzieć na uśmiech Grahama.

- Willow - odzywam się - to jest Graham, nasz sąsiad.

- Jak się masz? - pyta Graham.

- W porządku - mówi Willow i zwraca się do mnie: - Obudziła się? - Potwierdzam, że dziecko już nie śpi.

Wówczas szepcze, że zabrakło pasty do zębów, więc kieruję ją do bielizniarki na końcu korytarza. Willow odchodzi, a Graham patrzy za nią przez chwilę, po czym spogląda na mnie błyszczącymi ciekawością oczami.

- Coś takiego - szepcze, błyskawicznie łącząc w umyśle dziecko na moich kolanach i nastolatkę szukającą w bielizniarce pasty do zębów.

Siedzimy obok siebie w wagonie linii L jadącym tym razem na północ. Kołysanie, miarowy stukot kół pociągu i przelatujące za szybą rozmazane kolorowe budynki hipnotyzują dziecko. Siedzę tak blisko, że

dotykam nogą Willow, która natychmiast instynktownie próbuje się odsunąć, chociaż w zatłoczonym wagonie nie ma na to miejsca. Dotyk jej przeszkadza, sądząc po grymasie na twarzy i odruchu kulenia się w sobie, jest niemal bolesny, jak uderzenie. Zdecydowanie woli, kiedy ludzie trzymają się na odległość ramienia; nie można ich wtedy dotknąć, a co ważniejsze, oni nie mogą dotknąć jej.

Willow nie cierpi być dotykana. Krzywi się na najłżejsze przypadkowe muśnięcie. Starannie unika kontaktu wzrokowego.

Czy to zachowanie osoby maltretowanej, zastanawiam się w duchu, kątem oka obserwując włosy zasłaniające jej twarz, czy też kogoś, kto znęcał się nad innymi? Czy ciemne puste oczy łypiące złowrogo na Chrisa, Zoe i na mnie, to skutek molestowania czy oznaka stosowania przez nią godnych potępienia praktyk? Widzę, że inni pasażerowie także ją obserwują, dziewczynę z dzieckiem na kolanach, której wzrok błądzi w przestrzeni, jakby umysł teleportował ją do dalekiej krainy, z dala od zatłoczonego wagonu. Jednym palcem, tak żeby Willow nie widziała, głaszczę lekko paluszki małej.

Czy ludzie dokoła nas dostrzegają coś, co mi umknęło?

Czy dręczy ich jakaś myśl – obawa w związku z Willow? – która nie przyszła mi do głowy? A może raczej przyszła, tylko postanowiłam ją zignorować tak jak krew na podkoszulku, po prostu przyjąć słowa Willow za dobrą monetę.

- Często krew leci mi z nosa – wyjaśniła.

Odkąd jest z nami, jeszcze się to nie zdarzyło.

Jedziemy pociągiem do kliniki w Lakeview. Gorączka Ruby jeszcze nie minęła, trochę się tylko zmniejszyła. Tylenol wprawdzie pomaga, ale nie leczy, trzeba więc poznać przyczynę podwyższonej temperatury i dyskomfortu, który sprawia, że dziecko godzinami płacze.

Wiedziałam, że nie mogę się udać do pediatry Zoe, bo zaczęłyby stawiać pytania. Klinika, w której można zapłacić gotówką, bez dwóch zdań jest znacznie lepszym rozwiązaniem.

Wysiadamy z pociągu i idziemy pieszo dwie przecznice do narożnego budynku. O tej porze na skrzyżowaniu panuje duży ruch. Część zalanego po kwietniowych deszczach chodnika jest oddzielona kozłami i taśmą.

Trzeba zejść na jezdnię, żeby je ominąć, a pędzące auta trąbią ostrzegawczo.

Willow owinęła dziecko w różowy kocyk z polaru i kurtkę khaki, co przypomina mi dzień, kiedy spotkałam ją po raz pierwszy na dworcu Fullerton, gdy tak strasznie padało. Proponuję, że poniosę małą, ale Willow zerka na mnie i odmawia.

- Nie, dziękuję pani - mówi.

Ale ja słyszę wyłącznie „nie”. Odmowę, odrzucenie. Czerwienię się z zakłopotania.

Czekam więc, aż wejdziemy do cichego westybulu między szklanymi drzwiami i raptownie wyjmuję dziecko z rąk Willow, tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Zresztą nie może nic zrobić, a to z obawy, że ktoś zauważy przez szybę szarpaninę.

- Powiemy, że jest moje - mówię półgłosem. - Tak będzie lepiej, to bardziej wiarygodne. Mniej niepotrzebnych pytań. - Przechodzę przez drugie drzwi do holu z recepcją, nie czekając na odpowiedź.

Willow zostaje z tyłu, pół kroku lub nawet więcej, ze wzrokiem wbitym w moje plecy. Czuję, jak lodowate niebieskie oczy wypalają mi dziurę w swetrze.

WILLOW

- Nigdy nie wychodziłam z domu - mówię. - To był pierwszy raz.

Opowiadam Flores, jak Matthew zjawiał się po wyjściu Josepha i Isaaka z parą starych tenisówek i pomógł mi zawiązać sznurówki, tłumacząc, że wychodzimy, więc nie mogę być bosy.

Nie wiedziałam, skąd wziął te buty. Nie zapytałam go o to. Nie zapytałam też, skąd miał ciekłą pomarańczową bluzę z kapturem, którą mi pomógł włożyć.

- Dokąd idziemy? - zapytałam po raz pierwszy.

- Zobaczysz - odparł i wyszliśmy z domu prosto na ulicę.

- Chcesz powiedzieć, że przez... ile to? Że przez sześć lat ani razu nie opuściłaś domu? - upewnia się Flores z nutą powątpiewania w głosie. Wkłada torebkę herbaty do parującego kubka z wrzątkiem i porusza nią w górę i w dół, w górę i w dół jak jo-jo, bo nie ma cierpliwości, żeby czekać, aż herbata naciągnie.

Mama uwielbiała herbatę, zwłaszcza zieloną. Czuję zapach z kubka pani prokurator i natychmiast sobie przypominam, jak mama zapewniała, że zielona herbata zwalcza raka, choroby serca i starość.

Jaka szkoda, że nie zdołała zapobiec dachowaniu auta.

- Tak, proszę pani - odpowiadam, usiłując ignorować niedowierzanie w szarych oczach Flores. - Po raz pierwszy w ogóle gdzieś poszłam. To znaczy poza teren podwórka z tyłu domu, do miasta. - Na podwórko też bardzo rzadko wychodziłam.

- Czy nie wydawało ci się, że to niedobry pomysł? - pyta Flores.

Wracam myślami do dnia, w którym Matthew i ja wyszliśmy z domu w Omaha. Mówię Flores, że było wtedy zimno, jak to w jesieni. Niebo zakryły bure chmury.

Wciąż doskonale pamiętam ten pierwszy dzień, kiedy Matthew zabrał mnie do miasta.

- Tak, proszę pani.

- Czy powiedziałaś o tym Matthew? Czy wyraziłaś obawę, że to niedobry pomysł?

- Nie, proszę pani.

Wyjmuje torebkę z kubka i odkłada na papierową serwetkę.

- Ale dlaczego. Claire? Skoro wiedziałaś, że to niedobry pomysł, to dlaczego nie wspomniałaś o tym Matthew?

W odpowiedzi wzruszam ramionami.

Pamiętam, że szłam, trzymając się blisko Matthew, przestraszona przebywaniem poza domem. Bałam się drzew poruszanych wiatrem. Bałam się pędzących samochodów, na które do tej pory patrzyłam z okna pokoju. Nie siedziałam w aucie od dnia, w którym przed sześcioma laty Joseph i Miriam przywieźli mnie do swego domu. Uważałam, że samochody są złe. Jeden zabił mi rodziców. Drugi przywiózł mnie do mojego więzienia.

Pamiętam, że Matthew pociągnął mnie za rękaw i przeszliśmy przez ulicę. Spojrzałam przez ramię na dom, który wydał mi się nawet ładny. Nie był najnowszy w okolicy, ale porządny, odmalowany na biało, z czarnymi okiennicami i podmurówką z szarego kamienia. Drzwi wejściowe były czerwone.

Nigdy dotąd nie patrzyłam na ten dom od frontu.

Z niewiadomego powodu jeszcze bardziej się przeraziłam.

I zaczęłam biec.

- Zaczekaj, zaczekaj! - wołał Matthew, przytrzymując mnie za połe kurtki. Tenisówki wydawały mi się wielkie i niezgrabne, ciążyły, jakby ważyły pięć kilo. Nie przywykłam do noszenia butów. Po domu chodziłam boso. - Dokąd się tak śpieszysz? - zapytał, a kiedy na niego spojrzałam, dostrzegłam w moich oczach panikę, przemożny lęk. Widział, że cała się trzęsę. - O co chodzi, Claire? Co się stało?

Wyznałam, że boję się samochodów, chmur i nagich drzew rozkołysanych na listopadowym wietrze. I dzieci patrzących zza firanek własnych domów, dzieci z kredą i rowerami i ich wyzwisk: głupek, kretyn.

Matthew wziął mnie wtedy za rękę. Nigdy dotąd tego nie robił. W ogóle od bardzo dawna nikt mnie nie trzymał za rękę, wcześniej

robiła to mama. Było to przyjemne, ręka Matthew wydawała się taka ciepła w porównaniu z moją, zimną jak sople lodu.

Doszliśmy do rogu ulicy i skręciliśmy w przecznicę. Matthew pociągnął mnie do śmiesznego niebieskiego znaku.

- To nasz przystanek - powiedział.

Nie wiedziałam, co to znaczy „nasz przystanek”, mimo to podeszłam razem z Matthew, a potem bardzo długo czekaliśmy. Byli tam też inni ludzie, też trzymali się w pobliżu znaku. Czekali tak jak my.

Matthew puścił moją rękę, pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej garść drobnych monet. Podmuch zimnego wiatru rozburzył mi włosy. Przejechał samochód, z którego wnętrza dochodziła głośna, agresywna muzyka. Raptem zabrakło mi tchu, dusiłam się świeżym powietrzem, jakby wszyscy na mnie patrzyli. To, czego nie widzisz, nie może cię skrzywdzić, powtarzałam sobie w duchu, przyciskając się do Matthew i usiłując nie myśleć o zimnie, głośnej muzyce, świdrujących spojrzeniach.

Tuż przed nami zatrzymał się wielki biało-niebieski autobus z zaczernionymi szybami.

- To nasz - powiedział Matthew i razem z innymi ludźmi wspieiliśmy się na wysokie stopnie. Wyczuwając moje wahanie, dodał: - Wszystko w porządku. Nikt ci nic nie zrobi. - Wrzucił do maszyny kilka ćwierćdolarówek i poprowadził mnie brudnym przejściem do twardego plastikowego fotela. Autobus ruszył z szarpnięciem i omal nie spadłam z siedzenia na brudną podłogę. Spojrzałam w dół, gdzie wały się zmięte papierki po cukierkach, pusta puszka po napoju gazowanym, rozdarta gazeta.

- Dokąd jedziemy? - chciałam wiedzieć.

- Zobaczysz - odparł ponownie Matthew.

Autobus przedzierał się przez zatłoczoną jezdnię, co chwila ostro hamując, tak że uderzałam plecami w niebieskie oparcie fotela. Często się zatrzymywał i dosiadało coraz więcej pasażerów, aż w końcu niemal pękał w szwach.

Zrobiłam to co zawsze, kiedy się bałam - zaczęłam myśleć o mamie, o jej długich czarnych włosach i niebieskich oczach. O Ogallali,

o wszystkich wspomnieniach, jakie mogłam przywołać. Nie było ich wiele: jazda w wózku zakupowym w supermarkecie i patrzenie na zapomnianą listę produktów, którą ktoś zostawił na dnie. Zajadanie dużej dojrzałej brzoskwini i zaśmiewanie się razem z mamą, kiedy sok ściekał mi po brodzie. Siedzenie pod rozłożystym dębem, który zajmował niemal całą powierzchnię dziedzińca przy naszym domku z prefabrykatów i czytanie mamie z książek przeznaczonych tylko dla dorosłych.

- Skoro aż tak się bałaś, to dlaczego nie powiedziałaś Matthew, że nie chcesz nigdzie jechać?

Zastanawiam się nad tym dłuższą chwilę. Przyglądam się, jak Louise Flores skubie rogalik wyjęty z błyszczącej folii, i rozważam zadane pytanie. Bałam się z wielu różnych powodów. Przerażali mnie ludzie na ulicy, ale jeszcze bardziej bałam się tego, że Joseph dowie się o naszej eskapadzie. Wiedziałam, że poszedł do pracy, a Isaac najpierw będzie w szkole, a potem również uda się do pracy, bo zawsze tak robił, ale mimo to nie mogłam się pozbyć obaw. A Miriam? No cóż, Miriam rzadko orientowała się, że jestem w domu, więc na pewno nie zauważy, że mnie nie ma. A jednak się bałam.

Czemu zatem nie powiedziałam o tym wszystkim Matthew? Odpowiedź była prosta. Bardzo chciałam z nim gdzieś, po prostu gdziekolwiek, pojechać. Byłam przestraszona, a zarazem podekscytowana. Od tak dawna tkwiłam w tym ponurym domiszczu. Miałam czternaście czy piętnaście lat. Wyrwanie się stamtąd było trzecim najgorętszym życzeniem, jakie żywiłam od sześciu długich lat. Pierwszym było przywrócenie życia mamie i tacie, a drugim odzyskanie Lily. Mojej Lily. Ufałam Matthew jak nikomu innemu, nawet bardziej niż pannie Amber Adler, która przybyła do domu w Ogallali wraz z policją, żeby poinformować mnie i siostrę, że nasi rodzice nie żyją, i klęcząc przede mną na laminowanej podłodze, z ciepłym, miłym uśmiechem na szczerej twarzy przyrzekła zająć się nami i znaleźć nam dobry dom.

Ani razu nie pomyślałam, że kłamała. Według niej postąpiła dokładnie tak, jak obiecała.

Ale Matthew był inny. Jeżeli powiedział, że wszystko jest w porządku,

to tak właśnie było. Skoro twierdził, że nikt mnie nie skrzywdzi, to mogłam mu wierzyć. To wcale nie znaczy, że się nie bałam, kiedy przesiadaliśmy się z jednego biało-niebieskiego autobusu do drugiego – a potem następnego – i przestałam snuć wspomnienia o mamie (pani Dahl i jej fryzury, upodobanie mamy do kanapek z bananem i majonezem, które najpierw ogryzała dookoła, zachowując środek – „bebechy”, jak się wyrażała – na sam koniec), ponieważ myślenie o niej pomagało stłumić uczucie, że dławi mnie śmiertelny lęk.

– Kocham cię, jak banany kochają majonez! – wołała, biegając po domu w czarnej podomce, z włosami upiętymi w kok, a ja się zaśmiewałam.

Ostatni autobus wiózł nas obok niskich budynków mieszkalnych z czerwonej cegły, jakie widywałam w Ogallali, przed którymi ciągnęły się zbrązowiałe trawniki. Parkingi były równie szerokie jak same budynki. Wzdłuż ulicy biegły kable elektryczne i przez uchylone okno dochodziło stłumione bzyczenie. Jechaliśmy przez ubogie dzielnice, obok zniszczonych, częściowo niezamieszkanich kamienic, mijając poobijane gruchoty na kołach i ponurych ludzi wystających bez celu w bramach i przy krawężnikach. Mijaliśmy powiewające na wietrze amerykańskie flagi, rozmiękłe trawniki, nagie krzewy i drzewa, całe setki bezlistnych drzew.

Moim oczom ukazał się ogromny parking zastawiony wrakami samochodów. Kiedy zapytałam Matthew, co to jest, dowiedziałam się, że to złomowisko. Nie rozumiałam, po co komu auta bez drzwi i kół.

– Wykorzystują je na części – odpowiedział.

Zaczęłam się wobec tego zastanawiać, na co komu drzwi i koła bez samochodu. Mimo to przyłapałam się na szukaniu wzrokiem bluebirda rodziców, odwróconego do góry kołami, z wgniecioną maską, stłuczonymi reflektorami, lusterkiem zwisającym na kablu, sprasowanym tylnym i przednim zderzakiem. Przez wszystkie te lata nosiłam ten obraz w umyśle, zdjęcie z pierwszej strony gazety i podpis:

Dwie ofiary śmiertelne wypadku na I-80.

Nie ujawniono nazwisk rodziców. Nazwano ich „ofiarami”, a ja wtedy nie znałam jeszcze tego określenia.

– Dokąd jedziemy? – pytam po raz trzeci i ostatni.

- Zobaczysz - odpowiada Matthew z leciutkim uśmiechem.

- Dokąd Matthew cię wtedy zabrał? - pyta Louise Flores.

Rozmyślałam o Matthew, który przez wszystkie te lata mieszkał ze mną w ponurym domu, w którym więził mnie Joseph. Ciekawa jestem, co o tym sądził, a może w ogóle się nad tym nie zastanawiał, ponieważ był dzieckiem, a Joseph jego ojcem, więc go to z pewnością nie dziwiło. Po tylu latach zamieszkiwanie z Josephem i Miriam stało się dla mnie czymś całkiem zwyczajnym. Musiałam naprawdę głęboko zajrzeć do serca, by pojąć, że byłam przetrzymywana i zniewolona, a to było złe. Być może podobnie było też z Matthew. Odkąd pamiętał, w domu zawsze tak było. Nigdy nie widział, żeby Miriam gdzieś wychodziła, a potem wracała. Nie widział też, żebym ja opuszczała dom.

Zresztą Joseph twierdził, że nikt mi nie uwierzy. Ani jedna osoba. Jego słowo przeciwko mojemu. A ja byłam dzieckiem. Takim, którego nikt - nikt! - nie chciał poza Josephem i Miriam.

- Dokąd zabrał cię Matthew? - powtarza Flores.

- Do zoo - mówię.

- Do zoo? - pyta tonem niepozostawiającym wątpliwości, że wolałaby się udać w milion innych miejsc.

- Tak, proszę pani - potakuję z szerokim uśmiechem, bo nie ma na świecie miejsca, gdzie wolałabym być, no chyba że z mamą i tatą.

Zoo. Dawno temu byłam w małym ogrodzie zoologicznym w Lincoln, ale nigdy w Omaha. Tamtego dnia oglądaliśmy antylopy i gepardy, goryle i nosorożce. Przejechaliśmy się kolejką i weszliśmy pod ogromną kopułę, w której odtworzono prawdziwą pustynię. Matthew wydał na mnie wszystkie zaoszczędzone pieniądze, kupił mi nawet torebkę prażonej kukurydzy!

Wszystko szalenie mi się podobało, chociaż nadal bałam się ludzi. A były tam prawdziwe tłumy. Niewiele wiedziałam wówczas o ludziach. Tych, których dotychczas poznałam, umieściłam w trzech kategoriach: dobrzy, źli i inni. Rzecz nie w tym, że latami nie wychodziłam z domu. Po prostu poza Josephem i Miriam, Isaakiem i Matthew oraz co pół roku panną Amber Adler nie widywałam innych ludzi. Patrzyłam na mijane osoby i zastanawiałam się przez cały czas, czy są dobre, czy złe.

A może inne.

Ale Matthew przez cały czas trzymał mnie mocno za rękę, nie puścił ani na chwilę. Czułam się z nim bezpieczna, wiedziałam, że będzie mnie chronił, choć zarazem pamiętałam, że wcześniej czy później będę jednak musiała wrócić do domu Josepha i Miriam. Okazało się zresztą, że wcześniej, bo Matthew powiedział, że nie możemy ryzykować, by Joseph wrócił z pracy przed nami. Byłoby niedobrze, gdyby się dowiedział, że wyszłam z domu.

Matthew dodał, że wtedy Joseph by się wściekł. Byłby naprawdę zły.

Zastanawiałam się, co by uczynił.

Tamtej nocy śniła mi się antylopa. Antylopa galopująca wraz ze stadem po afrykańskiej sawannie. Nieskrępowana i wolna, tak jak o tym marzyłam.

HEIDI

Przygotowujemy się do snu, gdy nagle wchodzi Willow i nieśmiałym jak zwykle głosem życzy mi dobranoc. Zoe leży już w łóżku i gapi się obojętnie na telenowelę, ja zaś krzywię się wewnątrz za każdym razem, gdy z ekranu pada „do diabła” albo „cholera” lub też para łączy usta w romantycznym pocałunku. Zastanawiam się przy tym, kiedy nastąpiła zamiana Disney Channel na „coś takiego”. Czy moja dwunastoletnia córka jest już na tyle dojrzała, żeby to oglądać, wychwytywać aluzje erotyczne i żarty dla dorosłych?

Widzę jednak, że Zoe gapi się niewidzącym wzrokiem, nie śledzi akcji, nie wybucha śmiechem, gdy jakiś nieszczęśnik potyka się na skórcie od banana i ląduje na tyłku, upuszczając karton z jajkami.

Zerka na Willow i mierzy ją zimnym spojrzeniem.

Chwyta pilota i podkręca głośność, usiłując zagłuszyć mamrotanie Willow.

Zoe jest na mnie obrażona, złości się, że zapomniałam ją odebrać z treningu piłki nożnej, bo byłam zajęta z Willow i dzieckiem w klinice. Musiała przez to zostać dodatkową godzinę albo nawet dłużej, podczas gdy trener wydzwaniał do mnie na komórkę, by przypomnieć, że córka czeka na mnie w parku Eckharta, a słońce powoli chowa się za linią horyzontu. Kiedy wreszcie przyjechałyśmy, reszta drużyny już dawno sobie poszła, a trenerowi zrobiło się zimno, choć kiedy po raz enty przeproszałam go za spóźnienie, ze sztucznym uśmiechem oznajmił, że nic się nie stało.

Zoe nie odzywała się ani do mnie, ani do Willow. Wzięła prysznic i wśliznęła się do łóżka, oznajmiając, że chce zostać sama. Oczywiście w najmniejszym stopniu mnie to nie zaskoczyło. W jej pustym spojrzeniu i nadąsanej twarzy widziałam niechęć bliską nienawiści. Dołączyłam do niekończącej się listy obok prac domowych z matematyki, fasoli i nauczycielki na zastępstwie. Listy rzeczy znienawidzonych przez Zoe.

W tej liczbie i ja.

Za to dziecko... Dziecko nie przestawało się uśmiechać. Otwarte bezzębne usteczka i słodkie niemowlęce gaworzenie, zaskakująco melodyjne niczym kołysanki bez słów. Stawałam się zaborcza, nie chciałam się nią dzielić. Kiedy mała zaczęła gmerać w fałdach koszuli, szukając piersi, wymknęłam się do kuchni i przygotowałam pokarm w butelce, nie pytając Willow o zgodę i nie mówiąc, dokąd się wybieram, gdybym ją bowiem spytała, mogłaby odpowiedzieć, że sama się tym zajmie, a wówczas musiałabym oddać jej dziecko pod opiekę, wypuścić z objęć, czego po prostu nie byłam w stanie uczynić. Stałam więc w kącie kuchni i karmiłam Ruby, laskocząc słodkie małe stóпки i miękką ściereczką zbierając ściekające z buzi krople pokarmu.

- Pora na jej lekarstwo, proszę pani - rozległ się nagle głos Willow, rozdierając ciszę jak grom z jasnego nieba. Zostałam przyłapana, jak to się mówi, na gorącym uczynku.

Słowa zabrzmiały neutralnie, ale oczy świdrowały mnie nieprzyjemnie. Nie musiała nic mówić, by się upewnić, że wiem, iż postąpiłam niewłaściwie. Raptem zaczęłam obawiać się Willow, tego, że zrobi mi krzywdę, że zrobi coś złego dziecku.

Na moich oczach dokonał się zwrot o sto osiemdziesiąt stopni: bezradna młodzianka dziewczyna ze skłonnością do gorącej czekolady z bitą śmietaną - a może nastoletnia przestępczyni, która podstępem wdarła się do mego domu.

Stała w kuchni, rozłożywszy szeroko ramiona na przyjęcie dziecka. Była ubrana w kolejne niemodne rzeczy z szafy Zoe, to znaczy dzinsy z dziurą na kolanie i koszulę z długim rękawem, która na Willow miała długość „trzy czwarte”, ukazując gęsią skórę na przedramionach. Była w skarpetkach, w jednej ziała dziura na dużym palcu. Patrząc na nią, zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo byłam naiwna, sprowadzając tę dziewczynę do naszego mieszkania.

A jeśli Chris miał jednak co do niej rację?

Nie zastanowiłam się, jaki ten fakt wywrze wpływ na moją rodzinę, ponieważ martwiłam się przede wszystkim o Willow, a nie o Chrisa czy Zoe.

A jeśli Willow nie powinno się ufać?

Moje spojrzenie pomknęło do szuflady, w której trzymamy porządną szwajcarski scyzoryk, schowany wśród rozmaitych śmieci – świec urodzinowych, zapalek, niedziałających latarek – i nagle zaczęłam się bać, gorączkowo przemyślując, kim jest ta dziewczyna, kim ona jest naprawdę i dlaczego znalazła się w moim domu.

Stała tam i patrzyła na mnie, nie zadawszy oczywistego pytania: co ja tu robiłam?

Ale zabrała mi dziecko. Tak po prostu. Wyjęła mi ją z rąk, a ja pozostałam bezradna, bliska uduszenia. Pomogłam Willow podać Ruby doustnie antybiotyk w płynie, a potem stałam jak skamieniała, gdy odwróciła się do odejścia. Zabrała ze sobą dziecko, które właśnie karmiłam, i bez niej, bez małej Ruby poczułam straszliwą pustkę. Patrzyłam, jak Willow siada po turecku na sofie i kładzie sobie małą na kolanach, owijając ją różowym kocykiem.

Chciało mi się płakać, gdy ściszałam w rękę prawie opróżnioną butelkę. Czekałam zżerana niecierpliwym pragnieniem przytulenia dziecka, a po głowie tłukły mi się okropne obrazy Juliet wyskrobanej z mojej macicy łyżeczką. Niemal nie mogłam oddychać, byłam rozdarta między tęsknotą za dzieckiem – za Ruby – a tęsknotą za Juliet, moją małą Juliet, która wylądowała w koszu na odpady medyczne.

Nie wiem, jak długo to trwało. Stałam między kuchnią a pokojem wypoczynkowym i oddychałam z trudem. Dwutlenek węgla ulatniał się z krwi w zastraszającym tempie, zaczęłam czuć mrowienie w wargach, palcach u rąk i nóg. Uchwyciłam się kamiennego blatu tak silnie, że aż kostki zbieleły, bo inaczej mogłabym zemdleć i upaść. Wyobraziłam sobie nawet, jak leżę w konwulsjach na podłodze, a Willow i Zoe nie reagują, zajęte gapieniem się na „Ulicę Sezamkową” lub kretyńską telenowelę, i poczułam do nich niechęć, nie cierpiałam ich wręcz za tę obojętność, choćby i wyobrażoną.

A teraz stoję w łazience przylegającej do sypialni, Zoe ogląda w łóżku telewizję i nagle Willow mówi mi dobranoc. Weszła do pokoju i zatrzymała się w progu łazienki, przyglądając się, jak zdejmuję pamiątkowy łańcuszek z obrączką po ojcu i odwieszam go na zwykły

haczyk na ścianie.

- Dobranoc - mamroczę, nie odwracając się do Willow, i wstrzymuję oddech, dopóki nie wyjdzie z sypialni. Ubieram się w nocną koszulę, zamykam drzwi na klucz i kładę się obok Zoe, chowając scyzoryk pod poduszkę.

Nie mogę zasnąć i przewracam się z boku na bok, starając się nie obudzić córki. Leży na skraju szerokiego łóżka odwrócona do mnie plecami, żebyśmy się przypadkiem nie dotknęły. Ta sama Zoe, która uwielbiała wskakiwać do łóżka rodziców, błagając, by wolno jej było zająć miejsce między mamą a tatą, teraz odsuwa się tak, że omal nie spadnie na ziemię.

Kiedy wreszcie zasypiam, w moich snach pojawiają się niemowlęta. Niemowlęta i krew. To nie są te szczęśliwe sny o rozkosznych cherubinkach, jakie miałam przedtem, teraz pojawiają się w nich martwe dzieci i zakrwawione puste wanienki. W koszuli nocnej biegam od sali do sali, szukając Juliet i nie mogąc jej znaleźć. Wracam do tych samych pomieszczeń, bo być może jej nie zauważyłam, gdyż była owinięta koczykiem. Nagle znajduję się w domu i przeszukuję kryjówki kotów: szafę, spiżarnię, zaglądam pod łóżka. Jednak Juliet nigdzie nie ma.

Spuszczam wzrok i widzę, że moja koszula jest cała we krwi. Mam też krew na rękach, a kiedy spoglądam w lustro - jestem o wiele starsza niż w rzeczywistości - to widzę, że mam rdzawoczerwone, mokre od krwi włosy.

Budzę się z koszmaru zlaną potem, absolutnie pewna, że w oddali słyszałam płacz dziecka.

Wstaję i na palcach przemierzam pokój. Cyfrowy budzik pokazuje siedemnaście po drugiej, czyli środek nocy. W korytarzu jest zupełnie ciemno, na podłogę pada jedynie wąski promyk światła z zegara przy piekarniku. Panuje cisza również wtedy, gdy przykładam ucho do drzwi gabinetu. Nie słychać żadnego płaczu.

A przecież byłam o tym przekonana.

Kładę dłoń na matowej gałce i przekręcam.

Zamknięte.

Dla upewnienia próbuję jeszcze raz, czując przyspieszone bicie serca. Martwię się, że po drugiej stronie drzwi coś jest nie w porządku, do głowy przychodzi mi milion niechcianych myśli. Na przykład Willow obraca się przez sen i przydusza dziecko, szalenciec wspina się po schodach przeciwpożarowych i ucieka z Ruby na rękę...

Muszę wejść do środka. Muszę się upewnić, że małej nic nie zagraża.

Mogłabym zastukać do drzwi i obudzić Willow, kazać jej otworzyć, a potem sprawdzić, czy okna są zamknięte i czy dziecku nic nie jest. W razie czego przygotowałam dość oczywiste wyjaśnienie. Obawiałam się, że małej coś się stało.

Jeżeli mam rację, mój popłoch okaże się uzasadniony. Ale jeżeli nie...

Jeśli się mylę, Willow i Zoe pomyślą, że zwariowałam.

Przemykam do kuchni, gdzie w szufladzie oprócz innych klamotów trzymamy zapasowe klucze. Przypominam sobie, że zamek w gabinecie to prosta konstrukcja, którą można otworzyć czymkolwiek ostrym, na przykład spinaczem. Wracam z prowizorycznym „kluczem”, wsuwam go do zamka, przekręcam... *et voilà!*

Drzwi są otwarte.

Ostrożnie przekręcam gałkę, by nie obudzić Willow. Uchylam drzwi i widzę ją, leży w tej samej pozycji co poprzednio, zwrócona plecami do dziecka, z głową nakrytą poduszką. Dziecko śpi, posapując z zadowoleniem. Skopała zieloną narzutę i widzę wyraźnie, jak drobne ciało unosi się i opada w rytm spokojnego oddechu. Zatem Ruby żyje i ma się dobrze, nie leży skąpana we krwi jak w moim koszmarze.

Pragnę wziąć ją na ręce, zanieść do salonu i usiąść wraz z nią w bujanym fotelu. Pragnę ją tulić uspioną aż do świtu i obserwować, jak pierwsze taksówki i autobusy wyjadą na ulice. Chcę z Ruby w objęciach podziwiać wschód słońca, złotoróżową jutrzenkę na ciemnym kwietniowym niebie.

Pojawiają się też inne myśli, o zabraniu Ruby gdzieś daleko, gdzie Willow nie będzie mogła nas znaleźć.

Wpatruję się w Ruby, przyciskając się całym ciałem do ściany, rozmywając się w półmroku, stając się bezcielesnym kształtem na tle muru osrebrzonego blaskiem księżycy przesączaającym się przez szparę

w ciemnych kotarach ze szczypankami, których nigdy nie lubiłam, bo zawsze wydawały mi się pogniecione. Wyobrażam sobie, że jestem jedną z tych słynnych ikonicznych postaci jak Jane Austen albo Beethoven, lub przeciwnie, jestem jedną z tych piersiastych dziewczyn z kalendarza z talią osy, których zdjęcia zdobią kabiny ciężarówek.

Opieram dłonie o ścianę i nie śmiem oddychać, żeby nie obudzić Willow. Staram się maksymalnie wydłużyć czas pomiędzy oddechami, aż zaczyna mi się kręcić w głowie.

W gabinecie także stoi zegar. Czerwone cyfry przeskakują z 2.21 na 4.18, pozornie w mgnieniu oka, kiedy stoję nad kanapą, pragnąc przykryć dziecko narzutą, odsunąć je nieco od Willow, żebym nie musiała się więcej martwić, że zostanie przygniecione albo uduszone.

Pragnę wziąć Ruby na ręce i wynieść z pokoju.

Ale nie mogę.

Ponieważ wtedy Willow zyska pewność.

I być może zdecyduje się odejść.

WILLOW

Nosimy tu pomarańczowe kombinezony z wyszytym na plecach napisem „młodociany”. Śpimy w dwuosobowych celach na metalowych pryczach, od szarego betonowego korytarza oddzielają nas grube żelazne kraty. Przez całą noc patrolują go strażniczki, groźne bezwzględne kobiety zbudowane potężnie jak mężczyźni. Jemy przy długich stołach w stołówce z tac w pastelowych kolorach, na które nakładamy jedzenie z czterech grup żywieniowych: mięso, pieczywo, owoce i warzywa, a do tego szklanka mleka.

Nie jest tu wcale tak źle, zwłaszcza w porównaniu z nocowaniem na ulicy i grzebaniem w śmietniku w poszukiwaniu jedzenia.

Dziewczyna z mojej celi każe na siebie mówić Diva. Strażniczki nazywają ją Shelby. Ma fioletowe włosy, ale jest zwykłą szatynką, poznaję po kolorze brwi. Śpiewa. Przez cały czas. Przez całą noc. Strażniczki i więźniarki każą jej się zamknąć, wsadzić sobie skarpetę w gębę, zatkać jadaczkę, wyzywają od najgorszych. Pytam ją, dlaczego tu jest, za grubymi kratami, siedząc na betonowej posadzce, ponieważ się upiera, że ktoś podłożył jej minę pułapkę do łóżka, ale mruczy jedynie:

- Nie chcesz wiedzieć.

A ja na próżno się zastanawiam.

Ma tyle lat co ja, piętnaście, najwyżej szesnaście. Widzę dziurki w miejscach, gdzie kiedyś miała kolczyki, które kazano jej tu zdjąć: w wargach, w nosie, w uszach. Wysuwa język i pokazuje, gdzie był przekłuty. Ponoć spuchł okropnie, kiedy to zrobiła, i przez wiele dni nie mogła mówić. A znajoma dziewczyna kłula nieumiejętnie i rozerwała język na dwoje. Diva twierdzi, że miała przekłute sutki i pępek. Zaczyna mi opowiadać o pewnym miejscu pod majtkami, gdzie też miała kolczyk, ale strażniczka kazała go jej wyjąć.

- Przyglądała się temu ta pierdolona stara lesba - mamrocze Diva.

Zawstydzona odwracam wzrok, a ona zabiera się do śpiewania. Ktoś krzyczy, żeby się zatkała. Ona śpiewa głośniej, wysokim głosem, okropnie fałszując, co przypomina zgrzyt hamulców starego tramwaju.

Strażniczka wywołuje mnie z celi, zakłada mi kajdanki, chwytając za ramię i prowadzi do zimnego pokoju ze stalowym stołem, za którym czeka na mnie Louise Flores. Dzisiaj pani prokurator stoi w kącie i wygląda przez okno, odwrócona do mnie plecami. Ma na sobie powyciągany rozpinany sweter w ciemnoszarym kolorze i czarne spodnie. Na stole stoi filiżanka herbaty i szklanka soku dla mnie.

- Dzień dobry, Claire - wita się ze mną i zasiadamy za stołem. Nie uśmiecha się. Zegar na ścianie pokazuje tuż po dziesiątej.

Flores każe mi zdjąć kajdanki.

Miejsce młodego strażnika z wczoraj zajęła kobieta w średnim wieku z włosami upiętymi w kok. Po zdjęciu kajdanek staje w kącie na rozstawionych stopach i krzyżuje ramiona. Z kabury wystaje lufa pistoletu.

- Przyniosłam ci sok - mówi Flores - i pączka. - Kładzie na stole papierową torebkę.

Próba przekupstwa.

Joseph też przynosił mi czasami czekoladowe ciastko z kafeterii zapakowane w celofan. Po to, żeby w nocy nie zastanawiała się zbyt długo, tylko podniosła wysoko obszerny stary podkoszulek, który wkładałam do spania, i pozwoliła mu ściągnąć sobie majtki.

Flores zsuwa niżej okulary i zagląda do wczorajszych notatek. Wyjście z Matthew z domu pod Omaha. Jazda trzema autobusami do zoo.

- Co się wydarzyło, kiedy wróciłaś tamtego popołudnia do domu? No wiesz, z wycieczki do zoo? - pyta.

- Nic, proszę pani - odpowiadam, sięgając do torebki po pączka. Podwójna czekolada z posypką. Żarłocznie wpycham go do ust. - Wróciłam na długo przed powrotem Josepha - mamroczę z pełnymi ustami. - I przed Isaakiem. Miriam leżała w pokoju, nie było z nią kontaktu. Przygotowałam jej coś do jedzenia i zabrałam się do prania, żeby później, kiedy Joseph zapyta, co robiłam, był dowód, że przez cały dzień prałam. Ten dowód to sznurki zawieszane rzeczami. Nie poznałby,

że skłamałam.

Flores podaje mi serwetkę, wskazując na policzek. Ścieram smugę czekolady i oblizuję palce. Gulgocząc, wypijam sok.

Opowiadam, że wyprawy z Matthew stały się regularne. W zoo byliśmy wprowadzić tylko raz, tamtego pamiętnego dnia, ponieważ trzeba było mieć pieniądze na bilet, a tego akurat Matthew nie posiadał. Wobec tego odwiedzaliśmy miejsca, gdzie wstęp był darmowy. Chodziliśmy do parków, a czasem spacerowaliśmy ulicami Omaha, mijając wielkie budynki i tłumy przechodniów.

Pewnego dnia Matthew zaprowadził mnie do biblioteki. Pamiętałam jeszcze wizyty w bibliotece z mamą, które bardzo lubiłam. Podobał mi się zapach i widok tylu książek. Tysiące egzemplarzy. Miliony! Matthew zapytał, czego chciałabym się nauczyć. Mogłam powiedzieć cokolwiek, co mi przyjdzie do głowy, więc długo się nad tym zastanawiałam. W końcu powiedziałam, że chciałabym wiedzieć więcej na temat planet.

- Świetnie, niech będzie astronomia - odrzekł i pewnym krokiem ruszył pomiędzy półkami, prowadząc mnie do odpowiedniego działu.

W bibliotece panowała niezmacona cisza, a w dziale astronomii wśród wysokich regałów byliśmy całkiem sami. Poczułam się tak, jakby reszta świata przestała nagle istnieć. Usiedliśmy na podłodze, oparliśmy się plecami o regał i zaczęliśmy podziwiać kolorowe okładki książek: granatowe rozgwieżdzone niebo, słońce, księżyc w pełni.

Wyrastając bez matki, nie miałam się do kogo zwrócić z pytaniami o sprawy, które mnie intrygowały. Na przykład czemu co pewien czas krwawię i muszę napychać majtki kłębami papieru toaletowego i ligniny, żeby ich nie zabrudzić. Albo skąd biorą się włosy w miejscach, w których ich przedtem nie było, i dlaczego niektóre części ciała zaczęły mi rosnąć. W moim życiu nie było kobiety, którą mogłabym o to zapytać. Pomijając oczywiście opiekunkę społeczną, ale z nią nie mogłam o tym porozmawiać, bo zdziwiłaby się, czemu nie zapytam Miriam, przecież za każdym razem, gdy mnie odwiedzała, Miriam zażywała małe białe pigułki i zachowywała się prawie normalnie. Prawie, zaznaczam, bo Miriam była daleka od normalności.

Wszystkie te pytania dotyczyły spraw zewnętrznych, fizyczności, ale

była też kwestia emocji. Zwłaszcza tyczących Matthew i tego dziwnego stanu, w jaki popadałam, gdy był blisko mnie. Cieszyła mnie jego bliskość, smutniałam, kiedy odchodził, i jeszcze bardziej doskwierała mi samotność. Codziennie czekałam, żeby pojawił się po wyjściu Josepha i Isaaka, i było mi strasznie smutno w dni, w które nie przychodził.

Oglądałam to wszystko, o czym wcześniej nie miałam pojęcia: piękne kobiety o falujących włosach barwy słomy lub cynamonu, ubrane z wyrafinowaną elegancją w wysokie kozaczki na obcasach, obcisłe skórzane spodnie albo dzinsy, obszerne swetry we wszystkich kolorach tęczy, pod którymi widać było ramiączko kolorowego stanika, brzęczące bransoletki na rękach. Kobiety i mężczyźni trzymający się za ręce, radośni, roześmiani. Całujący się, palący papierosy, rozmawiający przez komórki.

Posiadałam jeden biustonosz, który znalazłam w paczce z ubraniami otrzymanej od Josepha. Były w niej ohydne brązowe bluzy i rozpinane swetry, a ja chciałam obcasów i bransoletek. Marzyłam o tym, by włożyć prześwitującą bluzkę i pokazać Matthew mój jedyny stanik.

Kiedy kładliśmy się z Matthew na moim łóżku, żeby wspólnie czytać książkę, którą mi przyniósł, leżeliśmy blisko, przytuleni, z głowami na jednej poduszce. Musieliśmy przecież widzieć drobny druk. Jedną z moich ulubionych powieści była „Ania z Zielonego Wzgórza”. Chyba ze sto razy prosiłam Matthew, żeby ją dla mnie wypożyczył, i choć wiedziałam, że musi mieć dość tej lektury, to nigdy się nie poskarżył. Powiedział mi nawet, że książka bardzo mu się podoba.

Mimo że tak ją lubiłam, trudno mi było się skupić na treści, skoro dłoń Matthew muskała moją przy odwracaniu stronic, dzinsy ocierały się pod kocem o moją gołą nogę, łokieć przypadkowo zawadzał o moją pierś, gdy Matthew poprawiał pozycję. Kiedy czytał o Ani Shirley i Cuthbertach, napawałam się barwą jego głosu, zapachem będącym mieszaniną mchu i papierosowego dymu, kształtem błyszczących paznokci. Jak by to było, myślałam, gdyby wsunął mi dłoń pod bluzę i dotknął piersi?

Co do jednego miałam absolutną pewność. Byłoby inaczej niż z Josephem, którego zęby pozostawiły na delikatnej skórze brzydkie ślady, jak przy znakowaniu bydła.

Pospołu z Matthew mieliśmy zwyczaj leżeć tak bardzo długo, tylko czasem on szybko się podrywał i zajmował miejsce w nogach łóżka.

Jakbyśmy robili coś niewłaściwego.

Opiekunka społeczna nadal przyjeżdżała raz na pół roku. W dniach poprzedzających jej wizytę Joseph przy mojej pomocy faszerował Miriam pigułkami. Działo to jak w zegarku – zaczynała czuć się lepiej, wstawać z łóżka, a my wietrzyliśmy zaduch z jej pokoju. Sprzątałam cały dom, Joseph przynosił mi nową sukienkę, sadzał mnie na taborecie w kuchni i przystrzygał włosy, a kiedy opiekunka zajeżdżała swoim gruchotem z wielką torbą firmy Nike, wszystko pachniało świeżym cytrynowym zapachem. Miriam zachowywała się w miarę normalnie, a na stole w kuchni leżało sfabrykowane przez Josepha, a rzekomo moje wypracowanie.

- Czy to ty napisałaś? – pytała panna Adler, biorąc kartkę do ręki.

- Tak, proszę pani – kłamałam.

Oczywiście nigdy nie pisałam wypracowań. Nie chodziłam nawet do szkoły. Ale Joseph patrzył opiekunce prosto w oczy i szczerym tonem opowiadał, jakie postępy robię w nauce, tyle że nadal sprawiam kłopoty wychowawcze, na co panna Adler odciągała mnie na bok i napominała, że przecież mam takie szczęście, mogąc mieszkać w domu Josepha i Miriam, i powinnam się bardziej starać, „okazać choć trochę wdzięczności i szacunku”.

Opiekunka przywoziła mi nadal listy od Paula i Lily Zeegerów, a także od mojej Małej Lily. Duża Lily pisała, że Rose (Lily) bardzo urosła. Chce zapuszczać coraz dłuższe włosy, a ostatnio obcięła sobie grzywkę. Ma mnóstwo przyjaciółek, a najbliższe to Peyton, Morgan i Faith. Bardzo lubi chodzić do szkoły i jest szalenie zdolna, a jej ulubionym przedmiotem jest wychowanie muzyczne. A czy ja gram na jakimś instrumencie? – pytała. Czy lubię śpiewać? Rose (Lily) jest umuzykalniona z natury. Czy to może cecha rodzinna? – chciała wiedzieć. Kiedy Lily nauczyła się pisać, przysyłała mi własne liściki, nabazgrane na ładnej papeterii, ozdobionej rysunkiem gałązki drzewa i czerwonym ptaszkiem. Na papeterii wydrukowane było nazwisko: Rose Zeeger, i zawsze na jesieni dostawałam załączoną nową szkolną

fotografię. Moja Lily była zawsze szczęśliwa, zawsze uśmiechnięta i coraz bardziej podobna do mamy. Przeglądając się w lustrze, nie widziałam szczególnego podobieństwa, ale Mała Lily była wykapaną mamą, jak na zdjęciach, które Joseph kiedyś podarł na drobne kawałki.

- Przestałam się martwić o Lily - mówię.

- A dlaczego? - pyta.

- Ponieważ jest jej dobrze u Zeegerów. Jest z nimi szczęśliwa, a gdyby została ze mną...

Myslałam, co Joseph by z nią robił, i na samą tę myśl miałam chęć rozwalić mu łeb patelnią. Takie myśli zaczęły pojawiać się coraz częściej, odkąd z ośmioletniego dziecka stałam się nastoletnią dziewczyną, która bardzo dobrze wiedziała, że Joseph nie powinien przyłączyć do jej łóżka.

- Dlaczego nie opowiedziałas opiekunce o postępowaniu Josepha? - pyta Flores. - O ile to prawda - dodaje tonem świadczącym, że mi nie dowierza.

Odwracam głowę, odmawiam odpowiedzi. Już wcześniej odpowiedziałam na to samo pytanie.

- Claire - rzuca Flores ostrym tonem. Kiedy nadal milczę, kontynuuje przesłuchanie, nie patrząc na mnie, lecz w swoje notatki: - O ile się nie mylę, nie zrobiłaś nic, by naprawić swoją sytuację. Mogłaś powiadomić pannę Adler o rzekomym molestowaniu przez Josepha. Mogłaś poinformować... - zerka w notatki, żeby się nie pomylić - ...Matthew. Ale nie zrobiłaś tego. Woląlasz wziąć sprawy w swoje ręce.

Odmawiam odpowiedzi. Kładę głowę na stole i zamykam oczy.

Gdy Flores wali w stół płaską dłonią, wzdrygam się gwałtownie, podobnie jak strażniczka w kacie.

- Claire - warczy Flores, a ja nie podnoszę głowy i nie otwieram oczu. Wyobrażam sobie, że mama trzyma mnie za rękę. „Nie ruszaj się, to będzie mniej bolało”. - Posłuchaj - zwraca się do mnie - lepiej zrobisz, okazując wolę współpracy. Ignorowanie mnie w niczym ci nie pomoże. Wpadłaś w poważne kłopoty. Poważniejsze, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Czeka cię oskarżenie o podwójne morderstwo, a ponadto...

Unoszę głowę ze stołu i patrzę prosto w szare oczy Louise Flores, na

jej siwe włosy, pomarszczoną skórę, wielkie końskie zęby, zmechacony kardigan. Szare ściany napierają na mnie, promień słońca wpadający przez wysoko umieszczone okno razi w oczy. Bez ostrzeżenia zaczyna boleć mnie głowa. Pod powiekami mam obraz ciała, krwi, wydzielin z nieświadomie opróżnionych kiszek. Drzwi wejściowe otwarte na oścież. Moje nogi trzęsące się jak galareta. Głos mówiący mi, że mam iść. Idź!

Jak to podwójne? - myślę.

CHRIS

Kiedy w końcu mogę porozmawiać z Heidi, w tle słycać płacz niemowlęcia. Pytam, co się dzieje, ale odpowiada krótko, że trzeba czekać na działanie tylenolu. Głos ma nierówny, jakby podrzucała dziecko na rękę, by je trochę uspokoić. Żeby przestało płakać.

- Ma gorączkę? - pytam, nie przestając uderzać w klawisze laptopa. „Zaproponowane zabezpieczenia należy uznać za wysoce niewystarczające...”. Słucham jednym uchem, jak Heidi mówi, że gorączka nie jest aż tak wysoka. Mamrocze jakąś liczbę, której nie mógłbym przytoczyć, nawet gdyby zależało od tego moje życie, a potem opowiada o przebiegu wizyty w klinice w Lakeview.

Przypominam jej o właściwych instytucjach.

Jeden prosty telefon i sprawa załatwiona.

- Nie teraz, Chris - ucina Heidi i milknie. Nie chce słuchać mojego narzekania na sytuację, którą uważam za niedopuszczalną. Obca dziewczyna mieszkająca z nami na przestrzeni zbyt ciasnej dla trojga, a co dopiero pięciorga osób. Nie mówiąc o tym, że oboje moglibyśmy trafić za to do więzienia.

„Akcje są oferowane bez...”.

Opowiada mi o wizycie u lekarza rodzinnego w klinice w Lakeview. By uniknąć wywołanych podejrzeniami pytań, powiedziały, że to dziecko Heidi. Wyobrażam ją sobie, w jej wieku, z niemowlęciem na rękę. Rzecz nie w tym, że Heidi jest za stara na dziecko, bo nie jest. Rzecz w tym, że tak bardzo oddaliliśmy się od pieluch, butelek ze smoczkiem i całego tego bałaganu.

Okazało się, że lekarki nie interesowało, czyje to dziecko, ale jego stan, zwłaszcza wysoka gorączka.

Po głosie Heidi poznaję, że jest zmęczona. Wyobrażam ją sobie. Jest nieuczesana, prawdopodobnie przez cały dzień nie zdążyła wziąć prysznic. Bez dobrego szamponu i odżywki jej włosy trudno się

układają. Z niewyspania ma worki i sińce pod oczami. W połowie naszej rozmowy odstawia napój na blat tak niezgrabnie, że puszka spada na podłogę.

Słyszę trzask i wyobrażam sobie wyciekający z otworu lepki brązowy płyn.

- Cholera - warczy Heidi, która nigdy nie przeklina. Jestem pewien, że na czworakach ściera kałużę papierowym ręcznikiem. Włosy opadają na twarz, więc zdmuchuje je z oczu, bo nie ma wolnej ręki. Jest wykończona, potrzebuje prysznic i dobrze przespanej nocy. Ma błędny wzrok, a przez głowę przelatują tysiące myśli.

Sytuacja odbiła się na mojej żonie bardzo niekorzystnie.

Heidi mówi, że przez ostatnie dni wsmarowała w pupę dziecka tyle maści i kremu, że lekarka prawie nic nie powiedziała o niemal zaleczonym podrażnieniu skóry. Po wykluczeniu możliwych przyczyn gorączki pobrała próbkę moczu i postawiła diagnozę: zakażenie dróg moczowych.

- Skąd jej się to przyplątało? - pytam, krzywiąc się na myśl o bolesnym pieczeniu za każdym razem, kiedy mała robiła siusiu, nie wspominając już o cewniku w malutkim pęcherzu, za pomocą którego pobrany został mocz.

- Brak higieny - odpowiada krótko Heidi, a wtedy przypominam sobie zabrudzoną moczem i kałem pieluchę, którą Bóg wie jak długo nosiło biedne maleństwo. Bakterie przedostały się do pęcherza i nerek. Doszło do zakażenia.

Mała dostała antybiotyki, a matka bezwzględne zalecenie przemywania jej pupy i genitaliów specjalną nawilżoną chusteczką. Pamiętam, jak Heidi wbijała mi to do głowy, gdy Zoe nosiła pieluchy. Wyobrażam sobie, że Willow siedzi teraz na kanapie przed telewizorem i tępo wpatruje się w ekran, jak to ma w zwyczaju. I nie ma osiemnastu lat, nadal właściwie jest dzieciakiem, któremu trzeba przypominać o umyciu rąk. O posłaniu łóżka. Sprzątnięciu pokoju. I przemywaniu pupy małego dziecka.

Wciąż czekam na informacje od Martina Millera, prywatnego detektywa. Długo rozmyślałem, jak mógłbym przyspieszyć sprawę,

jakich dodatkowych wskazówek udzielić Martinowi, chociaż poszukiwania w internecie zaprowadziły mnie w ślepią uliczkę. Rozważam fotografię, ale powątpiewam, żeby Willow pozwoliła mi ją sobie zrobić, nie mówiąc o absolutnie pewnym sprzeciwie Heidi. Myślę o starej skórzanej walizce wepchniętej pod łóżko. Może mógłbym się zakraść do gabinetu i zajrzeć do niej, może znalazłbym coś, jakąś wskazówkę, prawo jazdy lub inny dokument, albo komórkę z numerem kontaktowym.

Martin sugeruje zdobycie odcisków palców, na przykład z trzymanej przez Willow szklanki albo z pilota. Potwierdziłoby to jej tożsamość bez cienia wątpliwości. Omawia ze mną całą procedurę, jak mam zdjąć odciski i przekazać mu, żeby wysłał je do zbadania w laboratorium.

To wszystko będzie jednak musiało poczekać na mój powrót z podróży służbowej.

Nie dostałem jeszcze tweeta od W. Greer, z czego wnoszę, że prawdopodobnie nie żyje. Zrobiła to, co obiecywała: zakończyła życie.

A może przyczaiła się w jakimś mieszkaniu w Chicago, bo chce, żeby świat uwierzył, że nie żyje. Skąd mam to wiedzieć, do cholery? Mimo to na wszelki wypadek codziennie sprawdzam konto.

- Zainteresowało ją znamię - mówi Heidi, przerywając tok moich myśli.

- Kogo?

- Lekarke.

- Znamię u dziecka? - upewniam się. Pamiętam, że widziałem coś takiego na nóżce z tyłu, kiedy Heidi odwinęła je z rącznika.

- Tak - mówi. - To znamię naczyniowe wrodzone. Potocznie nazywają je plamą od wina. - Od razu przychodzi mi na myśl kieliszek merlota wylany na nóżkę dziecka. Heidi tłumaczy coś na temat naczyń włosowatych i rozszerzonych naczynek krwionośnych pod skórą małej. I nagle powiada, że według lekarki powinniśmy rozważyć usunięcie znamienia. Metodą laserową. Mówi to w taki sposób, jakbyśmy faktycznie powinni się na to zdecydować. My. Ona i ja. Jakby sprawa dotyczyła naszego dziecka.

Niemal widzę tę moją nieuczesaną żonę, jej zmęczone oczy i wymiętą

twarz.

- Lekarka twierdzi - ciągnie - że takie znamię może być powodem przykrości dla dziecka, kiedy podrośnie. I łatwiej się je usuwa w wieku niemowlęcym, ponieważ naczynia krwionośne są mniejsze.

Odjęło mi mowę. Nie znajduję odpowiedzi. Otwieram usta i na powrót je zamykam. A potem z braku lepszej opcji pytam:

- Co u Zoe?

- W porządku - odpowiada Heidi.

Na temat znamienia nie mówię ani słowa.

Przechodzimy do rozmowy o pogodzie i uświadamiam sobie, jak wyczerpana musi być Heidi, po prostu do granic, jak rozciągliwa zabawka, którą szarpnięto zbyt mocno i już nigdy nie wróci do pierwotnego kształtu. Prawie mi jej szkoda. Prawie.

Moje myśli biegną do czasów, kiedy jeszcze nie mieliśmy dziecka - nie było Zoe, nie zdarzyła się aborcja, która wstrząsnęła całym światem Heidi, wstrząsnęła nawet bardziej, niż chciała to przyznać - i mieszkaliśmy w wynajmowanym apartamencie z tarasem na dachu. Chodziliśmy tam często, zwłaszcza w niedzielne wieczory, żeby podziwiać fajerwerki z nabrzeża Marynarki Wojennej. Siadywaliśmy przytuleni w jednym fotelu, popijaliśmy piwo z jednej flaszki i gapiliśmy się na sylwetę miasta: John Hancock Building, Sears Tower. Mieliśmy wówczas tak wiele marzeń i planów, chcieliśmy podróżować po całym świecie, zobaczyć Wielki Mur Chiński i błękitne groty w Grecji, wziąć razem udział w triathlonie. Tyle planów, które spełzły na niczym, gdy tylko pojawiło się dziecko. Nigdy nie chciałem, żebyśmy stali się parą, dla której liczą się jedynie osobiste ambicje i dzieci, a związek jest zaniedbywany, ignorowany ze względu na rzekomo ważniejsze aspekty życia.

Zależało mi na tym, żebyśmy tworzyli zgrany zespół. Heidi i ja. Ostatnio jednak odnosiłem wrażenie, że jesteśmy raczej przeciwnikami, którzy rywalizują w osobnych drużynach. Zaczynam współczuć Heidi, jest całkiem sama w tym strasznym bałaganie, z obcą dziewczyną i chorym dzieckiem.

Z drugiej strony, biorąc pod uwagę jej wymizerowany wygląd, sama

tego chciała, dodaję w duchu.

Nie mogę też przestać myśleć o karteczce w aktówce z jednym jedynym słowem:

Tak.

Oglądałem ją na lotnisku i w samolocie. Oglądałem w recepcji luksusowego hotelu w sercu Nowego Jorku, kiedy się meldowaliśmy. I w pokoju, po tym, jak Cassidy, Tom i Henry pożegnali się ze mną przy windzie i rozeszli do swoich pokoi. Widok z okna nie był zachęcający. Ściana sąsiedniego budynku była w odległości niespełna trzech metrów. Siedziałem na fotelu z kartką w ręku i po raz enty przypatrywałem się jej z najwyższą uwagą. Skąd Willow wzięła czerwoną samoprzylepną karteczkę? Litery były krzywo nabazgrane. Czy denerwowała się podczas pisania? Miała mało czasu? Potrąciło ją dziecko? A może miała jeszcze gorszy charakter pisma niż ja?

Zastanawiam się, kiedy pisała karteczkę: o dziesiątej, kiedy położyliśmy się spać i przez szparę w uchylonych drzwiach usłyszała pochrapywanie Zoe, czy też raczej w środku nocy, nękana bezsennością i okropnymi wspomnieniami o kimś, kto ją skrzywdził. A może było to nad ranem, kiedy obudził ją mój budzik. Gdy poszedłem brać prysznic, na palcach podkradła się do aktówki i włożyła karteczkę.

Kto wie, jak się to odbyło?

A teraz, dzień później, po zakończeniu cyklu spotkań i umówieniu się z Cassidy, Tomem i Henrym w hotelowym barze na drinka, zastanawiam się, czy powiedzieć Heidi o kartce. Na co miałyby się to jednak przydać? Heidi kompletnie straciłaby głowę, to pewne. Mając dowód, że dziewczyna była molestowana – a przynajmniej tak twierdzi – zażądałaby, żebyśmy zatrzymali ją u siebie. Już na zawsze. Jak te cholerne kotki. „One zostają”.

Rozlega się stukanie do drzwi. Nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby Heidi nie zapytała ostro:

- Kto to?

- Obsługa – kłamię, ponieważ wolę jej nie mówić, że Cassidy obiecała wpaść przed spotkaniem w barze i dokonać korekty napisanego przeze mnie memorandum z informacjami o profilu firmy i wynikach

finansowych sprzedaży interesującego nas produktu.

Wstaję z fotela i podchodzę do drzwi, wyjaśniając, że zamówiłem posiłek do pokoju. Zamierzam przez cały wieczór pracować nad memorandum, którego nie zdążyłem skończyć przez weekend. Zamówiłem kanapkę klubową z indykiem i sernik, a po pracy obejrzę pewnie rozgrywki w koszykówkę, o ile oczywiście zdążę.

Uchylam drzwi i zgodnie z przewidywaniem widzę Cassidy, z ustami mocno podkreślonymi karminową szminką. Nie mogę myśleć o niczym innym tylko o tych ustach.

Przytykam palec do warg i bezgłośnie szepczę: ciii.

- Ciii... - A potem pytam na tyle głośno, żeby Heidi mogła usłyszeć: - Czy jest też keczup?

Cassidy tłumi parsknięcie.

Zmierzam prosto do piekła, myślę, dziękując rzekomemu kelnerowi i zamykając drzwi. Jestem wdzięczny Heidi, gdy mówi, że nie będzie mnie dłużej zatrzymywać, bo kanapka wystygnie.

- Kocham cię - bąkam.

- Też - odpowiada jak zawsze.

Rzucam komórkę na łóżko.

Patrzę, jak Cassidy śmiało wchodzi do pokoju, jakby była u siebie. Nie ociąga się, czekając na zaproszenie. To nie w jej stylu.

Przebrała się. Tylko Cassidy, idąc do baru na drinka, zamieniłaby czarny oficjalny kostium na dopasowaną sukienkę bez rękawów w greckim stylu, w ciepłym rdzawym kolorze. Siada na fotelu i zakłada nogę na nogę, pozwalając mi podziwiać długie szczupłe łydki. Najpierw pyta o memorandum, a dopiero potem o Heidi.

- To dobra dziewczyna - mówię, otwierając plik w laptopie i podając go Cassidy. Uważam przy tym, by nie zetknąć się z nią rękami. - Tak, dobra dziewczyna.

Zanim powiem to trzeci raz, przepraszam i wychodzę do łazienki. Zmuszam się, by nie rozpamiętywać jej łydek i ust albo piersi obciągniętych rdzawym materiałem. Nie są duże. Nie są także małe. Doskonale pasują do szczupłej sylwetki Cassidy. Zbyt wielkie bufory zepsułyby efekt, zaburzyły proporcje, myślę, stojąc przy umywalce

przed lustrem. Na półeczce leżą firmowe kosmetyki w plastikowych opakowaniach - szampon, odżywka, mydło - więc rozrywam jedno i przemywam twarz chłodną wodą. Polewam ją obficie, aby wreszcie przestać myśleć o biuście Cassidy.

O jej długich nogach.

O wargach, czerwonych wargach. Barwy pieprzu cayenne.

Woła do mnie z pokoju, więc wychodzę z łazienki, osuszając twarz ręcznikiem. Siadam w fotelu i przysuwam go bliżej do okrągłego stolika.

Przeglądamy ofertę. Skupiam uwagę na suchej terminologii - pakiet akcji, wycena za sztukę - a nie na wypiełgnowanych dłoniach stukających w klawisze, czy też brzeżku rdzawej sukienki, który znajduje się ledwie o milimetry od mojej nogi.

Po zakończeniu sprawdzania dokumentu zjeżdżamy na parter, stojąc blisko siebie w windzie. Cassidy przysuwa się do mnie i szeptem nabija się z jadącego z nami mężczyzny w źle dobranej peruczce. Raptem wybucha śmiechem, wbijając mi paznokcie w nadgarstek.

Ciekaw jestem, co ludzie sobie o nas myślą; ja noszę obrączkę, ona nie.

Czy postrzegają nas jak kolegów z pracy w podróży służbowej do Nowego Jorku, czy też przypisują temu inne znaczenie. Ja zdradzam żonę, ona jest moją kochanką.

W hotelowym barze szybko zajmuję metalowe krzeselko, więc Cassidy jest zmuszona zająć miejsce na kanapce obok Henry'ego i Toma. Pijemy drinki. Zbyt wiele. Gadamy. Plotkujemy. Nabijamy się z kolegów z firmy, klientów i ich małżonek, co przychodzi nam stanowczo zbyt łatwo. Wszystko pięknie, dopóki własna żona nie stanie się celem docinków.

Heidi.

Cassidy sączy koktajl Manhattan, zostawiając ślady szminki na brzegu szklanki.

- Właśnie dlatego, panowie, nigdy nie wyszłam za mąż - woła rozbawiona.

Zastanawiam się, co ma dokładnie na myśli: nie chciała być celem docinków czy też nie chciała kpić z człowieka, którego przyrzekła kochać na dobre i na złe do końca wspólnego życia.

A może mierzi ją idea monogamii.

Nieco później w męskiej toalecie kompletnie pijany Henry wręcza mi prezerwatywę.

- Na wypadek, gdybyś tego potrzebował - bełkocze, zaśmiewając się do rozpuku. Poczucie humoru typowe dla Henry'ego Tomlina.

- Wątpię, żebyśmy z Heidi potrzebowali zabezpieczenia przed ciążą - mówię, ale chowam kondom do kieszeni, bo nie chcę zachować się wulgarnie i zostawić go na brzegu umywalki.

- Nie mówiłem o Heidi - szepcze Henry, nachylając się do mnie i mrugając porozumiewawczo. Roztacza wokół siebie silny zapach starego dobrego Jacka Danielsa, którego pijał za młodu w Tennessee.

Tracimy poczucie czasu. Tom stawia następną kolejkę, jakiś zagraniczny pilzner dla siebie i dla mnie, whisky dla Henry'ego i koktajl Alabama Slammer dla Cassidy, która najpierw zjada owoce, pomarańczę i wisienkę maraschino.

- Ostatnie zamówienie - ogłasza barman.

Zupełnie zapominam o komórce, którą rzuciłem na łóżko, ukrytej w fałdach białej narzuty.

HEIDI

Zoe kładzie się wcześniej do łóżka. Cierpi na ból głowy i zatkaany nos z powodu wiosennego sezonu na alergię, a może to zwykłe przeziębienie. O tej porze roku nie sposób tego rozstrzygnąć. Wprawdzie rozpoczął się okres pylenia drzew, ale grypa i przeziębienie nadal nie odpuszczają. Podaję jej leki antyhistaminowe i aspirynę, a po chwili Zoe pada na poduszki, niemal natychmiast zapadając w ciężki sen. Całuję ją w czoło i ściszam nieco telewizor, ale go nie wyłączam.

Obie z Willow siedzimy w salonie, ja przed komputerem, a ona z książką, z „Anią z Zielonego Wzgórza”. Udaję, że pracuję, choć jestem jak najdalsza od tego. Od trzech dni nie byłam w biurze, od trzech dni myśl o pracy ani razu nie zaświtała mi w głowie.

W pracy dało się odczuć moją nieobecność. Na stole w kuchni stoi ładny bukiet róż z dołączonymi życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Codziennie rano dzwonię do recepcjonistki Dany i zbolalym głosem stękam, że fatalnie się czuję, to pewnie grypa, i narzekam, jaka byłam głupia, że się nie zaszczepiłam. W zależności od fantazji mam trzydzieści osiem albo trzydzieści dziewięć stopni gorączki, łamie mnie w kościach i głowa pęka z bólu. Leżę owinięta kocami i w czterech swetrach, a mimo to mam dreszcze, jest mi wiecznie zimno i modłę się, żeby nie zarazić Zoe, choć ona oczywiście została zaszczepiona, tak, przecież jestem dobrą matką.

- Niestety - dodaję i urywam, gdyż dostaję straszliwego ataku kaszlu. Brzmi to bardzo prawdziwie i w duchu gratuluję sobie zdolności aktorskich, o jakie się nie podejrzewałam, człowiek nigdy nie wie.

Ani jedno słowo z tego nie jest oczywiście prawdą.

Okazuje się, że świetnie potrafię kłamać.

Zerkam na dziecko śpiące słodko na dywanie i niecierpliwie czekam na pierwsze oznaki przebudzenia - drżenie powiek, ruch rączki - żeby zerwać się z krzesła i podbiec ułamek sekundy przed Willow, jak dzieci

grające w Piotrusia starają się pierwsze wypatrzyć tę kartę i nakryć talie dłonią.

Stukam w klawiaturę, wypisując przypadkowe słowa na znak, że pracuję.

Wodzę oczami między Ruby, Willow, laptopem i z powrotem, bez ustanku, aż zaczyna mi się lekko kręcić w głowie.

Zza ściany dolatuje śmiech Grahama i jego najnowszej dziewczyny. Z tonu jej głosu, flirtującego i nieszczerego, wnoszę, że to tylko przelotna znajomość. Specjalność mojego sąsiada. Widzę, że Willow podnosi wzrok i nadśłuchuje kocich pisków i wysokiego śmiechu, a kiedy jej oczy stykają się z moimi, kiedy widzę lodowate niebieskie tęczęwki, prędko odwracam spojrzenie, myśląc o siniaku na skroni i zastanawiając się, czego trzeba, żeby ktoś taki jak Willow stracił nad sobą kontrolę. Ile maltretowania i wykorzystywania można znieść, zanim nastąpi wybuch.

Nie jestem w stanie popatrzyć w oczy, które mi grożą. Zamiast tego wpatruję się w białe ściany, na których wiszą oprawione w ramki rodzinne fotografie. Koty także mają swoje zdjęcia, a wszystko razem tworzy kolaż z wyciętym z płyty pilśniowej i ręcznie pomalowanym napisem „Rodzina”.

Macam kieszeń fioletowego szlafroka w poszukiwaniu szwajcarskiego scyzoryka.

Środek ostrożności. Pamiętam ostrzeżenie Chrisa: „Co tak naprawdę można wiedzieć o drugiej osobie?”.

Niemowlę zaczyna się poruszać, powieki drżą i drga rączka, ale to Willow, a nie ja, dopada je pierwsza i podnosi z dywanu w ten swój niezdarny sposób, aż obawiam się, że wypuści je z niepewnych rąk. Wstaję i robię krok naprzód, żeby złapać upadającą Ruby, ale zatrzymuje mnie wzrok Willow. Wpatruje się we mnie z triumfem, radując się moim nieszczęściem. Ha! – drwią ze mnie lodowate oczy – tym razem byłam szybsza. Jakby przez cały czas wiedziała, że wyczekiwałam, aż dziecko się obudzi. Wyczekiwałam cierpliwie, aż będę mogła wziąć je na ręce. Tulić śliczne maleństwo, kiedy obudzi się ze snu.

Zakrywam dłonią usta, by stłumić krzyk, który chce wyrwać się z mych trzewi.

- Czy dobrze się pani czuje? - pyta Willow, wracając na fotel i otulając Ruby kocykiem. A kiedy zwlekam z odpowiedzią, ponawia pytanie: - Proszę pani?

- Tak, oczywiście - kłamię, przykładając dłoń do zdruzgotanego serca. Kłamstwo jest takie łatwe, przykrywa stan silnego wzburzenia, w jakim się obecnie znajduję.

Program telewizyjny dobiegł końca i zaczął się blok reklamowy. Natarczywy głos napomina, żeby koniecznie nabyć zmiękczac do tkanin o zapachu liści eukaliptusa. Złości mnie to, pełne emfazy pokrzykiwania mogą obudzić Zoe. Głośno przeklinam reklamy i telewizję, debilne programy i zmiękczac eukaliptusowy, którego nigdy nie kupię. Maszeruję, żeby wyłączyć odbiornik, i dżgam klawisz tak mocno, że telewizor przesuwają się o kilka centymetrów na komodzie, rysując ścianę. Skulona pod kołdrą Zoe przewraca się na bok, nie wypuszczając pilota z rąk. Wzdycha ciężko przez sen.

Serce wali mi mocno, ogarnia mnie poczucie całkowitego braku kontroli nad sobą. Czuję się bezsilna, na granicy wpadnięcia w szal. Wpatrując się w ciemny ekran telewizora, odczuwam przyływ mdłości, nogi robią mi się jak z waty i przez chwilę mam pewność, że zaraz dostanę zawału.

Po omacku wchodzę do łazienki, mroczki latają mi przed oczami. Przysiadam na brzegu wanny i opuszczam głowę między kolana, żeby krew z powrotem napłynęła do mózgu.

Na oślep odkręcam kran, żeby Zoe, jeśli się ocknie, nie usłyszała, że płaczę.

Nagle mój wzrok pada na ścianę, na zwykły haczyk z pomalowanym na czerwono ptaszkiem. Wisi trochę krzywo, ale Chrisowi nie chciało się go poprawiać.

Kupiłam ten wieszaczek na pchlim targu w hrabstwie Kane, na wycieczce, jaką urządziłyśmy sobie z Jennifer jakieś sześć czy siedem lat temu. Te parędziesiąt kilometrów do St. Charles przypominało wyjazd wakacyjny, jakiego żadna z nas nie miała od lat. Buszowałyśmy

wśród straganów w poszukiwaniu zbędnych nam przedmiotów, a dziewczynki, Zoe i Taylor, jechały za nami w czerwonym wózku, opychając się hot dogami i prażoną kukurydzą, które im kupiliśmy, żeby nie marudziły.

Haczyk jest pusty.

Sięgam do szyi i wiem, że niczego nie znajdę, bo doskonale pamiętam, że odwiesiłam łańcuszek z obrączką po ojcu na wieszaczek z ptaszkiem, a potem pocałowałam Zoe na dobranoc. Zrobiłam to, zanim wyszłam z sypialni, przygasiwszy światło, i poszłam do kuchni pozmywać naczynia. Zanim wyjęłam cuchnący worek ze śmieciami i wyniosłam go do zsypu. Zanim usiadłam z laptopem, żeby bezmyślnie stukać w klawisze, na próżno czekając, aż Ruby się obudzi.

Zabrała łańcuszek z obrączką.

Nagle wszystko do mnie wraca, jakby ojciec dopiero teraz umarł. Przenoszę się myślami do tamtego poranka, kiedy matka zadzwoniła z Cleveland. Tata od miesiący chorował, więc jego śmierć nie powinna być dla mnie zaskoczeniem. Mimo to usłyszane wieści, ton, jakim matka wypowiedziała te słowa – umarł – kompletnie mnie powaliły. Byłam jak ogłuszona. Tygodniami wmawiałam sobie, że to pomyłka, nieporozumienie, że to nie może być prawda. Oczywiście odbył się pogrzeb, patrzyłam, jak człowiek podobny do ojca – ale zimny i gumowaty, o zmienionych rysach – został w trumnie spuszczonej do grobu, a ja jako kochająca córka rzuciłam na wieko bukiet róż, ponieważ takie same róże mama miała na ich ślubie. Lawendowe.

W głębi serca wierzyłam, że w trumnie nie leży mój ojciec.

Codziennie próbowałam się do niego dodzwonić, martwiąc się, że nie odbiera komórki. Od czasu do czasu mama odbierała telefon i możliwie najłagodniejszym tonem mówiła, że nie mogę tak dalej wydzwaniać, a kiedy nie posłuchałam, zaproponowała Chrisowi i mnie, że powinnam poradzić się kogoś, kto pomoże mi przeżyć żałobę. Ja jednak odmówiłam.

Odmówiłam podobnie jak wtedy, kiedy ginekolog sugerował wizytę u psychiatry lub psychologa po stracie Juliet.

W Nowym Jorku dochodzi dziesiąta wieczór. Dzwonię do Chrisa

z komórki, żeby mu powiedzieć, że Willow mnie okradła, ale nie odbiera.

Odczekuję dziesięć minut i próbuję ponownie. Wiem przecież, że Chris jest nocnym markiem i na pewno nie śpi, pracuje nad jakimś memorandum, którego nie skończył w weekend, tak mi przynajmniej tłumaczył.

Ponownie nie odbiera, więc piszę SMS-a:

Zadzwoń koniecznie.

I czekam dalej, dwadzieścia minut lub dłużej.

A potem wpadam we wściekłość.

Szukam w internecie numeru hotelu na Manhattanie i dzwonię tam, prosząc, żeby mnie połączono z pokojem pana Chrisa Wooda. Ze względu na Zoe mówię ściszym głosem i muszę parokrotnie powtarzać nazwisko. Recepcjonistka próbuje mnie połączyć, po czym zgłasza się i mówi przeproszającym tonem:

- Nikt w tym pokoju nie odpowiada. Czy zechce pani zostawić wiadomość?

Rozłączam się bez słowa.

Rozważam kolejny telefon z prośbą o połączenie z pokojem Cassidy Knudsen.

Rozważam nocny lot do Nowego Jorku, niespodziewane zjawienie się w lobby hotelu i przyłapanie ich na flirtowaniu, na zaśmiewaniu się z im tylko wiadomego dowcipu. Widzę Cassidy w hotelowym szlafroku razem z Chrisem, gdy obsługa przynosi im szampana. I truskawki. No tak, oczywiście truskawki.

Na kłamce wisi wywieszka „Nie przeszkadzać”.

Czuję, jak krew pulsuje mi w uszach. Tętno bije tak głośno, że śpiąca smacznie Zoe zaraz się obudzi. Kręci mi się w głowie i znów opuszczam ją między kolana, żeby złapać dech, przeklinając w duchu męża i TEJ kobietę, wyobrażając sobie, jak samolot do Denver staje w płomieniach i spada.

- Pora na lekarstwo dla Ruby - słyszę nieśmiały głos TEJ dziewczyny, kleptomanki, która ukradła mi pamiątkową obrączkę po ojcu.

Chce mi się wrzeszczeć, ale z podziwu godnym opanowaniem mówię:

- Zabrałaś obrączkę ojca. Zabrałaś ją. - Mam ochotę chwycić ją za kark i sprawić jej porządne lanie, bo ukradła jedyną rzecz na świecie, która tyle dla mnie znaczyła.

Jednak siedzę dalej na brzegu wanny, wodząc palcem po kieszeni szlafroka, w której schowałam szwajcarski scyzoryk, rozpamiętując te wszystkie narzędzia, które mogą być zarazem bronią: korkociąg, nożyczki, świder i oczywiście nóż.

- Co? - bąka cicho, z urazą. Jakby to ją obrabowano. Ograbiono. Dodaje ledwie dosłyszalnie, gorączkowo, rozpaczliwie kręcąc głową: - Nie.

Ale nie patrzy mi w oczy i zaczyna się bawić rękami. Mruga gwałtownie i mocno się czerwieni. Typowe oznaki kłamania. Wstaję z wanny, a ona pośpiesznie się cofa i wybiega z sypialni, mamrocząc coś o Jezusie, przebaczeniu i zmiłowaniu.

Przyznanie się do winy.

- Gdzie ona jest? - pytam.

Idę za nią lekkim, ale szybkim krokiem, szybciej niż ona, więc zaraz ją doganiam. Chwytam ją za ramię i obracam z szarpnięciem, zmuszając, żeby na mnie spojrzała, żeby patrząc mi w oczy, powtórzyła swoje kłamstwo. Cofa się błyskawicznie, bo naruszyłam jej przestrzeń. Chowa ręce za siebie, żebym nie mogła ich dotknąć.

- Gdzie obrączka mojego ojca - powtarzam, czując na sobie wzrok dziecka leżącego na dywanie. Mała pilnie nas obserwuje, żując ściągniętą ze stópki skarpetkę w groszki, wywija różowymi nóżkami, nieświadoma nieznośnego napięcia, od którego brakuje tchu.

- Nie mam jej - kłamie Willow bladym, pozbawionym stanowczości głosem. - Naprawdę, proszę pani. Nie mam tej obrączki - powtarza, ale oczy ma rozbiegane, czujne, i nagle zamiast naiwnej dziewczyny, za jaką ją do niedawna uważałam, dostrzegam przebiegłą spryciarę. Zakłamaną i sztuczną.

Unika mojego wzroku, wije się i skręca jak przyszpilona do deski gąsienica.

Przedstawienie.

Nagle wybucha strumieniem słów wypowiedzianych szybko jak karabin

maszynowy, powtarza kolejne zaklęcia i zaprzeczenia:

- Ja tego nie zrobiłam, przysięgam!

Gestykuje z ożywieniem, czerwieniąc się jeszcze mocniej.

Zagadka.

Drwi ze mnie, zalewając stekiem kłamstw i wygłupiając się przede mną, udając naiwną, którą z pewnością nie jest. Dokładnie wiedziała, co robi, od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam ją na peronie dworca Fullerton.

Czekała na kogoś takiego jak ja, kto zgrabnie chwyci przynętę.

- Co z nią zrobiłaś? - pytam bez tchu. - Co zrobiłaś z obrączką?

- Nie mam jej - powtarza. - Nie mam tej obrączki. - Kręci głową na boki jak serce wahadła.

- Nieprawda - upieram się. - Zabrałaś ją z wieszaczka w łazience. Wzięłaś obrączkę mojego ojca.

- Proszę pani - mówi błagalnym tonem, aż serce się kraje, tyle tylko, że to zwykłe przedstawienie.

Cofa się o krok, a ja za nią, i ten mój szybki ruch, ten jeden krok, nie więcej, sprawia, że Willow kuli się jak uderzona i wydaje stłumiony jęk.

Wkładam rękę do kieszeni szlafroka i chwytam nóż, ściskam go kurczowo i przez zaciśnięte zęby rzucam:

- Wyjdź.

Czuję, że nóż drży w mojej ręce. Nie każ mi... Nie każ! - myślę gorączkowo.

Willow dziko potrząsa głową, kołysze nią na boki, oczy wychodzą z orbit, częściowo zasłonięte włosami, z otwartych ust wymyka się jedno słowo:

- Nie...

Zaczyna błagać, żebym pozwoliła jej zostać, żebym nie kazała wychodzić. Znowu zaczęło padać, słysząc krople deszczu bębniące o parapet, choć to jeszcze nie ulewa, przynajmniej na razie.

Oczywiście nie sposób przewidzieć, co przyniesie noc.

- Idź stąd - mówię. - No już. Zanim wezwę policję. - Robię krok w stronę aparatu na kuchennym blacie.

- Proszę, nie - błaga. - Proszę, niech mnie pani nie wyrzuca. - Kieruje

wzrok na okno, na zalane deszczem szyby.

- Zabrałaś moją obrączkę - powtarzam. - Oddaj mi ją, słyszysz?

- Proszę panią - szepcze i nagle dodaje: - Heidi - jakby chciała przemówić bardziej osobiście.

Jednak mnie wydaje się to niewłaściwe, wręcz aroganckie. Przypomina mi to o jej zuchwałej pewności siebie, a reszta jest tylko udawaniem, zwykłym teatrem. To żalosne przedstawienie posłużyło temu, by wemknąć się podstępem do mego domu i okraść. Ciekawe, co jeszcze ukradła: polską porcelanę, babcine perły, sygnet Chrisa?

- Pani Wood - mówię zimno.

- Nie mam tej obrączki, pani Wood. Przysięgam. Nie wzięłam jej. Nie mam...

- Czyli ją sprzedałaś - upieram się. - Gdzie ją sprzedałaś, Willow? W lombardzie?

Jest jeden w Lincoln Park, dokładnie wiem gdzie, nieduży sklep na Clark z szyldem „Skupujemy złoto”. Pamiętam, że tamtego popołudnia położyłam się na krótką drzemkę. Czy zastawiła obrączkę, kiedy drzemałam? Niemożliwe, przecież powiesiłam łańcuszek na haczyku dziś wieczorem, przed pocałowaniem Zoe na dobranoc i przyćmieniem światła, potem sprzątałam jeszcze w kuchni i siedziałam z laptopem, udając, że pracuję.

A może to było wczoraj, myślę, czując się nagle zagubiona i skonfundowana, bo na dobrą sprawę nie wiem nawet, jaki dzisiaj dzień.

Za to wiem na pewno, że Willow zabrała mi obrączkę.

- Ile za nią dostałaś? - pytam znienacka, a kiedy milczy, naciskam: - No mów, ile dostałaś za obrączkę po moim ojcu? - Nie przestając gładzić śliskiej powierzchni scyzoryka, zastanawiam się w duchu - pięćset? Tysiąc? - i natrafiam opuszką kciuka na czubek ostrza, odginam go lekko, bez wątpienia rozcinając skórę. Nie czuję krwi, ale ją sobie wyobrażam, jedną kroplę, dwie, przenikające przez materiał szlafroka.

Willow zaczyna zbierać swoje rzeczy - butelki i gotowy pokarm dla dziecka, porwane dzinsy i wysokie sznurowane buty, nylonową kurtkę khaki, zniszczoną walizkę - i gromadzi to wszystko w stertę przy

drzwiach, zerkając na mnie rozżalona, nadąsana. Udawaną rozpacz zastąpił wyraz rezygnacji w oczach.

Wkraczam, kiedy chce podnieść dziecko z podłogi.

Po moim trupie, myślę, ale na głos mówię tylko:

- Nie dasz rady się nią zajmować. Wiesz to równie dobrze jak ja. Gdyby nie ja, umarłaby od tego zakażenia.

Nieleczone zakażenie dróg moczowych może wywołać posocznicę.

Bez interwencji lekarza chory umiera.

Nie wymyśliłam sobie tego, to słowa lekarki z kliniki. To ona nam o tym powiedziała, chcąc się dowiedzieć, od jak dawna dziecko znajduje się w stanie ciągłego rozdrażnienia i ma wysoką gorączkę.

- Od tygodnia, może dwóch - bąknęła Willow przepraszającym tonem.

Ale ja obróciłam tę jej zbędną szczerłość w żart, mówiąc:

- Kilka dni, moja droga, nie żaden tydzień. - Świetnie wiedziałam, co pomyśli sobie o nas lekarka, jeśli się dowie, że infekcja trwała tygodniami. Mrugnęłam do niej porozumiewawczo i ciągnęłam tonem wyjaśnienia, mając na myśli Willow: - Ma tak słabe poczucie czasu... Te nastolatki! Dzień, tydzień, co to za różnica! - Lekarka, być może matka pannicy w podobnym wieku, skinęła głową i nie zadawała dalszych pytań.

Ostatnio kłamstwa przychodzą mi tak łatwo. W sposób naturalny, automatycznie, aż wreszcie sama nie potrafię powiedzieć, co jest faktem, a co fikcją.

- Zabierzesz dziecko - mówię - to zaraz zadzwonię na policję. Zagrożenie życia dziecka, a do tego kradzież. Tutaj, ze mną, Ruby będzie bezpieczniejsza. - Willow musi pojąć, że dziecku będzie ze mną lepiej. - Kiedy cię poznałam - przypominam - miała gorączkę. Pęcherze na pupie, placki egzemy na ciele. Tygodniami nie była kąpana, brakowało ci na jedzenie dla niej. To cud, że się nie wychłodziła, nie wpadła w skrajne wycieńczenie albo nie umarła. - Nieznacznie podsuwam się bliżej, doskonale wiedząc, że jeżeli trzeba, to będę walczyła, wyciągnę nóż z kieszeni i potem powiem, że to była samoobrona.

Ale widzę rezygnację w jej oczach i wiem, że walka nie będzie

potrzebna. Dla niej dziecko jest tyłkociężarem. Instynkty macierzyńskie – niezaprzeczalną potrzebę tulenia maleństwa, niepokój, gdy nie trzymam go na rękach – przejawiam tylko ja. Tęsknota pełzająca od czubków palców aż do trzewi jest moja. Wyłącznie moja.

- Nie potrzebujesz chyba, żeby dziecko cię spowalniało – argumentuję, wiedząc równie dobrze jak ona, że ktoś ją ściga. Nie wiem kto, ale ona wie – to osoba, która uderzyła ją w głowę, po czym został kolorowy siniak. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Pani się nią zaopiekuje – szepcze. To nie tyle pytanie, ile prośba. – Chcę, żeby się pani zajęła moim dzieckiem.

Obiecuję, że tak. Moja twarz łagodnieje, z ust wypływa kaskada słów.

- Ależ oczywiście. Będę się nią bardzo dobrze opiekowała – przyrzekam żarliwie jak dziecko, które dostało kotka w prezencie. – Ale ty nie możesz tu zostać – mówię stanowczo, bo istnieje cienka granica między potrzebą zajęcia się dzieckiem a pozbyciem się Willow z domu. – Ponieważ mnie okradłaś.

- Ja wcale... – zaczyna protestować, ale twardo przerywam.

- Idź już.

Nie chcę słuchać dalszych kłamstw i zaprzeczeń, wymówek o konieczności zdobycia pieniędzy na to czy na tamto, skoro jest jasne, że nie kupuję historyjki, jaką mnie poczęstowała na początku. Zabrała obrączkę ojca i zastawiła ją w lombardzie, to tyle, krótko i zwięźle.

A teraz musi stąd odejść.

Nie żegna się ze mną. Zamiast tego powtarza pytanie czy też raczej prośbę, abym zaopiekowała się Ruby, ale mówi to jakoś bez przekonania, fałszywie, jakby wiedziała, że wypada upewnić się przed wyjściem, że zostawia dziecko w dobrych rękach. Niemniej jednak kiedy patrzy na małą, pojawia się krótkie wahanie, a niebieskie oczy napełniają się łzami. Udaje, powiadam sobie stanowczo.

Podchodzi do dziecka i głaszcząc je po główce, potem szepcze słowa pożegnania i wychodzi, ocierając fałszywe łzy brzegiem rękawa.

- Będę ją traktowała jak własną córkę – obiecuję i zamykam drzwi na zasuwę. Wyglądam przez okno, żeby się upewnić, że Willow na pewno sobie poszła, kuląc głowę w ramionach.

Deszcz nie ustaje. Odwracam się do malutkiej, urzeczona jej pulchnymi policzkami, jasnymi jedwabistymi włoskami, różowymi bezzębnymi usteczkami rozciągniętymi w promiennym uśmiechu. Moja, myślę. Tylko moja.

WILLOW

W sposób niezauważalny skończyłam piętnaście lat.

I wtedy to się stało, w przeciągu trzech tygodni.

Był koniec zimy i już nie mogłam się doczekać wiosny, ale z niewiadomych przyczyn śnieg nie przestawał padać z burego, zaciągniętego chmurami nieba. Marzłam za każdym razem, kiedy Matthew zabierał mnie na przejażdżkę autobusem po mieście, bo bluza i tenisówki nigdy nie wystarczały dla ochrony przed zimnem. Na każdym przystanku do środka wpadało zimne powietrze. Miałam na sobie sukienki i kilka swetrów od Josepha, ale nogi były gołe.

W nocy było mi zimno w łóżku pod cienką kołdrą, w zbyt obszernym podkoszulku. Drżałam i dostawałam gęsiej skórki, zwłaszcza kiedy przychodził do mnie Joseph.

Rozmyślałam o najróżniejszych sposobach zadania mu śmierci. Wspominanie mamy i zabawa w wymyślanie porównań „kocham cię jak” zostały zastąpione przez myśli o Josephie i pragnienie zemsty. Co bym z nim zrobiła, gdybym tylko mogła? Zepchnęłabym go ze schodów. Walnęła go w łeb patelnią. Podpaliła dom, kiedy będzie spał.

Ale co zrobiłabym potem?

„Nienawidzę cię jak ludzie z fobią pajaków”.

„Nienawidzę cię jak myszy kota”.

Pewnego posępnego zimowego dnia pojechaliśmy z Matthew do biblioteki. Pamiętam, że byłam bardzo podekscytowana, ponieważ zamierzał mi pokazać, jak się używa komputera. Nigdy dotąd nie miałam takiej sposobności.

Nie przejechaliśmy jeszcze nawet jednego przystanku, gdy Matthew zapytał, czy mi nie zimno, a kiedy potaknęłam, objął mnie i przytulił. Natychmiast poczułam się tak, jakbyśmy siedzieli w tym autobusie tylko we dwoje. Jakby reszta świata znikła. Ramię Matthew wydawało mi się silne, ciepłe, bezpieczne.

Spojrzałam na niego ciekawą, czy czekoladowo-brązowe oczy wytłumaczą mi, co się przed chwilą stało. Czułam motyle w brzuchu, ręce mi się spociły. Matthew milczał z oczami bez wyrazu. Wyglądał przez okno, jakby niczego nie zauważył, i zastanawiałam się, czy on też poczuł jakąś zmianę.

Weszliśmy do biblioteki, postawiliśmy przed komputerem dwa krzesła i Matthew pokazał mi świat, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Wytłumaczył mi działanie internetu, wyjaśnił, że mogę się z niego dowiedzieć wszystkiego, co zechcę, o planetach, dzikich zwierzętach i pająkach. Pokazał mi też, jak grać w rozmaite gry.

Ale to jeszcze nie było wszystko, co mógł zaoferować komputer. Założyliśmy słuchawki i Matthew włączył muzykę, raczej głośną, ale całkiem mi się podobała. Podobał mi się basowy dźwięk prosto w uszach. Pomyślałam o mamie. O tanecznym wirowaniu do muzyki Patsy Cline.

Wizyty w bibliotece stały się odtąd regularne. To była moja ulubiona rozrywka. W bibliotece było ciepło i cicho, chociaż świat za przeszklonymi drzwiami był zimny i hałaśliwy. Budynek był spory, zdaje się trzypiętrowy, mimo to pośród wieżowców sprawiał skromne wrażenie. Niekiedy z upodobaniem jeździłam windami w górę i w dół, w górę i w dół, i to mi wystarczało. Dużo wtedy rozmawialiśmy z Matthew, który powtarzał, że pewnego dnia zabierze mnie od Josepha z domu pod Omaha. Musi tylko wymyślić, jak się do tego zabrać, to wszystko. Od tamtej pory zaczęłam dużo rozmyślać o świecie poza Omaha, przez co przymus mieszkania z Josephem i Miriam stał się jeszcze przykrzejszy. Moim największym pragnieniem było wyrwać się stamtąd, uciec, gdzie pieprz rośnie, ale Matthew kazał mi czekać. Zamierzał wymyślić jakiś sposób, prosił, abym się nie martwiła, wobec tego czekałam.

Najbardziej lubiłam znajdować w bibliotece całkiem pustą alejkę, w której byliśmy sami. Siadaliśmy z wyciągniętymi nogami na podłodze, oparci o wysokie regały. Kartkowaliśmy książki w poszukiwaniu ciekawych informacji, którymi się następnie dzieliliśmy:

- Czy wiedziałaś, że świeże jajko opadnie na dno, ale zbuk, czyli jajko

zgniłe, będzie się unosił na powierzchni?

Albo:

- Wiesz, że ludzki mózg składa się w osiemdziesięciu dziewięciu procentach z wody?

Było tak samo jak wtedy, gdy byliśmy mali i Matthew przechodził nocą obok mojego pokoju.

Czytałam biografie Audrey Hepburn i Patsy Cline. Wyszukałam miejsce zamieszkania Lily w Kolorado i dowiedziałam się więcej na temat rozległych równin w trzydziestym ósmym stanie i działu wodnego, tworzonego przez Góry Skaliste. Poczytałam też o Chicago, Wietrznym Mieście, i o Magnificent Mile, o której tyle rozprawiała mama.

- Czy wiedziałaś, że Arthur Rubloff wymyślił nazwę Magnificent Mile w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku? - zapytałam.

Ale Matthew tylko odmruknął:

- A co to właściwie jest?

Pewnego dnia, gdy tak sobie siedzieliśmy, nagle Matthew wyjął mi rękę wetkniętą w kieszeń bluzy z kapturem, wziął w dłonie i mocno uściśnął. Trzymał mnie za rękę już wcześniej, w autobusie albo kiedy się bałam, ale teraz to było co innego, ponieważ widziałam, że on także się boi. Dłonie mu się pociły, a kiedy mnie tak ścisnął, serce we mnie urosło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Nie rozumiałam, co czuję, i bardzo chciałam kogoś o to zapytać. Kogokolwiek.

Ale najbardziej mamę.

Przez pewien czas udawaliśmy, że nic się nie dzieje, że wcale nie trzymamy się za ręce. Dalej szukaliśmy ciekawostek w książkach, przewracając strony wolnymi rękami, za to te, które były złączone, wydawały się odrębnymi bytami.

Serce biło mi mocno, byłam oszołomiona i niewiele rozumiałam z czytanego tekstu.

Nie pamiętam, jak to się stało, że Matthew nagle znalazł się bliżej, tuż przy mnie. Nie wiem, kiedy jego noga i biodro zaczęły dotykać moich i czytaliśmy z jednej książki. Na temat inżynierii, cokolwiek to znaczy. Nie rozumiałam ani słowa i wcale się nie starałam, ponieważ mogłam myśleć tylko o jednym - o naszych złączonych dłoniach i miękkim głosie,

jakim zwrócony do mnie wyszeptał moje imię:

- Claire...

Cichy, miękki szept. Raczej wyczułam, że poruszył wargami, niż coś usłyszałam.

Spojrzałam na niego, a on był tak blisko. Tuż przy mnie. Owiewał mnie jego ciepły oddech. Muskaliśmy się nosami.

Nie wiedziałam, co powinnam zrobić: zbliżyć się czy raczej odsunąć. Serce podpowiedziało mi jednak, jak w takiej chwili należy postąpić. Nachyliłam się nieco i dotknęłam ustami warg Matthew, suchych i spierzchniętych, a zarazem tak miękkich i słodkich. Wsunął mi śliski język do ust i cała roztopiłam się w środku.

Wtedy zrozumiałam, co się ze mną dzieje: zakochałam się w Matthew.

Język cofnął się równie szybko, jak się pojawił, wargi oderwały się od moich. Matthew się odsunął, ale nie przestał mnie trzymać za rękę. Wodził wzrokiem po stronicach podręcznika do inżynierii, nerwowo szukając czegoś, co mógłby mi przeczytać, i w końcu wydukał jakieś brednie o watach i kilometrach, a ja nie miałam pojęcia, o czym mówi. Nie miałam pojęcia o niczym. Nie słyszałam słów. Nie mogłam przestać myśleć o ustach, języku i dłoniach Matthew.

O jego smaku.

O jego zapachu.

Od tamtej pory przestaliśmy chodzić do biblioteki po to, żeby grzebać w książkach i przytaczać sobie nawzajem wyszukane w nich ciekawostki. Chowaliśmy się w odludnej alejce, ukryci za regałami, i Matthew przyciskał wargi do moich ust, wsuwał w nie wilgotny język. Czasami trzymał mnie przy tym za rękę, a innym razem jego dłonie błądziły po moim ciele, po twarzy, po ramionach i piersiach, między udami, zimne i niepewne wślizgiwały się pod jaskrawo pomarańczową bluzę do jedyne go stanika, jaki podarował mi Joseph.

CHRIS

W drodze do Denver przejeżdżam przez Chicago na spotkanie z potencjalnym klientem. Osobiste spotkania to ważny aspekt bankowości inwestycyjnej, dlatego każdy pracownik naszej firmy musi odbyć określoną liczbę takich spotkań. Konkretnie dwadzieścia. Tego życzy sobie nasz prezes. Dwudziestu osobistych spotkań z klientami. Skype nie wystarczy. FaceTime także nie. Mimo że znajduję się o tysiąc kilometrów i ze wszystkich sił staram się przekonać potencjalnych inwestorów do zakupu akcji ważnego dla nas klienta, muszę się zjawić w biurze na inne spotkanie, a potem polecieć do Denver, gdzie czekają już na mnie Cassidy, Henry i Tom.

Wylatuję z lotniska LaGuardia o szóstej rano, pierwszym lotem, i ląduję w Chicago o siódmej dwadzieścia osiem czasu miejscowego. Spotkanie rozpoczyna się o dziewiątej. Ledwie starczy mi czasu, żeby odebrać bagaż i taksówką dojechać do biura.

Spotkanie przebiega nad podziw dobrze. Cóż, zazwyczaj tak jest. Widocznie posiadam nieodparty urok, którego nie jestem świadomy, łagodną twarz, która budzi w ludziach zaufanie. To dlatego na spotkaniach z potencjalnymi klientami najczęściej gram pierwsze skrzypce. Nie ma to nic wspólnego z doskonałym wynikiem ukończenia studiów ani doświadczeniem. Liczą się mój uśmiech i chłopięca uroda, która wedle słów mej matki wpędzi mnie kiedyś w kłopoty.

Po południu wylatuję z O'Hare do Denver. Mam za mało czasu, żeby wpaść do domu, wziąć prysznic, ogolić się i przebrać w nowy garnitur. Brakuje mi też czystych skarpetek i bielizny. Dzwonię do Heidi, nie spodziewając się wcale, że zrobi mi tę przysługę, lecz ku mojemu zdziwieniu pakuje czyste ubrania do torby i proponuje spotkanie w azjatyckiej knajpce, gdzie można szybko coś zjeść.

Ostatnio widziałem ją czterdzieści kilka godzin temu, ale wydaje mi się inna, zmieniona, mniej napięta w porównaniu z Heidi, z którą zegnałem

się tamtego poranka, udręczoną wiecznym zamartwianiem się na zapas. Widzę to w jej zważym kroku, jakim porusza się po Michigan Avenue, w pobliżu miejsca, gdzie Mag Mile przecina rzekę Chicago jako most Michigan Avenue. Idzie sprężysto, ubrana w szykowną sukienkę, w której prezentuje się znakomicie. Odwykłem od takich jej strojów. Wygląda ślicznie. Ale dźwiga ze sobą to przeklęte dziecko w wymyślnym nosidełku.

- Co to ma być? - pytam, na co wyjaśnia, że to najnowszy model nosidełka, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, że targa ze sobą cudze dziecko w roli bagażu. - Gdzie jest jej matka? - Rozglądam się po ulicy, szukając wzrokiem Willow. - Nie zostawiłaś jej chyba samej w domu? - dorzucam zaniepokojony. Jestem gotów wygłosić orędzie o tym, że może ukraść moją plazmę, a przecież wyraźnie zakazałem zostawiania jej bez nadzoru.

Heidi uśmiecha się łagodnie i mówi, że wybierając się na spotkanie ze mną, zostawiła ją w bibliotece. Willow chciała poszperać w kilku książkach, a konkretnie chodziło o „Czarnego księcia” i „Fałdkę czasu”, czyli klasykę. Dobrze wie, że w młodości czytywałem jedynie „Wall Street Journal”. Dodaje, że sądziła, iż będzie mi na rękę, jeśli Willow się do nas nie przyłączy, z czym trudno mi polemizować. Żałuję jedynie, że nie zostawiła w bibliotece także dziecka.

Nagle Heidi nachyla się do mnie i całuje w usta. I nie jest to zwykły przelotny buziak, tylko prawdziwy pocałunek, czyli coś, czego nie spodziewałbym się po niej w takim miejscu. Jest zdeklarowaną przeciwniczką okazywania uczuć publicznie, zawsze gromiła wzrokiem pary całujące się w autobusie albo na rogu ulicy, nawet na pożegnanie. Nachylona nade mną, gładzi mnie po ramionach. Czuję ciepło jej rąk. Przyciskając wargi do moich, szepcze, że za mną tęskniła, a kiedy powoli się od niej odrywam, wiem, że te proste słowa i jej namiętny ton zostaną ze mną na długo.

Jemy lunch. Zamawiam smażone pierożki z krabami, Heidi makaron pad thai z kurczakiem. Opowiadam jej, jak mi minął tydzień, słucham jej relacji. Po raz milionowy przepraszam, że nie odebrałem wczoraj telefonu, ale w odróżnieniu od gniewnego nagrania, które zostawiła

w poczcie głosowej, tym razem wzrusza ramionami i mówi, że nic się nie stało. Usprawiedliwiam się, że szybko zasnąłem skonany po ciężkim tygodniu. Dodaję, że wypilem do kolacji dwa, może trzy piwa i kompletnie nie słyszałem dzwonka.

Nie wspominam o drinkach w hotelowym barze ani o Cassidy czytającej memorandum sam na sam ze mną w pokoju. Tak daleko posunięte zwierzenia byłyby przejawem głupoty. Podziw dla szczupłej sylwetki i zarysu pięknych piersi Cassidy zachowuję dla siebie. Przyznaję w duchu, że nadal o nich myślę.

- Miałaś mi o czymś powiedzieć - zagajam.

- O, już nawet nie pamiętam - odpowiada z uśmiechem.

Podchodzi kelnerka i dolewa nam wody.

Heidi umyła włosy i ułożyła porządną fryzurę, dolatuje od niej kuszący zapach perfum. Nie jestem zresztą pewien, czy to perfumy. Heidi od dawna ich nie używa. Może to zwykły szampon.

- Chris, musisz być bardzo zmęczony - mówi ze współczuciem. - Wiecznie jesteś w podróży.

Przyznaję, że tak właśnie się czuję. Heidi zaczyna mi opowiadać o dziecku, które po antybiotyku ma się znacznie lepiej. Dobrze śpi, nie płacze aż tyle, dzięki czemu i ona może się lepiej wyspać. Widzę to po niej, wydaje się wypoczęta, znalazła czas, żeby wziąć prysznic, zrobić lekki makijaż. Nie jest już tak przerażająco blada, oczy promienieją, na ustach widzę różowy błyszczek.

Może tego jej było potrzeba, myślę. Kilku godzin porządnego nocnego wypoczynku.

- Kiedy wrócę do domu - zapowiadam - będziemy musieli o tym wszystkim porozmawiać. O tej całej sytuacji z Willow. - Spodziewam się sprzeciwu, powrotu napięcia, ale nic takiego nie następuje.

- Oczywiście - zgadza się ze mną Heidi. - Tak, porozmawiamy. Kiedy wrócisz z Denver. Ale - dodaje, masując mi wolną rękę, tę, która nie wpycha pierożków do ust tak zachłannie, jakbym nic nie jadł od tygodnia, i splatając ze mną palce - mam przecucie, że wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Wszystko się dobrze ułoży.

Ku swemu zdziwieniu dzielam to przekonanie.

Żegnamy się i wymieniamy torbami. Zabieram tę z czystą bielizną, a Heidi, niczym obowiązkowa żona z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, bierze moje rzeczy do prania.

Patrzę za nią, jak odchodzi ulicą, wymijając przechodniów i kierując się w przeciwnym kierunku niż gmach biblioteki.

Zerkam do torby, żeby się upewnić, że przyniosła mój ulubiony kalkulator, ponieważ biurowych nie lubię, mają zbyt małe klawisze i często się psują. Tak to wytłumaczyłem, chociaż Heidi wcale nie pytała. W rzeczywistości była to jedyna rzecz, której na pewno dotykała w mojej obecności tajemnicza Willow Greer, pierwszego dnia, gdy schyliła się, żeby go podnieść z podłogi. Zostawiła wtedy na nim ślady niewidoczne dla ludzkiego oka, odciski palców, które pozwolą raz na zawsze ustalić jej tożsamość. Zresztą to jedyny przedmiot, co do którego Heidi nie nabrałaby podejrzeń.

Trudno przecież, żebym ją poprosił o przyniesienie pilota, butelki do karmienia niemowląt albo skórzanej walizki.

Zanim wsiądę do samolotu, biegnę jeszcze na spotkanie z Martinem Millerem.

WILLOW

Na jedną z umówionych wizytacji panna Adler przyjechała jak zwykle z listem od Zeegerów, tyle że zupełnie innym niż poprzednie. Stojąc na ganku, otrzepała botki ze śniegu i weszła do domu. Joseph wziął od niej płaszcz i powiesił na oparciu fotela, po czym wszyscy przeszliśmy do kuchni i zasiedliśmy przy stole, a nafaszerowana lekami Miriam podała herbatę i kruche ciasteczka.

W liście nie było informacji o mojej Lily i jej postępach w szkole, i o tym, że znów bardzo urosła. Nie, ten list był całkiem inny. Jego treść sprawiła, że krew ścięła mi się w żyłach i nie mogłam złapać tchu. Trzymając kartkę w drżących dłoniach, czytałam na głos, tak jak kazał mi Joseph, że dziesięć miesięcy temu Duża Lily niespodziewanie zaszła w ciążę i w grudniu Rose (Lily) została starszą siostrą. W liście roilo się od szczegółów na temat jasnych oczek niemowlęcia i jego miękkich włosów, łagodnego usposobienia i słodkiego, melodyjnego kwilenia. Duża Lily oznajmiała, że właśnie tego zawsze z Paulem pragnęli: własnego dziecka. Dali córeczce na imię Calla, a moja Lily, a właściwie Rose, została wykluczona. Nie była ich wymarzonym dzieckiem.

- Ale jak to możliwe? - jęknęłam. - Myślałam... przecież ona... - Odłożyłam list i przełknęłam z trudem. Nie chciałam, żeby Joseph widział moje łzy, ani Isaac, który sterczał pod ścianą z drwiącym uśmiechem na brzydkiej gębie.

- Och, jak cudownie - rozpląwała się opiekunka. - Co za wspaniała niespodzianka... Wyobraź sobie tylko, Rose ma siostrę! - Jakby jej wcześniej nie miała. Mnie. - Niekiedy dzieje się tak - zaczęła powoli wyjaśniać, jakbym była tępaczką - że kobieta zachodzi jednak w ciążę. Okazało się, że państwo Zeegerowie nie byli jednak całkiem bezpłodni. Po prostu... - Urwała na moment, po czym dorzuciła: - Nie mieli szczęścia.

Nie mieli szczęścia, bo w ich życiu zjawiała się Mała Lily, zamiast

upragnionego dziecka.

W liście nie było wzmianki o mojej Lily poza tą, że ma młodszą siostrę. Oprócz tego była w nim masa szczegółów o życiu małej Calli, która spokojnie przesypia noce, i o tym, że jej urodzenie było dla Dużej Lily ogromnym przeżyciem. W końcu to przecież krew z krwi. W kopercie było też zdjęcie Dużej Lily z Callą, a moja Lily trzymała się z tyłu. Była nieuczesa, na białym podkoszulku widać było czerwone plamy od keczupu.

Za to Calla wyglądała prześlicznie w koronkowym beciku i czepku z kokardą.

Nie znalazłam listu od mojej Lily. Nie było zdjęcia szkolnego z trzeciej klasy, papeterii z rysunkiem drzewa i czerwonego ptaszka, nabazgranego na kopercie „Rose Zeeger”.

Moja Lily przestała się liczyć.

Dreńczyło mnie to przez wiele dni. Bezsenne noce spędzałam na rozmyślaniu, co dalej z nią będzie. Czy Zeegerowie przez resztę życia będą ją lekceważyli, bo nie jest ich prawdziwym dzieckiem? A może uznają, że dwójka dzieci to jednak za dużo, i odeślą ją do sierocińca, skąd następnie trafi do parszywej rodziny zastępczej jak ja? Lub czy będzie w nim przebywała do ukończenia osiemnastego roku życia, a potem zostanie wysłana w świat, by wieść żywot bezdomnej na ulicach Nebraski lub Kolorado? Mogłam to sobie jedynie wyobrażać. Tworzyłam wizje, w których Zeegerowie całkowicie ją ignorowali, zmuszali do noszenia brudnych, poplamionych ubrań. Imię ich nowego dziecka prześladowało mnie po nocach: Calla. Calla! CALLA!

Nienawidziłam go. Nienawidziłam jej.

Calla zniszczyła życie mojej Lily.

Dni płynęły. Nieustannie czytałam list od Dużej Lily, wpatrywałam się w zdjęcie szczęśliwej matki i dziecka, z moją Lily niemal całkiem wypchniętą poza nawias.

To zdjęcie Joseph pozwolił mi zatrzymać. Mało tego, przykleił je w moim pokoju do wzorzystej tapety, żebym czasem nie zapomniała o Calli, która ukradła mojej Lily szczęśliwe dzieciństwo.

I nic nie mogłam z tym zrobić.

HEIDI

Spędzam noc w bujanym fotelu, ani na moment nie spuszczaając oczu ze słodkiego maleństwa. Kiedy z sypialni wychodzi zaspana Zoe i człapiąc korytarzem do łazienki, zerka na zamknięte drzwi do gabinetu i pyta, gdzie jest Willow, odpowiadam ściszym tonem, że jeszcze śpi, chociaż wiem, że nie jest to prawdą.

Wcale o niej nie myślę. Nie myślę o Willow.

Zoe wychodzi do szkoły, dzień mija niezauważenie. Nie licząc krótkiego lunchu w towarzystwie Chrisa, nie wychodzimy z domu. Większość dnia spędzamy w bujanym fotelu; Ruby śpi mocno jak nowo narodzona. Nie mogę myśleć o niczym poza kształtem jej oczu, usteczek i nosa. Z okna widzę, jak słońce wschodzi i niedługo potem zachodzi za linią drapaczy chmur, opromieniając obłoki różową poświatą. Niebo granatowieje. Ludzie poszli do pracy i po chwili już z niej wrócili. Śniadanie, lunch, kolacja, dzwoni telefon, potem domofon, ale nic mnie to nie obchodzi, wpatruję się w śpiące dziecko jak urzeczona, i dopiero kiedy się budzi i szuka rączkami piersi, wstaję z fotela i przygotowuję pokarm w butelce. Gdy popołudnie przechodzi w wieczór, Ruby śpi, a na niebie ukazuje się wiązka promieni z za chmur. Palce Boga.

Nie zwracam uwagi na zegar, na aluminiową wskazówkę, która przemieszcza się wokół tarczy, pokazując jedną rzymską cyfrę za drugą. Słyszę na klatce kroki sąsiadów, którzy wrócili już z pracy, wyczuwam zapachy potraw przyrządzanych na kolację: enchilada, żeberka, pieczony kurczak. Dzwoni telefon, raz, potem drugi, ale nie chce mi się podnieść z fotela i go odebrać, przekonuję samą siebie, że to tylko telemarketer albo nagrana wcześniej wiadomość od wychowawczyni Zoe o zbliżającym się terminie kolejnego zebrania dla rodziców. Nieistotne, odsłucham ją później.

Nagle drzwi otwierają się z impetem i staje w nich Zoe w różowych szortach i bluzie, w ubłoconych butach sportowych. Na łydkach ma

ochraniacze, różowe podkolanówki umazane błotem. Włosy zaplotła w podwójny francuski warkocz, tak jak reszta drużyny piłkarskiej, do której należy. Jedna z matek zaproponowała, żeby dziewczyny w dni meczów czesały się jednakowo. Fryzurę uzupełniają różowe spinki.

- Gdzie byłaś? - pyta wojowniczo, rzucając plecak na podłogę. Świdruje mnie wzrokiem od progu, stojąc w otwartych drzwiach. Przechodząca z pudełkiem pizzy sąsiadka stara się udawać, że nie słyszy jej gniewnego tonu. Dolatuje do mnie kusząca woń ciepłego sera i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jestem głodna. - Nie przyszłaś na mecz - mówi Zoe z wymówką w głosie, nie czekając na odpowiedź na pierwsze pytanie.

- Przepraszam - bąkam w pełni świadoma, że nie brzmi to przekonująco. Nie wiem, jak miałabym się wytłumaczyć - „zapomniałam” albo „miałam dużo pracy i nie mogłam się urwać”. W rzeczywistości wcale nie jest mi przykro, że opuściłam mecz, bo znacznie przyjemniej było siedzieć w bujanym fotelu z Ruby na kolanach.

- Dzwoniłam parę razy - ciągnie Zoe, kładąc ręce na biodrach i gniewnie wydymając usta. Spogląda w stronę kuchni i z powrotem na mnie, widząc, że nie zaczęłam przygotowań do kolacji i siedzę prawie po ciemku. Zapala lampę nad kuchennym stołem, a ja mrużę oczy.

- Ciii - szepczę, bo Ruby pojękuje przeciągle, przestraszona światłem albo pełnym złości tonem Zoe.

- Dlaczego nie odbierałaś komórki? - warczy Zoe. - Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Nie przyszłaś na mój mecz. Kompletnie o nim zapomniałaś! - krzyczy.

A ja wyobrażam sobie, jak stoi z resztą dziewczyn z drużyny, pozornie zadowolona, że matka nie depcze jej po piętach, w rzeczywistości jednak spragniona mojej obecności. To się zawsze powtarza.

Nie odpowiadam na jej pytania. Zamiast wytłumaczyć, dlaczego nie odbierałam komórki, pytam:

- Jak dotarłaś do domu?

- Mamo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - pyta.

A ja uświadamiam sobie, że jej ton wcale mi się nie podoba. Ostatnio

Zoe zwraca się do mnie tak, jakby była moją przełożoną, a ja jej podwładną.

- Owszem, Zoe, słucham cię, ale ja także zadałam ci pytanie. Jak dotarłaś do domu?

Gniewne sapnięcie. Grzebanie w szafkach za czymś do jedzenia. Trzask drzwiczek, szurnięcie gwałtownie odsuniętego krzesła.

- Trener zapłacił za taksówkę. Nie mógł sterczeć tam ze mną przez całą noc i czekać, wiesz? Tak jak poprzednio. Ma swoje sprawy. - Milczenie, po czym: - Jesteś mu winna czternaście dolarów. - Wyjmuje butelkę wody z lodówki i ciągnie: - Pani Marcue mówiła, że dzwoniła do ciebie, ale nie odbierałaś telefonu. - Z butelką wody i paczką krakersów Zoe wychodzi z kuchni. Przemierza kawałek korytarza, zastyga pod zamkniętymi drzwiami do gabinetu i pyta: - Dlaczego nie odpowiadałaś na telefony?

- Byłam bardzo zajęta. Przecież wiesz - mówię, zdając sobie sprawę, że w jej nastoletnim umyśle odpowiedź ta nie ma krzty sensu. Przecież opieka nad niemowlęciem to nie jest pilne zajęcie. Jako takie kwalifikuje się esemesowanie z koleżankami, wypisywanie bazgrołów na przedramieniu, udawanie, że odrabia się lekcje, i rozmyślanie, jaki super jest trener Sam. Wychowywanie dziecka nie sprawia, że ten ktoś jest zajęty.

- Czy zamierzasz do niej oddzwonić? - pyta, bawiąc się końcem długiego warkocza. Kiedy się nie uśmiecha i nie pokazuje aparatu na zębach, wydaje mi się starsza. Po raz pierwszy zwracam uwagę, że piersi jej się powiększyły. Czy stało się tak już wcześniej, tylko ja nic nie zauważyłam? Nie mogła chyba dojrzeć w przeciągu jednej nocy?

- Tak - mówię - oczywiście.

- Kiedy? - naciska.

- Niedługo. Niedługo do niej zadzwonię.

- To dziecko nie jest twoje, wiesz? - wypala nieoczekiwanie, przypatrując się, z jaką czułością trzymam Ruby na kolanach i głaszczę ją po główce.

- Dlaczego mi to mówisz? - zraniona pytam cicho.

- Bo sprawiasz wrażenie, jakbyś myślała, że ona jest twoja. To

dziwaczne - cedzi. - A gdzie jest Willow? - dorzuca sucho, jakby poprzednie słowa nie trafiły mnie z siłą ciosu.

- Źle się czuła i wcześniej się położyła - mówię, wkładając w swój ton przekonanie. - Krąży grypa - dorzucam - chyba słyszałaś?

- Taa, jasne - cedzi Zoe, przypomniawszy sobie być może moje kłamliwe telefony do pracy, i przewraca oczami. Rusza do swojego pokoju i mocno zatrzaskuje za sobą drzwi.

Skupiam się z powrotem na Ruby i kołyszę wraz z nią, dopóki niebo stanie się całkiem czarne, a za oknem widać tylko gwiazdy i rzęsiście oświetlone budynki.

WILLOW

Coraz częściej widywaliśmy się z Matthew. Chodziliśmy głównie do biblioteki, gdzie ukryci w odludnej alejce całowaliśmy się i czytaliśmy książki. Wychodziliśmy najwcześniej, jak się dało, tuż po wyjściu Josepha i Isaaka z domu, jeśli bowiem zjawialiśmy się za późno, stoliki u wylotu alejek okupowali już ciekawscy i hałaśliwi uczniowie. Jeśli jednak udało nam się dotrzeć tam przed nimi, około południa, biblioteka była prawie pusta – dzieci w szkole, dorośli w pracy – i mieliśmy pomieszczenie tylko dla siebie. Nawet bibliotekarki trzymały się z daleka od regałów z dziedziny inżynierii, skoro bowiem nikt nigdy nie wypożyczał tych książek, to nie musiały ich odkładać na półki. Tylko raz jedna z kobiet zatrzymała się przy nas i zapytała ciekawie, czy nie mamy dzisiaj lekcji. Zamarłam w pół kroku, przekonana, że zaraz zostanę odesłana do Josepha, ale Matthew odpowiedział tak pewnie, jakby przygotował sobie wymówkę już dawno, dawno temu:

- Rodzice uczą nas w domu.

Bibliotekarka skinęła głową, powiedziała, że to bardzo dobrze, i odeszła w swoją stronę. Nie wiedziałam nawet, co to dokładnie oznacza, ale Matthew wiedział.

Nikt już nigdy nie zapytał, co tam robimy, dwoje nastolatków w środku dnia.

Matthew dotykał mnie zupełnie inaczej niż Joseph. Jego ręce były delikatne i czułe, poruszały się powoli i ostrożnie. Lubiłam myśleć, że dotyk jego rąk wymazuje obmacywanie mnie przez wstrętne łapy Josepha.

Matthew coraz częściej napomykał o zabraniu mnie z domu pod Omaha. Dodał jednak, że wie, iż jego ojciec nie pozwoli mi odejść. Matthew nie miał pieniędzy na swoje utrzymanie, więc tym bardziej nie mógł mnie wspierać. Po opuszczeniu schroniska dla bezdomnych nie wyjawiał mi, gdzie się podziewa. Przynajmniej nie powiedział mi prawdy.

Wspominał coś o nocowaniu na wersalce u kumpla albo na rozkładanym łóżku w sklepie kolegi, ale mówiąc to, spoglądał w bok, tak jak wtedy, kiedy opowiadał mi o pływaniu barką po rzece Missouri, więc wiedziałam, że kłamie. Matthew zawsze wyglądał na zmęczonego. Postarzał się. Był ogorzały, jakby żył na ulicy. Nie pytałam go o to.

Nie przestał jednak obiecywać, że mnie stamtąd zabierze. Mówił o miejscach, które chciałby zobaczyć. Góry, nadmorskie plaże. Opowiadał o oszczędzaniu pieniędzy. Przebąkiwał o innych sposobach ich zdobycia: kradzieżach damskich torebek lub napadzie na bank. Wątpiłam, żeby był do tego zdolny, ale myślałam też, że jeśli dzięki temu mogłabym raz na zawsze opuścić dom Josepha i Miriam, to w porządku. Najważniejsze, żeby nikt nie ucierpiał.

- Być może - obiecywał - pewnego dnia...

Bywało, że Matthew chciał się ze mną całować w moim pokoju. Chciał leżeć przy mnie na łóżku nie po to, żeby czytać książkę.

Nie miałam pojęcia, czy Matthew wiedział, co robił Joseph, kiedy nocą przychodził do mego pokoju. Nie mówiłam mu o tym, bo bałam się, że uzna mnie za kłamczuchę.

- Moje słowo przeciwko twojemu - mawiał Joseph. - Nikt ci nie uwierzy.

Joseph przypominał mi też często, że jestem dzieckiem, którego nikt nie chciał. Nikt oprócz niego i Miriam.

Wyprawy z Matthew do biblioteki trwały przez całą jesień i początek zimy. Przez kilka tygodni Joseph zostawał w domu i nie wychodził do pracy. Powiedział, że ma „ferie zimowe”, i po całych dniach przesiadywał w pokoju, więc w ogóle nie widywałam się z Matthew. Ale dużo o nim myślałam. O jego rękach na moim ciele, o ustach na moich ustach, tkliwości z jaką wypowiadał moje imię:

- Claire...

Padał gęsty i mokry śnieg, pokrywając trawnik dywanem bieli. Gapiałam się przez okno na wirujące białe płatki i rozmyślałam o lepieniu bałwanów, sankach i bitwach na śnieżki z mamą i tatą w Ogallali. Tutaj śnieg był kolejnym powodem do tego, by nie ruszać się z domu. Było zimno w domu i na dworze, ciągnęło z nieszczelnych okien, a Joseph

ustawiał ogrzewanie na niecałe dwadzieścia stopni. Przez cały czas marzłam.

Joseph wrócił w końcu do pracy i pojawił się Matthew. Zima ciągnęła się w nieskończoność, a choć kalendarz pokazywał marzec, pogoda wcale nie przypominała wiosennej. Było zimno i szaro, z dachów pobliskich domów zwisały sople lodu.

Pewnego marcowego dnia przybiegł do mnie podekscytowany Matthew. Chciał mnie zabrać do biblioteki i pokazać nowy program, który znalazł w komputerze. Był ożywiony, od dawna go takim nie widziałam. Niebo miało barwę popiołu, z naszych ust dobywały się obłoczki pary.

Oboje z Matthew nie wiedzieliśmy, że tego dnia Joseph źle się poczuł. Wskakując do autobusu, nie mieliśmy pojęcia, że podczas wykładu w college'u rozboleła go głowa, a kiedy zasiadaliśmy przed ekranem komputera, on właśnie postanowił odwołać resztę zajęć, wrócić do domu i położyć się do łóżka. Nie mogliśmy wiedzieć, wrzucając drobne do maszyny i kupując paczkę chipsów, że Joseph zbiera się do wyjścia z uczelni i jedzie samochodem do domu, kiedy my siadamy w ustronnej alejce, żeby całować się i czytać.

Gdy przyszliśmy, w domu panowała cisza. Gwałtowny podmuch wiatru wepchnął nas do środka. Matthew rozmawiał ze mną o matce, mówił, że gdyby był warzywem jak ona, to wolałby, żeby ktoś go zastrzelił, zakończył tę jego gehennę.

Te słowa tak mnie zdumiały, że zagapiłam się na niego z otwartymi ustami, przez co nie spostrzegłam Josepha. Siedział rozwalony na pokrytym sztruksem fotelu i śledził nas wrogim spojrzeniem jak jastrzęb swoje ofiary. Był nieruchomy jak posąg. Matthew zastygł w progu, więc i ja odruchowo stanęłam i zobaczyłam Josepha, który trzymał w ręku lampę. Jej cień padał obok jego ciężkich buciorów.

Trudno mi wytłumaczyć, co się potem stało.

Joseph spytał z podejrzanym spokojem, gdzie byliśmy.

- Na spacerze - odrzekł Matthew, na co Joseph nie odpowiedział, bawiąc się sznurem od lampy, skręcając go i lekko szarpiąc.

Potem chciał wiedzieć, skąd mam ubrania, które Matthew

przechowywał między wizytami, żeby Joseph ich przypadkiem nie zobaczył.

Ojciec i syn dawno się nie widzieli. Joseph nie wiedział przecież o częstych wizytach Matthew pod jego nieobecność.

Joseph chciał, abym potwierdziła słowa Matthew, że byliśmy na spacerze, ponieważ kłamstwa, tak jak nikczemne myśli, są obrazą dla Boga. Chciał, żebym powiedziała to głośno. Chciał usłyszeć te słowa z moich ust.

Tak też się stało.

- Czego cię zawsze uczyłem, Matthew? - zwrócił się potem do syna. - Złe towarzystwo niszczy moralność. Czy nie to zawsze powtarzałem?

Nagle doskoczył do Matthew, zamierzając się na niego lampą. Uderzył raz, potem drugi. Słyszałam wyrzaskiwane na cały głos słowa, jakie mama czasem szeptała pod nosem.

Staralam się przeszkodzić Josephowi, powstrzymać go, ale powalił mnie na podłogę. Chwilę zajęło mi otrząśnięcie się z szoku i pozbieranie na nogi, ale zanim się obejrzałam, znów dostałam kolejny cios i tym razem czerwona, lepka krew pociekła mi z nosa.

Wszystko działo się jak w przyśpieszonym tempie.

Głuchy odgłos lampy walącej w czaszkę.

Strumień karmazynowej krwi ochlapujący jasną ścianę.

Zduszone wyzwiska:

- Skurwysyn.

- Bękart.

- Kutas.

Przypadkowe przedmioty w roli broni: telefon, wazon, pilot do telewizora. Brzęk tłuczonego szkła. Krzyk. Krew.

Ja rozplaszczona na podłodze, z rękami zakrywającymi głowę. Czuję wstrząsy, jakby trwało trzęsienie ziemi.

Nagle zjawił się Isaac, wracał ze szkoły albo z pracy. Razem z ojcem zaczęli bić Matthew tak strasznie, że wprost niewyobrażalne, jakim cudem zdołał utrzymać się na nogach.

Krzyczałam:

- Przestańcie! Zostawcie go w spokoju! - ale nikt mnie nie słuchał.

Matthew namacał świecznik i wałnął nim brata w głowę. Isaac stracił równowagę i cofnął się chwiejnie, łapiąc się za ucho.

Kiedy Matthew uniósł świecznik po raz drugi, Joseph błyskawicznie wybił mu go z ręki.

Nie wiem, jak długo to trwało. Trzydzieści sekund? Trzydzieści minut? Mnie w każdym razie wydawało się, że trwa to całą wieczność.

W dodatku nic nie mogłam zrobić.

- Czyli to była samoobrona? - pyta Louise Flores. - Czy to właśnie sugerujesz? - Podwija rękawy zmechaconego swetra i wachluje się plikiem dokumentów. Obficie się poci. Na dworze musi być ciepło, wiosna powoli przeistacza się w lato. W fałdach zmarszczek, na garbku nosa błyszczą kropelki potu. Przez okienko wpadają promienie słońca, trochę rozświetlając ponury, mroczny pokój.

- Tak, proszę pani - odpowiadam. - Oczywiście.

Kiedy zamykam oczy, nadal widzę Matthew z włosami lepкими od krwi, z krwią ściekającą po twarzy. Tamtego dnia wyglądał na dziesięciolatka, kiedy tak leżał na podłodze, a Joseph i Isaac pastwili się nad nim. Było mi ciężko, że nic nie mogłam na to poradzić, ale jeszcze gorzej było wiedzieć, jak Matthew się czuje: bezradny i słaby. Na moment zetknęliśmy się oczami i zrozumiałam, że przede wszystkim czuł wstyd.

- Po pewnym czasie - wyznałam - Matthew wyszedł. Nie chciał tego, rozumie pani. Nie chciał zostawiać mnie z nimi w tym domu, ale nie miał wyboru.

Opowiadam, jak Matthew zdołał chwiejnie unieść się na rękach i wyczołgać przed dom tamtego brzydkiego marcowego popołudnia.

Wciąż mam w pamięci, jak pełźnie przez próg. Słyszę drwiący śmiech Josepha i Isaaka.

Słyszę, jak wyśmiewają Matthew, który czołga się po chodniku.

- Dokąd? - pyta Flores. - Dokąd udał się Matthew?

- Nie wiem - mówię. - Nie wiem.

Pamiętam jego smutne, przeproszające spojrzenie, zanim wyczołgał się na ulicę. Joseph i Isaac drwiący roześmiani i ciskający za nim obelgi.

Wydawało im się, że wygrali.

Ale ja wiedziałam, że to jeszcze nie koniec.

- A co się stało potem? Kiedy Matthew już stamtąd poszedł?

Odgarniam włosy i pokazuję wgłębienie, które zostało po ciosie zadany lampą przez Josepha. Odczekał, aż Matthew zniknął nam z oczu - Isaac nie przestawał szydzić, wrzeszcząc do brata przez okno, że jest żalostną cipą - i odwrócił się do mnie, świdrując najpodlejszym wzrokiem, jaki w życiu widziałam. Podniósł lampę z podłogi, z podstawką wgniecioną po obu stronach, i rąbnął mnie w bok głowy. Nie pamiętam, czy mnie zabolalo, za to pamiętam doskonale przerażające skutki tego ciosu. Straciłam czucie w całym ciele, nie mogłam się utrzymać na nogach i runęłam bezwładnie na podłogę, a Isaac stał nade mną i rycząc ze śmiechu, pokazywał na mnie palcem. Z kącików oczu nadpełzła nieprzenikniona czerń i wkrótce potem przestałam słyszeć szydercze głosy i przekleństwa. Zapadła ciemność i cisza.

Ocknęłam się na swoim łóżku na wierzchu patchworkowej narzuty. Drzwi były zamknięte od zewnątrz.

CHRIS

Jestem w pokoju hotelowym w Denver i piekielnie zmęczony myję się przed snem.

Dostałem najmniejszy pokój, ale i on kosztuje ponad dwieście dolarów za noc. Widok z okna jest taki jak zawsze, mógłbym się właściwie znajdować w dowolnym dużym mieście w Stanach. Wysokie budynki, neony, tysiące świateł.

Mam na sobie niebieskie bawełniane spodnie od pizamy i podkoszulek. Na łóżku stoi otwarty laptop.

„Denver Post”, gazeta codzienna, którą kupiłem po drodze z lotniska, leży nieprzeczytana. Zerknąłem jedynie na prognozę pogody na pierwszej stronie – będzie chłodno – i wyniki losowania w totolotka.

Nie wygrałem.

Jestem zmęczony, widać to po mojej twarzy. Gapię się na siebie w lustrze i stwierdzam, że się starzeję. Dłużej nie wytrzymam chyba tego tempa. Myjąc zęby, zastanawiam się nad innymi zawodami: profesor college’u, doradca biznesowy. Wyobrażam sobie siebie przed aulą pełną studentów, jak daję wykład o globalnym kapitalizmie. Tacy sami młodzi ludzie jak ja kiedyś, pochłonięci żądzą pieniędzy. Kasa, więcej kasy. Zarabiałbym oczywiście znacznie mniej niż teraz, ale dalibyśmy sobie radę, myślę, płucząc usta.

Wystawilibyśmy mieszkanie na sprzedaż, może wynajęli na jakiś czas. Zoe mogłaby uczęszczać do szkoły publicznej, chociaż wiem, że to słaby pomysł. Ale załóżmy. Może moglibyśmy się wyprowadzić na przedmieście, kupić domek jednorodzinny z ogródkiem, mieć psa. Dojeżdżalibyśmy do pracy pociągiem. Prawdziwy amerykański sen.

To mogłoby się udać.

Rozmyślałem, jak to jest, kiedy człowiek zjawia się w domu na obiad, codziennie kładzie się obok żony do łóżka. Przypominam sobie, jak Heidi na lunchu w azjatyckim grillu nachyliła się nade mną i pocałowała mnie

w usta. Nakryła mi dłoń swoją ręką, szepnęła, że muszę być tak strasznie zmęczony. Nareszcie zatroszczyła się o mnie, swojego męża, nie o uchodźców z całego świata. Pamiętała o moich potrzebach, a nie o bezdomnych dziewczynach i kotach.

Być może coś się jednak zmienia.

Wspominam dawne dzieje: Heidi w czerwonej sukience na kolacji dobroczynnej, tańcząca ze mną, kiedy wszyscy goście już wyszli, zapalono przyćmione wcześniej światła i obsługa zaczęła sprzątać salę. Była wtedy studentką college'u, mieszkała w akademiku. Ja właśnie skończyłem studia i zacząłem je spłacać. Byłem biedny jak mysz kościelna, wynajmowałem pokój w Roscoe Village, do którego pojechaliśmy taksówką i wbiegaliśmy po schodach, rozbierając się nawzajem po drodze.

Nie dotarliśmy do łóżka, zwaliliśmy się tuż za drzwiami na podłogę.

Rano spodziewałem się, że już jej nie zastanę. Bo przecież dziewczyna tak zachwycająca, z pięknymi piwnymi oczami nie chciałaby mieć ze mną do czynienia.

Myliłem się.

Pół dnia spędziliśmy w łóżku, gapiąc się przez okno na przechodniów na Belmont. Kiedy w końcu się ubraliśmy, Heidi w czerwonej sukience z narzuconą na ramiona moją bluzą Bearsów, poszliśmy na pchli targ, gdzie kupiliśmy stary miedziany nalewak do piwa, bo tylko na to było nas stać.

Heidi została u mnie przez trzy dni. Ubierała się w moje bokserki i koszule, jadła to, co przyniosłem z barowych potraw na wynos. Rano szedłem do pracy, a kiedy wracałem, ona na mnie czekała.

Przyjemnie się z nią obcowało i myślałem, że już zawsze tak będzie, ale to było na długo przed Zoe, rakiem i szarym ciężarem rzeczywistości. Rozmyślałem o tym, jak musiało ją to przygnieść. Heidi zawsze troszczyła się bardziej o resztę świata i niezaspokojone potrzeby innych ludzi niż o swoje.

Stojąc w łazience hotelu w Denver, myślę smętnie, że brakuje mi Heidi. Nagle słyszę stukanie do drzwi, lekkie puk-puk-puk, i wiem, kto to, jeszcze zanim zerknę przez wizjer.

Otwieram drzwi i oto ona. Rzecz jasna, nie Heidi. Chociaż przez ułamek sekundy myślę, że może jednak, że przyleciała do Denver, żeby się ze mną zobaczyć, zostawiając tę dziewczynę i jej dziecko, które całkiem pochłonęły moją żonę i nasze mieszkanie. Może Zoe nocuje u Jennifer, a Heidi wskoczyła w samolot, żeby spędzić ze mną noc?

Ale to zwykłe mrzonki, a do pokoju wchodzi bez zaproszenia Cassidy Knudsen. Jest ubrana w czarne obcisłe legginsy i luźną tunikę z dekoltem w szpic, szczerze ukazującym rowek między piersiami, wąwóz dzielący sąsiadujące ze sobą pagórki z miękkiej, bladej skóry. Na szyi ma długi wisiorek, który zmusza do patrzenia na jej dekolt, na miejsce, gdzie niknie pod tuniką. Twarz prawie bez makijażu, nie licząc jaskrawoczerwonej szminki, która stała się jej znakiem rozpoznawczym. Szpilki na niebotycznych obcasach są czerwone jak usta.

Wymija mnie i wchodzi, nie czekając na słowa zachęty.

Sterczę przed nią w staroświeckich spodniach od piżamy, podkoszulku i ze szczoteczką do zębów w rękę.

- Nie spodziewałem się, że wpadniesz - bąkam - byłbym... - Zawieszam głos, nie wiedząc, co powiedzieć. Zerkam na stertę ubrania na dywanie, które zrzuciłem przed udaniem się do łazienki.

Nie musi mi wyjaśniać, po co przyszła, dobrze wiem, co zamierza zrobić. Błyskawicznie znajduje się przy mnie, jej ręce na moim ciele, usta na moich wargach.

- Nie masz pojęcia, od jak dawna tego pragnęłam - szepcze.

- Cassidy - mówię; sam nie jestem pewien, czy tonem sprzeciwu, czy raczej zaproszenia. Czynię niemrawą próbę wysunięcia się z jej objęć, choć umysł wrzeszczy w podnieceniu, żebym jej nie przeszkadzał. Żebym pogrzebał głęboko wspomnienia o nowej Heidi i pozwolił Cassidy na wszystko, na co ma ochotę.

Czuję jej dotyk, ale ręce są zimne, zupełnie inne niż Heidi. Są stanowcze i śmiałe, nie czekają na zaznajomienie, tylko ciągną pełną parą naprzód. Cassidy wszystko robi nie tak, inaczej niż Heidi, brakuje jej cierpliwości, czułości i nagle myślę o mojej Heidi, rozpaczliwie pragnę mieć ją teraz przy sobie, żałuję, że to nie ona weszła do pokoju.

Zastanawiam się, co powiedziałyby Heidi, gdyby wiedziała, co się tu

teraz wyprawia, jak by się z tym czuła. Heidi, na wskroś uczciwa i dobra, która nie zabije pająka butem, ale go wyniesie.

- Przestań - mówię i odpycham Cassidy, z początku lekko, ale potem mocniej. - Przestań, Cassidy. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę skrzywdzić Heidi.

Pragnę Heidi. Tęsknię za moją Heidi.

Brakuje mi żony.

- Chyba sobie żartujesz, Chris - cedzi Cassidy, obrzucając mnie mrocznym spojrzeniem. Nie jest bynajmniej urażona ani zakłopotana odmową. - Heidi? - powtarza z niedowierzaniem, nadąsana wpatrując się we mnie wielkimi oczami i wypowiadając imię mojej żony z szyderczą przesadą.

Nie chodzi o to, że nie może uwierzyć, że została odtrącona.

Rzecz w tym, że stało się to z powodu Heidi.

Brakuje mi dobroci i szlachetności mojej żony. Jestem dumny, że troszczy się o bezdomne koty, analfabetów i dzieci, które przyjechały z krajów, których nazw nie potrafię wymówić: Azerbejdżan, Kirgistan, Bahrajn.

Nie mogę znieść, że tu stoję, w jednym pokoju z Cassidy. Czuję pulsowanie w skroniach. Ręce mi się pocą i niemal tracę równowagę, gdy wsuwam stopy w parę butów przy drzwiach. Głos Cassidy w tle woła moje imię, śmieje się, prosi, bym nie odchodził. Czuję silne zawroty głowy. Opieram się dłonią o ścianę, by się utrzymać na nogach. Cassidy nie przestaje mnie wołać, robi to natarczywie, jakby w ten sposób mogła zmienić moje nastawienie.

WILLOW

Opowiadam Louise Flores, że Joseph przynosił mi dwa posiłki dziennie i dwukrotnie zabierał puste naczynia. Nie pozwalał mi wychodzić z pokoju nawet do łazienki. Od czasu do czasu przychodził, żeby wylać pełny garnek sików, choć ich smród nigdy się nie ulatniał. Co noc zjawiał się w moim pokoju i kazał mi się rozbierać.

Opowiadam, że co noc, kiedy już wrócił do swojego łóżka, sprawdzałam, czy pamiętał, żeby zamknąć moje drzwi na klucz.

Opowiadam, że siedziałam po całych dniach, modląc się, by kiedyś zapomniał to zrobić.

Opowiadam, że Matthew już nigdy mnie nie odwiedził, nie widziałam go od tamtego dnia, kiedy pobity wyczołgał się na ulicę.

Opowiadam, że nie widywałam Isaaka, chociaż słyszałam jego głos na korytarzu, więc wiedziałam, że wychodzi i wraca do świata, który nie jest już dla mnie dostępny.

Opowiadam, że z okna pokoju widziałam, jak śnieg topnieje, zostawiając kałuże wzdłuż chodników i na dziurawej jezdni.

Opowiadam, że raz dziennie wolno mi było opuścić pokój w celu wypróżnienia. Joseph stawał w drzwiach i patrzył za mną. Pewnego razu nie zdążyłam dobiec do łazienki, więc Joseph kazał mi siedzieć w brudnej bieliźnie, aż po kilku dniach miałam odparzenia na tyłku, jak to się zdarza u niemowląt. Słyszałam, jak się ze mnie śmieje, jak ze śmiechem opowiada Isaakowi, że obsrałam sobie gacie.

Opowiadam, że pewnej nocy, dzięki bożej łasce, po wizycie w moim pokoju Joseph, wracając do siebie, zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Siedziałam na łóżku, wyczekując odrażającego metalicznego zgrzytu klucza w zamku, ale nic takiego nie nastąpiło. Usłyszałam jedynie skrzypienie drewnianej podłogi, głuchy odgłos, gdy Joseph kładł się do łóżka, jęk sprężyn materaca pod zwalistym cielskiem. By mieć całkowitą pewność, odczekałam co najmniej godzinę, po czym cichutko

przemknęłam przez lodowaty pokój, ujęłam mosiężną klamkę i otworzyłam drzwi.

Opowiadam, że w szufladzie w kuchni znalazłam nóż, największy z zestawu dwunastu sztuk, nóż szefa kuchni o długości co najmniej dwudziestu centymetrów, może więcej. Stałam w ciemnym pomieszczeniu oświetlonym bladym światłem księżyca, i namyślałam się, choć nie było potrzeby, bo i tak podjęłam już decyzję. W domu było cicho, nie licząc syczenia pieca i bulgotania wody w rurach.

Oczywiście wymyślałam to sobie na poczekaniu, bo tamtej nocy przed przybyciem Matthew nie wychyliłam głowy z pokoju.

Opowiadam, że na palcach weszłam do sypialni Josepha i przyglądałam się, jak śpi. Obserwowałam jego wielkie cielsko, nasłuchiwałam chrapania. Flores robi szczegółowe notatki, zapisuje prawie każde moje słowo. Jak to Joseph otworzył nagle oczy, bo zaskrzypiała deska, gdy na palcach zbliżyłam się do łóżka. Jak raptownie usiadł i wcale nieprzestraszony mrugał ze zdziwieniem. Jak zdążył wymamrotać:

- Jak się tu...? - zanim wbiłam mu ostrze noża w pierś.

- Jak się tu znalazłaś? - zamierzał zapytać, ale nie dałam mu tej możliwości. Mówię o tym pani prokurator. Opisuję, jak oczy mu się rozszerzyły, rozdziawił usta i po omacku próbował chwycić nóż, ale go wyszarpnęłam i uderzyłam ponownie. I jeszcze raz. Podobno sześć razy. Tak mi powiedzieli, kiedy mnie znaleźli.

Rzecz jasna, skąd mam wiedzieć, skoro tamtej nocy nie byłam w sypialni Josepha.

Wiedziałam natomiast, ale nie zdradziłam się z tym przed Louise Flores, że zabójca, który skończył osiemnaście lat, zostałby skazany jak dorosły. Ale nie szesnastolatka, która nigdy nie weszła w konflikt z prawem. Gdyby prawda wyszła na jaw, Matthew miałby o wiele poważniejsze kłopoty ode mnie. Wiedziałam o tym, bo tata mi powiedział, kiedy byłam jeszcze mała i oboje oglądaliśmy wiadomości w dzienniku. Szesnastoletni chłopak zamordował rodziców. Tata wspomniał, że niepełnoletnim czasem uchodzi to na sucho, podczas gdy dorośli od razu idą do więzienia, bez gadania. No chyba że dostaną karę śmierci. Pamiętam, że zapytałam, co to jest „kara śmierci”, ale mi nie

wyjaśnił, chociaż później sama się tego domyśliłam.

- A Miriam? - pyta Flores.

- Co Miriam?

- Opowiedz mi, co stało się z Miriam.

- Nie obudziła się - mówię. Nie wiem tego na pewno, bo przecież mnie przy tym nie było. Opowiadam, że kiedy raz za razem wbijałam nóż w pierś Josepha, ona leżała w łóżku i mocno spała.

Flores jest zdecydowana usłyszeć wyczerpujące wyjaśnienia. Odkłada długopis i sprawdza działanie magnetofonu. Chce mieć moje zeznanie na taśmie.

- Dlaczego zabiłaś także ją? - pyta, a ja zachłystuję się śliną.

Miriam?! - jestem gotowa zawołać ze zdumieniem.

Lecz po chwili przypominam sobie słowa Matthew i powoli, bardzo powoli zaczynam wszystko pojmować:

- Gdybym był warzywem jak matka, to wolałbym, żeby ktoś mnie zastrzelił, zakończył tę moją gehennę.

Widocznie tak postąpił.

HEIDI

Wczesnym popołudniem, gdy Ruby śpi, łażę po mieszkaniu i zbieram porozrzucane wszędzie ubrania: śpioszki małej upchane wśród poduch na kanapie, skarpetki Zoe w przedpokoju. Wrzucam to wszystko do przepelnionego kosza na brudną bieliznę, idę do sypialni i znajduję wiszący na kłamce podniszczony biustonosz. Otwieram torbę, którą Chris przekazał mi w azjatyckiej knajpce, i zaczynam przeglądać zawartość: rozpinane koszule, zwinięte w kulę robocze spodnie. Wyjmuję je i sprawdzam kieszenie w poszukiwaniu długopisów, drobnych monet, papierowych chusteczek, kapsli i spinaczy, bo takie drobiazgi nie powinny trafić do pralki. Zmięty paragon i...

Dotykam czegoś, co natychmiast rozpoznaję, jeszcze zanim wyjmę błyszczącą niebieską folię z kieszeni. Napis „Dla jej przyjemności” trafia mnie w splot słoneczny. Zginam się wpół przed łóżkiem, upuszczając kosz na podłogę i dziwnie rżąc, łowią ustami powietrze. Przyciskam rękę - obie ręce - do ust, by stłumić rosnący we mnie jęk. Czuję bolesne skurcze w żołądku.

Wpatruję się w opakowanie prezerwatywy, która potwierdza wszystkie moje podejrzenia.

Mój mąż ma romans z Cassidy Knudsen.

Wyobrażam sobie ich oboje w luksusowych hotelach w San Francisco, Nowym Jorku, a teraz w Denver, jak kotują się w pościeli ze szlachetnej egipskiej bawełny. Widzę ich w opustoszałym po godzinach biurze Chrisa, który po kolejnym późnym powrocie do domu faszeruje mnie wymyślonym naprędce usprawiedliwieniem: pisał tekst broszury, sporządzał ofertę, raport, umowę...

Rzekome obciążenia - praca w nadgodzinach, liczne podróże służbowe - były jego alibi, miały ukryć romans z koleżanką z pracy.

Kręci mi się w głowie, gdy sobie przypominam, jak przyznał, że Cassidy Knudsen będzie mu towarzyszyła w wyjeździe. Wyobrażam

sobie, jak śmieją się ze mnie, gdy Chris opowiada, że nie byłam z tego zadowolona. Jak żartują z mojej podejrzliwości i zazdrości.

- To podróż służbowa - powiedział Chris. - Zwykły biznes.

Mimo to...

Powoli układam sobie wszystko w głowie: nieodebrany telefon, prezerwatywa w kieszeni. Dowody, na które tak długo czekałam.

Podchodzę do komody i z górnej szuflady wydaję sztuki bielizny, które układam następnie na łóżku: komplet bielizny z koronki, biustonosz i figi w odcieniu bladego różu.

Przyglądam się im bardzo długo i ze skupieniem. Wiem, co należy zrobić, żeby wyrównać rachunki.

WILLOW

Oczywiście nic z tego, co opowiedziałam Louise Flores, nie było prawdą.

Wydarła czystą kartkę z notesu i poprosiła, żebym opisała wszystko własnymi słowami. Stukając obcasami, spacerowała po pokoju, ja zaś pisałam o nożu szefa kuchni i wybałuszonych oczach Josepha. Wymyśliłam nawet parę szczegółów na temat Miriam, która rzekomo spała, gdy zakradłam się do sypialni, ale i tak ją załatwiłam po prostu dlatego, że miałam taką możliwość.

Flores zerka na mnie i kręci głową.

- Masz szczęście, Claire, że jesteś niepełnoletnia. Czy masz pojęcie, co by z tobą było, gdybyś była sądzona jak dorosła?

- W stanie Illinois nie ma kary śmierci - odpowiadam, wzruszając ramionami.

Flores zastyga i ogląda się na mnie przez ramię.

- Ale ty nie popełniłaś przestępstwa w Illinois, Claire - powiada. - Przebywałaś w stanie Nebraska. - Dobrze wiem, że na mordercach wykonuje się tam egzekucje za pomocą zastrzyku trucizny.

Zwłaszcza na osobach pełnoletnich, które dokonały mordu z premedytacją.

Na przykład zaczęły, aż ofiara uśnie, i zakradły się z nożem do sypialni.

Nie chciałam, żeby Matthew miał kłopoty. Wiedziałam, że zrobił to dla mnie. Nigdy nie przestałam o nim myśleć, ani jednego dnia, odkąd odszedł. Myślałam o nim codziennie, a w nocy, gdy leżałam już w łóżku, wspominałam go i płakałam cicho, żeby państwo Wood mnie nie usłyszeli. Zastanawiałam się, gdzie przebywa i jak mu się powodzi.

Kiedy Flores ma już wszystko, całe zeznanie na piśmie i na taśmie, każe strażniczce odprowadzić mnie z powrotem do celi, gdzie Diva siedzi na podłodze i śpiewa, imitując przy tym perkusję, to znaczy

postukując długimi umalowanymi paznokciami w kraty. Ktoś wrzeszczy, żeby się w końcu zamknęła. Zbywam milczeniem jej dopytywania, gdzie byłam przez cały dzień, i kładę się na pryczy, nakrywając razem z głową cienkim białym prześcieradłem.

Zamykam oczy i przypominam sobie tamtą noc i to wszystko, o czym nie opowiedziałam Louise Flores.

HEIDI

Obok mnie na łóżku leży komplet bielizny, koronkowy biustonosz i figi w odcieniu bladego różu. Wkładam go, podchodzę do otwartej szafy i sięgam głęboko. Z tyłu znajduję to, czego szukam, na wieszaku z domu towarowego, w plastikowej osłonie zawiązanej na dole na supeł. Nigdy nienoszone. Rozplątuje supeł i ostrożnie zdejmuję osłonę z sukienki. Rzucam ją na podłogę i przypominam sobie dzień, w którym ją kupiłam, chyba siedem miesięcy temu. Zadzwoiłam wtedy do ulubionej restauracji Chrisa, specjalizującej się w stekach, mieszczącej się w zabytkowej kamienicy z piaskowca na Ontario Street, i zarezerwowałam stolik w kącie, z dala od baru, ten sam, przy którym Chris mi się oświadczył. Zostawiłam Zoe u Jennifer i Taylor, i wyszłam wcześniej z pracy, żeby uczesać się u fryzjera. Nowa fryzura z przedziałkiem z boku miała się pięknie komponować z nową sukienką i czarnymi czółenkami na niskim obcasie.

Zdejmuję sukienkę z wieszaka i przypominam sobie, że Chris zadzwonił, zanim zdążyłam się przebrać, tłumacząc się, że coś mu wypadło, a w tle słyszałam jej głos, głos Cassidy. Ponagliła mojego męża do pośpiechu, wykradając go z randki w rocznicę naszego ślubu.

- Wynagrodzę ci to - obiecywał, pozorując, jak mi się teraz zdaje, rozczarowanie. - Już niedługo.

Wodzę palcami po miękkim materiale sukienki zapinanej z tyłu na guziczki. Wkładam ją przez głowę i pozwalam miękko opaść na ramiona, na biustonosz z koronki i figi. Przyglądam się sobie w dużym lustrze. Pamiętam tamten październikowy wieczór naszej rocznicy, pamiętam, że Graham zaszedł do mnie zdumiony dźwiękiem włączonego telewizora, skoro nikogo miało nie być w domu. Stał w progu, zerkając na mnie z sympatią. Wiedział bez słów, co musiało się wydarzyć: ja w szlafroku i kapciach zamiast w małej czarnej, z elegancką nową fryzurą. Serial w telewizji. Gotowe danie z mikrofali na stole.

- Nie zasługuje na ciebie - powiedział.

Potem przypomnieliśmy sobie stare studenckie zwyczaje i poważnie naruszyliśmy zapas ulubionych jasnych piw Chrisa, pijąc dopóty, dopóki nie byliśmy już całkiem pijani i przykre wspomnienie tego, że mąż wystawił mnie do wiatru, zbladło i straciło na znaczeniu. Zasnąłam jak kamień na sofie w salonie i obudziłam się rano pośród walających się na dywanie pustych butelek po piwie. Na niskim stoliku stał wazon z kwiatami. Co za marna próba udobruchania mnie, podjęta przez Chrisa.

Który zresztą wyszedł do pracy, zanim się ocknęłam.

Podkreślam oczy czarną kredką, mocno tuszuję rzęsy. Maluję usta bordową szminką, zbieram nadmiar chusteczką. Włosy upinam w luźny kok na czubku głowy i myślę smętnie, że ma się on nijak do tamtej szykownej fryzury za sześćdziesiąt dolców. Z głębin szafy wyciągam pudełko z czarnymi czólenkami. Wkładam nylonowe pończochy i pantofle, przeglądam się w lustrze.

Przechodzę obok dziecka, które śpi głęboko na rozłożonym na dywanie różowym kocyku z polaru. Przystaję na krótką chwilę, nie chcę, żeby coś wpłynęło na zmianę mojej decyzji. Upewniam się, że dziecko śpi, wychodzę na korytarz i cicho zamykam drzwi.

Nie zatrzymuję się ani na moment, nie zwalniam, żeby się jeszcze zastanowić.

Graham otwiera, zanim zastukam po raz drugi. Jak zwykle wygląda schludnie w dżinsach i podkoszulku. Uśmiecha się, omiatając wzrokiem upięte w kok włosy, małą czarną, mocny makijaż.

- O la la - mówi, gdy podnoszę ręce i zaczynam odpinać guziczki sukienki. Porzucony laptop spoczywa na kanapie, pokój wypełnia piosenka Niny Simone. - Co ty właściwie...? - pyta Graham, prowadząc mnie do środka i zamykając drzwi.

Zdejmuję sukienkę przez głowę, odsłaniając blad różowy komplet bielizny pod spodem. Oczy Grahama przywierają do różu, do koronki, i zostają tam tak długo, że rozumiem, iż podejrzenia Chrisa nie mają najmniejszego uzasadnienia.

- Nie chcesz tego - mówi Graham cicho.

Ja jednak odpowiadam, że przeciwnie, chcę.

Robię krok w jego stronę, chłonąc to wcielenie ideału, jakim jest Graham, pozwalając, by dotknęły mnie jego ciepłe dłonie.

Graham to dobry przyjaciel, więc z chęcią odda mi przysługę. Mało tego, będzie uszczęśliwiony. To z jego strony akt dobrej woli. Zwykła uprzejmość, myślę, gdy prowadzi mnie do niepościelonego łóżka.

WILLOW

Było późno. W domu panowała cisza. Joseph przyszedł do mojego pokoju i niedługo potem poszedł.

Obudził mnie krzyk, zduszony charkot, po którym zerwałam się z łóżka.

Pamiętam, że świecił blady sierp księżyca, mimo to było prawie całkiem ciemno. Pamiętam, że po tym krzyku nastąpiła cisza tak głęboka, tak wszechogarniająca, że zaczęłam się zastanawiać, czy mi się to nie przyśniło. Siedzę na łóżku i patrzę na księżyc, pragnąc, by serce zwolniło, a oddech powrócił stamtąd, dokąd się udał, gdy krzyk rozdarł ciszę. Płynące wolno chmury co i rusz go zasłaniają, sękate konary starych drzew rzucają długie cienie. Szeleszczą w ciemności, ocierają się z chrzęstem o siebie.

Nagle usłyszałam metaliczny szcęk klucza w zamku. Spodziewałam się ujrzeć Josepha, ale do pokoju, tocząc dzikim wzrokiem, wpadł Matthew z kuchennym nożem w rękę, z którego obficie kapłała krew.

- Chodź, Claire. Wstań. - Wyciągnęłam do niego rękę i pozwoliłam podnieść się z łóżka. - Musisz stąd iść, Claire - nalegał gorączkowo, obejmując mnie w niedźwiedzim uścisku. - Musisz uciekać. - Rzucił mi ubranie, bawełnianą bluzę, adidas i szerokie, za duże na mnie spodnie, i kazał mi się ubrać. - Szybko. - Głos mu drżał.

- Ale dlaczego? - zapytałam. - Dokąd mam iść?

- Pod drzwiami stoi walizka - odparł. - Jest w niej wszystko, czego potrzebujesz. - Pociągnął mnie za rękę i razem wybiegliśmy na korytarz.

Drzwi do sypialni Josepha i Miriam były szczelnie zamknięte. Skuliłam się, biegnąc obok ich pokoju, ze strachu przed tym, co znajdowało się w środku.

Nie wiedziałam, co gorsze: to, co tam rzeczywiście było, czy to, co sobie wyobraziłam. Nie sposób było tego orzec.

- Ale co z Josephem? - zapytałam, chociaż wiedziałam, wzięwszy wszystko razem - nóż i krew, zamknięte drzwi do sypialni, swobodę, z jaką poruszaliśmy się po całym domu, nie starając się tłumić kroków - że Joseph nie żyje.

Że to on tak okropnie krzyczał.

Że krew na nożu należała do niego.

Matthew ścisnął mnie mocno za rękę i szepnął prosto do ucha:

- Wiem, co on z tobą robił. - Nogi ugięły się pode mną na myśl, że zna moją tajemnicę. I sekret Josepha. W pewnym sensie zrobiło mi się lżej, że nie będę już dłużej musiała samotnie nieść tego ciężaru. Wyobraziłam sobie, że przez wszystkie te lata, gdy Joseph zakradał się do mnie, Matthew po drugiej stronie ściany nasłuchiwał. Przytuliłam się do niego, nie chciałam go puścić, ale znów mnie napomniął: - Musisz już iść, Claire. Natychmiast! - Siłą oderwał ręce, którymi obejmowałam go w pasie.

- Ale dokąd?! - zapytałam ze strachem, niepewnie. Nigdy dotąd nie byłam zdana wyłącznie na siebie.

- Przed domem czeka taksówka. Zawiezie cię na dworzec autobusowy. - Dopiero teraz spostrzegłam światła zaparkowanego przy krawężniku samochodu.

- Ale ja nie chcę! - krzyknęłam, usiłując dostrzec w ciemności wyraz oczu Matthew. - Wolę zostać z tobą. - Przywarłam do niego, otaczając go ciasno ramionami, a on mi na to pozwolił, ale tylko przez moment, bo zaraz potem siłą rozwarł moje palce i odsunął od siebie. Zanosłam się płaczem, ciężkim szlochem dobywającym się z głębi trzewi. - Chodź ze mną - błagałam, skowycząc, z wysiłkiem wyduszając pojedyncze słowa. „Chodź. Ze. Mną”. Matthew był jedyną bliską mi osobą na świecie. Mama mnie opuściła. Lily mnie opuściła. A teraz Matthew także mnie opuszczał.

- Claire.

- Chodź ze mną - prosiłam, błagałam jak dziecko, którym przecież nadal byłam. Tupałam nogami, nadąsana krzyżowałam ramiona. - Chodź ze mną, chodź ze mną. - Ciągnęłam go za rękę do drzwi otwartych na oścież, do bocznego okienka z wybitą szybą i odłamków szkła na

podłódze.

Na sekundę zamarłam. Wiedziałam już, jak Matthew wszedł do domu.

- Musisz już iść, Claire. - Wetknął mi w rękę pieniądze, plik banknotów, i pociągnął za sobą, chwytając po drodze walizkę. - No idź - powiedział - zanim... - Nie dokończył. - Idź - powtórzył i jeszcze raz mnie przytulił. Drżał na całym ciele zlany zimnym potem. W rzeczywistości wcale nie chciał, żebym odchodziła. Czułam to, nie, wiedziałam o tym. Mimo to wepchnął mi walizkę do ręki i dosłownie wyrzucił za próg. Uważałam, żeby nie nadepnąć na szkło.

Obejrzałam się tylko raz - stał w drzwiach z nożem za plecami, z twarzą powleczoną smutkiem i rozpaczą.

Pamiętam, że noc była rześka, lecz postrzegał to tylko mój umysł. Wiedziałam, że jest chłodno, jakby ktoś mi o tym powiedział, ale niczego nie czułam. Jakbym lunatykowała w głębokim śnie. Słyszałam, że płacę, ale dźwięk równie dobrze mógł dochodzić z telewizora. Byłam obserwatorką, a nie uczestniczką. Nie pamiętam, żebym podawała kierowcy kierunek. Niski, krępy mężczyzna był dla mnie jedynie parą oczu w lusterku wstecznym i stłumionym głosem. Sprawiał wrażenie, że wie, dokąd jechać. Wsiadłam do auta, które ruszyło szybko wyboistą ulicą, i pamiętam, jak myślałam, że szofer musiał słyszeć ponaglenia Matthew, dlatego tak pędził. Matthew musiał go uprzedzić. Przytrzymałam się klamki przed każdym zakrętem i zastanawiałam, czy tak samo gnał datsun mamy, zanim zdarzyła się kraksa.

Budynek, przed którym zatrzymał się taksówkarz, był niski i szary. Od frontu widniał wielki napis „Greyhound”. Stał na rogu wyludnionej o tej porze ulicy. Przed budynkiem kuliła się tylko siwa kobieta, zaciągając się papierosem.

- Siedemnaście dolarów - zachrypiął szofer.

- Co? - szepnęłam w odpowiedzi.

- Siedemnaście dolarów - powtórzył, pokazując plik banknotów otrzymanych od Matthew. Odliczyłam tę sumę i z walizką w rękę weszłam do budynku, obserwując stojącą przy wejściu kobietę z papierosem.

- Daj parę groszy - wymamrotała, ale ja mocniej ścisnęłam pieniądze,

żeby ich nie widziała.

W środku stał automat z napojami, więc od razu wrzuciłam do niego dolara i nacisnęłam czerwony guzik. Puszka spadła szybciej, niż się spodziewałam. Wzięłam ją i usiadłam na krześle w poczekalni. Na dworze było nadal ciemno, choć widziałam, że niedługo się rozwidni. W okienku kasowym siedział ponury starszy mężczyzna, przeliczając gotówkę. Słychać było grający telewizor, choć nie widziałam odbiornika. Podawano wiadomości i prognozę pogody.

Nie wiedziałam, co ja tu robię. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić, dokąd pójść. Jeszcze nie przetrawiłam informacji, że Joseph nie żyje. Policzki miałam mokre od łez, powieki napuchnięte od płaczu. Serce nadal waliło, a ten nieustanny galop sprawiał, że kręciło mi się w głowie. Pod bluzą na białym podkoszulku widniały krople krwi, którą opryskał mnie Matthew, gdy jak burza wpadł do pokoju.

Krew Josepha.

Byłam tego pewna. Powoli poskładałam okruchy informacji: stłuczona szyba w okienku przy drzwiach wejściowych, nóż, krzyk przechodzący w gardłowy charkot, który obudził mnie ze snu. Matthew stojący w progu, jego słowa:

- Idź już, zanim...

Zanim co? Siedziałam z walizką i szukałam odpowiedzi na to pytanie. Zanim przyjedzie policja. Zanim się zjawi Isaac. Dopiero teraz to do mnie dotarło: jestem zdana na siebie. Nie należę już dłużej do Josepha. Już nie będzie mnie odwiedzał po nocach.

Nie wiem, jak długo tam siedziałam. Sączyłam napój gazowany, słuchałam telewizji. Na dworcu autobusowym było ciepło i jasno. Przez pewien czas wpatrywałam się w migającą lampę jarzeniową na suficie. Potem do poczekalni wszedł mężczyzna w dżinsach, znoszonym podkoszulku i czapce bejsbolowej. Pomyślałam, że musi mu być zimno w tym stroju, ale nie wyglądał na kogoś, kto przemarzł. Zerknął na mnie ukradkiem. Widziałam, że mi się przygląda, choć udawał, że wcale tak nie jest. Niósł wypchaną torbę podróżną, tak pełną, że suwak się nie dopinał.

Skinął lekko głową, na zasadzie „widzę, że tu siedzisz”, i podszedł do

dużej tablicy na ścianie. Staął i zadarł głowę. Nad tablicą widniały dwa napisy:

„Odjazdy”.

„Przyjazdy”.

Był to rozkład jazdy autobusów.

Zaczekałam, aż mężczyzna kupi bilet do Chicago i usiądzie w odległym kącie poczekalni. Naciągnął czapkę na oczy i zdawał się drzemać. Otarłam oczy rękawem i podeszłam do tablicy, na której było tyle słów i liczb, że zakręciło mi się w głowie. Kearney. Columbus. Chicago. Cincinnati.

I nagle to zobaczyłam, dwa słowa tak nieoczekiwane, że musiało to być moim przeznaczeniem: Fort Collins.

Fort Collins. Te same słowa widywałam na odwrocie kopert z listami, które przysyłała do mnie Duża Lily z Kolorado. Moja Lily, mała Lily, mieszkała właśnie w Fort Collins.

Najwyższa pora ją odwiedzić. Znów ujrzeć moją siostrzyczkę.

HEIDI

Graham stoi przede mną w ciemnej sypialni i szeroko otwartymi oczami przygląda się, jak zrzucam bieliznę na podłogę. Bładoróżowy biustonosz spada na koronkowe figi obok pantofli i zwiniętych w kule nylonowych pończoch.

Bez pośpiechu wodzi po mnie wzrokiem, zatrzymując go na czerwonej ukośnej bliźnie, która ciągnie się od pępka w dół i niknie we włosach łonowych. Wieczna pamiątka.

Odrzucam jej obecność i mówię sobie, że to przecież nieprawda, bo moje dziecko śpi mocno tuż za ścianą na rozłożonym na dywanie różowym kocyku.

Graham milczy, kładąc mi dłonie na biodrach. Prowadzi mnie za sobą do łóżka i sadza na perłowszarej narzucie jednym końcem leżącej na dywanie. Spoglądam na wentylator na suficie, matowy nikiel z wiśniowej barwy skrzydłami, który zdmuchuje papiery z komody na podłogę. Najnowsze dzieło Grahama, który jednakowoż jest tak pochłonięty obserwowaniem mnie, że nie zwraca na to uwagi. Nie widzi, jak podmuch wentylatora wywołuje gęsią skórę na nagiej skórze moich ramion, nóg, piersi.

Staje w nogach łóżka i ściąga podkoszulek przez głowę. Nachylam się i muskam twarde mięśnie brzucha, delikatne owłosienie na torsie, zagłębienie pępka, mosiężny, ponoć zabytkowy guzik dzinsów.

Słyszę płacz dziecka.

Głośniejszy niż klakson samochodu, niespodziewany grzmot, ryk parowego silnika.

Zrywam się, zbierając rzeczy z podłogi w sypialni i w pokoju wypoczynkowym. Graham, głuchy na dziecięcy płacz, błaga, żebym nie wychodziła.

- Heidi - mówi proszącym tonem, który bez wątplenia sprawia, że serca kobiet miękną jak wosk. - Co się stało?

Zagląda mi głęboko w oczy, gdy wkładam sukienkę, nie wypuszczając z ręki skłębionych pończoch i majtek. Byle jak, krzywo zapinam guziki na plecach.

- Po prostu... - mamroczę rozgorączkowana, bo tak trudno wyzbyć się dotyku głodnych rąk Grahama, wilgotnego spojrzenia jego oczu, jakim Chris już dawno przestał na mnie patrzeć. - Zapomniałam o czymś. O czymś, co koniecznie muszę zrobić.

Słyszę płacz, stojąc w progu mieszkania Grahama, głośne, żalosne zawodzenie, i rzucam się biegiem, stukocząc obcasami. Graham woła jeszcze za mną:

- Heidi! - ale mnie nie goni.

Kiedy wbiegam do mieszkania, widzę dziecko rozciągnięte na kocyku. Głęboko uśpione.

Wyobrażałam sobie zupełnie co innego.

Spodziewałam się znaleźć kocyk owinięty wokół małej jak brzegi omletu, wciśnięty w gniewnie otwarte usteczka. Ją zaczerwienioną od płaczu, zachrypniętą, jakby płakała dniami, tygodniami, miesiącami.

Nic z tych rzeczy. Leży cichutko, nie licząc szmeru delikatnego oddechu. Nieruchoma na różowym kocyku, całkowicie spokojna w przeciwieństwie do mnie, całej rozdygotanej i z trudem łapiącej oddech.

Ona śpi, powiadam sobie, choć jest to właściwie niemożliwe, bo przecież wyraźnie - tak wyraźnie, jak to, że stoję i oddycham - słyszałam jej żalosny płacz.

Podbiegam do dziecka i biorę je na ręce. Budzi się z sennego odrętwienia.

- Już, już, maleńka - szepczę jej cichutko do ucha. - Mamusia jest z tobą. Mamusia już nigdy cię nie zostawi.

WILLOW

W walizce od Matthew znajdowało się wszystko, czego mogłam potrzebować: pieniądze, i to całkiem sporo, trochę odzieży, jedzenie w postaci batoników, ciastek owsianych i wafelków. Nie miałam pojęcia, skąd wziął tyle pieniędzy. Umościłam się w autobusie, ściskając walizkę z jedynym dobytkiem, jaki posiadałam. Gdy pojazd przemierzał kręte szosy Nebraski, a słońce wstawało powoli na zimowym niebie, położyłam ją sobie na kolanach, otworzyłam zatrzaski i ujrzałam książkę podobną do tych, które Matthew ukradkiem zostawiał kiedyś w moim pokoju: „Pięćdziesiąt stanów Ameryki”. Przeglądając grubą książkę, spostrzegłam, że Matthew sporządził przeznaczone dla mnie notatki czarnym atramentem, który rozlał się nieco na śliskich stronicach. Obok Alaski: „Za zimno”. Nebraska: „Bez sensu”. Illinois: „Być może”. Przewodnik po mojej przyszłości, taka była intencja.

Montana: „Dobre miejsce na kryjówkę”.

Zastanawiałam się, czy to właśnie powinnam zrobić – znaleźć dobre miejsce na kryjówkę. Czy ktoś będzie mnie szukał? Być może Joseph albo policja. Nie, napomniałam samą siebie. Nie Joseph. Przecież on nie żyje.

Zamknęłam oczy i próbowałam zasnąć, ale sen nie przychodził. Wciąż widziałam oszalałe oczy Matthew, gdy wpadł do mojego pokoju z zakrwawionym nożem w rękę. Wciąż słyszałam krzyk i charkot Josepha dzwoniące mi w uszach i ze wszystkich sił starałam się nie myśleć, co zaszło, kiedy opuściłam dom. Czy Matthew nadal tam był? I co teraz robił?

Dręczyło mnie podejrzenie, że wszyscy mi się przyglądają, że... wiedzą. Osunęłam się niżej na siedzeniu i próbowałam ukryć, nie patrząc na współpasażerów, nie odpowiadając na zdawkowe powitania, udając, że nie widzę mężczyzny w czarnym garniturze i koloratce, który usiadł po przeciwnej stronie przejścia i kartkował zniszczony

egzemplarz Biblii.

Zwłaszcza jemu nie chciałam się przyglądać.

Zamknęłam oczy i udawałam, że wcale go tu nie ma, że nie może wykryć moich grzechów, wywęszyć ich jak pies myśliwski śladów zwierzyny.

Krótko po południu zaczęłam z wolna rozpoznawać krajobraz za przyciemnianą szybą. Na olbrzymich zielonych tablicach widniały wypisane wielkimi białymi literami nazwy miast, które znałam: North Platte, Sutherland, Roscoe. Zobaczyłam transparent rozciągnięty wzdłuż szosy:

POCZĄTEK HRABSTWA KEITH

Znajomy widok pobielanych obór i ogrodzonych pastwisk, porzucony drewniany dom, nachylony tak nisko w stronę zbocza, że nawet osiem lat temu, kiedy widziałam go po raz ostatni, byłam pewna, że zsunie się po żółknącej trawie i zawali. Usiadłam prosto z nosem przytkniętym do szyby i nawet warkot silnika nie mógł stłumić dzwoniącego mi w uszach głosu mamy:

- Kocham cię, jak świnki kochają błotko.

Potem autobus skręcił w kierunku autostrady 61, a znaki drogowe pokazały, że nieopodal znajduje się jezioro McConaughy, gdzie jako dziecko zbudowałam mnóstwo zamków z piasku. W lecie mama często miała ochotę spędzić słoneczny dzień nad jeziorem, więc pakowała mnie i Lily do datsuna i jechałyśmy niezbyt długo do naszego rajku. Niemal zawsze zapominała zabrać kremu do opalania i po powrocie do domu, spieczone jak raki, porównywałyśmy piegi i czerwone nosy. Gapię się przez okno, gdy autobus wjeżdża na parking Conoco, tuż obok Super 8 i Comfort Inn, dokładnie naprzeciw baru U Wendy, gdzie jadłam razem z mamą tak dawno temu, że wydaje się to w jakimś innym życiu. Jest tam też market spożywczy i postój dla ciężarówek, tak jak zapamiętałam. Pamiętałam wszystko. Autobus przejeżdżał przez Ogallalę w drodze do Fort Collins. To była Ogallala.

Byłam w domu.

Gdy autobus się zatrzymał i pasażerowie poszli do baru, żeby coś przekąsić i skorzystać z toalety, zapragnęłam chwycić walizkę i uciec.

Serce waliło mi w piersi, ręce drżały. Precisnęłam się obok garstki nowych pasażerów, którzy dosiedli w tym miejscu.

- Przepraszam - mruzczałam. A także: - Muszę przejść.

Walizkę niosłam przed sobą i obijałam się boleśnie o twarde siedzenia. Kilka osób obrzuciło mnie wrogimi spojrzeniami. Dziewczyna z długimi różowawymi włosami, której nadepnęłam na nogę w eleganckim pantofelku, prychnęła z niezadowoleniem, ale się nie przejęłam.

Przekonywałam się, że jakoś trafię do domu z prefabrykatów, choć było to raczej niemożliwe. Zresztą nie miało to znaczenia. Mogłabym zakotwiczyć w jakimś rowie w Ogallali i nadal czułabym się jak w domu. Ogallala. Dom. Odczuwałam to każdą komórką ciała. Ogarnęło mnie nagle dziwaczne przeczucie, że wszystko to jest jednym wielkim nieporozumieniem. Może mama nadal tu jest. Wejdę do naszego domu i ona tam będzie, razem z tatą i malutką Lily, która nie była żadną „Rose” i nie miała siostry innej niż ja. Gdy wejdę przez zniszczone siatkowe drzwi, znów będę miała osiem lat i będzie tak, jakby te wszystkie lata się nie wydarzyły. Czas stanął w miejscu. Mama nadal żyje, jak zwykle pełna entuzjazmu krąży po skromnie urządzonej pokojach, które wyglądają dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy je opuściłam. Nie mieszka w nich inna rodzina, w moim łóżku nie śpi inna dziewczynka. I nigdy nie słyszałam o człowieku mającym na imię Joseph. To zwykłe nieporozumienie, powtarzałam w duchu, schodząc po wysokich stopniach autobusu na parking Conoco. Zaskoczył mnie ziąb na dworze - próbował mnie przekonać, bym jednak zmieniła zdanie - ale go nie słuchałam. Ruszyłam przez parking w kierunku ulicy. Kierował mną bunt, odmowa uwierzenia w to, co - jak w głębi ducha wiedziałam - było jednak prawdą. To tylko jedno wielkie nieporozumienie, powtarzałam z uporem.

Mama żyje, tata żyje, myślałam. Stąpałam szybko i pewnie. Przeszkadzała mi walizka, boleśnie obijając się o prawą nogę.

Okazało się, że pamiętam drogę do domku z prefabrykatów. Być może umysł nie pamiętał, ale stopy wiedziały, dokąd iść, bo wyprowadziły mnie z parkingu prosto na Prospector Drive. Walizka przestała mi przeszkadzać, podobnie jak zimne, przenikliwe powietrze. Działałam na

autopilocie, na kontroli trakcji, jak mawiał tata, gdy go pytałam, czy nie męczy go to całe kierowanie ciężarówką. Mijając stare ceglane budynki, które pamiętałam z dzieciństwa, bezlistne drzewa rosnące wzdłuż Pierwszej, Drugiej, Trzeciej i Czwartej Ulicy, białe domki szeregowe i słupy telegraficzne, myślałam wyłącznie o mamie i nadziei, że ona nadal żyje. Z czasem domków i słupów masowo przybywało. Skręciłam w Spruce Street, przy której stały przyczepy mieszkalne i billboardy, a samochody gnały tak szybko, że pęd rozwiewał mi włosy.

Gdy dotarłam na Canyon Drive, stopy piekły mnie i bolały. Straciłam czucie w zmarzniętych palcach i leciało mi z nosa. Ręka zdrętwiała od ciężaru walizki, czułam ból w obtartej nodze.

Domek był jeszcze mniejszy, niż zapamiętałam, biel ścian poszarzała. Schody do drzwi od frontu, które kiedyś wydawały mi się wysokie i szerokie, okazały się czterema koślawymi wąskimi stopniami. Brakowało części aluminiowej poręczy, stał za to słup z zamontowanym koszem, którego kiedyś nie było, i honda hatchback na podjeździe. Czerwona. Zamiast datsuna bluebirda.

Stałam po przeciwnej stronie Canyon Drive i patrzyłam na dom, w którym kiedyś mieszkałam. Zbierałam się na odwagę, żeby przekręcić gałkę w drzwiach wejściowych, modląc się, by w środku znaleźć mamę, chociaż oczywiście w głębi serca wiedziałam, że ona nie żyje. Starłam się jednak ignorować tę wiedzę i zamiast tego powtarzać w duchu: „A gdyby tak...”. Pojawiła się ulotna myśl: jeżeli nie sprawdzę, to nigdy się nie dowiem, i tak będzie lepiej, bo niewiedza jest lepsza od dowodu, że moi rodzice umarli. Ostatecznie byłam wtedy dzieckiem, miałam osiem lat. Może to, co mi wtedy powiedzieli, było kłamstwem, jednym z mnóstwa kłamstw, jakimi faszerował mnie Joseph. Może mama wszędzie mnie szukała, rozklejała moje czarno-białe zdjęcia i komputerowo wygenerowane podobizny mojej osoby w wieku szesnastu lat.

Jeśli sądzisz, że widziałeś Claire, zadzwoń, proszę, na infolinię.

Wyobraziłam sobie treść ogłoszenia:

Ostatnio widziano Claire przed jej domem na Canyon Drive w Ogallali, stan Nebraska. Jasne włosy, jasnoniebieskie oczy. Posiada

niewielką bliznę pod brodą i szparę między przednimi zębami. Była ubrana w...

W co byłam ubrana tamtego dnia, kiedy Amber Adler przyjechała powiadomić mnie o śmierci rodziców? Ulubiony biały podkoszulek z rysunkiem czerwonej szminki i zamasztyłym napisem CMOK, ozdobionym odciskami karminowych ust. Albo bluzkę w groszki lub...

O tym myślę, kiedy drzwi domu otwierają się gwałtownie i panującą ciszę przerywają odgłosy dziecięcej sprzeczki. Surowy, zmęczony głos matki – nie mojej, ale czyjejs – każe im się „łaskawie zamknąć”.

Widzę całą trójkę – nie, czwórkę, bo matka niesie niemowlę na rękach – jak w podskokach zbiegają po koślawych schodkach niczym stadko rozbawionych kociąt. Dwaj chłopcy, w dzinsach i trampkach, w ciepłych kurtkach i czapkach, przez cały czas trącają się łokciami i przezywają. Niemowlę – dziewczynka – jest owinięte różowym kocykiem. Przychodzi mi na myśl, że kobieta bardzo chciała mieć córkę. Łagodnie popycha chłopców przed sobą i każe im wsiąść do auta, bo inaczej się spóźnią. Jeden z nich odwraca się nagle i uderza w płacz.

- Uderzyłaś mnie! – krzyczy na matkę.

- Daniel – powtarza ze znużeniem. – Wsiadaj do samochodu.

Ale chłopak nie rezygnuje, płacze i krzyczy u podnóża schodków, za to starszy syn posłusznie gramoli się do hondy. Matka sadza niemowlę w specjalnym krzeselku. Pięcio-, może sześćioletni Daniel stoi nadąsany z rękoma na biodrach. Przyglądam się temu zdziwiona, nigdy nie odezwałabym się tak do mamy i nie przezywałabym brzydko Lily. Uznaję, że ani trochę nie podoba mi się ten chłopak. Czapkę ma przekrzywioną, podobnie jak kurtkę, której lewy rękaw zwisa poniżej dłoni w rękawiczce. Nie podobają mi się jego niebieskie trampki ani nadąsana mina.

Drażni mnie zwłaszcza to, że dzieciak najwidoczniej uważa, iż to, że musi wsiąść do auta i po coś pojechać, jest najgorszą rzeczą na świecie. Cóż, nie spotkał na swojej drodze Josepha.

Cóż bym dała za możliwość zrobienia z mamą zakupów w supermarkecie. Przypominam sobie, jak chętnie pchałam razem z nią wózek z zakupami i łaskotałam Lily, żeby ją rozśmieszyć, odpędzić nudę.

Pamiętam cudowny zapach świeżo upieczonych pączków, które kupowałyśmy na śniadanie.

Wyobrażam sobie lukrowane pączki z tęczową posypką albo czekoladą, gdy nagle kobieta rusza w moją stronę, ja zaś instynktownie zaczynam się cofać.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - pyta, podchodząc bliżej. Z brązowych, podkrążonych oczu wyziera zmęczenie, mysie włosy przykłapły, jakby nie miała czasu ich umyć ani uczesać. - Zgubiłaś się, moja droga?

Nagle zauważam szczegóły, których nie dostrzegałam wcześniej: przyklepione do okien zielone czterolistne koniczyny, jakich nie mieliśmy, czarne litery na skrzynce pocztowej składające się na nazwisko „Brigman”. Szczekający pies w oknie, duży owczarek niemiecki, wychylający się zza firanek, których dawniej tu nie było. Fotel bujany na małym ganeczku, krasnal z tabliczką „Witamy”. Nadąsany chłopak i ten drugi, starszy, który wysiadł z auta, żeby sprawdzić, z kim rozmawia matka.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - dopytuje kobieta, a ja odwracam się na pięcie i uciekam.

To nie mój dom.

Uświadomienie sobie tego sprawia, że brak mi tchu. Ciężko dysząc, biegnę Canyon Drive, mijając zaparkowane samochody i ogrodzone posesje, skrzynki pocztowe i skoszone trawniki, a żwir tryska spod butów. Świat wiruje coraz prędzej. Przecinam trawnik na wypadek, gdyby kobieta, pani Brigman, próbowała mnie gonić hondą. Potykam się o spory kamień i upadam na czyimś podwórku. Spodnie na kolanach natychmiast przemiekają. Walizka się otwiera, jej zawartość wysypuje na ziemię, książki i banknoty namakają. Szybko zbieram swój dobytek i upycham go w środku.

Z początku tego nie zauważyłam, dopiero w ostatniej chwili... Stałam, modląc się, żeby nikt nie obserwował mnie z okna od tyłu, gdy wtem coś przyciągnęło mój wzrok, błyszcząc na szarawym, rozmiękłym śniegu. Podniosłam to i nagle miałam w ręku fotografię mamy, tę samą, którą przed laty Joseph kazał mi podrzeć na strzępy. Potem kazał mi pójść do

śmietnika i je tam wrzucić. Pamiętam, że Matthew i Isaac siedzieli wtedy przy stole i gapili się na mnie. Patrzyli, jak wyrzucam strzępki fotografii, a potem na polecenie Josepha idę na górę, żeby w pokoju modlić się do Boga o przebaczenie.

Matthew musiał wyjąć kawałki fotografii ze śmietnika, ułożyć je jak puzzle i podkleić. Zdjęcie było grube za sprawą niezliczonych pasków taśmy klejącej, a śliczna twarz mamy, jej długie czarne włosy i oczy poznaczone białymi liniami. Trzymałam fotografię w rękach jak relikwię, choć była skażona łapami Josepha.

Gdzie Matthew przechowywał ją przez te wszystkie lata?

Dlaczego wcześniej mi jej nie pokazał?

Oczywiście wiedziałam dlaczego. Bał się, że Joseph ją u mnie zobaczy.

Nie musiał się już tym przejmować.

Tyle lat upłynęło, odkąd patrzyłam na mamę. W moim umyśle czarne włosy się rozplątały, niebieskie oczy rozwodniły jak puszka gazowanego napoju z dodatkiem wiadra wody. Uśmiech skurczył się o połowę i tylko czasem zdarzało mi się pamiętać, że mama malowała usta karminową szminką, kiedy tata przyjeżdżał do domu. Ale oto i ona, proszę: włosy czarne jak węgiel i szafirowe oczy, wargi pociągnięte jaskrawoczerwoną pomadką. I szeroki uśmiech. Dochodził do mnie z tej fotografii i przypominałam sobie, że mama w chwilę po tym, jak ją zrobiłam, zabrała aparat i pstryknęła mi zdjęcie. Kiedy wywołałyśmy je w stoisku przy supermarkecie, wymieniliśmy się zdjęciami, żebyśmy mogły zawsze być razem, nawet rozdzielone.

- Kocham cię, jak całusy kochają uściski - powiedziała, całując mnie w policzek.

W drodze do domu oglądałam ślad szminki na policzku i długo nie pozwoliłam go sobie zetrzeć.

Przyciskam fotografię do piersi i wiem, że mama jest ze mną, nawet jeśli jej nie ma.

Mama nigdy, przenigdy mnie nie opuści, nawet za milion lat.

HEIDI

Mocno przytulam moje dziecko i siadam na bujanym fotelu, przysięgając w duchu już nigdy, przenigdy nie zostawić go samego. Mała zaczęła gniewnie płakać, jest rozzłoszczona, chwyta kosmyki moich włosów i ciągnie, szarpie z całej siły, zanosząc się przeraźliwym, nieprzerwanym szlochem, aż brakuje jej tchu i nagle dławi się, łowiąc powietrze. Wstaję z fotela i zaczynam chodzić po pokoju. Zza ściany dolatuje stłumiony śpiew Niny Simone. Rozpoznaję „I Put a Spell on You”. Graham puszcza muzykę głośniejszą niż kiedykolwiek dotąd.

A może tylko tak mi się wydaje?

Czy próbuje zagłuszyć przenikliwy płacz mojego dziecka? Czy to wiadomość dla mnie? Wyobrażam sobie Grahama, nadal w neglizżu, jak zastanawia się, dlaczego musiałam wybiec, ledwie przyszedłam.

A potem myślę, co teraz pocznę w pustym mieszkaniu, nagi do pasa, z rozpiętym suwakiem dżinsów. Czy zadzwoni po którąś z przyjaciółek, żeby wypełniła pozostawioną przeze mnie pustkę? Usiłuję o tym nie myśleć, nie wyobrażać sobie ponętnej blondynki, która siada na moim miejscu na krawędzi nieposłanego łóżka, i niepomnego zmiany Grahama, podnieconego dotykiem kobiecych rąk na nagim ciele. Pragnę się pozbyć tego obrazu: ja na łóżku Grahama, on unoszący się nade mną. Jak daleko posunęłabym się, co bym uczyniła, gdyby nie moje dziecko...?

Ale przecież malutka spała, poprawiam się w duchu. Czy rzeczywiście? Rozmyślałam o tym, jestem zbita z tropu, ale pamiętam przecież ten płaczliwy krzyk - bezradny i rozpaczliwy, całkiem zagubiony - który doszedł mnie zza ściany sypialni Grahama. Słyszę go w myśli wciąż od nowa jak ścieżkę dźwiękową akompaniującą tamtej scenie: Graham ściąga podkoszulek przez głowę, patrzę na jego umięśniony brzuch, meszek owłosienia, mosiężny guzik przy pasku dżinsów.

A potem ten krzyk.

Dziecko płakało, powtarzam sobie. Wcale nie spało.

Poruszam małą delikatnym kołyszącym ruchem, w górę i w dół, w tył i w przód, aby ją uspokoić. Jest na mnie zła, że ją zostawiłam.

- Tak mi przykro - powtarzam po raz enty. - Mamusia już nigdy nie zostawi cię samej. - I pokrywam jej czerwoną ze złości, wykrzywioną twarzyczkę pocałunkami.

Mówię sobie, że nie jestem dobrą matką. Dobra matka nie zostawiłaby jej samej w mieszkaniu. Usprawiedliwiam się, że był to moment słabości, i przypominam sobie prezerwatywę znalezioną w kieszeni Chrisa. Na samą myśl o kwadracie błyszczącej folii oblewam się zimnym potem i mocno bije mi serce.

W kuchni rozrabiam pokarm w butelce, bo wiem, że mała jest głodna. Niecierpliwie trąca noskiem materiał mojej czarnej sukienki. Po dolaniu miarki wody mocno potrząsam butelką. Zastanawiam się, dlaczego przestałam karmić moje dziecko piersią i zdecydowałam się na butelkę. Czy w ogóle karmiłam piersią? Okazuje się nagle, że zupełnie tego nie pamiętam. To przez nowotwór, mówię sobie, po czym nachodzą mnie wątpliwości. Nowotwór?

A może rak był jedynie wytworem mojej wyobraźni? Myślę o wąskiej bliznie na podbrzuszu, wzdłuż której Graham powiódł palcem i niemal o nią zapytał, ale przycisnęłam palec do warg i szepnęłam:

- Ciii...

I zastanawiam się, skąd ona się wzięła i czy to w ogóle blizna.

W moim umyśle pojawia się nagle złowieszcze i ohydne słowo, a ja bezradnie kręcę głową, by się go jak najszybciej pozbyć.

Aborcja.

Ale nie. Tulę do siebie dziecko, wiedząc, że to nie może być prawda.

Lekarz z łysiejącą czaszką powiedział, że moja Juliet znalazła się wśród odpadów medycznych. Dodał, że odpady te trafiają do spalarni, ja zaś pozostałam z okropnym wyobrażeniem, które prześladowało mnie latami, powracając w koszmarnych snach: maleńka Juliet w piecu o temperaturze tysiąca stopni, podrzucana jak cement w betoniarce, żeby równo płonęła, jej mała duszyczka unosząca się do ziemskiej atmosfery w postaci mgiełki gazu.

- Nie - mówię na głos, kręcąc stanowczo głową.

Spoglądam na dziecko i myślę, że Juliet jest tu ze mną. Bezpieczna.

Może blizna na podbrzuszu to znamię, takie samo jak na nóżce mojego dziecka? Czy znamiona mogą być dziedziczne? Wspominam tamten dzień, kiedy jechałam linią L na lunch z Chrisem w azjatyckiej knajpce, gawędząc z pasażerami, którzy zachwycali się moim ślicznym dzieckiem i naszym podobieństwem. Każda matka na świecie pragnie słyszeć, że dziecko jest do niej podobne.

- Ma pani oczy - twierdziła jakaś kobieta.

- I pani uśmiech - dorzuciła inna.

Delikatnie powiodłam palcem po górnej wardze małej, z wyraźnym V pośrodku, o którym mówi się czasem, że odzwierciedla łuk Kupidyna.

Tak jak u Zoe. I u mnie.

- To u nas rodzinne - powiedziałam, a dziecko rozpromieniło się na to uśmiechem, jakby wiedziało, że jest tematem rozmowy, zwraca na siebie powszechną uwagę.

- Ona jest moja - szepczę, tuląc ją w ramionach, odsuwając od siebie myśli o Willow pospołu z imieniem Ruby. - Tylko moja.

Brzęczyk domofonu wyrywa mnie z zamyślenia, głośny i niewiarygodnie natarczywy, bo akurat podaję mojej małej butelkę. Czy to za sprawą niemiłego dźwięku, czy też z innej przyczyny, dziecko odpycha ją i znowu zaczyna płakać.

Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Pod drzwiami na klatkę stoi Jennifer, moja najlepsza przyjaciółka. Z dwoma kubkami kawy ze Starbucksa w rękach. Ma na sobie szerokie szpitalne spodnie i dżinsową kurtkę, uporczywy chicagowski wiatr rozwiewa jej czuprynę. Schylam się gwałtownie, zanim zobaczy mnie w oknie, i mam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie. Nie mogę się z nią teraz widzieć. Będzie patrzyła na moją elegancką sukienkę, źle zapięte guziki, mocny, obecnie dosyć rozmazany makijaż. Zwinięte w kulkę, rzucone na dywan pończochy i figi, czarne pantofle znów na darmo wyjęte z pudełka.

Jennifer będzie chciała się dowiedzieć, co się stało. Zapyta o Grahama. I o moje dziecko.

Co jej powiem? Jak wszystko wyjaśnię?

Brzęczyk odzywa się ponownie, więc podnoszę się na kolana, przyciskając wrzeszczące dziecko do piersi, i wyglądam na dół, gdzie Jennifer, osłoniwszy dłonią oczy, spogląda prosto w okno wykuszowe, więc znów gwałtownie się schylam, nie mając pewności, czy spostrzegła mnie w oknie, czy też nie. Kładę dziecko na podłodze i obie kulimy się w ciasnej przestrzeni pod parapetem.

- Ciii... - mówię błagalnym tonem. - Proszę cię, bądź cicho...

Dzwoni komórka. Nie muszę nawet patrzeć na wyświetlacz, by wiedzieć, że to Jennifer zastanawia się, gdzie teraz przebywam. Z pewnością dowiedziała się, że jestem chora, jeżeli wcześniej dzwoniła do mojego biura. Recepcjonistka Dana powiadomiła ją o grypie, która wciąż nie przechodzi, więc najlepsza przyjaciółka przybyła do mnie z kawą albo kubkiem Earl Greya, bym poczuła się lepiej. A ja ukrywam się przed nią, klęcząc pod parapetem i błagając niemowlę, żeby się uciszyło.

Komórka przestaje wreszcie dzwonić, podobnie jak domofon, i gdyby nie płacz dziecka, zapanowałaby cisza. Wyglądam ostrożnie i widzę, że Jennifer już poszła. Jeszcze przed chwilą tu była, i nagle jej nie ma. Szperam wzrokiem w poszukiwaniu spłowiałej dżinsowej kurtki, ale udaje mi się wypatrzyć tylko starszą sąsiadkę z wózekiem na zakupy.

Oddycham z ulgą, pewna, że niebezpieczeństwo minęło, i zaczynam zmagania z dzieckiem, żeby wypilo pokarm z butelki.

- Proszę cię, skarbie - mówię, czy też raczej zamierzam powiedzieć, gdy wtem pukanie do drzwi sprawia, że niemal wyskakuję ze skóry. Jest lekkie, ale stanowcze. Jestem pewna, że to Jennifer, która wśliznęła się do środka, gdy starsza pani Green wychodziła do sklepu. Co za podstęp, myślę, nasłuchując wołania zza drzwi.

- Heidi! - krzyczy Jennifer i ponownie stuka; słyszę to przekłete stuk, stuk, stuk, które mówi głośniejszym niż słowa. Ona wie, że tu jestem. - Heidi - powtarza, a ja rzucam się biegiem z dzieckiem na rękach, byle dalej od drzwi. Wyobrażam sobie, że otacza nas dwutlenek węgla i musimy znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogły swobodnie oddychać. Głos Jennifer jest stłumiony przez odległość, gdy kulę się w sypialni, przekręcając żaluzje w taki sposób, żeby nie było nic widać z ulicy, mimo

to jestem pewna, że słyszę, jak mówi: „widziałam cię” i „wiem, że tam jesteś”, stuk, stuk, nie przestając pukać do drzwi.

Odbiorą mi dziecko. Przyjdą i je zabiorą.

- Proszę, Juliet, bądź cicho, cichutko - błagam przerażona, że znów odrzuci butelkę i zacznie płakać. Imię Juliet wymyka mi się z ust, nieprawidłowe, a zarazem jakże słuszne. Ale płacz... płacz nie cichnie. Znowu jestem z malutką Zoe, która ma atak kolki i wrzeszczy z bólu, tyle że z Zoe nie musiałam się chować, klęczeć skulona w sypialni na podłodze.

Nie potrafię orzec, jak długo tak czekamy. Minutę czy godzinę, nie wiem, ale nie przestaję potrząsać moim dzieckiem i błagać, by umilkło. Pukanie jest coraz rzadsze, w końcu ustaje; komórka dzwoni i milknie, dzwoni i milknie, telefon stacjonarny, komórka, wreszcie cisza.

Ukradkiem obserwuję zza zasłoniętego żaluzją okna, jak Jennifer pojawia się na ulicy i zaczyna krążyć przed domem, nie wiedząc, co począć. Spogląda na duże okno w naszym pokoju wypoczynkowym i dopiero gdy oddala się ulicą, wyrzuciwszy do śmietnika jeden firmowy kubek, wyłaniam się na palcach z sypialni i szukam komórki, której dzwonek Jennifer z pewnością słyszała, stojąc pod drzwiami mieszkania. Mam trzy nieodebrane połączenia, wiadomość w poczcie głosowej. I SMS-a:

Gdzie jesteś?

WILLOW

Louise Flores wzywa mnie ponownie. Do celi, którą dzielę z Divą, przychodzi strażniczka i każe mi najpierw wyciągnąć ręce przez otwór, żeby mogła je skuć kajdankami. Złazę z pryczy i posłusznie wykonuję polecenie.

Strażniczka prowadzi mnie za ramię.

Flores chce dziś rozmawiać o małej Calli. Siadam naprzeciw niej na twardym, zniszczonym krzeselku.

- Dlaczego zabrałaś to dziecko? - pyta, a mnie przypomina się tamten wieczór, kiedy stałam w cieniu kępy drzew i patrzyłam w okna domu ze spadzistym dachem.

Po wizycie w starym domku z prefabrykatów w Ogallali wróciłam na parking Conoco, gdzie ubłagałam kasjerkę, żeby zamieniła mój niewykorzystany bilet na nowy. Oczywiście spóźniłam się na autobus do Fort Collins. Zgodziła się za dwadzieścia dolców. Niechętnie. Było już wtedy ciemno. Następny autobus miał przyjechać w środku nocy, pięć po trzeciej.

Nie od razu wróciłam na parking. Najpierw odwiedziłam jeszcze cmentarz przy Piątej Ulicy i poleżałam na trawie obok mamy i taty.

Potem wzięłam się w garść i zrobiłam to, co należało.

W domu ze spadzistym dachem płonęło mnóstwo lamp, całe wnętrze rozjarzone, dlatego widziałam wszystko jak na dłoni, jakbym była tam z nimi w środku, mucha przycupnięta na ścianie. Paul Zeeger ścigał krawat w pokoju na górze. Duża Lily trzymała to głupie dziecko na rękach, kołysząc się wraz z nim i głaszcząc po głupiej głowie. Pies u jej stóp radośnie machał ogonem, a kiedy podeszła do drzwi, żeby go wypuścić, ukryłam się głębiej w cieniu.

- No idź, Tyson - zachęciła go lekkim szturchnięciem stopy w zadek. - Pośpiesz się. - Zamknęła za nim drzwi, a on natychmiast mnie wywęszył, podbiegł i polizał po rękę. Odepchnęłam go, możliwie stanowczym

głosem nakazałam, żeby sobie poszedł, i dalej przypatrywałam się domowi. Gazowy kominek był włączony, w telewizji leciały wiadomości, które Zeeger oglądał rozciągnięty na łóżku w sypialni.

Mała Lily... moja Lily... siedziała samiuteńka w swoim pokoju i czesała lalczyne włosy. Siedząc na brzegu łóżka z lalką między kolanami, zaplatała jej warkocz. Moja Lily nie była już małym dzieckiem. Była starsza niż ja wtedy, gdy zginęli rodzice.

I była śliczna. Przepiękna. Zupełnie jak mama.

- Dlaczego nie zabrałaś po prostu Rose? - pyta Flores, odłamując kęs babeczki i wsuwając go do ust. - W końcu to twoja siostra.

- Lily - poprawiam gniewnie. - Na imię ma Lily.

Przypominam sobie, jak miała już dość plecenia warkoczków. Może nie szło jej to zbyt dobrze albo znudziła ją zabawa z lalką, tego nie wiem. Zanim ze złością cisnęła nią w kąt pokoju, przez chwilę spoglądała w jej mrugające oczy. Głowa lalki rozbiła się o ścianę i odpadła. Paul i Duża Lily drgnęli, ale to ona, usłyszawszy żałosny płacz mojej Lily, ułożyła niemowlę w kołysce i pobiegła na górę.

Lily nie cierpiała małej Calli, tak to sobie przedstawiłam. Wyżywała się za to na lalce. Na moich oczach podeszła do kąta, gdzie leżała lalka, i ze złością kopnęła ją kraciastym kapciem.

Flores mierzy mnie surowym spojrzeniem, ale milczy.

- Dobrze - mówi w końcu. - Lily. Rose. Jakkolwiek. Odpowiedz na pytanie, Claire. Dlaczego nie zabrałaś siostry zamiast tamtego dziecka?

Rzecz w tym, że moja Lily wiodła wspaniałe życie. Wcześniej, zanim Paul i Duża Lily postanowili zastąpić ją własnym „wymarzonym” dzieckiem. Ja nie mogłam jej niczego ofiarować. Mój cały dobytek mieścił się w zniszczonej walizce otrzymanej od Matthew: szybko kurczący się plik banknotów dolarowych, kilka książek, posklejana ze strzępków fotografia mamy.

- Nie mogłabym zaopiekować się Lily - odpowiadam - gdybym ją stamtąd zabrała.

- Ale mogłaś zaopiekować się niemowlęciem? Malutką Callą?

- Nie to miałam na myśli - mamroczę, wzruszając ramionami.

- W takim razie co, Claire? - cedzi, zaciskając wargi i marszcząc

brwi.

Zdejmuje okulary i kładzie je na stole. Moja Lily mogłaby mieć znowu dawne życie. Wakacje nad morzem, różowo-zielone rowerki i szkołę Montessori. Musiałam tylko naprawić kilka szczegółów. Wobec tego gdy Duża Lily poszła na górę, a Paul przewrócił się na drugi bok, udając, że nie słyszy wybuchu złości małej Lily, zakradłam się tylnymi drzwiami do domu ze spadzistym dachem, niezamkniętymi na czas wieczornego spaceru cocker spaniela. Wsunęłam ręce pod różowy kocyk, na którym spało niemowlę, i razem z nim wyjęłam je z kołyski, ostrożnie podtrzymując główkę, tak jak uczyła mnie mama, gdy Lily była malutka. Tą samą drogą wymknęłam się na patio i znikłam w ciemności bezgwiazdnej marcowej nocy.

CHRIS

Zaspałem.

Kiedy w końcu się budzę, mam okropnego kaca – łupiący ból głowy i światłowstręt. Budzi mnie natarczywy dzwonek komórki, w moim obecnym stanie potwornie szarpiący nerwy. Henry. Głos w słuchawce przypomina szczekanie sierżanta od musztry, kiedy wydaje stanowcze rozkazy.

- Gdzie jesteś, do cholery? – pyta. Minęła dziewiąta.

Nie mam czasu na prysznic. Czekając w holu na windę czuję, że cuchnę tequilą i dymem z papierosów po wizycie w barze, do którego się wczoraj powlokłem. Oczy nabiegłe krwią, spocone, lepkie ręce. Zapominam notatek, z których mógłbym wyczytać, co mam powiedzieć grupce potencjalnych inwestorów, czekających w sali konferencyjnej na ósmym piętrze, na których spodziewałem się wyrzucić korzystne wrażenie. Gdy wślizguję się do pomieszczenia, oczy wszystkich zwracają się na mnie. Wyczuwam w swoim oddechu nieprzetrawiony alkohol, czuję skurcze w żołądku. Kwas żołądkowy podchodzi mi do gardła i z trudem tłumię beknięcie.

- Lepiej późno niż wcale – mruczy pod nosem Henry, gdy odchrząkuję ochryple. Kątem oka dostrzegam Cassidy, nachyloną do inwestora o imieniu Ted. Przysunęła wargi do jego ucha tak blisko, że wyobrażam sobie, iż Ted czuje jej ciepły, łaskoczący oddech. Nagle odwraca się do niej i jednocześnie parskają śmiechem; jestem pewien, że bawią się moim kosztem.

Przeczesuję włosy palcami.

W pewnej chwili Tom odciąga mnie na bok i szepcze, żebym wziął się w garść, do cholery. Wręcza mi kubek kawy, jakby kofeina mogła cokolwiek zmienić, pozbawić moją mowę bełkotliwego tonu i rozjaśnić mi w głowie. Gmeram w aktówce w poszukiwaniu sprawozdań finansowych, których nie znajduję. Zamiast nich wyjmuję zmięte notatki,

karteluszki i samoprzylepną kartkę z pojedynczym słowem: „Tak”.

Kawa jednak odrobinę pomaga. Robimy przerwę i wracam do pokoju, żeby się przebrać i uczesać. Brakujące sprawozdania finansowe leżą rozłożone na stole, więc wkładam je do aktówki. Szoruję zęby; kawa i pasta do zębów tłumią powoli smak alkoholu. Głowa mi pęka, biorę podwójną dawkę tabletek przeciwbólowych.

Kiedy wracam, Cassidy i Ted zajadają ze wspólnego talerza bajgla z serkiem śmietankowym. Siedzą blisko siebie, nachyleni. Cassidy oblizuje palce i szepcze mu coś do ucha. Spoglądają na mnie i znów wybuchają śmiechem. Przypominam ją sobie, jak w moim pokoju w hotelu rozpięła śnieżnobiałą tunikę, chcąc mnie zachęcić do pozostania. Pamiętam, że pośpiesznie wsunąłem mokasyny i wybiegłem na korytarz. Wyobrażam sobie, że wyszła ode mnie i poszukała Teda, czterdziestokilkuletniego zamożnego inwestora z szeroką ślubną obrączką na palcu. Widząc, jak się sprawy mają, przypuszczam, że jej nie odmówił. Pozwolił rozpiąć bluzkę do końca i zobaczył, co kryje się pod spodem.

Słyszę w głowie głos Heidi, powtarzający z uporem:

- *Femme fatale, femme fatale.*

Przeradza się to w głośny krzyk:

- Kobiety, zjednoczcie się!

Ciekaw jestem, jak wygląda żona Teda. Czy jest ładna? Ciekawe, czy mają dzieci.

Nie czuję ani śladu rozczarowania. Przede wszystkim raczej ulgę, bo widzę, że Cassidy było wszystko jedno, który z mężczyzn dotrzyma jej w nocy towarzystwa. Dziękuję sobie w duchu, że to nie byłem ja.

Ponieważ w innym razie to ja musiałbym tkwić jak osioł przy stole konferencyjnym, śliniąc się nad bajgłem z serkiem śmietankowym i obserwując, jak jej zwinnie język owija się wokół palców i oblizuje je do czysta.

Gdy dzwoni moja komórka, wydaję ją z kieszeni i sprawdzam wyświetlacz: Martin Miller, prywatny detektyw, którego wynająłem do wyśledzenia przeszłości Willow. Rażno wybiegam z sali konferencyjnej do holu i dalej, na taras na ósmym piętrze, z którego rozciąga się widok

na atrium w dole zastawione przez stoły bankietowe, sofy i donice egzotycznych roślin. Przez atrium wije się strumień, w którym pływają tłuste japońskie karpie.

W głosie Martina słyszę napięcie. Natrafił na informacje. Opieram się dłonią o balustradę i spoglądam osiem pięter w dół. Wysokość w połączeniu ze skutkami przepicia sprawiają, że kręci mi się w głowie.

- Co masz mi do przekazania? - pytam zdenerwowany. Ryby w przezroczystym strumieniu są jedynie pomarańczowo-białymi smugami.

Martin mówi, że przesyła mi mejlem artykuł z gazety, który ukazał się w połowie marca. Nie ma w nim wzmianki o Willow. Ani o Ruby. Ale Martin przypuszcza, że może chodzić właśnie o nią.

Czekam na sygnał, że mejl znalazł się już w telefonie. Wreszcie słyszę brzęk i wibrację.

Otwieram artykuł i prosto na mnie patrzy Willow Greer. Tyle że ona się tak nie nazywa. Czytam, że niejaka Claire Dalloway jest poszukiwana w celu przesłuchania w sprawie zabójstwa mieszkańca Omaha i jego żony oraz porwania niemowlęcia płci żeńskiej, które dnia szesnastego marca zostało uprowadzone z domu w Fort Collins w stanie Kolorado.

Przesuwam wzrokiem niżej i czytam, że Claire Dalloway może być uzbrojona i niebezpieczna oraz że Joseph i Miriam Abrahamsonowie z Omaha zostali zasztyletowani w czasie snu. Czytam o niemowlęciu, Calli Zeeger, i jej rodzicach Lily i Paulu. Z Fort Collins w Kolorado. Podano znaki szczególne: kolor oczu, odcień niemowlęcych włosów, znamię na nóżce przypominające kształtem stan Alaska.

Za oddanie dziecka wyznaczono nagrodę.

Czytam o Josephie i Miriam Abrahamsonach, rodzinie zastępczej Claire Dalloway, którzy łaskawie przyjęli ją do swojego domu po śmierci jej rodziców. Dziewczynka została osierocona w wieku ośmiu lat.

Czytam, że zostali zamordowani w swoich łóżkach w czasie snu.

- Ci Abrahamsonowie mieli też własne dzieci - informuje mnie Martin.
- Dwóch synów. Isaaka i Matthew, obaj mają teraz około dwudziestu lat. Młodszy syn, Isaac, ma na tę noc alibi. Pracował na trzecią zmianę

w Walmarcie, wykladał towar na półki. Wrócił do domu rano szesnastego marca i zastał martwych rodziców. Starszy Matthew uciekł i jest poszukiwany tak jak Dalloway. Policja chce go przesłuchać w związku z morderstwem.

- Nikomu o tym nie wspomniałeś, prawda, Martin? - pytam bez tchu.

- Nie, Chris, oczywiście że nie. Ale będziemy musieli to zgłosić. Trzeba zawiadomić policję o miejscu pobytu tej dziewczyny. O ile to rzeczywiście ona - dodaje, a ja myślę z rozpaczą, że raczej nie ma co do tego wątpliwości.

- Daj mi dwadzieścia cztery godziny - proszę z desperacją w głosie i Martin się zgadza. Osobiście muszę zawiadomić o tym Heidi, to ja muszę jej o wszystkim powiedzieć.

Nie jestem pewien, czy Martin rzeczywiście da mi tyle czasu, zanim zadzwoni z informacją na policję. Czytam:

Wyznaczono nagrodę za oddanie dziecka.

Dobry Boże, myślę i mówię Martinowi, że muszę już kończyć. Powinienem natychmiast zadzwonić do Heidi, ostrzec ją. Wybieram jej numer, przesyłam artykuł.

Telefon dzwoni i dzwoni, ale nikt nie odbiera.

W oczy rzucają mi się poszczególne słowa:

„Uzbrojona”.

„Niebezpieczna”.

„Zasztyletowani”.

„Śmierć”.

WILLOW

Jazda autobusem do Chicago trwała długo. Dokładnie ponad dwadzieścia trzy godziny, z szesnastoma postojami. Dwukrotnie trzeba było zabierać swoje bagaże i przesiadać się do innego pojazdu. Zobaczyłam przez ten czas więcej świata niż kiedykolwiek dotąd. Góry Kolorado skurczyły się po przekroczeniu granicy stanu i przeszły w równinę, na której ciągnęły się jedna za drugą farmy hodowlane. Na pastwiskach krowy cisnęły się przy karmnikach i stały upakowane tak gęsto, że sam ten widok wywoływał klaustrofobię. Przejechaliśmy przez Nebraskę, przez most na rzece Missouri, i powitali nas mieszkańcy stanu Iowa, a przynajmniej tak głosił spory napis na poboczu szosy.

Wybrałam Chicago ze względu na mamę. Stałam na kolejnym dworcu autobusowym pod ścianą z rozkładem jazdy. „Przyjazdy” i „Odjazdy”. Zobaczyłam nazwę „Chicago” i pomyślałam o mamie i jej liście marzeń, z której nie zdążyła skreślić zbyt wielu punktów przed koszmarnym wypadkiem datsuna. Nie widziałam na tej liście Szwajcarii ani Paryża, ale było tam Chicago z jego Magnificent Mile i butikami Gucciego i Prady, które mama tak pragnęła ujrzeć na własne oczy.

Przyszło mi na myśl, że skoro sama tego nie zobaczy, to ja zrobię to za nią.

Dziecko spało spokojnie na moich kolanach otulone miękkim różowym kocykiem. Nie miałam odwagi położyć jego albo walizki na siedzeniu obok, więc nasza trójka zajmowała pojedynczy fotel. Przez większą część czasu dziewczynka spała, ale kiedy otwierała oczy, trzymałam ją tak, żeby mogła popatrzeć przez okno, najpierw na słońce chylące się ku zachodowi, a później wschodzące nad Bramą na Zachód, miastem, które było kiedyś moim domem. Bo tak nazywano Omaha.

Na postoju na stacji benzynowej pod miasteczkiem Brush kupiłam mieszankę dla niemowląt, jaką mama karmiła kiedyś Lily, i plastikową butelkę. W pewnym momencie w środku nocy dziecko zaczęło

popłakiwać, więc podałam mu butelkę ze smoczkiem i po chwili, najadłszy się do syta, już znowu smacznie spało.

Staralam się nie myśleć o tym, że dziewczynka jest śliczna i urocza, zwłaszcza gdy chwyciła małą rączką mój palec i mocno ścisnęła. Nie zwracać uwagi na jej wpatrzone we mnie oczka i koszulkę z napisem „Młodsza Siostra”.

Myślałam za to o morskich anemonach. Czytałam o nich w książce, którą kiedyś przyniósł mi Matthew. Są to potencjalni mordercy w delikatnych, anielskich powłokach. Kiedy mała ścisnęła mój palec, przypominałam sobie ich zwiewne macki; gdy patrzyła na mnie i śmiała się szeroko, myślałam o ich wielobarwnych ciałach. Wyglądały jak rajskie kwiaty, ale nimi nie były. Przeciwnie, należały do groźnych morskich drapieżców. Były nieśmiertelne. Wstrzykiwały swoim ofiarom paraliżującą truciznę, po czym zjadały je żywcem.

To dziecko było morskim anemonem.

Nienawidziłam go, naprawdę. Ale gdy autobus przemierzał połacie kraju, a maluch to ścisnął mnie za palec, to wpatrywał się we mnie i raczył bezzębnymi uśmiechami, musiałam sobie powtarzać, że jest złem wcielonym, jakby ta myśl mi stale umykała. Powiedziałam sobie, że jej nie polubię. Ani trochę.

Lecz oczywiście stało się inaczej.

W Denver była kolejna przesiadka do innego autobusu. Miejsce obok mnie zajęła jakaś dziewczyna. Zwaliła się z takim impetem, że aż jęknęły sprężyny.

- Jak ma na imię twoje dziecko? - zapytała bezceremonialnie. Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. - Co z tobą? - zdziwiła się. - Zapomniałaś języka w gębie?

Była okropnie wychudzona, skóra i kości, miała zapadnięte policzki. Nosila za duże ubrania, wielgachna kurtka khaki opadała jej z ramion. Miała ciemne włosy i oczy. Na szyi nosiła psią obrozę z kolcami.

- Nie, t...to... - wyjąkałam, nie umiejąc nic wymyślić na poczekaniu.

- Przecież musi mieć jakieś imię, no nie? - ciągnęła niezrażona moim milczeniem. Nie mogłam wyjawic, że dziecko nazywa się Calla, wolałam nie ryzykować. - A może Ruby? - zaproponowała, widząc za oknem

przydrożną knajpę Ruby Tuesday.

Pomyślałam, że to karma. Przeznaczenie.

Gapiałam się na szyld, na wielkie czerwone litery. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo o imieniu Ruby. Przyszedł mi na myśl błyszczący czerwony kamień, klejnot koloru krwi. Rubin.

- Ruby - powtórzyłam, smakując to słowo, napawając się nim. - Podoba mi się. Uhm... Ruby - powiedziałam.

- No to Ruby - zgodziła się dziewczyna.

Na głowie miała siniak wielkości pięści i cięcia na nadgarstku, które daremnie usiłowała zakryć rękawem kurtki. Wsiadła w Denver, wysiadła w Omaha. Próbowałam nie patrzeć na siniak, ale fioletowe jajo na czole przyciągało wzrok.

- No co? - zapytała wyzywająco. - To? - Zakryła siniak włosami. - Powiedzmy, że mój chłopak jest dupkiem - wyjaśniła i zadała pytanie: - Co dziewczyna taka jak ty robi w środku nocy na dworcu autobusowym w Denver? I to z niemowlakiem - dodała, łaskocząc dziecko w nos.

Zaczęłyśmy rozmawiać. Cechował ją spokój, co mi się podobało. Rozmawiając, patrzyła mi w oczy.

- Powiedzmy, że potrzebna nam była zmiana klimatu - odparłam i na tym zakończyłyśmy fazę pytań, dokąd jedziemy i skąd przybywamy, ponieważ obie wiedziałyśmy bez słów, że z bardzo kiepskiego miejsca.

Na postoju w Kearney w Nebrasce dziewczyna ufarbowała mi włosy, a ja zrewanżowałam jej się tym samym. Trzymałyśmy farbę za krótko, więc zamiast jasnorudych jak na opakowaniu miałam nadal mysie, tyle że z rudym odcieniem. Potem dziewczyna zdjęła rozprute na kolanach dzinsy i sweter.

- Masz - powiedziała, rzucając mi ubranie. - Zamienimy się.

Podaliśmy jej dziecko. Miała tatuaż na rękach, połowę motyla na każdej dłoni. Złączone dawały całość.

- *Papilio glaucus* - powiedziała, kiedy zapytałam.

W kabinie toalety, której ściany pokryte były bazgrołami w stylu „Benny kocha Jane” i „Rita jest lesbą”, zdjęłam spodnie i bluzę od Matthew. Zostawiłam podkoszulek poplamiony krwią Josepha. Nie odważyłam się jej tego pokazać. Włożyłam ubranie dziewczyny, dzinsy

i sweter, kurtkę khaki z kapturem i skórzane glany z postrzępionymi brązowymi sznurowadłami. Kiedy wyszłam z kabiny, trzymała dziecko w jednej ręce, w drugiej zaś miała agrafkę.

- Po co ci to? - zapytałam, przyglądając się, jak wyjmuje z ucha kilka kolczyków: anielskie skrzydła, krzyżyk, czerwone wargi.

- To boli tylko sekundę - odparła, podając mi dziecko. Agrafką przebiła mi ucho i włożyła kolczyk do dziurki. Wrzasnęłam z bólu, odruchowo ściskając Ruby, która także wydała głośny wrzask.

Wrzuciłyśmy puste butelki po farbie do kosza, a potem dziewczyna przyciągnęła mnie bliżej i podkreśliła mi oczy ołówkiem. Nigdy wcześniej nie nosiłam makijażu, nie licząc odrobiny bladego różu, jaki mama czasami rozcierała mi na policzkach. Przyjrzałam się sobie w zmatowiałym lustrze: włosy, kolczyk, czarny tusz na rzęsach.

Patrzyła na mnie całkiem obca osoba.

- Jak się nazywasz? - zapytała, wsuwając mi ołówek do kieszeni kurtki, która kiedyś należała do niej. Potem wzięła do ręki nożyczki. Nie protestowałam, gdy zaczęła obcinać mi włosy. Znieruchomiałam, obserwując w lustrze, jak zgrabnie ciacha nożyczkami. - Kiedyś chciałam być fryzjerką, wiesz? - wyznała, rzucając wilgotne pasma włosów na posadzkę.

Przypatrując się sobie, pomyślałam, że to lepiej, niż zrezygnowała z marzenia. Fryzura niezbyt mi się podobała, dłuższa z jednej strony, ze skośną grzywką zakrywającą oczy.

- Moja mama była fryzjerką - powiedziałam. Ciekawe, co pomyślałaby teraz o mnie? Czy byłaby mną rozczarowana, czy też zrozumiałaby, że robię tylko to, co należy? Zadbłam o Lily, tak jak jej obiecałam. - Na imię mam Claire.

- Claire? - Skinęłam głową. - A dalej?

Rudawe włosy ufarbowała na matowy blond. Potem przystrzygła je nieco i wilgotne kosmyki zmieszały się na kaflach posadzki.

- Claire Dalloway.

Wrzuciła wszystko do kosza na śmieci: nożyczki, agrafkę, ostrzyżone włosy. Otworzyła torbę i wywaliła także jej zawartość: wymięte czasopismo, dowód osobisty, na wpół zjedzoną paczkę drażetek,

komórkę. Po namyśle sięgnęła do kosza i wyjęła z niego drażetki. Resztę rzeczy zostawiła.

Stała w toalecie z ręką na klamce. Z drugiej strony ktoś mocno załomotał do drzwi.

- Chwileczkę - warknęła i zwracając się do mnie, powiedziała: - Jestem Willow. Willow Greer. - Wyszła i wiedziałam, że już nigdy jej nie zobaczę. - Spotkamy się w autobusie - rzuciła jeszcze przez ramię.

Umieściłam śpiące dziecko na biodrze i patrzyłam, jak moje dawne ja przechodzi przez żółte uchylne drzwi, mijając kolejkę znecierpliwionych kobiet.

Kiedy wróciłam do autobusu, nie było jej tam.

HEIDI

Nie chce mieć do czynienia z butelką.

Ponawiam próby włożenia butelki ze smoczkiem do ust Juliet, ale za nic nie chce ssać. Przytykam wargi do jej czoła – jest chłodne. Nie ma temperatury. Zmieniam jej pieluszkę, próbuję podać smoczek, smaruję zagojone pośladki kremem na odparzenia, ale nic nie pomaga, moje dziecko nie chce się uspokoić.

Sposób, w jaki trąca noskiem materiał sukienki na piersi, podsuwa mi w końcu odpowiedź. Jest bardzo prosta: moje dziecko pragnie tego, co może zapewnić jedynie matka.

Siadam w bujanym fotelu i sięgam ręką za plecy. Rozpinam krzywo związane guziki i wyjmuję ramię z rękawa, odsłaniając przed Juliet pierś. Przypominam sobie, jak godzinami oddawałam się marzeniom o tym, że siedzę z moim dzieckiem przy piersi, w jej ładnym dziecięcym pokoiku o różowych ścianach, i karmię ją mlekiem, aż najedzona staje się senna, ciężkie powieki opadają i zasypia w moich ramionach. Przypominam sobie, jak często ssała bardzo długo, jakby nie mogła się najeść, patrząc na mnie wielkimi brązowymi oczami jak z filmu anime, przepełnionymi miłością i szacunkiem, jakbym była ósmym cudem świata.

Ale oczy Juliet – zauważam nagle, wpatrując się w dziecko leżące na moich kolanach – są niebieskie.

Przekonuję samą siebie, że nie ma to znaczenia, bo oczy dziecka mogą się przecież zmieniać. W jednej chwili brązowe, w drugiej niebieskie, tyle że w tych jest coś odmiennego, jakoś inaczej na mnie patrzą...

Umieszczam pierś obok ust Juliet i obserwuję z podziwem, jak bezbłędnie lokalizuje sutek i chwytą go łapczywie. To wszystko wydaje mi się takie znajome, łaskotanie w piersi, wpływ oksytocyny napełniający mnie poczuciem wielkiego spokoju.

- Proszę, moja śliczna – szepczę, głaszcząc główkę Juliet, i czekam na rytmiczne ssanie i połykanie, na miłość i szacunek w wielkich brązowych

oczach. Chcą mnie i tylko mnie.

Ale niebieskie oczy patrzą na mnie nieufnie, ze zniecierpliwieniem, jakbym zrobiła jej krzywdę, i usta otwierają się do płaczu. Dotykam palcem jej ust i mojej piersi, by ją z powrotem nakierować, pewna, że nie chwyciła właściwie. Zmieniam pozycję i podaję drugą pierś, a kiedy to nie pomaga, przenoszę się wraz z Juliet na kanapę i kładę się na plecach, ją zaś układam sobie na klatce piersiowej. Karmienie biologiczne, tak to się chyba nazywa, sposób przepisany przez naturę. Zasugerowała mi to położna, kiedy miałam kłopot z karmieniem Zoe.

Postanawiam zadzwonić do położnej po wskazówki, gdyby ta metoda nie poskutkowała. Na pewno przyjdzie i pomoże odpowiednio ułożyć Juliet, żeby zaczęła jeść, wyjaśni mi sposób uciskania piersi, by pobudzić przepływ mleka, i zanim się obejrzę, Juliet będzie już ssała tak jak dawniej.

Z klatki schodowej dobiega jakiś dźwięk, głośne i niecierpliwe kroki. Przeklinam Jennifer, która znowu wśliznęła się do mojej kamienicy z którymś z sąsiadów, tym razem nie troszcząc się nawet o to, żeby najpierw zadzwonić na domofon albo na komórkę. To wtargnięcie, myślę i zastanawiam się, gdzie położyłam mój szwajcarski scyzoryk.

Leżę na kanapie z sukienką zsuniętą na biodra, a Juliet wierci się na mnie jak ryba wyjęta z wody i zaraz zacznie krzyczeć.

Nie ma czasu na ucieczkę do sypialni i ukrycie się tam. Juliet wydaje mrozący krew w żyłach wrzask, drzwi do mieszkania otwierają się gwałtownie i widzę go w proggu, zapatrzonego na mój osobliwy strój i całkiem rozmazany makijaż.

Otwarte usta tworzą idealne „O”, brwi są pytająco uniesione.

Na twarzy maluje się powoli wyraz przerażenia, spotęgowany przez dziko rozczochrane włosy. Serce mi wali, pokój wokół mnie wiruje. Juliet wrzeszczy mi prosto w ucho, rzuca się tak gwałtownie, że trudno mi ją utrzymać.

To wcale nie Jennifer.

To Chris.

WILLOW

Wysiadliśmy z autobusu w Chicago, dziecko i ja. Ruby, napominałam się w duchu, wychodząc z dworca na gwarną ulicę. Było zimno i wietrznie. „Wietrzne Miasto”, przypomniałam sobie nazwę wyczytaną na kartach przewodnika któregoś z dni spędzanych z Matthew w bibliotece.

W życiu nie widziałam czegoś podobnego. Na ulicach roiło się od ludzi, byli dosłownie wszędzie. Samochody i autobusy, wieżowce zdające się dotykać nieba. Drapacze chmur. Już wiedziałam, skąd wzięły swoją nazwę. Odwróciłam się i ujrzałam budynek z mnóstwem anten na dachu. Musiał mieć ze sto pięter albo więcej, był dwukrotnie – gdzie tam, trzykrotnie! – wyższy od wieżowców z Omaha.

Niedużo czasu zajęło mi zrozumienie, że nie mam dokąd pójść. Przechodnie gapili się na mnie, a w ich wzroku nie było sympatii ani troski, tylko obojętność, krytyka, potępienie. Początkowo ukryłam się razem z dzieckiem w pierwszym lepszym zaułku i oparłam o ceglany mur obok zamkniętych metalowych drzwi, zabezpieczonych kratami. W zaułkach stały pojemniki na śmieci, niekiedy zdarzały się szczury. Spędzałam czas, siedząc na mokrym od deszczu chodniku i gapiąc się na stalowe schody przeciwpożarowe. Ukrywałam się. Byłam pewna, że po nas idą Lily i Paul Zeegerowie oraz Joseph. W końcu mi zaświtało, po upływie jednego czy dwóch dni, że w Chicago mieszka tylu ludzi, że nigdy mnie tu nie znajdą, nie ma mowy.

A Joseph tak czy owak nie żyje.

Kiedy przestałam się już martwić Zeegerami i Josephem, zaczęłam się troszczyć o inne sprawy: co jeść i gdzie spać, bo pieniądze otrzymane od Matthew już mi się prawie skończyły. Było bardzo zimno zarówno w nocy, jak i w dzień, porywisty wiatr utrudniał czasem chodzenie. Już po dwóch dobach pojęłam, że muszę się nauczyć grzebać w śmietnikach w poszukiwaniu żywności, najlepiej wtedy, gdy restauracje wyrzucały

resztki po zamknięciu. Czaiłam się w zaułku, gdzie nie można mnie było zobaczyć, i czekałam, szeptem błagając dziecko, żeby nie płakało, a potem przeczesywałam śmietnik. Oszczędzałam pieniądze dla dziecka, na gotową mieszankę dla niemowląt.

Bałam się z miliona różnych powodów, ale największym lękiem napawało mnie to, że coś się stanie z Ruby, coś bardzo złego. Nie chciałam, żeby spotkała ją krzywda. Robiłam tylko to, co należało, tak uważałam, udreńczona słuchaniem po nocach żałosnego płaczu małej. Zazwyczaj płakała tak długo, aż wreszcie zmęczona usypiała.

Podobało mi się Chicago, naprawdę. Podobały mi się budynki, gwar na ulicach i anonimowość, która dawała mi pewność, że nikt mnie tu nie odnajdzie. Wietrzne Miasto. Ale najbardziej podobał mi się pociąg, który pędził wiaduktami nad miastem, po czym zjeżdżał w dół, w dół, pod ziemię. Wydałam prawie wszystkie pieniądze na bilet okresowy, żebyśmy się mogły z Ruby najeździć do woli. Ktoś nazwał go linią L i musiałam to sobie zapamiętać, bo czasem mieszały mi się inne litery alfabetu: R, P, Q. Gdy dzień był chłodny i deszczowy albo się nam nudziło, wsiadałyśmy do pociągu i jeździłyśmy w kółko.

Szybko się dowiedziałam, że na trasie linii L znajduje się biblioteka. Tak było napisane na mapce:

Biblioteka.

Byłam pewna, że to dobry znak.

Pewnego zimnego deszczowego dnia w kwietniu wdrapałam się na peron. Przebywałyśmy w mieście od tygodnia, najwyżej dwóch. Wetknęłam dziecko pod kurtkę, żeby było mu ciepło i sucho. Czekaliśmy na peronie między pasażerami trzymającymi wielkie parasole, aktówki i torebki. Gapili się na nas, pokazywali palcami, coś szeptali. O dziecku. O mnie. Odwracałam wzrok, udając, że tego nie widzę, zakrywałam oczy włosami, by nie zauważać ich gestów, ich spojrzeń.

Pierwszy pociąg był zbyt zatłoczony. Nie lubiłam tłumów, bliskości tak wielkiej, że mimowolnie czułam zapach perfum, szamponu, wody po goleniu. Wiedziałam, że i oni czują ode mnie smród niemytego od wielu dni ciała, zjełczały odór mleka i owoców morza ze śmietnika, pod którym spałam.

Więc powiedziałam małej, że zaczekamy na następny pociąg. Stałam, przypatrując się, jak ludzie wsiadają, unikając mojego widoku.

Nagle ją zobaczyłam, kobietę, która na moment się zawahała, zanim wskoczyła do wagonu, jedyną osobę w mieście Chicago, która spojrzała na mnie z troską. Nie została jednak na peronie, tylko wsiadła, ale długo patrzyła za mną przez szybę, na mnie i na dziecko, chociaż miałam kamienny wzrok i gapiłam się w przestrzeń, udając, że nie zwróciłam na nią uwagi.

Wsiadłam do następnego pociągu i pojechałam do biblioteki mieszczącej się w ładnym budynku z cegły w samym sercu miasta. Zielony dach zdobiły skrzydlate stwory, które nie przestawały mnie obserwować. Ale ja się nie bałam.

Nie sądziłam, że ponownie spotkam tę kobietę.

Myliłam się.

CHRIS

Odjęło mi mowę, mam otwarte usta i skołowaciały język, nie potrafię wydobyć choć słowa. Półnaga Heidi leży na plecach na kanapie w pokoju wypoczynkowym, w czarnej sukience, której nigdy na niej nie widziałem, spuszczonej aż do pasa. Jest rozczochrana, chyba wcześniej upięła wysoko włosy, które jednak rozsypały się na poduszce. Mocny, ale rozmazany makijaż, czarne smugi pod oczami, ślady szminki. Dziecko przeraźliwie krzyczy i płacze, ale powtarzam sobie, że Heidi nigdy by go nie skrzywdziła.

Heidi uwielbia dzieci.

A jednak sytuacja jest dziwna.

Rozglądam się po pustym mieszkaniu i zauważam zamknięte na klamkę drzwi do gabinetu, w którym nocowała Willow, czyli Claire.

- Heidi - zagaduję, ostrożnie wchodząc do własnego mieszkania i zamykając drzwi wejściowe - gdzie jest Willow?

Szeptczę na wypadek, gdyby Claire gdzieś tu była, kryjąc się za drzwiami gabinetu z nożem w ręku. Tłumaczę sobie, że to jej wina, że to ona poszarpała ubranie mojej żony i doprowadziła dziecko do płaczu. Ale nic nie przykuwa Heidi do ramy łóżka, nie widzę pasów ani kajdanek.

Mówię urywanie, ochryple. Sam się dziwię, jak to w ogóle możliwe, bo gardło mam suche jak piasek, a język wydaje się dwukrotnie powiększony. Prześladowuje mnie obraz półnagiej Cassidy Knudsen na przemian z obrazem kobiety i mężczyzny zadźganych nożem w łóżkach.

- Heidi - powtarzam i nagle spostrzegam, że kurczowo przyciska dziecko do piersi. Wmawiam sobie nadal, że nigdy by go nie skrzywdziła, ale scena rozgrywająca się przed moimi oczami paraliżuje mnie i sam już nie wiem, co się tutaj dzieje. Nagle doznaję olśnienia i już wiem, co Heidi usiłuje osiągnąć. O Boże...!

Serce mi staje, nie mogę oddychać.

Rzucam się naprzód, zdecydowany odebrać jej dziecko.

Wtem Heidi zrywa się na nogi i robi unik, zanim zdążyłem ją złapać. Trzyma dziecko w kurczowym uścisku, jakby należało do niej. Przypominam sobie rozmowę o znamieniu na nóżce dziewczynki. „Według lekarki powinniśmy być może rozważyć usunięcie znamienia”, powiedziała. Ona i ja. Jakby rozmowa tyczyła naszego wspólnego dziecka.

Uświadamiam sobie, że nagła obsesyjna chęć pomocy bezdomnej dziewczynie z pociągu była tylko zasłoną. Wcale nie chodziło o Willow.

Chodziło o to niemowlę.

Nagle nie martwię się już dłużej o Willow - Claire - zaczajoną za drzwiami gabinetu. Wręcz przeciwnie, obawiam się, że to Heidi coś jej zrobiła.

- Gdzie jest Willow? - ponawiam pytanie, trzymając się o pół metra od Heidi i dziecka. - Gdzie ona jest? - pytam z naciskiem, gdy milczy.

Wreszcie odpowiada płaskim tonem, niedosłyszalnym z powodu krzyku dziecka. Ale czytam z jej warg:

- Poszła sobie.

Obudź się, obudź się, obudź! - wrzeszczy mój umysł, przekonany, że to jedynie skutki wczorajszego przepicia. Bo przecież to nie może się dziać naprawdę.

- Poszła sobie - mamroczę oszołomiony. - Ale dokąd? - Przez głowę przelatują mi dziesiątki możliwych odpowiedzi, jedna bardziej przerażająca od drugiej, i zaczynam się trząść ze strachu.

Ale Heidi nie odpowiada na pytanie.

Dziecko wije się w jej uścisku. Łapię koc z oparcia fotela i próbuję podać go Heidi, żeby się okryła.

- Daj mi to dziecko - mówię do niej, a kiedy niemo kręci głową i cofa się, byle dalej ode mnie, w kierunku dużego okna, nadeptując po drodze na koci ogon, unoszę ręce na znak, że nie mam złych zamiarów, i proszę:
- Pozwól mi potrzymać Ruby, a ty w tym czasie poprawisz ubranie.

Nie jestem przygotowany na dziki gniew, jaki zapala się w jej obłąkanych oczach. Na twarz występują czerwone plamy.

Nagle zaczyna krzyczeć.

Wypluwa bełkotliwe słowa jak bohaterka horroru o opętaniu. Niepowiązane cząstki sylab, które dla mnie układają się jednak w pewien sens. Rozróżniam słowa „dziecko” i „Juliet”. Juliet. Powtarza to imię z dziesięć razy.

Jest wściekła, że nazwałem dziewczynkę Ruby. To nie jest żadna Ruby, poprawia mnie, tylko Juliet. Ale ja wiem, że to nieprawda. Czytałem podesłany przez Martina Millera artykuł. To nie jest Ruby ani Juliet.

Dziecko ma na imię Calla.

- Heidi - zagaduję. - To dziecko...

- Juliet - warczy groźnie i powtarza: - Juliet! Juliet! - Uderza w krzyk, jeszcze bardziej strasząc biedne maleństwo.

Z otchłani pamięci z trudem wyciągam wyblakłe fragmenty wspomnień sprzed wielu lat. Heidi na szpitalnym łóżku, w szpitalnej koszuli nocnej, zapłakana. Heidi spuszcza w toalecie pigułki antykoncepcyjne, jedną po drugiej, udając, że wcale nie płacze.

Nagle zaczyna mnie wyzywać od kłamców, morderców i złodziei. Wiem, że tego nie chce, ale odruchowo ściska przy tym dziecko, które zanoszą się przeraźliwym szlochem - wyje jak wilk do cholernego księżycyca - a Heidi także płacze, łzy leją się strumieniem, rozmazując resztki makijażu.

- To nieprawda - zaprzeczam najdelikatniej, jak umiem.

Heidi wmówiła sobie, że to dziecko jest tym samym dzieckiem, które straciła jedenaście lat temu z powodu nowotworu. Oczywiście bez trudu mógłbym rozwiązać te idiotyczne urojenia - tamto dziecko nie żyje, a gdyby żyło, miałoby teraz jedenaście lat! - ale rozumiem aż nazbyt jasno, że stojąca przede mną kobieta nie jest moją żoną.

Stąpam krok do przodu i wyciągam ręce po dziecko, ale Heidi robi szybki unik.

- Heidi, to nie jest... - urywam przestraszony szaleństwem w jej rozbieganych oczach, obawą, że dziecku stanie się przez nią coś złego. Nie zrobiłaby tego oczywiście umyślnie. Heidi nigdy nie skrzywdziłaby dziecka, nie z premedytacją.

Ale nie mam pewności.

- Pozwól mi potrzymać dziecko - mówię spokojnie i dodaję, żeby ją

ułagodzić: – Pozwól, że potrzymam Juliet. – Nagle myślę o wszystkim, co powinienem był uczynić, gdy straciliśmy nasze małżeństwo. Powinienem był ją częściej pocieszać, zaprowadzić do psychiatry, jak radził ginekolog. A to jeszcze nie wszystko.

Ale Heidi twierdziła, że dobrze się czuje. Powiedziała, że nic jej nie jest, gdy wspólnie z lekarzem podjęliśmy decyzję o aborcji, aby móc leczyć nowotwór. Wiem jednak, że starałem się nie zauważać jej smutku, dojmującej tęsknoty, potrzeby posiadania jeszcze dwojga czy trojga dzieci. Wmawiałem sobie, że jeśli będę to ignorował, samo odejście jak bezdomny kot czy natarczywy braciszek.

Heidi cichnie i uważnie mnie obserwuje. Jestem pewien, że ulegnie, jeśli tylko zdołam ją przekonać, że to dla dobra dziecka.

– Pozwól mi przygotować dla niej butelkę – mówię głosem miękkim jak jedwab. – Ona jest głodna, Heidi. Więc pozwól mi przygotować dla niej butelkę – powtarzam.

Mój ton jest błagalny, zdesperowany. Ale Heidi nie ulega prośbom. Czyta we mnie jak w otwartej księdze, przecież dobrze mnie zna.

Wchodzi do kuchni, gdzie zaczyna grzebać w szufladach. Gdy przechodzi obok mnie, chwytam ją za łokieć, ale odpycha mnie z siłą, o jaką bym jej nie podejrzewał, w każdym razie tracę równowagę i omal się nie przewracam. Kiedy się prostuję, Heidi stoi pośrodku kuchni ze szwajcarskim scyzorykiem w ręku. Ostrze noża celuje prosto we mnie.

Powinienem był to przewidzieć. Sięgam myślą do ostatnich kilku dni i zastanawiam się, co przeoczyłem, jak mogłem nie usłyszeć rozpaczliwego wołania Heidi o pomoc.

Moja żona ma załamanie nerwowe. Napad ciężkiej psychozy.

Jak mogłem tego nie przewidzieć? Czy zignorowałem sygnały ostrzegawcze?

– Idź stąd, Chris – skrzeczy ochryple.

Nie jest zdolna do użycia noża – przynajmniej tak sobie powiadam – ale nie mam pewności.

– Heidi – szepczę, lecz osiągam tylko tyle, że moja żona zaczyna z pasją dźgać nożem powietrze. Zerkam na zegar na ścianie i uświadamiam sobie, że Zoe wkrótce wróci do domu.

Chociaż raz w życiu nie myślę o sobie. Myślę o Heidi, o Zoe, o tym dziecku.

Rzucam się naprzód. Nie wystarczy to, by przejąć nad Heidi kontrolę, ale udaje mi się wytrącić jej z ręki niebezpieczne narzędzie. Nóż z łoskotem spada na podłogę, odłupując fragment dębowego parkietu. Już na zawsze zostanie pamiątka po tym strasznym dniu. Oboje rzucamy się w kierunku noża, przy czym dzieckoomal nie wyslizguje się z rozlatanych rąk Heidi. Płacz przycicha, mała jest wyczerpana i przestraszona. Skaczę głową naprzód, sunę po podłodze jak bejsbolista i podrywam się z nożem w rękę.

Zanim stanę pewnie na nogach, Heidi odwraca się i pędzi przez korytarz do sypialni. Z hukiem zatrzaskuje za sobą drzwi i przekręca gałkę.

Słyszę, że zanosi się płaczem. Zbliżam ucho do drzwi i oprócz płaczu dolatuje mnie nieskładny bełkot. Rozróżniam poszczególne słowa: „dziecko”, „Juliet”, „Cassidy” i „Graham”, nasz sąsiad. Właśnie, Graham. Mógłbym go poprosić o pomoc, ale nie ma na to czasu. Staram się przemówić Heidi do rozsądku:

- Proszę cię, otwórz drzwi. Porozmawiajmy. Pogadajmy o tym wszystkim.

Ale to na nic.

Ze zgrozą myślę o wszystkich przedmiotach w przylegającej do sypialni łazience, które mogą stanowić broń: pilnik do paznokci, nożyczki, gniazdka elektryczne.

No i są jeszcze okna, pięć pięter nad betonowym chodnikiem.

Nie zastanawiam się ani chwili dłużej. Łapię telefon i wybieram 911.

- Chodzi o moją żonę - tłumaczę niezbyt składnie, gdy dyspozytor pyta o przyczynę zgłoszenia. - Obawiam się, że ona... Nie wiem... Potrzebna jej natychmiastowa pomoc. - Potrząsam głową rozgorączkowany, nie wiem, do czego zdolna jest Heidi w tym stanie. Odbierze życie sobie czy może dziecku? Pół godziny temu zaprzeczyłbym stanowczo - nie, nigdy w życiu, to nie moja Heidi.

Ale teraz sam już nie wiem.

- Przyjedźcie - rzucam stanowczo do słuchawki i podaję adres.

Potem biegnę pod drzwi sypialni, zdecydowany je wyważyć.

HEIDI

Nie wiem, co dzieje się najpierw.

Pobierają mi krew. Przytrzymują mnie w pozycji leżącej na białym szpitalnym łóżku, dwóch mężczyzn z maskami na twarzach, w czepkach i lateksowych rękawiczkach. Przytrzymują mnie, podczas gdy trzeci wbija we mnie igłę i pobiera krew, kradnie ją ode mnie. Chris stoi nieruchomo obok wózka ze sprzętem medycznym, a ja bronię się, wrzeszcząc i kopiąc, na co mężczyźni w maskach, czepkach i rękawiczkach napierają na mnie całym ciężarem, odbierając mi możliwość ruchu. Wpatrują się we mnie twarze kosmitów: wielkie bezwłose czaszki, groźne mętne oczy. Nie mają ust ani nosów, gdy tak dźgają mnie i sondują, więc krzyczę, ale Chris dalej stoi nieruchomo i milczy.

Potem sadzają mnie przy stole, takim rozkładanym, z trzema czarnymi wyściełanymi krzeselkami. Na ścianie wisi zegar, jest też weneckie lustro zupełnie jak w kryminalnym filmie.

To nie kosmici. Nie, nie kosmici. Ktoś inny. Ktoś zgoła inny.

Nie wiem, co dzieje się najpierw.

- Moja córka. Muszę zobaczyć córkę - powtarzam jak mantrę, ale odpowiadają, że jeśli będę współpracowała, to wkrótce się z nią zobaczę. „Jeśli będę współpracowała”. Nie umiem powiedzieć, czy ta scena ma miejsce przed, czy też po pobraniu krwi. Tego nie wiem. Jest tu też jakaś starsza kobieta z długimi srebrnymi włosami i na moich oczach moja Juliet przechodzi z rąk do rąk, po czym znika. - Zrób coś! - wołam błagalnie do Chrisa, ale nie zwraca na to uwagi i tylko stoi w pomieszczeniu zastawionym biurkami i krzesłami.

Nie zwraca uwagi na mnie. Na mnie! Patrzy gdzieś obok i przeze mnie, ale nigdy na mnie, kiedy prowadzą mnie do jakiegoś pokoju i zamykają drzwi. Zastanawiam się, czy nie jestem czasem niewidzialna, być może to dlatego Chris mnie nie widzi. Tak jak powietrze, tlen, duchy.

Może jestem duchem, bezcielesną zjawą, a może umarłam. Może wcale nie pobrali mi krwi, tylko wstrzyknęli chlorek potasu, żebym umarła na szpitalnym łóżku przy zamaskowanych mężczyznach. Ale mam kajdanki na rękach, a kobieta ze srebrnymi włosami z pewnością mnie widzi. Zadaje mi pytania o Claire Dalloway, pokazuje plik fotografii, na których widać okropne, przerażające sceny, zakrwawiony mężczyzna leży rozciągnięty na łóżku, na drugim skąpana we krwi kobieta. Karminowa krew, gęsta, śluzowata wsiąka w zmiętą pościel.

Przypominam sobie krew na podkoszulku Willow i zanoszę się krzykiem.

- Dokąd zabrali dziecko? - wrzeszczę, na próżno usiłując uwolnić nadgarstki z kajdanek. Metal boleśnie ociera się o delikatną skórę. Ręce mam założone do tyłu i nie mogę się poruszyć, za każdym razem, kiedy próbuję wstać z krzesła, strażnik popycha mnie z powrotem. - Dokąd zabrali moją Juliet? - powtarzam błagalnym tonem, bo kobieta nie udziela odpowiedzi. Nagle słyszę bardzo wyraźnie płacz mojego dziecka. Wodzę wzrokiem po dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, szukając mojej małej Juliet. Ona tu jest. Jest tutaj ze mną.

- Ma dobrą opiekę - zapewnia mnie kobieta, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dokąd ją zabrali? Zaglądam pod stół, czy czasem jej tam nie ma. Może schowała się pod stołem?

- Pani Wood? - mówi kobieta, stukając w blat, by zwrócić na siebie uwagę. Jest wyraźnie zniecierpliwiona i bliska gniewu ta kobieta z magnetofonem i parą cienkopisów. - Pani Wood, co pani właściwie robi?

Niestety, pod stołem jest tylko posadzka z kafli z plamami po kawie, brudna i zakurzona.

- Muszę zobaczyć moje dziecko - mówię, nachylając się do niej i patrząc jej w oczy. - Muszę, rozumie pani?

Zapada milczenie. Ta kobieta, zastępczyni prokuratora okręgowego Louise Flores, a przynajmniej tak się przedstawiła, wpatruje się we mnie nieruchomymi szarymi oczami.

- Pani się myli. Niemowlę, które pani tu przyniosła - wyjaśnia - to Calla Zeeger. To nie jest pani dziecko, pani Wood.

Ogarnia mnie straszliwy gniew, niemal furia. Zrywam się z trudem i wrzeszczę na nią, że to ona się myli, że dziecko jest moje!

- Moje! Moje! Moje!

Nie czuję bólu w wykręconych rękach ani w plecach, mam w sobie siłę matki, której dziecko utknęło pod kołami samochodu, a ona podnosi go jednym płynnym ruchem, dwa tysiące kilogramów.

Strażnik zbliża się do mnie i każe mi usiąść.

- Siadać! - warczy i nagle spostrzegam wyraźnie, że to dog kanaryjski, szorstkowłosa brytan pędzi do mnie, szczerząc ostre kły i warcząc groźnie, ochryple. To ostrzeżenie. Ślina ścieka z szeroko rozwartej paszczy, zęby ma ostre jak sztylety, oczy wbite w kolejną ofiarę. Kładzie mi ręce na ramionach i naciska, wbija mnie z powrotem w krzesło, po czym gryzie ten kanaryjski dog, robi to raptownie, nieoczekiwanie, rozdziera skórę, krew ścieka mi po rękach, patrzę na nią ze zgrozą, choć inni - mężczyzna, kobieta - jej nie widzą. Krew niewidzialna tak jak ja.

Siadam. Ale nie na długo. Znow podrywam się z krzesła, przepycham obok strażnika i tracąc równowagę, uderzam głową o ścianę.

- Muszę zobaczyć córkę! - ryczę. - Gdzie moja córka?! Moja córka! - zawodzę chyba z tysiąc razy, zanim nie upadnę na podłogę i nie zaleję się łzami.

Wówczas zastępczyni prokuratora postanawia wyjść, korzystając z tego, że może robić, co chce, w przeciwieństwie do mnie, zakutej w kajdany.

- Sądzę, że na tym koniec - oznajmia i wstaje z krzesła, unikając kontaktu wzrokowego ze mną.

Słyszę, jak mówi o potrzebie konsultacji z psychiatrą, rozróżniam słowa „zaburzenia” i „ciężkie urojenia”. Wiszą w pokoju jeszcze długo po jej odejściu.

Potem ta krew. I szpitalne łóżko. I mężczyźni w maskach i rękawiczkach. Kosmici. Dzwoni mi w uszach, gdy kłują mnie igłami i sondami. Ale co dzieje się najpierw, tego nie wiem. Nie wiem, jak to się dzieje, że nagle zjawia się Chris i staje w kącie pokoju, przyglądając się, jak kosmici kradną moją krew i wstrzykują mi śmiertelną dawkę chlorku

potasu.

- Powstrzymaj ich! - proszę, ale pozostaje obojętny, znowu mnie ignoruje, ponownie jestem niewidzialna, jak duch albo zjawa.

Mój Chris, który nigdy nie płacze, stoi zalany łzami. Nieruchomy jak posąg za wózkiem ze sprzętem medycznym. Nigdy mu tego nie wybaczę.

Jestem zmęczona, nagle tak straszliwie zmęczona, znużenie przygniata mnie jak ceglany mur, podczas gdy zamaskowani mężczyźni w lateksowych rękawiczkach uważnie mi się przyglądają, obserwują, jak moje powieki stają się ciężkie jak z ołowiu, lampy fluorescencyjne na suficie rozmazują się i na moment przed tym, zanim zapadnę w sen, zastanawiam się, co jeszcze mi odbiorą.

Chcę ubłagać Chrisa, żeby ich powstrzymał, żeby mi jakoś pomógł, ale okazuje się, że już nie mogę mówić.

Budzę się w pokoju na łóżku pod oknem, z którego rozciąga się widok na parkową zieleń. Obok stoi kobieta w szerokich spodniach i rozpinanej koszuli, plecami do mnie, zapatrzona na park. Na ścianach tapeta w delikatne beżowe paski, na podłodze parkiet.

Gdy próbuję się poruszyć, okazuje się to niemożliwe, bo jestem przypięta do łóżka szerokimi pasami. Cichy brzęk metalowych sprzączek sprawia, że kobieta odwraca się i patrzy na mnie z uśmiechem łagodnymi zielonymi oczami.

- Heidi - mówi z radością w głosie, jakbyśmy się dobrze znały, były przyjaciółkami. Ale ja nie znam tej kobiety, nigdy jej nie widziałam. Podoba mi się jednak jej uśmiech, który sprawia, że zamaskowani mężczyźni, srebrnowłosa kobieta z magnetofonem, chlorek potasu i pies, dog kanaryjski ze zjeżoną sierścią, wydają mi się snem. Choć nie jestem tego całkiem pewna. Zerkam na ręce i nie widzę na nich krwi ani śladu psich kłów, nie ma także bandaży. Wodzę wzrokiem po sterylnym pomieszczeniu, szukając Juliet za przezroczystymi zasłonami, w fałdach pościeli.

- Dokąd zabrali moje dziecko? - pytam słabym głosem, czując ogromne znużenie i suchość w ustach, jakbym miała w nich kłębki bawełny. Nie mogłabym krzyczeć, nawet gdybym chciała. Bez

przekonania pociągam za pasy, próbując się z nich uwolnić.

- To dla twojego bezpieczeństwa - tłumaczy kobieta, podsuwając się bliżej i siadając na krześle przy łóżku. - Jesteś w dobrych rękach, Heidi. Jesteś bezpieczna. Dziecko jest bezpieczne. - Nie wiem, czy sprawia to jej współczujący ton, czy też przytłaczające mnie znużenie i rozpacz, ale nagle zaczynam szlochać. Kobieta wyjmuje dwie, potem trzy chusteczki z pudełka na nocnej szafce i osusza mi twarz. Z początku odsuwam się przed dotykiem obcej osoby, ale już po chwili lgnę do ciepła jej rąk, do miękkości chusteczek.

Przedstawia mi się, ale natychmiast to zapominam, pamiętam jedynie poprzedzający nazwisko tytuł. Doktor. A przecież nie wygląda na lekarkę, nie ma kitla ani stetoskopu. Ani łysiejącej czaszki.

- Chcemy jedynie, żebyś poczuła się lepiej, to wszystko - mówi miłym, łagodnym tonem, ocierając mi załzawione oczy.

Jej dłonie pachną miodem i kolendrą, co przypomina mi potrawy mojej mamy. Wracam pamięcią do domu rodzinnego, do kwadratowego wiejskiego stołu, przy którym siadaliśmy w czwórkę: mama, tata, brat i ja. Myśl zatrzymuje się na ojcu, który nie żyje. Widzę trumnę spuszczaną do grobu, bukiet lawendowych róż w moim ręku, mamę stojącą przy mnie, nienaturalnie spokojną i czekającą, aż rozpadnę się na zalanym deszczem cmentarzu na milion kawałków. A może to było odwrotnie? Może to ja obserwowałam mamę, czekając, aż ona się rozpadnie?

Pragnę wziąć do ręki obrączkę ślubną ojca, opleść palcami złoty łańcuszek, ale jestem przykuta do łóżka.

- Gdzie jest moje dziecko? - pytam ponownie, lecz kobieta powtarza tylko, że jest bezpieczne.

Niepytana wyjaśnia, że również ma dzieci. Troje. Dwóch synów i córeczkę Maggie, ma dopiero trzy miesiące, i wtedy spostrzegam warstwę tłuszczu na brzuchu skądinąd szczupłej kobiety, który pewnie niedługo zniknie. Wzmianka o jej dzieciach ułatwia rozmowę, pozwala ujawnić moje tak długo skrywane tajemnice.

Ruby, Juliet, Ruby, Juliet. Wtem przypominam sobie słynny wazon Rubina.

Gawędzimy o bezsennych nocach i zmęczeniu. Mówię, że Juliet nie potrafi jeszcze przespać całej nocy, choć moje myśli są mętne i ociężałe, słowa tkwią w pułapce zachmurzonego nieba. Wyjaśniam, że była chora, miała infekcję układu moczowego, co oczywiście utrudnia usypianie dziecka. Miła kobieta kiwa głową i mówi, że jej Maggie urodziła się z wadą serca i musiała być operowana kilka dni po tym, jak opuściła łono matki. Słyszając to, wiem, że lekarka mnie rozumie. Rozumie, co do niej mówię.

Pyta mnie o Willow, nie natarczywie jak tamta druga kobieta, ale łagodniej i spokojniej. Chce wiedzieć, kiedy sobie poszła i dlaczego.

- Dlaczego się oddaliła? - pyta, więc opowiadam jej o złotym łańcuszku z obrączką po ojcu. O odkryciu, że haczyk w łazience, na którym zawsze wisiał, był pusty, chociaż wiedziałam, że odwiesiłam na nim łańcuszek.

Nagle ogarniają mnie wątpliwości i szarpie przykutymi do łóżka rękoma, staram się opuścić głowę tak nisko, żeby dojrzeć, czy mam łańcuszek na szyi tak jak zawsze. Pytam o niego kobietę, opisuję go ze szczegółami, więc zagląda za kołnierz szpitalnej koszuli i mówi, że nie widzi żadnego łańcuszka ani obrączki.

Wtedy umysł odgrywa przede mną pewną scenę, choć widzę ją jak za mgłą. Jak film oglądany w przeszłości, którego tytułu ani bohaterów nie pamiętam, jedynie urywane fragmenty, poszczególne obrazy. Strzępki dialogów, sceny miłosne, namiętny pocałunek.

W mojej scenie podaję Zoe lekarstwo, dwie białe podłużne tabletki, a potem patrzę, jak wkłada je do ust. Połyka je i popija wodą. Wracam do łazienki, żeby schować buteleczkę z lekarstwem do otwartej szafki i słowo „ambien” rzuca mi się prosto w oczy, obok środków przeciwbólowych i leków przeciwhistaminowych. Spokojnie zamykam szafkę.

- Dlaczego nie zawiadomiłaś policji, Heidi? - pyta kobieta, kiedy opowiadam jej o łańcuszku.

Bliska leż wzruszam ramionami i mówię, że nie wiem. Nie wiem, dlaczego nie wezwałam policji.

Ale to nieprawda. Dobrze wiem dlaczego.

Widzę, że zamykam szafkę i przyglądam się jak Zoe, znieczulona

moim lekiem „ambien”, który podałam jej zamiast leku przeciwhistaminowego, zapada w mocny sen. Wiem, że na pewno nie obudzi się w nocy. Przypominam sobie, co wtedy pomyślałam: Nie wiadomo, co przyniesie noc.

Widzę, jak zdejmuję z szyi łańcuszek i zamierzam go odwiesić na haczyk, ale tego nie robię. Zatrzymuję go w ręku, całuję Zoe na dobranoc w czoło i opuszczam sypialnię.

Wchodzę do pokoju wypoczynkowego, gdzie Willow siedzi na fotelu, a moja Juliet śpi na kocyku rozłożonym na dywanie. Zaczynam sprzątać po kolacji i w tym moim mglistym wspomnieniu – a może to wcale nie wspomnienie, tylko sen na jawie, czysta fantazja – kiedy wrzucam resztki spaghetti do plastikowego worka na śmieci, wypada mi z ręki łańcuszek z obrączką i ginie pod warstwą twardej makaronu z krwistoczerwonym sosem. Spokojnie zawiązuję worek i wynoszę go do zsypu.

To niemożliwe, myślę, kręcąc głową. Nie może być. Nieprawda.

To Willow ukradła mój łańcuszek. Najpierw zabiła tamtego człowieka, a potem zabrała mój talizman. Jest morderczynią i złodziejką.

– Czy wiesz może coś jeszcze? – pyta łagodnie kobieta, patrząc, jak energicznie obracam głowę na boki niczym wahadło staroświeckiego zegara. – Czy masz jakieś przypuszczenia, gdzie podziała się Willow?

To niemożliwe. Willow zabrała mi łańcuszek, pamiętam przecież, jak siedziałam na brzegu wanny, puszczając wodę z kranu, żeby Zoe, chora na gripę czy alergię, nie słyszała mojego płaczu. Pamiętam, że odkryłam pusty haczyk i na próżno usiłowałam się dodzwonić do Chrisa, ale był zbyt zajęty Cassidy Knudsen, żeby odebrać telefon.

Nie potrafię odróżnić faktów od fikcji. Fantazji od rzeczywistości. Mówię, że nie wiem, gdzie przebywa Willow. Warczę rozzłoszczona, tęskniąc za ojcem, marząc, żeby pogłaskał mnie po głowie i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Mój umysł zalewają obrazy Willow, Ruby, Zoe, Juliet. Obrazy krwi, zwłok i niemowląt, nienarodzonych płodów wyjmowanych z mojego brzucha.

Ale ta miła kobieta, której imienia nie znam albo nie pamiętam,

właśnie wtedy kładzie mi dłoń na głowie i głaszcze zupełnie jak tata, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Tatusz? – mam ochotę zapytać.

Ale wiem, co odpowie i jak na mnie spojrzy, jeśli zadam głośno to pytanie.

– Wszystko sobie poukładamy – obiecuje i z ulgą przyjmuję te kojące słowa, choć zarazem czuję się przez nie, przez ten ugodowy ton, kompletnie wyczerpana, więc zamykam oczy i pozwalam im ukołysać się do snu.

Kiedy przyjeżdża Chris, za oknem jest już ciemno i świat zewnętrzny jest jedynie czernią.

– To ty ich wezwałeś – rzucam drżącym, oskarżycielskim tonem. Chris jest odpowiedzialny za całe zamieszanie. Za to, że odebrali Juliet, moją Juliet. – To ty wezwałeś policję! – wrzeszczę i zaczynam przeklinać, daremnie próbując poderwać się z łóżka i rzucić na Chrisa. Dopiero po chwili orientuję się, że nadal jestem przypięta pasami.

– Czy to konieczne? – pyta Chris pielęgniarkę, która zjawia się w pokoju, żeby sprawdzić igły i rurki tkwiące w moim ramieniu, umieszczone tam przez kosmitów w maskach i czepkach. – Czy to naprawdę konieczne?

– To dla jej bezpieczeństwa – odpowiada sucho pielęgniarka i wiem, co dodaje szeptem, opowiada mu, jak przebiegłam przez pokój i uderzyłam głową o ścianę, nabijając sobie przy tym okropnego fioletowego guza. – Jest bardzo pobudzona – wyjaśnia rzeczowo, jakbym nie mogła jej słyszeć, nie przebywała w tym samym pomieszczeniu. – Wkrótce otrzyma nową dawkę leków.

Zastanawiam się, jakie to będą leki i czy znowu będą mnie musieli przytrzymać, żeby zrobić mi zastrzyk. A może pozwolą mi zażyć tabletki, podłużne białe tabletki w zagłębieniu dłoni; od razu przypomina mi się „ambien”.

Nie, poprawiam się w duchu. Leki przeciwhistaminowe. Przeciwbólowe. Nie „ambien”.

Nie podałamby Zoe środka nasennego.

Ale nie mam co do tego pewności.

- To wszystko przez ciebie - płaczę cicho, ale Chris unosi ręce i patrzy na mnie niewinnymi, zmęczonymi oczami. Wygląda niechlujnie, to do niego niepodobne, ma ubranie w nieładzie i zmierzwione włosy, a uśmiech zwycięzcy zastąpiły wyczerpanie i troska. I coś jeszcze, czego nie jestem w stanie określić.

On także mógłby mnie oskarżyć, ten mój Chris, pokazać na mnie palcem i powiedzieć, że to ja zamknęłam się z Juliet w łazience, ale tego nie robi.

Mógłby powiedzieć, że się martwił, że zrobię dziecku krzywdę, a ja roześmiałabym się na to, czyż nie? Śmiałabym się do rozpuku. Cynicznym, drwiącym śmiechem, choć Chris wie równie dobrze jak ja, że gdy siłą sforsował drzwi do sypialni, stałam, chwiejąc się na krawędzi schodów przeciwpożarowych i już prawie straciłam równowagę.

Kiedy przyjechała policja, Chris o tym wszystkim nie napomknął, nie, nie zrobił tego.

Przysiada na brzegu łóżka i bierze mnie za rękę. Czuję, że tonę, pogrążam się coraz głębiej w otchłań oceanu, fale przewalają się nade mną i krzyczę bezgłośnie, oddychając spazmatycznie, z wysiłkiem, dusząc się litrami słonej wody wypełniającej płuca.

- Poradzimy sobie z tym wszystkim, Heidi - mówi do mnie Chris i wodzi palcami po mojej dłoni i ramieniu, nieświadomy, że dławię się i wymiotuję słoną wodą na łóżko, na wpół uduszona. Znikam pod powierzchnią wody, a Chris i Zoe zostają na brzegu i przyglądają mi się obojętnie.

- Tylko pięć minut, potem musi odpocząć - mówi do Chrisa pielęgniarka i opuszcza pokój. Drzwi się zamykają i zostajemy tylko we dwoje. Słyszę jej stłumione słowa z bardzo daleka, a potem znów gigantyczne fale porywają mnie i wciągają pod wodę.

Nagle widzę, że Chris dostrzegł mnie z daleka i nurkuje do wody, podpływając do mnie bardzo powoli.

- Zoe cię potrzebuje - mówi i po chwili milczenia dodaje: - Ja cię potrzebuję. - Rzuca mi pas ratunkowy, coś, czego mogę się przytrzymać, gdy tak walczę z potężnymi falami, desperacko usiłując popłynąć.

WILLOW

Policja namierzyła mnie dość szybko na Michigan Avenue, gdy stałam przed wystawą sklepu Prady. Byłam zauroczona, nie mogłam się stamtąd ruszyć. Patrząc na rzęsiście oświetloną wystawę, nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o mamie w tych szykownych sukienkach, w których występowały bezgłowe manekiny. Jak bardzo by się jej podobały!

Policja pottrzymała mnie trochę u siebie, ale niezbyt długo. Po raz kolejny okazało się, że jestem dzieckiem, którego nikt nie chce.

Siedemnaste urodziny spędziłam w rodzinnym domu dziecka, położonym niemal dokładnie między Omaha a Lincoln w ładnej zalesionej okolicy opodal mulistej rzeki Platte. Mieszkało nas tam dwanaście, a dom prowadziło małżeństwo Nan i Joe. Każda z nas miała przydzielone obowiązki domowe, które co tydzień się zmieniały, na przykład sprzątanie kuchni i robienie prania. Nan codziennie gotowała dla nas obiad i siadywaliśmy przy wspólnym stole, żeby zjeść, jakbyśmy wszyscy byli rodziną.

Dom przypominał ten, w którym zamieszkałam po śmierci rodziców, tyle że tym razem pragnęłam w nim przebywać.

Odwiedzały nas różne osoby, panna Adler i niejaka Kathy, miła dziewczyna, która chciała ze mną rozmawiać o tym, co mi zrobił Joseph. Kazała powtarzać niezliczoną ilość razy, że to „nie była moja wina”, aż pewnego dnia, jak mi obiecała, uwierzę w te słowa, uwierzę, że to, co robił Joseph, było złe. I że adopcja Lily przez rodzinę Zeegerów również nie była zawiniona przeze mnie. Mama wcale nie była o to na mnie zła.

- Mama byłaby z ciebie dumna - powiedziała mi raz, patrząc na mnie szmaragdowozielonymi oczami.

Mimo to bywały noce, kiedy nie mogłam zasnąć i słyszałam, jak Joseph wkrada się do mojego pokoju. Słyszałam skrzypienie drzwi i parkietu pod jego stopami, dyszenie i sapanie prosto w moje ucho, czułam zimne,

gruzłowate ręce, zdzierające ze mnie ubranie, słyszałam jego oblesny szept, słowa paraliżujące mnie tak, że nie mogłam wydobyć głosu. „Oko, co ojca wyśmiewa, gardzi posłuchem dla matki – niech kruki nad rzeką wydziobią lub niech je zjedzą orlęta!”- syczał mi prosto do ucha, a wtedy budziłam się zrana potem i szukałam go wszędzie, w szafie i pod łóżkiem, pewna, że ukrył się w moim pokoju.

Każde skrzyknięcie i trzask, gdy któraś szła w nocy do łazienki, było dowodem, że Joseph się zbliża, że za chwilę poczuję obok siebie w łóżku jego spocone cielsko, i dopiero po długim czasie byłam w stanie ochłonąć i przypomnieć sobie, że bestia nie żyje.

Zmuszałam się do powtarzania po sto razy dziennie, że Joseph nie żyje, mając nadzieję, że kiedyś w końcu w to uwierzę.

Na moje urodziny były czekoladowe babeczki z polewą z czekolady, takie same jak piekła mama. W przeddzień urodzin odwiedzili mnie Paul i Lily Zeegerowie, przyjechali z Fort Collins razem z Rose i Callą. Nie wolno mi było zobaczyć się z Callą, musiałam się trzymać od niej z daleka, więc Paul Zeeger został z córką przed domem i czekał na Dużą i Małą Lily... na Rose. Ale widziałam, patrząc przez okno, jak bardzo Calla urosła. Umiała już chodzić. Paul próbował ją brać na ręce, ale stanowczo go odsuwała, ponieważ miała już ponad roczek i nie chciała być noszona na rękach. Przypatrywałam się, jak drepcze po trawniku i raz czy dwa upada na kolana, ale natychmiast wstaje jak wańka-wstańka. Paul od razu był przy niej, gotów otrzepać z kurzu i sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Wcześniej tego nie dostrzegłam, ale widziałam to teraz. Paul był dobrym ojcem.

- Gdybym tylko wiedziała... - wyjąkała Duża Lily, patrząc na mnie ze współczuciem. Głos jej się załamał i oczy napełniły się łzami. - Ale twoje listy... Myślałam, że jesteś szczęśliwa.

Pani Wood bardzo pragnęła mieć dzieci. Opiekowała się Callą o wiele lepiej ode mnie, byłam tego pewna. Wiedziałam, że mój pobyt w rodzinie Woodów był dla nich kłopotliwy. Słyszałam ich rozmowy, pan Wood napomykał o zawiadomieniu policji i więzieniu. Nie chciałam im sprawiać kłopotów, zwłaszcza pani Wood, która była dla mnie taka dobra.

Ale nie ukradłam żadnego łańcuszka.

Śledczy znaleźli na nożu odciski palców, tak samo jak na klamce w domu pod Omaha, które nie należały do mnie. Nieważne, co zeznałam na policji, oni i tak znali prawdę.

Zastanawiałam się, czy Matthew wie o odciskach palców. Czy czasem nie zostawił ich specjalnie, żebym nie mogła wziąć winy na siebie.

Zeegerowie odstąpili od oskarżenia o porwanie ich dziecka, choć wcale o to nie prosiłam. Pragnęłam, żeby ktoś poniósł odpowiedzialność za to, co się stało. Ale oni tego nie chcieli. Uznali, że śmierć moich rodziców i krzywda wyrządzona mi przez Josepha stanowią dostateczne usprawiedliwienie dla mojego czynu. Domagali się jednak, abym już nigdy nie mogła zobaczyć się z Callą, chyba że przez okno, tak jak wtedy, kiedy przyjechali do mnie razem z Lily. Wolno mi było spotykać się z siostrą dwa razy do roku, tylko dwa dni z trzystu sześćdziesięciu pięciu, i to wyłącznie pod nadzorem, dlatego zawsze była z nami Duża Lily albo panna Adler, a czasami Nan i Joe. Bali się, że porwę Lily i ucieknę z nią. Sesje z Kathy miały być również karą, ale szybko je polubiłam. Nie była to dla mnie żadna kara.

Pewnego dnia zupełnie nieoczekiwanie w więzieniu pojawiła się Flores i oznajmiła, że wychodzę na wolność. Nie oznacza to wcale, jak dodała, że mogę udać się, gdziekolwiek zechcę, ponieważ jestem nieletnia, czyli podlegam pod opiekę państwa. Uśmiechnęła się do mnie triumfalnie, pokazując końskie zęby, jakby fakt, że jestem nadal w pewnym sensie więźniem, niepomiernie ją cieszył.

Przyjechała po mnie Amber Adler, oczywiście tym samym gruchotem z wielką torbą firmy Nike na tylnym siedzeniu, i odwiozła do rodzinnego domu dziecka. Pomogła mi się zainstalować w dużym, pomalowanym na niebiesko pokoju, który miałam dzielić z trzema dziewczynami.

- Gdybyś mi tylko o tym wspomniała, Claire - powiedziała i tak jak Dużej Lily głos jej się załamał i łzy zakręciły się w oczach.

Dodała, że bardzo jej przykro za to, co się stało, jakby to, co robił ze mną Joseph, było jej winą. Przyznała, że powinna była mi składać niezapowiedziane wizyty albo osobiście porozmawiać z nauczycielami. Dowiedziałyby się wtedy, że wcale nie chodzę do szkoły.

- Ale Joseph... - szepnęła i umilkła na dłuższą chwilę. - Myślałam... - Nie musiała kończyć zdania, ponieważ i tak wiedziałam, co chciała powiedzieć. Myślała, że Joseph jest dla mnie taki dobry.

Była przecież zachwycona, że Joseph i Miriam zechcieli mnie przygarnąć. Uważała, że spotkało mnie niezwykle szczęście.

W rzeczywistości mój los był przekleństwem.

Ale nigdy nie odnaleźli Matthew. Mieli odciski palców z noża i kłamki, lecz nie mieli ich z czym porównać. Zadawali mi pytania, dziesiątki pytań. O Matthew. O Matthew i o mnie.

Nie miałam pojęcia, gdzie się udał. Zresztą gdybym nawet wiedziała, to i tak nie powiedziałabym im o tym.

Przekonałam się, że Paul i Lily bardzo kochają moją siostrę. A moja Lily kocha małą Callę. Tworzyli szczęśliwą rodzinę. Dla siostry byłam prawie obca. Kiedy mnie odwiedzała w rodzinnym domu dziecka między Omaha a Lincoln, ścisnęła mnie na powitanie, ponieważ Duża Lily kazała jej to robić, ale poza tym trzymała się z daleka, zerkając na mnie nieśmiało jak na obcą osobę, jaką się dla niej stałam. Po jej oczach poznawałam, że mgliście mnie sobie przypomina, jak fragment snu, który rozwiewa się wraz z nadejściem nowego dnia. Kiedy mnie ostatni raz widziała, miałam osiem lat. Byłam wtedy beztroska i szczęśliwa, dużo się uśmiechałam.

To Louise Flores poinformowała mnie, co się stało z rodziną Woodów. Pani Wood pomieszało się w głowie.

- Urojenia to dziwna rzecz - mruknęła bardziej do siebie niż do mnie, pakując dokumenty do teczki. Sprawę uznała za odfajkowaną, dokładnie jak kiedyś panna Adler. - Osoba pod ich wpływem może się zachowywać z pozoru normalnie, nie wykraczać poza powszechnie dopuszczalne zachowania.

Próbowała mi to wyjaśnić, mówiła o syndromie pourazowym czy czymś podobnym, o tym, że pani Wood prawdopodobnie nie pogodziła się ze śmiercią ojca, a potem, jakby tego jeszcze było mało, zachorowała na raka i musiała usunąć ciążę.

Nie mogła mieć więcej dzieci, a skądinąd wiedziałam, że bardzo tego chciała. Było mi naprawdę smutno, ponieważ pani Wood była dla mnie

dobra i miła, a niewiele napotkałam takich osób. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że jest złą osobą. Uważałam raczej, że trochę się pogubiła.

Od czasu do czasu dostaję list w kopercie bez nazwiska nadawcy i adresu zwrotnego. Przypadkowe fakty wypisane na skrawku papieru:

Czy wiedziałaś, że nie można kichnąć z otwartymi oczami?

Czy wiedziałaś, że wielbłądy mają trzy powieki?

Czy wiedziałaś, że ślimak ma 25.000 zębów?

Czy wiedziałaś, że wydry morskie podczas snu trzymają się za łapy, żeby się przypadkiem nie rozdzielić?

PODZIĘKOWANIA

Pisanie wiąże się z samotnością. Siedzimy przed ekranem komputera albo zamykamy się w pokoju z notesem i piórem, obsesyjnie rozmyślając o postaciach naszych książek. Bywa, że z wymyślonymi osobami więcej rozmawiamy niż z prawdziwymi. Podczas gdy reszta świata śpi, nasze postaci zadręczają nas w środku nocy, domagając się, byśmy pozwolili im powiedzieć TO czy TAMTO.

Przeciwieństwem samotnej pracy pisarza jest publikowanie książek. Mam wielkie szczęście, mogąc współpracować z wieloma wspaniałymi ludźmi: moją wyjątkową agentką literacką Rachael Dillon Fried, wybitną redaktorką Eriką Imranyi, wydawcą Emerem Floundersem i resztą znakomitych, pełnych poświęcenia pracowników wydawnictwa Harlequin i Sanford Greenburger Associates z działu wydawniczego, sprzedaży i reklamy, których miałam zaszczyt poznać. Jestem dumna, mogąc się uważać za członkinię rodziny Harlequina i Sanford Greenburger Associates.

Warto też wspomnieć o niezwykłych autorach, jakich poznałam w trakcie mojej podróży, którzy odezwali się do mnie, proponując udzielenie cennych wskazówek i wsparcia emocjonalnego, wysłuchanie moich wątpliwości, a przede wszystkim promując moje dzieła jak własne. Dziękuję wam po wielekroć! Czuję się zaszczycona, będąc częścią tak fantastycznej pisarskiej społeczności.

Pierwszą powieść tworzyłam w tajemnicy, natomiast podczas pisania „Zajmę się tobą” towarzyszyli mi przyjaciele i rodzina. Jednocześnie promowałam pierwszą książkę, więc należą im się wielkie podziękowania za pomoc i wsparcie w codziennych życiowych obowiązkach: moim rodzicom Lee i Ellen Kubicom, siostrze Michelle Shemanek i Sarze Kahlenberg wraz z rodzinami, rodom Kubiców i Kyrychenko, moim drogim przyjaciółom, których nie wymienię z nazwiska z obawy, że kogoś pominię, ale wiecie, kogo mam na myśli

(zwłaszcza Beth Schillen - jesteś niezastąpiona!). Uzyskałam od was wszystkich bezcenną pomoc w promowaniu powieści, organizowaniu spotkań z czytelnikami, opiece nad dziećmi, gdy wyjeżdżałam na dłużej. Pierwszą powieść pisałam w tajemnicy, za to druga miała wiernych kibiców. Nie sposób się wam odwdzińczyć.

Na koniec dziękuję mojemu mężowi Pete'owi i dzieciom za cierpliwość, wsparcie i zachętę. Bez was nic nie byłoby możliwe!

Kocham was, jak całusy kochają uściski.

[1] Lucy Maud Montgomery „Ania z Zielonego Wzgórza”, tł. Janina Zawisza-Krasucka, Warszawa, Nasza Księgarnia, 1981.

[2] Willow (ang.) - wierzba.

[3] Ruby (ang.) - rubin.

[4] Love (ang.) - miłość.

[5] Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, 1990.

[6] LostWithoutU (ang.) - bez ciebie zgubiona.

Tytuł oryginału:
Pretty Baby
Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2015

Opracowanie graficzne okładki:
Robert Dąbrowski
Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega
Opracowanie redakcyjne:
Władysław Ordega
Korekta:
Małgorzata Narewska

© 2015 by Mary Kyrychenko
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books, S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1631-9

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

Spis treści

[Heidi](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Chris](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Chris](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Willow](#)
[Heidi](#)
[Willow](#)
[Chris](#)
[Willow](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Chris](#)

[Willow](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Chris](#)

[Heidi](#)

[Willow](#)

[Podziękowania](#)